

KOSZMAR ZACZNIE SIĘ ZANIM ZAMKNIESZ OCZY...

JAMES HERBERT

MGŁA

Dla tych, którzy lubią być straszni ta książka
będzie należeć do klasyki horroru

Best Magazine


AMBER

HORROR



Każda kolejna książka Herberta jest bardziej przerażająca od poprzedniej!

Grimsby Evening Press

Holman spostrzegł na wysokości swoich stóp jakiś ruch. Wyglądało to jak wirująca powolnym ruchem para. Wznosiła się falami do góry, zakrywając najpierw jego kolana, potem piersi by w końcu przysłonić go całego. Nie mógł się przez nią przebić wzrokiem. Osunął się na kolana. Ogarnął go przenikliwy strach. — Na pomoc! Hej, czy jest tam ktoś? Czy ktoś mnie słyszy?! — krzyknął nagle. W jego głosie nie było jeszcze paniki, ale czuł, że boi się coraz bardziej...

HORROR

CENA DET. ZŁ. 19 000

ISBN 83-85423-57-5

JAMES HERBERT

MGŁA

Przełożył: MACIEJ GOCMAN



Tytuł oryginału:

THE FOG

Ilustracja na okładce:

TOM HALLMAN

Opracowanie graficzne:

ADAM OLCHOWIK

Redaktor:

EWA PIOTRKIEWICZ

Redaktor techniczny:

JANUSZ FESTUR

Copyright © 1975 by Graham Masterton

For the Polish edition Copyright © 1992 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 83-85423-57-5

Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

Warszawa 1992. Wydanie I

Skład: Zakład Fototype w Milanówku

Druk: Piłskie Zakłady Graficzne Sp. z o.o.

Rozdział pierwszy

Wioska zaczęła powoli otrząsać się ze snu i budzić do życia. Powoli, ponieważ nie nigdy nie działo się w tej części Wiltshire w pośpiechu; czas nie miał tu żadnego znaczenia od wieków. Przybysze łatwo poddawali się spokojnej atmosferze tutejszego życia i czuli się w niej zadowoleni i bezpieczni. Niespokojni duchem młodzi ludzie nigdy nie zagrzewali tu miejsca, ale zawsze pamiętali kojący spokój wsi i równie często za nim tęsknili. Rzadki turysta trafiał tu przez przypadek i zachwycał się niedzisiejszym urokiem tego skrawka łądu. Wystarczyło mu kilka minut, aby poznać osobliwy czar tej wioski, po czym ruszał dalej, wzdychając za jej spokojem, nie bez obawy jednak, że spokój ten mógłby go znudzić.

Jessie otworzyła swój sklep spożywczy dokładnie o ósmej trzydzieści, jak zawsze zresztą przez ostatnich dwadzieścia lat. Jej pierwsza klientka, pani Thackery, nie zjawi się na pewno przed ósmą czterdzieści pięć, ale Jessie nigdy nie przyszło na myśl, by zerwać z wieloletnim zwyczajem wczesnego otwierania sklepu. Nawet gdy umarł Tom, jej mąż, sklep został otwarty punktualnie o ósmej trzydzieści, a podczas jego pogrzebu dwa dni później był zamknięty tylko przez godzinę, między dziesiątą a jedenastą. Jessie lubiła poranne pogaduszki z panią Thackery, która zaglądała do niej nawet

wtedy, gdy nie robiła zakupów. Jessie znalazła w niej podporę po śmierci Toma. Pani Thackery przychodziła codziennie, by wypić z Jessie poranną filiżankę herbaty. Nigdy się nie nudziły, spędzając czas na plotkach; jeden temat mógł zajmować je przez dwa tygodnie, a nawet trzy - jeśli zdarzyła się w wiosce jakaś śmierć.

Pomachała panu Papworthowi, rzeźnikowi z naprzeciwka, który właśnie zmiatał chodnik koło swojego sklepu. Miły człowiek, ten pan Papworth. O wiele miłszy, odkąd opuściła go żona. Wydarzenie to wywołało we wsi pewne poruszenie, ale też nikt nie był specjalnie zdziwiony, gdy po sześciu latach małżeństwa pani Papworth odeszła. Nie pasowała do niego. Była zbyt młoda, zbyt frywolna, nie mogła znieść spokojnego życia. Przywiózł ją ze sobą z wakacji spędzonych w Bournemouth. I po tych wszystkich latach, kiedy każdy był pewien, że zostanie już na zawsze starym kawalerem, on obwieścił wszem i wobec, że się żeni. Obydwoje od początku wiedzieli, że nic z tego małżeństwa nie będzie, ale on postanowił spróbować. No, ale to było dawno temu. Jego wizyty przez ulicę powtarzały się coraz częściej i wszyscy we wsi nabrali przekonania, że wcześniej czy później dojdzie do połączenia się obu sklepów we wspólny interes rodzinny. Nie było jednak pośpiechu - wszystko się kiedyś samo ułoży.

- Dzień dobry, pani Bundock!

Jej rozmyślania przerwały dwa młode cienkie głosiki. Spojrzała w dół i uśmiechnęła się do małego Freddy'ego Graviesa i jego jeszcze mniejszej siostry Clary.

- Cześć, maluchy. Już do szkoły?

- Tak - odparł Freddy, wyciągając szyję, by popatrzeć na stojące na półkach słoje ze słodyczami.

- A jak ty się czujesz, Claro? - Jessie uśmiechnęła się do pięciolatki, która dopiero co zaczęła chodzić do szkoły.

- Dziękuję pani, dobrze - usłyszała nieśmiałą odpowiedź.

- Jestem zaskoczona, że tu dzisiaj jesteście. Zawsze do-
stajecie kieszonkowe w sobotę, czyż nie tak?

- Tak. Ale wczoraj wyczyściliśmy tacie wszystkie buty, no i dał nam coś za to - zabrzmiała odpowiedź uśmiechniętego Freddy'ego. Ich ojciec, policjant w pobliskim miasteczku, był szorstki w mowie, ale miły, kochający tę swoją dwójkę, choć postępował z nimi twardo.

- No, a co chcielibyście sobie kupić? - zapytała Jessie, wiedząc, że szkraby nie mają zbyt wiele pieniędzy. - Lepiej się pośpieszcie, bo nie zdążycie na autobus!

Clara wskazała na cukierki po pensie, a Freddy skinął głową na znak aprobaty. - Po trzy, poproszę - powiedział.

- Dobrze. Wiecie co, cukierki po pensie są tańsze w poniedziałki. Dostaniecie dzisiaj po cztery dla każdego za równą sześć pensów.

Ich twarze rozpromieniły się, gdy sięgnęła do słoja i wyjęła słodycze.

- Dziękujemy - powiedziała Clara, wkładając trzy cukierki do kieszeni, po czym natychmiast zaczęła odwijać czwarty. Freddy podał Jessie pieniądze, wziął swoje cztery i poszedł w ślady siostry.

- No to pa! Bawcie się dobrze! - krzyknęła jeszcze za nimi, gdy wybiegali ze sklepu, trzymając się za ręce.

- Cześć, Jessie! - Listonosz stawiał rower za drzwiami sklepu.

- Hej, Tom. Masz coś dla mnie?

- Lotniczy, pewnie od syna? - powiedział, wchodząc do środka. - Będziemy chyba znowu mieli ładny dzień. Co za piękne, czyste niebo. - Podając niebiesko-czerwoną kopertę, spostrzegł, że cień smutku przemknął przez jej twarz. Przy najmniej tak mu się wydawało. - To już prawie rok, odkąd jest w wojsku, prawda?

Przytaknęła, studiując znaczki na kopercie.

- Co tam, Jessie. Nie mogło być inaczej. Taki młody chłopak jak on nie potrafiłby spędzić życia przykuty do tej wioski, czyż nie mam racji? Chciał poznać wielki świat.

Andy zawsze pragnął być samodzielny, nigdy nie mógł usiedzieć na miejscu. To jego najlepsze lata!

Znowu kiwnęła głową i westchnęła, otwierając kopertę.

- Tak, chyba masz rację. Ale ja tak za nim tęsknię. To jest taki dobry chłopiec.

Listonosz skłonił głowę i wzruszył ramionami.

- No, to do jutra, Jessie. Muszę iść.

- Tak. Cześć, Tom. - Jessie rozłożyła cienki niebieski papier i zaczęła czytać list. Na jej twarzy pojawił się uśmiech - z zadowoleniem stwierdziła, że Andy'emu dopisuje humor i że ma się dobrze.

Nagle poczuła zawrót głowy, zatoczyła się na ladę. Przyłożyła rękę do czoła; miała wrażenie, że żołądek podchodzi jej do gardła. Wtem usłyszała głębokie dudnienie dobiegające z dołu, spod jej stóp. Podłoga zaczęła drżeć, zmuszając ją do ponownego złapania się lady. Drżenie przeszło w gwałtowne dygotanie. Słoje na półkach zaczęły pobrzękiwać, a pojemniczki przesuwać się z miejsca na miejsce. Dudnienie przybierało na sile, pogłębiało się. Zdawało się rozsadzać głowę. Upuściła list i przycisnęła obie dłonie do uszu. Ziemia podskoczyła. Jessie straciła równowagę i upadła na kolana. Wydawało jej się, że teraz cały sklep się rusza. Wielka szyba wystawowa pękła i szkło posypało się do środka. Półki runęły na ziemię. Hałas wzmagał się i ogłuszał.

Krzyknęła, zaczęła przedzierać się do wyjścia. Ale gdy tylko próbowała się podnieść, jakaś siła z powrotem rzucała ją na kolana. W końcu doczołgała się do drzwi. Pchał ją potworny strach przed zawaleniem się na nią stropu. Jej ciało zaczęło wibrować, a powtarzające się wstrząsy co chwila odrywały ją od podłogi.

Przeczołgała się przez próg i wyjrzała na drogę przebiegającą przez wioskę. Widok, jaki ukazał się jej oczom, był przerażający.

Listonosz stał pośrodku drogi, przyciskając do siebie rower. Wtem u jego stóp pojawiła się wielka rysa i ziemia rozstała się, pochłaniając go w mgnieniu oka. Czarna rozpadlina przemknęła jak wąż wzdłuż ulicy. Obejmując się kurczowo, stali tam mały Freddy i Clara, nie mogąc wykonać

jakiegokolwiek ruchu. Pęknięcie przesunęło się w kierunku pani Thackery, która biegła do sklepu Jessie. Nagle wydało się, że wioska została przedarta na dwie części. Gdy ziemia rozwarła się jak gigantyczne ziewające usta, droga zniknęła.

Jessie spojrzała na drugą stronę ulicy i zdążyła uchwycić wyraz przerażenia na twarzy pana Papwortha w chwili gdy połykała go ziemia, wraz z całym rzędem sklepików i domów za jego plecami.

Rozdział drugi

John Holman zmęczonym ruchem zmienił biegi i pokonał zakręt wąskiej polnej drogi. Był nieogolony, ubranie miał wciąż wilgotne od porannej rosy. Próbując znaleźć miejsce do spania, pół ostatniej nocy spędził w zaroślach, niezauważony przez patrole armii prowadzącej manewry na rozległej, ukrytej części Równiny Salisburskiej. Obszar ten należał do Ministerstwa Obrony i osoby nieupoważnione schwymane na tym terenie traktowano z całą surowością. Nie można było tam znaleźć się przez przypadek - wykluczały to wysokie ogrodzenia i liczne tablice ostrzegawcze. Mur okalał ten teren na przestrzeni wielu kilometrów, a gęsto rosnące drzewa i zarośla skutecznie zasłaniały to, co było po jego drugiej stronie.

Holman wzdrygnął się na myśl o niebezpieczeństwie i niewygodach, jakich doświadczył, starając się ukryć swoją obecność, pomimo że też przecież pracował dla rządu. Idiotyczne było to, że dwa ministerstwa - Obrony i Ochrony Środowiska Naturalnego, nie tylko unikały współpracy, ale ukrywały przed sobą informacje, jak gdyby były dwoma obcymi państwami. On sam został przydzielony do nowego działu utworzonego przez Ministerstwo Ochrony Środowiska w celu badania wszystkiego - począwszy od zatrutych rzek, a skończywszy na wybuchach epidemii. Była to komórka specjalna, ponieważ prawie zawsze dochodzenie prowadzono

w tajemnicy. Jeżeli jakaś firma była podejrzana o nielegalne wyrzucanie niebezpiecznych odpadów przemysłowych do morza, rzeki czy też na wysypiska, a normalną drogą nie można było zdobyć na to żadnego dowodu, wówczas wysyłał Holmana, by przeprowadził śledztwo.

Zazwyczaj działał w pojedynkę, często ukrywając swoją tożsamość. Bywało, że podejmował pracę zwykłego robotnika, chcąc dostać się do jakiejś fabryki w poszukiwaniu potrzebnych informacji. Pracował w szpitalu, w zakładzie dla psychicznie chorych, na małej doświadczalnej farmie, w firmach prywatnych i w instytucjach rządowych, węsząc u źródeł za dowodami podejrzanych praktyk. Jego wielkie zmartwienie stanowił fakt, że dochodzenie w ujawnionych przez niego wypadkach łamania prawa nie zawsze było prowadzone do końca. Gdy winnymi okazywali się członkowie rządu albo ludzie biznesu, wiedział, że szanse ich ukarania są nikłe. Mając trzydzieści dwa lata, Holman był wciąż młody; wystarczająco młody, by czuć się źle, widząc u przełożonych brak zdecydowania w działaniu, ponieważ sam ryzykował dużo szukając dowodów, o które prosili.

Stosował różne sposoby dla osiągnięcia swoich celów i nieraz poważnie naruszał prawo, wywołując panikę wśród przełożonych, którzy byli oczywiście poinformowani o jego poczynaniach. Ostatnim zadaniem Holmana było zbadanie obszaru należącego do Ministerstwa Obrony, wykorzystywanego na potrzeby wojskowe i chronionego ustawą o zachowaniu tajemnicy państwowej. Ten wielki pas łądu był poligonem już w czasie wojen napoleońskich, później zaś, podczas drugiej wojny światowej, stanowił teren ćwiczeń armii brytyjskiej. Większość poligonów znajdowała się na południu kraju, najbardziej zagrożonym ewentualną inwazją. Holman wiedział, że duża część tych obszarów się marnuje, a była to ziemia żyzna i bogata w zwierzyinę. W czasach kiedy urodzajnych gruntów i otwartej przestrzeni jest coraz mniej, nie można sobie pozwolić na takie marnotrawstwo. Ministerstwo Obrony wykorzystywało jako poligony ponad siedemset

pięćdziesiąt tysięcy akrów ziemi, jego ministerstwo zaś żądało zwrotu co najmniej trzydziestu tysięcy akrów. Ministerstwo Obrony miało wprawdzie uzasadnione powody, by zajmować większą część tych prywatnych gruntów, ale istniały wątpliwości, czy wszystkie te ziemie są mu rzeczywiście niezbędne.

Oba ministerstwa prowadziły już na ten temat rozmowy, ale do wiadomości publicznej nie podano żadnych informacji. Tak więc Holmanowi przydzielono zadanie sprawdzenia, ile tej ziemi jest wykorzystywane i w jakim celu. Wojna pomiędzy dwoma instytucjami tego samego rządu wydawała mu się śmieszna, ale przyjmował to jako smutną konieczność.

Unikając patroli, ostatnie dwa dni spędził na robieniu zdjęć i zbieraniu danych o tym wielkim obszarze leśnym Równiny Saliburskiej, stanowiącym własność Ministerstwa Obrony. Gdyby został na tym przyłapany, konsekwencje byłyby nieprzyjemne, ale zdawał sobie sprawę z ryzyka, i to go nawet podniecało. Jego pracodawcy wiedzieli o tym i często wykorzystywali tę cechę jego charakteru oraz gotowość podejmowania ryzyka i odpowiadania na trudne wyzwania.

Po pokonaniu zakrętu oczom Holmana ukazała się wioska. Oto jedna z tych niewielkich, mało znanych wsi położonych na Równinie, stwierdził. Może mógłbym zjeść tu śniadanie?

Podjechał bliżej i wówczas zaalarmowało go dziwne drżenie. Po chwili usłyszał ciężki, dudniący dźwięk, a samochodem zaczęło kołysać. Gdy dotarł do głównej ulicy, widoczność była tak słaba, że nie mógł jechać dalej. Ale to, co pomimo wszystko zobaczył, było trudne do pojęcia.

Wielkie pęknięcie w ziemi pojawiło się dokładnie na wprost jego wozu, po czym zaczęło powiększać się wszere i wzdłuż, zbliżając się do niego. Mimo przerażenia zdążył jeszcze zauważyć dwójkę dzieci oraz kobietę i mężczyznę z rowerem na chwilę przed rozwarciem się ziemi. Wszyscy oni zniknęli w czarnej otchłani. Sklepy po lewej jego stronie

zaczęły się osuwać w powiększającą się dziurę. Usłyszał ogłuszający huk - to rozstępował się grunt, wydając odgłos podobny do uderzenia gromu. Obserwując te straszne sceny, Holman zauważył, że ziemia pod jego samochodem też zaczyna się zapadać. Otworzył drzwi, ale było już za późno: wóz zakolysał się i zaczął się osuwać. Drzwi zatrzasnęły się i Holman był jak w pułapce.

Przez chwilę samochód wisiał zaklinowany, a gdy pęknięcie poszerzyło się, ponownie zsunął się do przodu. Holman wpadł w panikę i krzyknął z przerażenia. Spadał w dół i tylko nierówne ściany ziemi ratowały pojazd przed swobodnym spadkiem. Po paru sekundach, które wydawały się wiecznością, samochód zatrzymał się: Holman siedział wciśnięty w kierownicę i gapił się prosto w dół, w czarną przepaść. Zamarł z przerażenia; był sparaliżowany potwornością tego, co się działo. Powoli jednak odzyskiwał zdolność myślenia. Najprawdopodobniej znajdował się na krańcu rozpadliny, w miejscu gdzie była ona najwęższa. Gdyby się tylko trochę poszerzyła, samochód osunąłby się w ciemną otchłań. Spróbował spojrzeć do góry, ale nie mógł przebić się wzrokiem przez wirujące tumany pyłu.

Panika zmusiła go do działania. Rozpaczliwie odepchnął się od kierownicy, ale zbyt gwałtowny ruch spowodował niebezpieczne osunięcie samochodu o dalsze pół metra. Krztusząc się opanował się całą siłą woli. Do jego uszu docierał tylko rumor walących się domów, brzęk szkła i szum osuwającej się ziemi. Ze zdwojoną ostrożnością zaczął przesuwać się w stronę tylnego siedzenia. Zamarł, gdy wóz znowu drgnął, lecz tym razem zaraz się zatrzymał. Wytrwał bez ruchu kilka chwil, które wydawały się ciągnąć w nieskończoność, po czym podjął próbę raz jeszcze.

Po dotarciu do tylnego siedzenia obrócił się, by otworzyć tylną boczną szybę. Spostrzegł bowiem między bokiem samochodu a ścianą osuwiska szczelinę na tyle szeroką, że mógłby się przez nią przecisnąć. Trochę ziemi wpadło jednak do środka przez otwarte okno, zwiększając jeszcze ciężar niestabilnego wozu.

Nie zachowując już żadnej ostrożności, wyczołgał się na zewnątrz, po czym przywarł do ściany sypiących się kamieni i ziemi. Był pewien, że zaraz usłyszy łomot samochodu wpadającego w otchłań. Przez całe pięć minut trwał w pełnym bezruchu. Z głową wciśniętą w ziemię, rozpaczliwie poszukiwał rękami jakiegoś oparcia.

Pył zaczął z wolna opadać i Holman rozejrzał się bojaźliwie dookoła. Patrząc w górę na szczyt osuwiska, wywnioskował, że przepaść ma co najmniej pięćset metrów długości. Wydawało się, że na jej ścianach panuje już spokój, podczas gdy całe zwały ziemi wciąż jeszcze spadały w głąb czegoś, co przypominało szyb bez dna. Przebił się wzrokiem w dół, przez ciemność, i wstrząsnął nim niesamowity widok. To było tak, jak gdyby otworzyły się najgłębsze czeluście Ziemi; czerń wydawała się nie mieć końca.

Poczuł lekkie drżenie i natychmiast zarył rękami i twarzą w ziemię; serce łomotało mu w piersi jak szalone, bał się, że w każdej chwili może spaść w dół.

Nieoczekiwanie usłyszał płacz, co zmusiło go do ponownego otwarcia oczu. Poprzez wciąż wirujący pył dostrzegł coś, co wyglądało jak mała postać ludzka leżąca na pochyłej skalnej półce na przeciwległej ścianie osuwiska, w odległości około piętnastu metrów od niego. Z niemalym wysiłkiem uświadomił sobie, że jest to jedno z dzieci, które widział na górze. Tak, to ta mała dziewczynka. Nie było jednak nigdzie śladu chłopca, który jej towarzyszył. Dziewczynka żałośnie płakała.

Wiedział, że jeśli jej nie pomoże, to mała zsunie się prosto w przepaść. Zawołał, lecz wyglądało na to, że go nie słyszała. Rozejrzał się, myśląc, jak pokonać dzielącą go od niej przestrzeń. Dziewczynka znajdowała się około trzech metrów nad nim i dziewięć metrów poniżej krawędzi górnej warstwy ziemi. Przy zachowaniu maksymalnej ostrożności samo wspięcie się do niej nie powinno być zbyt trudne - ściany były pełne występów, dziur, starych korzeni. Problem stanowiło przedostanie się na drugą stronę, i to szybko.

Tymczasem ogarnął go strach na myśl, co się stanie, jeśli

rozpadlina nagle się zamknie. Zostać zmiażdżonym jak w gigantycznym dziadku do orzechów - nie była to kusząca perspektywa. Ruszył więc do akcji.

Samochód odegra rolę mostu. Dwa kroki i będzie po drugiej stronie. Była to niebezpieczna, ale jedyna możliwa droga działania. Z wahaniem postawił stopę na dachu wozu. Nie poruszył się. Powoli, ciągle trzymając się ściany, przeniósł na nią ciężar swojego ciała. Gdy samochód zakołysał się, przerażiła go myśl, że może ześlizgnąć się po gładkiej powierzchni dachu. Zanim jednak zdołał pomyśleć o możliwych skutkach, już zrobił dwa ogromne kroki, żałując, że nie potrafi latać.

Ale drugie stąpienie naruszyło chwiejną równowagę samochodu. Wóz opadł najpierw do przodu, a potem w dół, pociągając go za sobą. Desperacko machając w powietrzu rękoma, miał naprawdę więcej szczęścia niż rozumu, gdy zdołał uchwycić się korzenia uschłego drzewa. Korzeń wprawdzie trzasnął i złamał się, ale jego cienkie włókna utrzymały Holmana i pomogły mu zbliżyć się do ściany.

Dziewczynka usłyszała hałas spadającego samochodu i krzyknęła na widok wiszącego mężczyzny. Zaczęły się przy tym osuwać grudy ziemi poruszone jej nóżkami. Wtulila głowę i ręce mocniej w ziemię, po czym wybuchnęła spazmatycznym płaczem, wzywając na pomoc swojego brata.

Holman zawisł w powietrzu; tylko cienkie korzenie gnijącego drzewa oddzielały go od śmierci. Stopami szukał oparcia wśród osypującej się ziemi, jedną rękę zdołał zacisnąć na występie solidnej skały. Wreszcie znalazł zaczepienie dla rąk, uwalniając złamany korzeń od ciężaru swego ciała. Uniósł nogi, aż znalazł dla nich lepszy punkt oparcia. Łapiąc z trudem w płuca pełne kurzu powietrze, spojrział w kierunku dziewczynki.

- Wszystko w porządku! - krzyknął. - Nie ruszaj się, to wszystko będzie dobrze, idę po ciebie!

Nie wiedział, czy go usłyszała, ale wiedział, że nie utrzyma się długo na tej niebezpiecznej pochyłości. Obraz zamykającej

się nad nim ziemi ponownie dodał mu sił. Posuwał się centymetr po centymetrze, sprawdzając każdy chwyt, każde wsparcie stopy, i stopniowo wspiął się o dwa i pół metra, aż znalazł się na dosyć solidnym występie skalnym. Nie wiedział, ile czasu minęło - mogło to trwać godziny, ale prawdopodobnie były to tylko minuty. Na pewno pomoc nadejdzie wkrótce, ktoś będzie przecież chciał sprawdzić, czy nikt nie został uwięziony w gigantycznej dziurze. Rozglądał się, myśląc, w jaki sposób dotrzeć do dziewczynki.

Wzdłuż całej ściany bieгло wąskie pęknięcie, zaczynające się prawie w miejscu, w którym się teraz znajdował, a kończące się około metra poniżej półki skalnej, na której leżało dziecko. Gdyby wykorzystał je jako oparcie dla stóp, a rękoma przytrzymał się skały, mógłby dosięgnąć półki, przetrzucić się przez jej brzeg i dotrzeć do dziewczynki. Jej małym ciałem wstrząsały spazmy, ale nie podnosiła głowy.

Zaczął ostrożnie posuwać się, przez cały czas wpatrując się w dziewczynkę, gotów ją w każdej chwili ostrzec, gdyby miała zamiar się poruszyć. Gdy dotarł bliżej, spazmatyczny płacz ustał. Patrzyła na niego mała twarzą wykrzywiona nieudawanym przerażeniem. Boże, kim jest ten potwór, który się do niej zbliża? Przeszła już przez tyle okropności, a teraz jeszcze widzi, jak zmierza do niej brudna, zakurzona postać, która wpatruje się w nią wytrzeszczonymi oczami.

- Dobrze, już dobrze, mała - powiedział łagodnie, choć z naciskiem. - Idę, żeby ci pomóc. Nie ruszaj się!

Cofnęła się.

- Nie, nie, nie ruszaj się! - nie mógł powstrzymać krzyku.

Zaczęła się ześlizgiwać; zdając sobie sprawę z grożącego jej niebezpieczeństwa, wbiła palce w miękką ziemię, wrzeszcząc z przerażenia.

Holman zaryzykował i wychylił się, mając nadzieję, że brzeg półki wytrzyma jego ciężar. Jedna stopa tkwiła w pęknięciu, druga wisiała bezwładnie w powietrzu; jedna ręka wyciągnięta była jak najdalej w kierunku dziewczynki, druga

trzymała się kurczowo skalnego występu. Zdołał chwycić wyciągniętą rękę dziecka, ratując je przed dalszym ześlizgiwaniem się. Nogi dziewczynki były już poza półką. Kopała stopami powietrze. Lewą ręką znalazł małe pęknięcie w ścianie i uchwycił się go rozpaczliwie. Wiedział, że jeżeli rozluźni chwyt, to zarówno on, jak i ona spadną prosto w gardziel śmierci. Krzyczała jeszcze, ale już nie puściła jego ręki; zrozumiała, jakie niebezpieczeństwo czyha za jej plecami.

Jedyne, co mógł zrobić przez najbliższych kilka chwil, to trwać w bezruchu, patrząc na jej przerażoną twarz i ściskając jej drżące palce. Szepnął, by się nie ruszała - przemawiał do niej miękko, nie chcąc, by wyczuła panikę w jego głosie. Stopniowo przestawała drżeć. Uspokoila się, jakby uwie-, rzyla, że nic złego nie może już jej spotkać. Zaczął podciągać ją wyżej i choć jej ciało prawie nic nie ważyło, nie było to łatwe w niewygodnej pozycji, w jakiej się znajdował. W końcu cała znalazła się z powrotem na pochyłej półce, ale on ciągle przesuwiał ją ku swej piersi.

- Chwyć się mnie, mała - powiedział łagodnie. - Załóż mi ręce na szyję i trzymaj się mocno.

Pociągnął ją w dół, pomiędzy siebie a półkę. Nakazał, by objęła go nóżkami. Bezwolnie usłuchała - nóżki spoczęły na jego biodrach.

- Teraz tylko się nie puść, a wszystko będzie dobrze - wyszeptał, przesuwając się z powrotem wzdłuż pęknięcia.

Ciało dziewczynki odpychało go od ściany. Jego ramię i mięśnie nóg były napięte do granic wytrzymałości, ale to przecież wytrzymałość była jedną z jego mocnych stron.

Wycieńczony, dotarł wreszcie do jakiegoś większego występu skalnego. Opadł na kolana, ciągle silnie trzymając dziecko. Oddychał ciężko po dokonany wysiłku. Odwrócił się powoli, nadal ściskając dziewczynkę, i oparł plecami o stromą ścianę, by odpocząć.

Przez kilka następnych minut odczuwał wyłącznie wielką ulgę, że udało mu się przejść. Ale gdy już odzyskał siły, wrócił myślą do tego, co się stało.

Pamiętał swój wjazd do wsi i potem... Potem ziemię, samą ziemię, rozwierającą się szeroko. Z początku pęknięcie, mknące wężowym ruchem po powierzchni drogi, potem łoskot, głębokie, narastające dudnienie przypominające huk rozłupywanego glazu, i na koniec ten niesamowity widok otwierającej się ziemi i gigantycznej rozpadliny. Dwie połowy odsuwające się od siebie, ich krawędzie walące się w dół do środka, gdzieś głęboko, w nieprzeniknioną spójrzaniem czerń. Pamiętał obraz dwojga dzieci, mężczyzny z rowerem - czy widział też jakąś kobietę? - znikających w otchłani. Walące się sklepy - pamiętał, że widział po jednej stronie walące się sklepy - a potem poszarpaną gardziel, zbliżającą się ku niemu, wahnienie samochodu i nagły przechył, gdy ześlizgnął się do przodu.

Wszystko to wydarzyło się jakby w zwolnionym tempie. A jednocześnie wszystko potoczyło się tak szybko. Przytulił główkę dziewczynki, pragnąc powstrzymać jej szloch. Zapewniał ją, że nic się już nie stanie, ale jej rozpacz po zaginionym bracie poruszyła i jego.

Podniósł wzrok w stronę światła, mając nadzieję, że ujrzy tam kogoś, kto poszukuje tych, którzy przeżyli. Przeżyli? Przeżyli co? Zaczął się gorączkowo zastanawiać. Trzęsienie ziemi? To było nieprawdopodobne. Trzęsienia zdarzały się na obszarze Anglii już przedtem, a słabe wstrząsy były nawet dość częste, lecz katastrofa tej miary? Zdarzyło się coś niewytłumaczalnego, coś trudnego do uwierzenia. W szalonym świecie stała się rzecz najbardziej szalona z możliwych. Wiltshire zostało dotknięte trzęsieniem ziemi! Na myśl o tym, zaśmiał się na głos, strasząc dziecko. Przycisnął uniesioną główkę ponownie do piersi i ukołysał delikatnie.

Co było przyczyną tego wszystkiego? Na pewno nie wybuch sieci gazowej - nie spowodowałyby aż takich skutków. Rozpadlina była zbyt głęboka i zbyt długa. Nie, to z pewnością drgnięcie mas ziemi, nie tak wprawdzie silne jak te, które nawiedzają dalekie kraje, ale równie poważne - zdarzyło się przecież w Anglii! Ale dlaczego? Może to w pobliskiej

bazie wojskowej wypróbowywano pod ziemią jakieś materiały wybuchowe? W czasie swojej sekretnej wyprawy podczas weekendu sporządził wprawdzie spis dziejących się w bazie dziwnych rzeczy, ale nie sądził, aby miały one z tym cokolwiek wspólnego. Mógł to być efekt jednego z tajnych doświadczeń, ale najprawdopodobniej to, co się zdarzyło, nie miało żadnego związku z wojskiem. Chociażby dlatego, że swoje testy i próby armia mogła przeprowadzać na terytoriach brytyjskich z dala od kraju. Był to przypuszczalnie jakiś żart natury, napięcie gromadzące się pod ziemią przez setki, a może nawet tysiące lat. A dziś właśnie nadszedł dzień, w którym miało się ono rozładować.

Ale wątpliwości pozostały.

I wówczas Holman spostrzegł na wysokości swoich stóp jakiś ruch. Z początku sądził, że to krążący pył, ale rychło zauważył, że to coś wznosiło się falami do góry. Wyglądało jak wirująca w powolnym ruchu para. Lekko żółtawa, choć w docierającej z góry nikłej poświacie nie był tego pewien. Wydawała się wypełniać rozpadlinę na całej jej długości; podniosła się już do jego piersi, zakrywając głowę dziewczynki. Ta zakaszła, zadarła główkę i gdy zobaczyła tę parę, jej ciało ogarnęło silniejsze niż dotychczas drżenie. Uniósł ją wyżej, by miała głowę na poziomie jego ramion. Wtedy para sięgnęła jego twarzy. Miała lekko kwaśny zapach, nieprzyjemny, ale niegryzący. Osunął się na kolana, zastanawiając, co to może być. Gaz? Pękła gdzieś rura? Wątpił w to - gaz jest zazwyczaj bezbarwny, a ten miał jakiś kolor. Wyglądało to bardziej na... hm, na mgłę... Miało żółtawy odcień i lekką, acz wyczuwalną woń. Prawdopodobnie był to obłok mgły, uwolniony z najgłębszych otchłani Ziemi przez przesunięcie się mas tektonicznych, wypuszczony ze swego wiekowego więzienia.

Była teraz ponad jego głową, nie mógł się przez nią przebić wzrokiem. Wstał, podnosząc dziecko. Ogarnął go niezwykle przenikliwy strach. Z jakiejś przyczyny makabryczność wznoszącej się chmury była większa niż potworności, przez

które właśnie przeszedł. Być może dlatego, że działo się to tak powoli, podczas gdy tamto wydarzyło się szybko, zostawiając mu mało czasu do namysłu. To wydawało się gorsze i groźniejsze. Nie wiedział dlaczego, ale ogarnęło go w związku z tym złe przeczucie.

- Na pomoc! Hej, czy jest tam ktoś na górze? Czy ktoś mnie słyszy? - krzyknął nagle. W jego głosie nie było jeszcze paniki, ale czuł, że strach narasta. Nie nadeszła żadna odpowiedź. Może podejście na skraj przepaści było zbyt niebezpieczne? A może na górze znajdowało się zbyt wielu rannych?

- Chciałbym, żebyś przesunęła mi się na plecy, malutka, i założyła ramiona na moją szyję - powiedział do dziewczynki, unosząc jej podbródek i zaglądając w twarz. - Będziemy się teraz wspinać!

- Ja, ja chcę do mojego brata! - wyrzuciła z siebie; już nie bała się Holmana, ale nadal mu nie ufała.

- Tak, malutka, tak. Ale twoja mama i twój tata czekają na ciebie tam, na górze. - Wybuchnęła silnym płaczem, wtulając twarz w jego ramię. Gruba warstwa mgły sięgnęła mu do policzka. Przesunął dziewczynkę na plecy, zdjął pasek i przywiązał ją do siebie. Zaczął się wspinać.

Ludzie na powierzchni usłyszeli dochodzący z otchłani głos wołający o pomoc. Byli przekonani, że każdy, kto tam wpadł, z pewnością poniósł śmierć, ale słysząc ten głos, nabrali otuchy. Była to dla nich jakaś szansa uchronienia się przed tragedią. Policjanta, którego dzieci, jak myślano, zginęły, gdy rozstąpiła się ziemia, opuszczono w dół przepaści. Nie poddawał się - nie zważając na własne bezpieczeństwo, przeszukiwał rumowiska i na wpół zawalone domy, ale nie znalazł tam swoich dzieci. Kiedy więc usłyszano wołanie o pomoc, przepasał się grubą liną, na której opuszczono go na ratunek tym, którzy przeżyli.

Pięć minut później wyłonił się, trzymając w ramionach małą nieprzytomną dziewczynkę. Położył ją na ziemi, powierzył opiece starego, lecz kompetentnego lekarza, ucałował

jeszcze raz, zraszając łzami jej małą twarzyczkę, po czym pobiegł z powrotem do dziury i znowu opuścił się w dół. Tym razem wyniósł na powierzchnię mężczyzną. Mężczyznę pokrytego od stóp do głów pyłem i brudem. Człowiek ten wyrwał się i krzyczał; czterech ludzi musiało go przytrzymać, by nie rzucił się z powrotem w przepaść. Mężczyzna ten najwyraźniej oszalał.

Mieszkańcy wioski patrzyli na dziwny obłok unoszący się z rozpadliny. Nie falował nad brzegami, ale wznosił się powoli, tworząc prosty słup, którego środek wydawał się świecić. A może były to po prostu przenikające promienie słońca? Wędrował do góry, tworząc ciężką, żółtą chmurę. Przypominała ona radioaktywny grzyb, jaki powstaje po wybuchu bomby jądrowej, ale o wiele mniejszy. Dolna część słupa, wydostająca się z przepaści, dołączyła do chmury. Całe zjawisko szybko zniknęło, gdy chmurę rozwał wiatr. Nie rozpraszając jej, przesunął tę wielką, prawie jednolitą masę przez niebo, coraz dalej i dalej od zniszczonej wioski.

Rozdział trzeci

Wielebny Martin Hurdle z ciężkim sercem kroczył przez pola. Myślami był w niedalekiej wiosce, którą dotknęło wielkie nieszczęście. Ta spokojna mała wieś została całkowicie zniszczona przypadkowym trzęsieniem ziemi. Przez cały ten tydzień był to główny temat dla gazet. Zaskakujący był fakt, że zdarzyło się to w Anglii, a nie gdzieś daleko, w odległym kraju, o którym zwykle rzadko się mówi. To stało się w ich własnym domu, co Brytyjczycy mogli zobaczyć na własne oczy, a nie w telewizji. Nie mogli przejść obok obojętnie. Dotknęło to bowiem takich samych ludzi jak oni. Dla mieszkańców wsi byli sąsiadami i krewnymi. To będzie treścią dzisiejszego kazania; ten tragiczny wypadek pozwoli im teraz naprawdę zrozumieć i odczuć jedność z innymi narodami świata, dla których zły los jest częścią ich codziennego życia. Ludzie za bardzo przejmowali się swoimi codziennymi, typowymi problemami: troskami finansowymi i zawodowymi, zawodami sercowymi, rodzinnymi sporami i międzysąsiedzkimi kłótniami; wszystko to było takie nieistotne, takie nieważne, ale o tym przekonywano się dopiero wtedy, gdy zdarzało się jakieś prawdziwe nieszczęście.

Tragedia zmusza ludzi do szerszego otwarcia oczu, do spojrzenia na to, co się dzieje w otaczającym ich świecie, do uświadomienia sobie, jak błahe w istocie są problemy, które

dotyczą tylko ich samych. Wydarzenie, które spowodowało tyle cierpień, chciałby wykorzystać do wykazania wiernym, jak cenne jest życie, i że świat nie obraca się wokół jednostek, ale wokół mas ludzkich. Wszystko sprowadza się do tego, by każdy wspierał każdego, pomagał drugiemu żyć i przeżyć. Nieszczęście, które spotkało mieszkańców sąsiedniej wioski, jest przestrogą, że to samo może zdarzyć się ponownie w innym czasie i miejscu. Nikt, żadne społeczeństwo, żaden naród nie może czuć się bezpieczny.

Układał w myślach zdania. Dokładnie wiedział, jak wygłosi swoje kazanie dzisiejszego niedzielnego poranka, w którym miejscu ściszy głos aż do szeptu, a kiedy przemówi głośniej. Po trzydziestu latach pracy duszpasterskiej do perfekcji opanował sztukę oratorską; potrafił tak operować głosem, by dotrzeć do serc i umysłów wiernych. Mając pięćdziesiąt dwa lata, nie stracił jeszcze nadziei, którą pokładał w ludzkiej naturze. Zawsze istnieje dobro w ludziach najgorszych, jak i zakłamanie wśród tych, którzy modlą się najwięcej.

Ale czasami...

Wzruszył bezsilnie ramionami. Zazwyczaj spacer przez pola wczesnym niedzielnym porankiem stanowił dla niego dużą przyjemność. Szedł rześkim krokiem, powtarzając w myśli treść dzisiejszego kazania, ale na sercu ciążyła mu tragedia, która się wydarzyła. Gdy dotarła do niego wiadomość o katastrofie, pojechał do wsi, by pomóc, udzielić ostatniego namaszczenia umierającym, pocieszyć rannych. Miniona wojna stanowiła jego jedyne doświadczenie śmierci i cierpienia tej miary, i sądził, że zapomniał już o wszystkich tych okropnościach, ale teraz dawne wspomnienia odżyły, blizny, o których sądził, że się zagoiły, otworzyły się na nowo.

Nagle oderwał wzrok od ziemi, spostrzegł bowiem, że otacza go mgła. Poranne opary unosiły się tu dość często, ale to było coś innego. To coś miało żółtawe zabarwienie i było gęste, bardzo gęste, gdy przesuwało się nad nim. Miało także

dziwny zapach. O mój Boże, pomyślał, lepiej będzie, jak wrócić idąc po śladach; muszę się stąd wydostać. Nie chciałbym zabłądzić i spóźnić się na mszę.

Zawrócił, ale zaniepokoił się, że wciąż otacza go mgła. Nie, to nie są opary, pomyślał. To jest naprawdę mgła. Jakie to dziwne - wejść w mgłę, i to w tak piękny letni poranek. Nigdy nie widział tak gęstej. Spojrzał w niebo, lecz dostrzegł jedynie nikły blask słońca. Zaniepokoił się, czy idzie w dobrym kierunku.

- O mój Boże - jęknął głośno - zabłądziłem. Co to jest? Serce zabiło mu mocno, gdy zauważył, że w jego kierunku nadciąga jakiś ciemny, niewyraźny kształt.

To było duże, nie tak wysokie jak on, ale przysadziste. I bezgłośnie.

Zdawało się przesuwać ku niemu, zawieszony w powietrzu, i im było bliżej, tym stawało się większe. I wtedy - o Boże! - następny, następny i jeszcze jeden kształt dołączyły do pierwszego i stopiły się z nim, tworząc jedną ogromną masę, która wciąż się zbliżała, aż zawisła nad jego głową. Cokolwiek to było, wiedziało, że on tu jest! Zaczął powoli się cofać, otwierał i zamykał usta, nie wydając żadnego dźwięku. Ruszył szybciej, nie odwracając się, szedł tyłem, bał się spuścić z oczu rosnący przed nim kształt.

Nagle uderzył o coś twardego. Zatoczył się i upadł ze strachu na kolana. Kolejny czarny kształt zawisł nad nim, zatrważająco cichy.

I wtedy zaśmiał się. Łzy ulgi popłynęły mu po twarzy, uderzył ręką w ziemię w prawie historycznym rozbawieniu.

Wszedł w stado krów. Zaśmiał się głośnie, kaszląc przy wciąganiu do płuc ciężkiego powietrza, a krowy gapiły się na niego bezmyślnie - poruszanie żuchwą było ich jedynym komentarzem.

Dopiero po pięciu minutach otrząsnął się, dziwiąc się swojej głupocie, że przeraził się stada krów! Stary George Ross, ich właściciel, wybuchnąłby śmiechem, gdyby opowiedział mu tę historię. To oczywiste, dlaczego wydawało mu się, że w powietrzu unosiły się jakieś kształty. Przecież mgła

była tak gęsta, że nie można było zobaczyć krowich nóg!

Tak, nauczył się dzisiaj pewnej lekcji. Nieznane powoduje strach większy niż coś, co jest dobrze znane.

Wyjście z mgły zajęło mu dwadzieścia minut.

Mężczyzna czołgał się powoli wśród krzaków. Wtem po swojej lewej stronie usłyszał szelest liści. Człowiek czy zwierzę? Tom Abbot musi być ostrożny. Gdyby ponownie schwytano go zakradającego się na ziemię pułkownika Mereditha, miałby poważne kłopoty. Ostatnio pułkownik przyłapał go na gorącym uczynku i „wygrzmocił”, jak lubił mawiać w wiejskiej karczmie. Potem ostrzegł, że jeżeli to się powtórzy jeszcze raz, to odstawi go *toute suite* na posterunek policji. *Toute suite!* On i ten jego śmieszny język. Nie, nigdy już nie złapie Toma. Ostatnim razem tylko dlatego go zdybał, że - nie mogąc nic złowić - zasiedział się aż do południa. Pułkownik dostrzegł go pośród krzaków, podkradł się, po czym laską obił po głowie i plecach. Zaskoczony i obolały, nie mógł stawić oporu i został jak śmieć wywleczony za kark poza granice jego włości. I jeszcze pułkownik zagroził mu wezwaniem policji i „kolejnymi batami”, jeżeli znowu postawi nogę na jego ziemi.

No, pułkowniku Meredith, drugi raz już nie dostaniesz starego Toma, powtarzał sobie uparcie. Za bardzo byś tego chciał; ty i ten twój ekstrawagancki dom, i te twoje eleganckie samochody, i ci twoi śmieszni znajomi. Mam tu ładną kuropatewkę i będę miał jeszcze jedną, zanim sobie stąd pójdę. Jest zbyt wcześnie, żebyś mógł gdzieś tutaj być. Mam dobrą godzinę, nim wstaniesz i zaczniesz obchodzić swoje pola. Trzy miesiące odczekałem, upewniając cię, że wystraszyłeś mnie na dobre, ale nie, Tom nie poddaje się tak łatwo. Niezłą sumkę dostanę za tę kuropatwę, i nikt mnie o nic nie będzie pytał.

Podczołgał się znów do przodu, złorzecząc wciąż w myślach właścicielowi tej ziemi. Wpatrywał się uważnie w

rosnące na wprost zarośla. Nagle zamarł. Tak, tam coś było, i to na pewno nie człowiek. Zastygł w całkowitym bezruchu, nie chcąc tego, cokolwiek to było, spłoszyć; niech się pokaże samo, wtedy gdy będzie tego chciało. Jeszcze jedna kuropawka, mogę się założyć, powiedział do siebie. Pełno ich było w tych lasach, ale wszystkie pod opieką tego przekłętego pułkownika Mereditha. W porządku, Tom ma wiele cierpliwości. Tom poczeka, aż to coś się pokaże. Tom może czekać choćby i godzinę, nawet nie drgnąwszy. No, chodź, moja piękna, nie spieszę się, Tom może poczekać.

Leżał tak przez całe dziesięć minut, gdy nagle zauważył żółtawe pasemka mgły, pełzające wzdłuż nóg. O rany, tylko tego brakowało, zaklął w duchu. Spojrzał do tyłu i zaskoczony zobaczył tuż nad sobą gęsty całun. Dziwne, przecież nigdy przedtem nie widział tu mgły. Dobrze, może poczekać jeszcze trochę. Może to coś, co jest w zaroślach, poruszy się i nieco pokaże, zanim ta mgła wszystko zasłoni.

Wkrótce zupełnie spowiła go mgła. Zaczął przeklinać, zdając sobie sprawę, że jeżeli ten ptak czy inne zwierzę nie poruszy się teraz, to wkrótce nie będzie już mógł niczego dostrzec. Ciągłe nic się nie działo, tylko ciężka powłoka mgły podpełzała do przodu, tak że prawie nic nie widział. I właśnie wtedy usłyszał szelest i odgłos uciekającej zwierzyny. Przeklął, tym razem głośno, i podniósł się, tupiąc ze złości.

Och, w porządku, lepsza jedna niż nic. Odwrócił się i zanurzył głębiej w mgłę. Nie zwracał na nią uwagi, znał tu każdy kamień, mógłby znaleźć drogę z zamkniętymi oczami.

Wielebny Martin Hurdle przygotowywał się do niedzielnego nabożeństwa. Gdy założył sutannę, uśmiechnął się na wspomnienie paniki, która go ogarnęła, gdy zgubił się w mgle. Jedna z cotygodniowych przyjemności - poranny spacer, prawie zamieniła się w senny koszmar. Nie mógł opisać

radości, jaką odczuł, gdy znów ujrzał słońce. Ach to uczucie ulgi, ta rozkosz wyrwania się ze złowieszczej chmury. Bolała go trochę głowa, ale na szczęście przykra przygoda” już się skończyła. Na pewno sam by się teraz śmiał, opowiadając o niej przyjaciółom.

Kościół był dzisiaj prawie pełny. Przyczyniła się do tego ładna pogoda, ale przede wszystkim to tragedia sąsiedniej wioski spowodowała, że na mszę przyszło tak dużo ludzi. Wielebny Martin Hurdle witał swych wiernych w drzwiach kościoła, zamieniając z niektórymi parę słów, uśmiechając się i kłaniając innym. Gdy nadszedł czas rozpoczęcia mszy, wszedł przez boczne drzwi do zakrystii, poderwał swoich ministrantów i żwawo wkroczył z nimi do świątyni.

Msza rozpoczęła się jak zwykle. Niektórzy to lubili, innych to nudziło, ale dzisiaj, z powodu tragedii, wszyscy byli skupieni. Kilku wiernych stojących bliżej zauważyło, że wielebny przykładał co pewien czas ręce do czoła, jak gdyby był zmęczony albo bolała go głowa, ale nabożeństwo przebiegało dość gładko.

Usiedli, gdy wchodził po schodkach na ambonę, niepokojnie czekając na pocieszenie w smutku. Spojrzał w dół na wyczekujące twarze. Oczy wszystkich były zwrócone w jego stronę. Pragnęli z całego serca, by ich pocieszył.

I wtedy wielebny Martin Hurdle, wikary kościoła Świętego Augustyna od osiemnastu lat, podniósł sutannę, rozpiął spodnie, wyjął penisa i oddał mocz na głowy zgromadzonych.

- Dokąd znowu polazły te święte krowy? - George Ross zadał głośno pytanie sam sobie. Grymas wykrzywił jego i tak już pomarszczoną twarz. - Głowę dam, że znów przelazły przez tę dziurę.

Jako rolnik przyzwyczał się już do tego, że jego stado przechodzi przez płot z krzewów i zarośli, okalający pastwisko,

na sąsiednie pole. Ciężkim krokiem podążył w stronę miejsca, w którym najprawdopodobniej sforsowały płot. - Jak bym nie miał nic innego do roboty, tylko uganiać się cały ranek za tymi głupimi stworzeniami. Już ja im dam! - wrzasnął ze złością.

Dotarł do dziury i przeszedł przez nią. - No, gdzie jesteś? - Stał, rozglądając się wokół, potem rozdziawił szeroko usta: na przeciwległym końcu pola ujrzał mgłę. - Gdzie ja jestem? Nigdy tego nie widziałem. - Zmieszany potarł nieogolony policzek.

Ruszył w kierunku ciemnej chmury i wyszczerzył zęby w uśmiechu, gdy zobaczył wyłaniające się z niej swoje krowy. - Żeby was! - krzyknął. - Żebyście się w tym pogubiły, głupie, tępe zwierzaki!

Zabawne - tutaj, w dole, taka mgła, pomyślał. Za gęsta, żeby mogły to być opary. To wszystko pewnie przez te przekłete zanieczyszczenia.

- Chodźcie, moje piękne! - krzyknął, gdy krowy zaczęły się przesuwać w jego kierunku. Zauważył, że mgła odpływała ku sąsiedniemu polu. Dziwne, że dostrzegał jej brzegi, jakby to był gęsty dym przesuwany się ponad polami, wcale nie jak zwykła szara mgła.

Krowy doszły już do niego, te z przodu minęły miejsce, w którym stał.

- Do obory! - ryknął, uderzając jedną silnie po zadzie.

Krowa zatrzymała się i obróciła łeb w jego stronę. -

- Ruszaj się! - powiedział szorstko, uderzając znowu.

Krowa stała nieruchomo, patrząc na niego.

George przeklął jeszcze głośniejszym głosem i odwrócił się, by zobaczyć, co się dzieje z resztą stada. Zatrzymały się wszystkie i stały, wpatrując się w niego. Co jest? Co się dzieje? Poczł się trochę nieswojo. Wyczuł, że krowy są jakoś dziwnie niespokojne, ale nie miał pojęcia, o co tu chodzi. - Jazda! Do domu! - zaczął machać rękami, chcąc je postraszyć i zmusić do ruszenia się z miejsca. Obserwowały go, nie czyniąc najmniejszego ruchu.

Potem zaczęły się zbliżać.

Spostrzegł, że go otaczają, ich pierścień zacieśniał się. Co się dzieje? Nie mógł pojąć, jaki zamiar powzięły te głupie, spokojne zwierzęta. Od tyłu poczuł lekkie szturchnięcie. Obrócił się i zobaczył tę samą krowę, którą przedtem uderzył. - Nastąp się! - krzyknął, ale rozum podpowiadał mu, że jego wzmagający się strach jest bezpodstawny.

Usłyszał uderzenia kopyt o ziemię i znowu poczuł pchnięcie od tyłu. Tym razem było silniejsze. Przewrócił się.

- Won! Won! - Odepchnął się rękami i kolanami od ziemi, próbując wstać, ale za każdym razem, gdy mu się to udawało, był ponownie powalany na ziemię. Nagle jedna z krow odwróciła się i kopnęła go, wyrzucając zadnie nogi w powietrze i trafiając silnym ciosem w żebra. Uderzenie było tak silne, że przeleciał kilka metrów w powietrzu.

Zaczął krzyczeć, gdy otrzymał kolejne ciosy kopytami. Krowy zdawały się robić to po kolei, wybiegając do przodu i tratując go. Jedno uderzenie trafiło go prosto w twarz, łamiąc mu nos i oslepiając na kilka sekund. Gdy odzyskał wzrok, zobaczył scenę jak ze złego snu.

Krowy biegały wokół; ich oczy były wytrzeszczone i prawie wychodziły z orbit, z pysków ściekała im piana zmieszana ze śliną. Dreptały wokół niego niespokojnie. Gdyby się podniósł, zgmiotłyby go swymi cielskami. Głowami obalały go, gdy próbował klęknąć. Potem zaczęły go masakrować, miażdżąc mu palce, kiedy osłonił się rękami. Krzyk przeszedł w gulgoczący charkot, gdy kolejne kopnięcia spowodowało złamanie szczęki, a krew zalała mu gardło.

W końcu, kiedy półprzytomny leżał z rozrzuconymi rękami na zabłoconej trawie, krowy zebrały się w stado i dobiły go, tratując kopytami zmasakrowane ciało.

Włóczęga wpatrywał się w dom ze swego ukrycia w zaroślach. Wyszedł z mgły, ale zamiast wrócić do domu-rudery stojącej na opłotkach wioski, poszedł główną drogą w stronę wejścia do wiejskiej posiadłości pułkownika. Pokonał, kryjąc

się, długą zygzakowatą trasę i zaszył się w krzakach, spoglądając przez liście na budynek. Przesunął dziwnie szklistymi oczami z lewej ku prawej. Wstał - i nadal się kryjąc - zaszedł na tyły domostwa. Wiedział, dokąd ma iść - parę lat temu wykonał pewną dorywczą pracę dla starszego ogrodnika. Dzięki temu dobrze poznał tę okolicę, a także sposoby, jak najlepiej się tu zakraść i gdzie ukryć. Skierował się do drewnianej szopy stojącej na końcu długiego ogrodu. Pchnął drzwi; jego oczy powoli oswajały się z panującym wewnątrz półmrokiem. Nie uważał już, by nie robić hałasu; jego ruchy stały się spokojne i powolne. Sięgnął po topór - pokryty był rdzą, ale ostrze wciąż wyglądało groźnie. Gdy odwrócił się, by wyjść z szopy, jego wzrok padł na pudło trzycalowych gwoździ do zbijania plotów. Wziął ich pełną garść i wsadził do kieszeni.

Przeszedł z powrotem przez ogród i - nie próbując się już kryć - ruszył prosto w kierunku domu. Gdy dotarł do kuchennych drzwi, kucharka Meredithów właśnie je otwierała, chcąc wypuścić z kuchni parę. Dopiero co przygotowała śniadanie dla pułkownika i jego żony; służąca zaniosiła je im na piętro. Teraz był czas na jej poranną filiżankę herbaty, a potem powinna zająć się przygotowaniem obiadu. Miało dziś przyjechać wielu gości i roboty nie brakowało.

Nie zdążyła krzyknąć. Gdy topór spadał na jej głowę, uchwyciła tylko krótki błysk oczu szaleńca. Nie przestraszyła się nawet zbyt mocno, bo za chwilę już nie żyła.

Tom Abbot przeszedł przez kuchnię, po czyni wspiał się po schodach prowadzących do hallu. Nigdy przedtem nie był w środku i tylko po odgłosie rozmów domyślił się, gdzie jest sala jadalna. Otworzył pierwsze napotkane drzwi i wszedł; nie zatrzymywał się, aż stanął pośrodku obszernego pokoju gościnnego, większego niż cały parter jego własnego małego domu. Stał, patrząc przed siebie.

Odgłos kroków dochodzący przez otwarte drzwi zmusił go do odwrócenia się i wycofania tą samą drogą, którą przyszedł. Znowu usłyszał gwar rozmów. Ruszył w stronę kolejnych drzwi.

Służąca mówiła coś do siebie, schodząc do kuchni. Uniosła do góry tacę ze zjedzonym do połowy grejfrutem i kilkoma skórkami po grzankach, by lepiej widzieć schody.

- Niech pani nastawi wodę, pani Peabody! - zawołała głośno, zbliżając się do drzwi kuchni. - Napijmy się po filiżance, gdy oni tam jedzą ten bekon z jajkami.

Ale gdy weszła, ze zdziwieniem stwierdziła, że kuchnia jest pusta. Woda w czajniku gotowała się już od dłuższego czasu. Odstawiła tacę i przeszła przez kuchnię, by wyłączyć gaz.

Drzwi do ogrodu były otwarte. Pomyślała, że kucharka wyszła zaczerpnąć świeżego powietrza albo wyrzucić resztki do śmieci. Obeszła duży, stojący pośrodku, stół i podeszła do drzwi, by ją zawołać. Okrzyk przerażenia wyrwał się z jej ust, gdy zobaczyła leżące koło drzwi ciało z czaszką rozłupaną aż do nasady nosa. Zanim zemdląła, uświadomiła sobie, że była to kucharka. Rozpoznała ją tylko po ubraniu i kształcie ciała. Twarz kucharki była zbryzgana krwią, rysy zastygłe w grymasie strachu w niczym nie przypominały twarzy, którą znała. Gdy osuwała się na ziemię, ciszę przesył jeszcze jeden krzyk, tym razem dochodzący z piętra.

Gdy odzyskała przytomność, z początku nie mogła sobie przypomnieć, co się stało. Nagle zeszywniała - pamiętała już wszystko. Obok swoich nóg zobaczyła zwłoki. Cofnęła się, drżąc na całym ciele i próbując wzywać pomocy, ale struny głosowe sparaliżował strach. Podniosła się z trudem na nogi i pobiegła do schodów; zaczęła się wspinać, upadając, zachłystując się powietrzem. Chciała być jak najdalej od kuchni. Dotarła do głównego korytarza i ruszyła w stronę sali jadalnej. Z trudem łapała oddech, cały czas próbując krzyżeć.

Wpadła przez otwarte drzwi i zatrzymała się raptownie na widok tego, co ujrzała.

Jej pani leżała na podłodze w kałuży krwi. Tylko parę ścięgien łączyło jej głowę z resztą ciała. Głowa spoczywała wzdłuż lewego ramienia, szczerząc do niej zęby. Pułkownik leżał z rozłożonymi rękami i nogami na wielkim stole, na

którym zazwyczaj jadano obiady. Długie gwoździe przebite przez dłonie i stopy przykuwały ciało do stołu. Nad nim stał mężczyzna. W rękach trzymał broczący krwią topór.

Gdy służąca patrzyła rozszerzonymi ze strachu oczami na rozgrywającą się przed nią scenę, mężczyzna wznosił topór nad głowę i po chwili z całej siły spuścił go w dół. Topór odciął rękę pułkownika i rozszczyił stół. Mężczyzna wyrwał ostrze ze stołu i podniósł topór ponownie. Zanim odciął mu drugą rękę, pułkownik był już nieprzytomny. Zanim odrąbał mu obie stopy, pułkownik już nie żył.

Zaczęła krzyczeć. Człowiek z siekierą odwrócił głowę i spojrzał na nią.

Rozdział czwarty

- Cześć, John!

John Holman spojrzał do góry na dziewczynę i uśmiechnął się.

- Sie masz, Casey!

- Jak się czujesz?

- Dobrze.

Siedział na schodach szpitala, nie chcąc czekać w środku. Uważał, że pobyt w szpitalu prowadzi nieuchronnie do depresji.

- Oni mówią, że będziesz potrzebował jeszcze co najmniej kilku tygodni. - Usiadła obok niego na schodach.

- Nie, czuję się już w porządku. Jeśli jednak jeszcze trochę tu posiedzę, to znowu zwariuję.

Wzdrygnęła się, słysząc te słowa; pamiętała bowiem, w jakim był stanie podczas jej pierwszych odwiedzin.

Wiść o trzęsieniu ziemi postawiła na nogi cały kraj, wywołując powszechne zamieszanie, konsternację wśród geologów oraz panikę w sąsiednich miasteczkach i wsiach. Nie domyślała się nawet, że Holman był w tamtej okolicy, zresztą prawie nigdy nie mówił jej o swojej pracy. Nawet nie bardzo wiedziała, czym zajmuje się jego ministerstwo. Wiadomo jej było tylko, że dostał „zadanie” na ten weekend, że nie może jej powiedzieć, dokąd jedzie, i że ona z całą pewnością nie może jechać z nim. Gdyby wiedziała, że był we wsi, którą

spotkało to nieszczęście, to... Nie, nie chciała nawet o tym myśleć. I tak się dosyć nadenerwowała, gdy następnego dnia - kiedy dowiedziała się o tym, co się stało - zadzwoniła do jego biura, by zapytać, co się z nim dzieje i dlaczego się nie odezwał po powrocie do Londynu. Ministerstwo wiedziało o pobycie Holmana w tamtej okolicy. Ponieważ jednak nie otrzymali od niego żadnej informacji, podejrzewali, że został, by udzielić pomocy, albo nie mógł wrócić, bo drogi prowadzące do miejsca katastrofy były zablokowane przez służby medyczne i ratunkowe, a także hordy zawsze gromadzących się w miejscu nieszczęścia ciekawskich. Nie zdradzili jej obawy, że mógł zostać zatrzymany przez wojsko stacjonujące na Równinie Salisburskiej i że z niepokojem oczekują teraz przybycia kogoś z Ministerstwa Obrony. Poproszono ją, by zadzwoniła do nich później, zapewniając, że wtedy na pewno będą już coś wiedzieli. Poradzono jej też, by nie jechała do Wiltshire, bo drogi są coraz bardziej zatłoczone i odszukanie go będzie niemożliwe.

Przez resztę dnia była pełna strachu i niepokoju. Zadzwoniła do swego pracodawcy, właściciela ekskluzywnego sklepu z antykami na jednej z bocznych uliczek przy Bond Street, i zawiadomiła go, że źle się czuje i nie może dzisiaj przyjść. Wiecznie zabiegany mały człowieczek, który uznawał niezbędność istnienia kobiet jedynie w interesach, odpowiedział szorstko, że ma nadzieję, iż następnego dnia będzie się czuła wystarczająco dobrze, by przyjść do pracy. Przez cały dzień kręciła się po domu bez żadnego celu, nie chcąc wychodzić, bo może zadzwonić telefon. Nic prawie nie jadła, słuchała jedynie radia, które nadawało kolejne informacje o trzęsieniu ziemi.

Casey знаła Holmana już prawie od roku i bała się coraz bardziej, że jeśli ją opuści, będzie zgubiona. Czuła się teraz bardziej zależna od niego niż od swojego ojca. Kiedy jej matka rozeszła się z ojcem osiem lat temu, poprosiła go, aby on zaopiekował się nią i wychowywał ją tak, jak to czynią matki. Radził sobie z tym dobrze. Nawet za dobrze, prawdę mówiąc,

bo chcąc sobie zrekompensować utratę żony, związał z sobą córkę prawie nierozzerwalnie. Holman postanowił przeciąć te więzy. Z początku czynił to nieświadomie, ale gdy spostrzegł, jak silne jest to uzależnienie, zaczął delikatnie, ale konsekwentnie odciążać Casey od ojca. Robił to nie tylko dlatego, że ją kochał, ale także ponieważ cenił jej osobowość. Wiedział, że miała głęboki umysł i własne zdanie, ale ojciec obezwładnił ją swoim uczuciem. Jeżeli to się pogłębi jeszcze bardziej, Casey nigdy nie będzie w stanie prowadzić samodzielnego życia. Poza tym Holman czuł się skrepowany widząc, jak bliskie są stosunki między nią i jej ojcem.

Starał się przekonać Casey - jej prawdziwe imię brzmiało Christine, ale z powodów, o których jej jeszcze nie mówił, nazywał ją właśnie w ten sposób - by opuściła dom ojca i poszukała sobie mieszkania. Zgodziłaby się na to, gdyby pozwolił jej zamieszkać razem z nim, ale on nie chciał tego. Miał już za sobą dwa przykre zawody miłosne i postanowił, że nigdy więcej nie zwiąże się zbyt mocno z jedną osobą. Był tego bliski wiele razy, i nawet się oświadczył, ale dziewczyna wciąż wykręcała się od odpowiedzi, wiedząc - i od samego początku będąc świadoma - że on jej nie kocha. Ale to było wiele lat temu. Dziś zastanawiał się, czy rzeczywiście jest tak odporny na miłość. Po miesiącach spędzonych z Casey nie był już tak cyniczny jak kiedyś. Nadal się opierał, ale miał wrażenie, że stoi na straconej pozycji. Może po prostu się starzał i zaczynał z rezygnacją przyjmować prawdę, że potrzebuje towarzystwa drugiego człowieka. I chociaż nigdy nie był zupełnie sam, już od dłuższego czasu nie był z nikim blisko.

Casey przełamywała tę barierę tak, jak on próbował przełamywać jej związek z ojcem. Proces posuwał się stopniowo, ale zauważalnie. Ciągłe jednak każde z nich stawiało opór. Ona nie chciała opuścić ojca, nie mając pewności, że ktoś inny go jej zastąpi; on odrzucał myśl, że to on właśnie miałby być tym kimś. To ona powinna wykonać teraz ruch, nie czekając, aż otrzyma gwarancję, że ktoś ją przejmie pod swoje

opiekuńcze skrzydła. Holman był starszy od Casey. Ale wcale nie miał ochoty przejąć roli jej ojca. W tej chwili sytuacja była patowa.

Teraz, gdy z niepokojem oczekiwała na dzwonek telefonu, wiedziała, że zrobi to, o co ją prosił. Zrozumiała jego racje. Z pewnością zrani tym dotkliwie ojca, ale nie będzie to straszniejsze, niż gdyby miała go już więcej nie zobaczyć. I być może, gdy zrozumie jej determinację, jego stosunki z Johnem nieco się ocieplą. Jeśli nie, będzie musiała przejść przez mękę dokonania powtórnego wyboru, ale tym razem już na zawsze. I wiedziała, że to raczej ojciec będzie tym, który na tym coś straci.

Czekała do trzeciej po południu, po czym znowu zadzwoniła do biura Holmana. Tym razem mieli już jakieś wiadomości. Przeprócili za nieinformowanie jej o niczym wcześniej, ale mieli strasznie dużo roboty w związku z tym trzęsieniem ziemi. To nie do pomyślenia, żeby coś takiego mogło wydarzyć się w Anglii! Mężczyzna rozpoznany jako John Holman, którego dokumenty wskazywały, że pracował dla Ministerstwa Ochrony Środowiska, został przewieziony do Salisbury General Hospital w głębokim szoku. Podczas gdy Casey żądała od nich więcej szczegółów, jej serce biło jak oszalałe, a myśli goniły jedna za drugą. Wyglądało na to, że nie mówią całej prawdy, ale zapewnili ją, że nie doznał żadnych uszkodzeń na ciele. Po raz drugi doradzili jej, żeby trzymała się z dala od tamtego miejsca, i obiecali, że będą informować ją na bieżąco.

Casey podziękowała i odłożyła słuchawkę. Po chwili sama próbowała dodzwonić się do szpitala, ale telefonistka w centrali powiedziała jej, że niestety łącze ze szpitalem jest przez cały czas zajęte i żeby próbowała później.

Nie wiedząc, co robić, napisała na kartce z wiadomością dla ojca, rzuciła okiem na mapę samochodową i wybiegła z domu do swojego jasnożółtego samochodu, prezentu od ojca. Skierowała się na północ, unikając w ten sposób jazdy przez Londyn, po czym wjechała na Obwodnicę Północną.

Minęła Basingstoke i Andover. Jechała bocznymi drogami,

wiedząc, że miasta będą nieprzejezdne z powodu korków na ulicach. Dopiero niedaleko Salisbury trafiła na blokadę drogi, ustawioną przez policję. Przepytywano kierowców co do celu podróży i jeżeli ich odpowiedzi nie były takie, jakie powinny być, jeżeli jechali tylko po to, by zaspokoić niezdrawą ciekawość, zwracano ich. Gdy przyszła jej kolej, powiedziała im o Johnie i pozwolono jej jechać dalej, ale po uprzednim zapewnieniu, że na pewno nie będzie próbowała przedostać się do miejsca katastrofy. Idąc za ich radą, zaparkowała samochód na obrzeżu miasta i ruszyła do szpitala. Panowało tam przerażające zamieszanie. Gdy zapytała o Holmana, kazano jej zaczekać. Znajdowało się tu wiele osób - krewnych i przyjaciół, którzy pełni niepokoju przyjechali do szpitala, żeby dowiedzieć się czegoś o ofiarach katastrofy.

Było już koło ósmej wieczorem, gdy po kilku nieudanych próbach zdobycia jakiejś informacji o Holmanie, zszedł do niej jeden z lekarzy. Wyglądał na bardzo zmęczonego. Odszedł z nią na bok, z dala od oczekującego tłumu, po czym powiedział niskim głosem, że chyba będzie lepiej, jeżeli nie odwiedzi dzisiaj Holmana; był w szoku, a do tego doznał pewnych obrażeń ciała, które - choć nie nazbyt poważne - wymagały transfuzji krwi; w tej chwili spał pod działaniem silnych środków uspokajających. Widząc, że dziewczyna jest w stanie silnego napięcia, postanowił, że teraz nie będzie jej podawał szczegółów choroby Holmana. Dopiero jutro, gdy trochę się uspokoi, poinformuje ją, że jej kochanek, przyjaciel czy też kimkolwiek on dla niej był, odszedł całkowicie od zmysłów i, pomimo działania silnych środków uspokajających, musiał zostać przywiązany do łóżka, by nie mógł sobie ani komuś innemu wyrządzić krzywdy. Trzeba go było skrepować już w karetce, w drodze do szpitala. Gdy przez przypadek uwolnił się z więzów, rozbił szybę i próbował długim odłamkiem szkła przebić sobie tchawicę. Jedyne szybka reakcja krzepkiego kierowcy karetki, leżącego teraz ze złamaną szczęką, pozwoliła opanować sytuację i uratowała Holmana od poważnego zranienia. Holman wpadł w szal

niszczenia i, zanim zdołali go przytrzymać i wstrzyknąć mu coś na uspokojenie, dostało się dwom portierom i jednemu lekarzowi. Ale nawet wtedy nachodziły go napady szału i musieli go związać pasami.

Nie, postanowił doktor, to nie jest jeszcze pora, by powiedzieć o tym dziewczynie. Może jutro, gdy się uspokoi.

Casey spędziła noc w hotelu, zapełnionym przez dziennikarzy i mieszkańców okolicznych wiosek, którzy uznali za rozsądne oddalić się na pewien czas od rejonu katastrofy. Słuchając prowadzonych rozmów, dowiedziała się więcej szczegółów o trzęsieniu. Co najmniej jedna trzecia z czterech tysięcy mieszkańców wioski zginęła, a prawie tyle samo doznało różnych obrażeń ciała. Wiele starych budynków i domów, nieleżących nawet bezpośrednio nad pęknięciem, zawaliło się, zabijając i grzebiąc pod gruzami ich lokatorów. Dużo ludzi zostało uwięzionych pod ziemią. Najczęściej powtarzano historię pewnej małej dziewczynki i mężczyzny, których uratowano z przepaści. Odkryto ich żywych na jednej ze ścian gigantycznej rozpadliny i wyciągnięto na powierzchnię. Dziewczynka była nieprzytomna, mężczyzna w głębokim szoku, ale żywy, o czym zresztą można się było wyraźnie przekonać. Dopiero znacznie później Casey uświadomiła sobie, że tym mężczyzną był Holman.

Gdy następnego dnia rano poszła do szpitala, poinformowano ją, że będzie mogła zobaczyć Holmana trochę później, ale niech się przygotowuje na szok. Znany z poprzedniego dnia lekarz wyjaśnił jej spokojnie, że Holman nie jest już tym człowiekiem, którego znała. Nie są w stanie opanować jego ataków szału. Widząc, że dziewczyna płacze, lekarz pośpiesznie dodał, że choroba może trwać krótko, że ostatnie przeżycia spowodowały być może tylko chwilowe zaburzenia w pracy mózgu i niewykluczone, że z czasem wszystko minie samo. Casey wróciła do hotelu. Przez cały czas płakała. Gdy znowu przyszła do szpitala, już na wstępie namawiano ją do zrezygnowania z widzenia się z Holmanem. Casey nie ustąpiła i lekarze ulegli jej woli. Potem żałowała, że tak bardzo nalegała na to widzenie.

Lekarz miał rację - to nie był człowiek, którego znała. I którego kochała. To było zwierzę. Miotające przekleństwami, przepelnione furią zwierzę. Był przywiązany do łóżka mocnymi skórzanymi pasami. Łóżko stało w specjalnie do tego celu przeznaczonym pokoju - nie było tu żadnych innych sprzętów, nie było okien, tylko ściany obite miękkim materiałem podobnym do plastiku. Mógł poruszać tylko głową, dłońmi i stopami i czynił to bez przerwy, wstrząsany gwałtownymi podrygami. Miotał głową na boki, szyję miał zabandażowaną, gruba opaska z gazy wpijała się w jego usta, uniemożliwiając odgryzienie języka, ręce na przemian zaciskały się i rozkurczały jak kleszcze. I te jego oczy. Nigdy nie zapomni maniakalnego wyrazu tych powiększonych, wytrzeszczonych oczu. Uwolnił usta od opaski i zaczął krzyczeć. Nie mogła uwierzyć, żeby istota ludzka mogła wymyślić takie sprośności, jakie płynęły z jego ust. Pomimo że jego oczy były skierowane ku niej, nie widział jej. Przybiegła pielęgniarka i po raz kolejny wepchnęła mu opaskę w usta, zręcznie unikając jego zębów.

Casey wyszła ze szpitala zrezygnowana, przybita, ze wzrokiem zamglonym łzami. Z początku nie była nawet pewna, czy to faktycznie był John - wyglądał tak jakoś inaczej, i teraz też próbowała wmawiać sobie, że to nie był on. Ale udawanie na nic by się nie zdało. Musiała stawić czoło faktom, jeżeli ma mu jakoś pomóc. A co będzie, jeśli się nie uda? Czy mogła nadal kochać tę rzecz, którą przed chwilą ujrzała?

Wróciła do hotelu. W jej głowie bezładnie kotłowały się myśli. Ogarnęły ją mieszane uczucia. Przeżywała wewnętrzne rozdarcie. Płakała. Próbowała stłumić w sobie wstręt do jego szaleństwa. W końcu się poddała i zadzwoniła do ojca. Przynglił ją do natychmiastowego powrotu do domu. Zmusiła się, by stłumić w sobie odruch wyrażenia na to zgody, choć tak bardzo pragnęła jego opieki i słów pocieszenia, które zdjęłyby z niej choć część tego ciężaru.

Ale nie. Jej obowiązkiem jest zostać przy Johnie dopóty, dopóki istnieje najmniejsza chociaż szansa. Choroba nie mogła

przekreślić wszystkiego, co było do tej pory, bliskości, która ich łączyła. Powiedziała ojcu, że zostanie, aż będzie pewna dalszego losu Holmana - takiego czy innego. Nie chciała przyjąć do wiadomości, że choroba może się pogłębić, i powiedziała, że wróci do domu, gdy nie będzie już mogła mu w niczym pomóc.

Nastrój Casey, i tak już zły, pogorszył się po odwiedzeniu Holmana drugi raz wieczorem. Lekarz uważał, że powinna wiedzieć o dziewczynce uratowanej wraz z Holmanem, która umarła tego popołudnia, nie odzyskując przytomności. Teraz sądzono, że przyczyną jej śmierci był gaz uwolniony z ziemi. Niewykluczone, że Holman również znajdował się pod wpływem tego dziwnego gazu i że to w jakiś niewytłumaczalny sposób było powodem jego szaleństwa. W ciągu następnych kilku dni będzie można stwierdzić, czy nastąpiło trwałe uszkodzenie mózgu, czy też wszystko minie samo. Albo czy konsekwencje będą tragiczne.

Tej nocy prawie nie spała. Nie mogła teraz wykluczyć możliwości, że Holman umrze. Emocje opadły: jeżeli będzie żył, nawet w obłądnie, nigdy go nie opuści. Ale rozsądek podpowiadał jej, że ta miłość nie będzie już taka sama jak dawniej, że będzie to miłość podyktowana potrzebą, i że to on będzie jej potrzebował. Jeżeli umrze - zmuszała się do oswojenia z tą myślą - wtedy zapomni o tym stworzeniu, które widziała w ciągu ostatnich dwóch dni, i pamiętać go będzie tylko takim, jaki był, gdy przebywali razem. W końcu, nad ranem, zasnęła. Nie był to spokojny sen.

Gdy następnego dnia znów przyszła do szpitala, bała się, ale była pełna nadziei. Holman był zupełnie przytomny, choć osłabiony. Twarz miał bladą. A tydzień później przygotowywał się do powrotu do domu.

Siedząc na schodach obok Holmana, Casey wzięła go za rękę. Pocałował ją w policzek i uśmiechnął się do niej.

- Dzięki - powiedział.
- Za co?

- Że tu jesteś. Za to, że nie uciekłaś.

Milczała.

- Lekarze powiedzieli mi, co ze mną było - mówił dalej. - To musiało być dla ciebie przerażające.

- Tak. Bardzo.

- Oni wciąż próbują dociec, jak tak całkowity szalenię jak ja mógł tak szybko stać się znowu normalnym człowiekiem. Mówią, że ten gaz, czy też cokolwiek to było, musiał być przyczyną tego wszystkiego. Przez krótki czas oddziaływał na mózg, potem powoli przestał. Miałem szczęście. Ale zabił tę małą dziewczynkę. - Wpatrywał się w ziemię, nie mogąc ukryć żalu.

Ścisnęła mocniej jego rękę i spytała: - Czy na pewno czujesz się na tyle dobrze, żeby już za parę dni wyjść ze szpitala?

- Och, oni chcą, żebym został. Chcieliby przeprowadzić więcej badań i sprawdzić, czy nie został jakiś trwały uraz.

Ale ja mam już tego dość. Dziennikarze i reporterzy z telewizji polowali na tych, co przeżyli, a mnie obrali sobie za główny cel. Nawet Spiers zjawił się tu wczoraj i wypytywał mnie o wszystko.

Spiers był bezpośrednim przełożonym Holmana w ministerstwie. Był to człowiek, którego oboje zarówno lubili, jak i nienawidzili. Pomiędzy nim a Holmanem - po wykonaniu przez Johna jakiegoś zadania - zawsze powstawały konflikty. Gdy już zebrał cały materiał dowodowy, jaki udało mu się zdobyć, przedstawiał wszystkie dane Spiersowi, który zlecał mu robotę. Nie podejmując żadnego dochodzenia przeciw winnym, Spiers odkładał ten materiał do akt.

To pójdzie do akt - mawiał. Holman nie wiedział jednak, że jego zwierzchnik cały czas walczył ze swoimi przełożonymi o podjęcie jakiegoś działania. Ale jego możliwości były ograniczone, zwłaszcza gdy postępowanie skierowane było przeciw wszechmocnym milionerom i politykom.

- Czego on od ciebie chciał? - spytała Casey.

- Czy wykonałem ostatnie zadanie. - Nie mógł jej powiedzieć, że Spiers przyjechał, by wypytać go, czy nie znalazł czegoś, co wskazywałoby na jakiś związek między trzęsieniem ziemi a doświadczeniami prowadzonymi w pobliskiej bazie wojskowej. Holman sądził, że było to mało prawdopodobne, ale nie miał na to żadnego dowodu.

- Ta kurdupłowata, tłusta ropucha! Nie lubię go - rzekła Casey.

- On nie jest wcale taki zły. Może trochę zimny, trochę twardy, ale potrafi być w porządku. I tak muszę stawić się jutro u niego do raportu. - Uniósł ręce w bezradnym geście na widok jej niemego sprzeciwu. - Tylko po to, żeby zdać ostatnią robotę. Potem dostaję tydzień wolnego.

- Mam nadzieję. Po tym wszystkim przez co przeszedłeś!

- Tak, naprawdę czuję się już dobrze. Tylko szyja trochę mnie jeszcze boli, ale powiedzieli mi, że miałem szczęście: cięcie nie było zbyt głębokie. I Bóg jeden wie, może tu wypocząłem. Lepiej już jedźmy, zanim znowu nie oszaleję.

Roześmiał się, widząc grymas na jej twarzy.

Dojeżdżali do Weyhill, gdy mgła znowu się pojawiła. Na drogach nie było dużego ruchu, pogoda wspaniała. Celowo trzymali się rzadziej uczęszczanych tras. Nie spieszyli się z powrotem do Londynu, pragnąc nacieszyć się wiejskimi widokami i spokojnym ciepłem niedzielnego poranka.

Kiedy osiemset metrów przed sobą ujrzeli ciężką chmurę, ogarnęło ich złe przecucie. Mogli wyraźnie dostrzec jej kontury, chociaż góra była niewyraźna.

- Dziwne - powiedział Holman, zatrzymując samochód. - Czy to dym, czy po prostu opary?

- To zbyt gęste jak na opary! - odparła Casey, wpatrując się uważnie. - To jest mgła. Zawróćmy, John, to pełnie w naszą stronę!

- Musielibyśmy nadłożyć zbyt wiele drogi. W każdym razie ta mgła nie jest wcale tak gęsta, szybko przez nią przejedziemy.

Zabawne, wygląda jak ściana - ma takie proste brzegi.

Oboje podskoczyli na dźwięk klaksonu autokaru, który przemknął obok, jadąc w kierunku Weyhill. Gdy szkolny autobus powrócił na właściwy pas, przez tylną szybę sześciu chłopców pokazało im języki i pomachało rękami.

- Co za głupiec! - mruknął Holman. - Pakuje się prosto w mgłę. Patrzyli, jak autokar oddalał się, aż zniknął we mgle. - Co za cholerna głupota!

Nagle zdał sobie sprawę, że mgła podpełzła znacznie bliżej w ich stronę. - Chryste, ależ ona się szybko przesuwa - zauważył Holman. - Dobra, przejedźmy wreszcie przez to. Jak się nie będziemy przejmować, wszystko pójdzie dobrze.

Włączył pierwszy bieg i ruszył. Nie zauważył, że siedząca obok niego dziewczyna zaczyna się nienaturalnie denerwować. Nie mogła wytłumaczyć tego niepokoju, ale czuła, że ta ciemna chmura jest nabrzmiąta czymś groźnym, jak ciężkie chmury przed ulewą. Nic nie powiedziała Holmanowi, ale rękami mocno ścisnęła brzegi fotela.

Po chwili wjechali we mgłę.

Była o wiele gęstsza, niż się z początku Holmanowi wydawało. Prawie nie widział drogi. Prowadził ostrożnie, jadąc na drugim biegu i na światłach mijania. Przysunął się bliżej przedniej szyby i od czasu do czasu włączał wycieraczki, zgarniając z niej ciężki osad. Boczna szybę zostawił otwartą, by móc co jakiś czas wyglądać. Mgła wydawała się żółtawa, a może to było tylko rozproszone we mgle światło reflektorów? Gdy wciągnął w płuca lekko kwaśną woń, coś sobie przypomniał. Odczuł niejasny związek z trzęsieniem ziemi w ubiegłym tygodniu. Nadal nie mógł sobie wiele przypomnieć, lekarze powiedzieli, że jest to całkowicie naturalne - pewna część mózgu wciąż znajdowała się w stanie szoku - ale ten zapach, żółtawy odcień mgły, dziwna atmosfera coś poruszyły w jego wnętrzu. Poczul, że oblewa się zimnym potem, i zatrzymał wóz.

- Co się stało, John? - spytała Casey. W jej głosie słychać było napięcie.

- Nie wiem. Po prostu przeczucie. Ta mgła - jakbym ją już kiedyś spotkał.

- John, w gazetach pisano o chmurze pyłu czy dymu, która wydostała się z pęknięcia. Uważano, że był to skutek podziemnego wybuchu. To nie jest zwykła mgła. Czy może to być właśnie to?

- Nie, na pewno nie. Tamtą chmurę z pewnością dawno rozproszył wiatr. Tamta nie przemieszczała się w takim skupieniu.

- Skąd możesz to wiedzieć? Jeżeli to pochodzi z głębokich czeluści, to skąd możesz wiedzieć, jak się zachowa?

- Dobrze, może jest tak, jak mówisz. Ale nie siedźmy tu gadając o niczym. Przede wszystkim trzeba spróbować się stąd wydostać. - Podciągnął szybę, mając nadzieję, że jej to nie przestraszy. - Biorąc pod uwagę szybkość, z jaką się przesuwa, wydaje mi się, że łatwiej będzie spróbować przedrzeć się przez nią, niż zawracać.

- Okay - odpowiedziała. - Ale proszę cię, uważaj.

Ruszył powoli do przodu, wpatrując się w rozciągającą się przed samochodem ciemność. Przejechali w tym tempie jakieś kilkadziesiąt metrów, gdy ujrzeli przewrócony w poprzek drogi autobus, leżący na boku, częściowo w rowie. Mało brakowało, a najechaliby na grupkę chłopców stojących z tyłu autokaru. Holman zahamował. Na szczęście jechali tak wolno, że samochód zatrzymał się prawie natychmiast.

- No, chodźcie, chłopcy. Mówiłem już wam, żeby trzymać się z dala od drogi - usłyszeli basowy głos.

Holman otworzył drzwi wozu i wysiadł, nakazując Casey, by została w środku. Gdy zatrzasnął za sobą drzwi, uderzyła go słaba, ale wyraźna woń mgły.

- Czy ktoś jest ranny? - rzucił pytanie w stronę niewyraźnej postaci mężczyzny, który - jak przypuszczał - był wychowawcą chłopców.

- Parę skaleczeń u chłopców - usłyszał odpowiedź. Mężczyzna zbliżył się. - Obawiam się jednak - powiedział - że nasz kierowca dostał mocno w głowę.

Gdy nauczyciel był oddalony już tylko o metr, Holman spostrzegł, że jest to wysoki, chudy mężczyzna o haczykowatym nosie i głęboko osadzonych oczach. Nie miał jednej ręki, prawe ramię kończyło się tuż nad przegubem. Nauczyciel zaczął mówić niskim głosem: - Widzi pan, to wszystko jego wina, tego cholernego idioty. Był tak zajęty harcami z chłopakami, że nawet nie widział mgły, póki w nią nie wjechał, a i nawet wtedy ledwie zwolnił, chociaż go ostrzegałem. - Spojrzał w dół na uczniów tłoczących się wokół niego. - Chłopcy! Powiedziałem, żeby zejść na pobocze. Który pierwszy wyjdzie na drogę, dostanie różgi. No, już was nie ma!

Rozbiegli się na wszystkie strony, ciesząc się z tej zabawy teraz, gdy już się otrząsnęli z pierwszego szoku.

- Sprawdźmy, jak się ma kierowca - zaproponował Holman. - Może będę mógł mu pomóc.

Przeszli parę metrów i zobaczyli kierowcę siedzącego na trawie przy rowie, obejmującego głowę rękami. Przyciskał do czoła przesiąkniętą krwią chusteczkę i jęczał, kołysząc się w przód i w tył. Otoczyła go grupa chłopców, przyglądając mu się z równie dużym zaniepokojeniem, co i ciekawością.

- No, panie Hodges, jak się czujemy? - zapytał nauczyciel. W jego głosie nie było cienia sympatii.

- Do dupy - nadeszła niewyraźna odpowiedź.

Chłopcy zachichotali, zakrywając dłońmi uśmiechy zadowolenia. Nauczyciel odchrząknął i twardym głosem polecił im, aby przeszli za autobus i nie wychodzili na drogę.

- Tak, tak, dobrze, zobaczmy teraz ranę pana Hodgesa. Być może będziemy mogli coś z tym zrobić.

Holman pochylił się i odsunął z czoła rękę, w której kierowca trzymał zakrwawioną chusteczkę do nosa. Rana wyglądała na groźniejszą, niż prawdopodobnie była. Wyjął własną chustkę i przyłożył do rozciętego czoła, polecając kierowcy, by trzymał ją w tym miejscu.

- Nie sędzę, żeby było to coś poważnego, ale będzie lepiej, jeśli zostanie przewieziony do szpitala.

- W najbliższym miasteczku jest przychodnia. Jestem przekonany, że zaopiekują się tam panem Hodgesem - rzekł zniecierpliwiony nauczyciel. - Jedyne problem to zawieźć go tam.

- Zabierzemy go i zawiadomimy o wypadku policję. Wkrótce przyślą pomoc drogową i załatwią transport dla chłopców. Czy jest pan pewien, że żadnemu z nich nic się stało?

- Tak, z całą pewnością nic. Dziękuję panu, to naprawdę uprzejme z pańskiej strony, że zechciał pan nam pomóc. Mam nadzieję, że nie będę musiał czekać tu zbyt długo. Ta mgła nie jest dobra dla chłopców.

Gdy pomagali rannemu Hodgesowi dojść do samochodu, wychowawca zaczął rozprawiać o nieszczęśliwie zakończonej wycieczce. - Jesteśmy z Redbrook House, prywatnego internatu w Andover. Właśnie wracaliśmy z przyrodniczego wypadu na Równinę. Był taki piękny poranek, a chłopcy są tak podekscytowani bliskim końcem roku szkolnego, że musiałem wyjechać z nimi trochę na świeże powietrze. W żaden sposób nie mogę zrozumieć, skąd się tu wzięła taka mgła.

Holman z niepokojem powiódł po niej wzrokiem. Mgła była tak gęsta, jak nigdy przedtem.

- Wielu rodziców chciało oczywiście, bym odesłał chłopców do domu wtedy, gdy nastąpiło to tragiczne trzęsienie - ciągnął wychowawca - ale przekonałem ich, żeby młodzieńcy zostali i skończyli ten semestr. Tłumaczyłem im, że figle natury nie zdarzają się często, może raz w życiu, i Redbrook na pewno nie będzie zamykać swych bram z powodu nadmiernego przeczulenia matek i ojców. Ale kilkoro z nich nalegało i nic nie mogłem zrobić - musiałem im pozwolić zabrać dzieci. Na pożegnanie usłyszeli jednak kilka przykrych słów.

Holman uśmiechnął się do siebie, słuchając gadulstwa jednorękiego nauczyciela. Starzy, zatwardziali, tradycyjni belfrzy wciąż się mieli dobrze, chociaż nadciągała już fala długowłosych, liberalnie myślących, młodych nauczycieli. Cóż,

o obu generacjach można powiedzieć zarówno coś dobrego, jak i coś złego.

Gdy trójka mężczyzn dotarła do dobrze widocznego w ciemnej mgłę żółtego wozu, Holman ujrzał za szybą bladą twarz Casey. Wypatrywała ich z niepokojem we mgłę. Uchyliła drzwi i uczyniła ruch, jakby chciała wysiąść, żeby im pomóc.

- Nie! Zostań w środku, nie wychodź! - krzyknął do niej.

Zaskoczona, zastygła w bezruchu, na wpół w samochodzie, na wpół na zewnątrz.

- Zamknij drzwi - rzucił, ale już nie tak ostro.

Posłuchała, lecz zaskoczenie nie zniknęło z jej twarzy.

Otworzył drzwi po drugiej stronie, odchylił przednie oparcie i pomógł kierowcy dostać się na tylne siedzenie. Odwrócił się do nauczyciela.

- Gdybym był na pańskim miejscu, wsadziłbym ich wszystkich do autokaru i zamknął drzwi i okna.

- A to dlaczego? - zapytał nauczyciel.

- Powiedzmy, że mgła może im zaszkodzić. Przyślę tutaj kogoś tak szybko, jak tylko będę mógł. Proszę więc tu siedzieć i czekać. - Wsiadł do samochodu i włączył silnik. Zanim zamknął drzwi, powtórzył radę jeszcze raz: - Proszę ich nie wypuszczać z autobusu i nie otwierać okien.

- Tak, dobrze, panie, hm...?

- Holman.

- ...Holman, ale jestem przekonany, że nie będzie nam tu zimno, a trochę mgły nie może wyrządzić zbyt wiele szkody.

Nie może? - pomyślał Holman, zwiększając obroty silnika i ruszając ostrożnie do przodu. Zastanawiam się... Wciąż nie był pewien swoich podejrzeń co do mgły. Lekarze powiedzieli, że jego choroba mogła być w jakiś sposób spowodowana przez uwolniony podczas trzęsienia ziemi gaz. Było to dość mało prawdopodobne, ale ten zapach wydawał się Holmanowi skądś znajomy i miał pewność, że nie zetknął się z nim nigdy przed katastrofą. Jego podejrzenie wynikało bardziej z

instynktu niż z racjonalnych przesłanek, ale nauczył się ufać w pełni temu pierwszemu. Jęk dochodzący z tyłu przerwał te rozmyślenia.

- Ooch, boli mnie głowa. - Hodges zajęczał głośno.

- Zaraz będziemy u lekarza - zapewniła go Casey, nie odrywając wzroku od prawie niewidocznej jezdni.

- Dostanie mi się za to - mówił dalej żalonym głosem. - Już Summers tego dopilnuje. Jebany skurwysyn. Och, pani wybaczy - przeprosił Casey.

Domyślili się, że Summers to nauczyciel, który został z chłopcami.

- Nigdy mnie nie lubił. Nie lubił mojego sposobu bycia, jeśli chodzi o chłopaków.

- Redbrook to jego szkoła? - zapytał Holman.

- Nie! On jest tam tylko zastępcą dyrektora, ale tak się zachowuje, jakby ta szkoła była jego! Dzieciaki mówią na niego „Jednoręki Kapitan” - roześmiał się, ale po chwili znów skrzywił się z bólu. - Tam na drodze to była jego wina.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Prowadziłem autokar, żartując trochę z chłopakami, no wiecie, trochę szpanowałem, a on zaczął krzyczeć na mnie, jakbym był jednym z uczniów. Odwróciłem się, by mu powiedzieć co trzeba, i nagle leżymy w rowie. Cholera, miałem fart, że nie wypadłem przez przednią szybę. Nieważne. Straciłem przytomność, a potem pamiętam, że obudziłem się, krew lała mi się po całej twarzy, a ten ciągle na mnie najeżdżał. Tak było, nie?

Holman uśmiechnął się pod nosem i nic nie odpowiedział. Jego rozbawienie wkrótce minęło, gdy zauważył, że mgła jest coraz gęstsza. Zwolnił tak, że ledwo się teraz poruszali. Przysunął się jeszcze bardziej do przedniej szyby.

- John! Co to? - Casey chwyciła go za ramię. Wpatrywała się w coś po jego prawej stronie.

Zerknął przez boczną szybę, ale prócz wirującej mgły nic nie zauważył. - Co? Nic nie widzę.

- Zniknęło. Może nic nie było, ale wydawało mi się, że widzę coś białego prześwitującego przez mgłą. To trwało bardzo krótko, zniknęło prawie natychmiast. Może to tylko przesunęło się obok jakiegoś większego skupiska mgły? Nie widzę już niczego.

- To mogło być po prostu słońce prześwitujące przez mgłę.

- Tak, może.

Ich uwagę oderwał od mgły pasażer, który znów zaczął narzekać.

- Pieprzona pogoda. W jednej chwili jasno, a w następnej mgła. Takie czasy, niestety.

- Co pan ma na myśli? - zapytał Holman.

- Mieliśmy takie przyjemne, spokojne lato, nie mogło być lepiej, i wtedy co się dzieje? Pieprzone trzęsienie. I to tutaj, w Wiltshire! - Pochylił się do przodu, zaatakowany kolejną falą bólu, i dodał głośniejszym głosem: - I jeszcze to wczorajsze. Wiedziecie już, co było wczoraj?

Holman pokręcił przecząco głową, nadal całą uwagę skupiając na drodze. Casey odpowiedziała:

- Mówi pan o tych morderstwach toporem?

- Właśnie. Jest o tym we wszystkich gazetach. To się stało całkiem blisko tej zniszczonej wioski. Jakiś bogacz, pułkownik czy ktoś w tym rodzaju, został zabity razem ze swoją żoną i z całą służbą - kucharką i służącą. Tak, chyba jakoś tak. Toporem. Piszą, że ten bogacz był poćwiartowany, miał odcięte ręce i że wykrwawił się na śmierć. Goście, którzy przyjechali potem do tego pułkownika, znaleźli same trupy. Nie mam pojęcia, do czego to wszystko prowadzi, jedno po drugim.

- Tak - rzekł Holman. - Jest tak, jak pan powiedział. W jednej chwili świeci słońce, w następnej zapada ciemność.

- A do tego wszystkiego teraz jeszcze stracę pracę.

- Nie, na pewno pan nie straci - pocieszyła go Casey.

- Och, wy nie znacie starego Jednorękiego Kapitana. Nigdy mnie nie lubił. Ale za to ja wiem o nim co nieco - jęknął. - Jak daleko jeszcze?

Ciągle przedzierali się przez gęstą mgłę. Dopiero po wyjątkowo długim kwadransie wyjechali na światło dzienne. Zmiana była tak gwałtowna, że mieli wrażenie, jakby przejechali przez otwarte drzwi.

- Chryste - wymamrotał Holman zaskoczony. Przez cały czas wpatrywał się w mgłę; zdążył tylko zauważyć, że staje się jaśniejsza, i nagle prowadził już w pełnym słońcu. Wraz z Casey obrócili się i ujrzeli za samochodem grubą żółtoszarą zasłonę. Hodges był zbyt zajęty swoją bolącą raną i narzekaniem, by cokolwiek zauważyć. Patrzyli, jak mgła oddala się od nich. Wyglądała jak ciemny, przykrywający pola, całun. Caséy zadrżała, Holman uśmiechnął się do niej z ledwie widoczną ulgą.

- To nie jest normalne - wyszeptała.

Holman potrząsnął głową, ale nic nie odpowiedział. Zgasił światła samochodu i przyśpieszył. Rozwijając przyzwoitą już szybkość, wkrótce dotarli do wioski i Hodges wskazał im drogę do posterunku policji. Holman wbiegł po schodkach i krótko opowiedział, co się stało z autokarem. Oficer dyżurny nie mógł zrozumieć jego niepokoju, gdy dowiedział się, że żaden z chłopców nie jest ranny. Zaskoczyła go wiadomość o pojawieniu się mgły i przyjął to z niedowierzaniem. Na pewno nie przeszła przez wioskę i nie miał o niej żadnych doniesień z okolicznych osad. Mimo to zapewnił Holmana, że zaraz skontaktuje się z kierowcami i natychmiast wyśle tam swojego człowieka. Pokazał Holmanowi, jak dojechać do lekarza, i podziękował za pomoc.

Opuszczając posterunek, Holman miał dziwne uczucie niezadowolenia. Może wyolbrzymiał to, co się dzieje, bo przecież mimo wszystko mgła w Anglii nie jest czymś nadzwyczajnym, choć jej pojawienie się o tej porze roku jest zastanawiające. Teraz, gdy świeciło jasne słońce, z trudem odtworzył w pamięci złowróżbną atmosferę tamtej chmurzastej żółtawej szarości. Mgła wydawała się teraz czymś nierealnym, tak jak gdyby nigdy nie istniała. Może dlatego, że nie

był jeszcze w dobrej formie? A może jego umysł był wciąż trochę „zaburzony”? Wiedział, że Casey czuje się niepewnie po minionych przeżyciach, ale czy nie jest to tylko wynik odczuwania przez nią jego własnych obaw? Zdawał sobie sprawę, jak łatwo napięcie jednej osoby udziela się drugiej i następnej, aż ogarnie całą grupę. Potrzebował odpoczynku. Przeżycia ostatniej godziny spowodowały, że czuł się wyczerpany, podekscytowany i niespokojny. Dlaczego wtedy nie chciał, by Casey wysiadła z samochodu? Czy naprawdę sądził, że mgła ma coś wspólnego z jego niedawną chorobą? Nie był tego pewien, ale wolał, by nie wystawiała się zbyt długo na działanie dymopodobnej substancji. Czuł jakiś lęk i zastanawiał się, czy to minie, gdy wypocznie w pełni - fizycznie i psychicznie.

Nadal narzekającego na wszystko i na wszystkich Hodgesa zawieźli do lekarza i po oddaniu go we właściwe ręce skierowali się w stronę Londynu.

Rozdział piąty

Kilka godzin później, po krótkim postoju na obiad w przydrożnej restauracji, dotarli do domu Holmana. Jego mieszkanie przy ulicy St. John's Wood znajdowało się naprzeciw Lordowskich Pól Krykietowych. Zaparkował wóz przed domem i pojechali windą na samą górę starego, lecz dobrze utrzymanego budynku. Mieszkanie nie grzeszyło nadmiarem mebli, było starannie uporządkowane i wygodne. Na ścianach wisiało kilka oryginalnych płócien, ale w ogóle było raczej skromne. W jednym rogu stała roślina o wysokiej lodydze, gołej na całej długości, ale z dużą liczbą liści u góry. W żartach przysięgał, że wspięła się ona po murze Londyńskiego Ogrodu Botanicznego i weszła do jego mieszkania, szukając kogoś do pokochania. A prawda była taka, że Holman ukradł ją wiele lat temu podczas pijackiej wyprawy do Ogrodu z równie zalanymi przyjaciółmi. Nie miał pojęcia, jaka jest nazwa tego kwiatu, toteż nazwał go George.

Okno w jego sypialni wychodziło na dach budynku, na którym spędził niejeden spokojny letni wieczór, nic nie robiąc oprócz wpatrywania się w gwiazdy, co pozostawało w sprzeczności z drugą stroną jego natury - zamięłowaniem do przygód i ryzyka. Jedynym luksusem, na który sobie pozwolił, było łóżko. Lubiał spać, lubił się kochać. Gdy spał z kimś, nie chciał, aby było mu ciasno. Gdy się kochał, chciał mieć

dużo miejsca. Dlatego też jego łóżko zajmowało większą część niedużej sypialni. Gdy Casey zobaczyła je po raz pierwszy, roześmiała się, ale dzieląc je z nim, poczuła się szalenie zazdrosna o przeszłość Holmana. Jednakże po pewnym, wspólnie spędzonym czasie dojrzała do tego, by pogodzić się z trybem życia, jaki z pewnością kiedyś prowadził.

Casey zaczęła przygotowywać kawę, a on opadł ciężko na fotel, zsuwając buty. Przyniosła tacę i usiadła u jego stóp, stawiając filizanki na podłodze.

- Jak się teraz czujesz, John? - zapytała łagodnie.

- Och, jestem tylko trochę zmęczony. Depresja szpitalna, tak to chyba nazywają.

Bezwiednie przesunęła dłońmi po jego stopach. - Postanowiłam opuścić Thea. - Zawsze nazywała ojca po imieniu; kolejny nawyk, który irytował Holmana.

- Opuścić go? - Wyprostował się zaskoczony, wpatrując się w nią z uwagą, jak gdyby w wyrazie jej twarzy szukał potwierdzenia lub zaprzeczenia jej słów.

- Tak. Dowiedziałam się wielu rzeczy o sobie, gdy byłeś w szpitalu, John. Najważniejsze to to, że kocham cię bardziej, niż kiedykolwiek przypuszczałam, że jest to możliwe. Bardziej niż Thea. Bardziej niż kogokolwiek innego. Byłam już bliska poddania się, kochanie. Chciałam cię tam zostawić, gdy sądziłam, że nie można ci już pomóc.

Przysunął się do niej i ujął jej twarz w dłonie, nic nie mówiąc.

- Taki, jaki tam byłeś... - mówiła. - Te rzeczy, które wygadywałeś... To mnie przerażało, nie mogłam uwierzyć, że to jesteś ty.

- To nie byłem naprawdę ja - powiedział miękko.

- Wiem, John. Ale to było jak koszmar. Nie wiedziałam, czy ty z tego kiedykolwiek wyjdiesz, czy będziesz jeszcze kiedyś blisko mnie, czy przytulisz mnie jeszcze kiedyś tak jak teraz. Wróciłam do hotelu i zadzwoniłam do Thea. Chciałam cię zostawić, jechać do domu. Ale gdy z nim rozmawiałam, zrozumiałam, że nie mogę tego zrobić. A kiedy wróciłam do

szpitala następnego dnia, powiedzieli mi, że możesz umrzeć. I wtedy uświadomiłam sobie, że gdy ciebie zabraknie, będę nikim. Ojciec nigdy już nie znaczyłby dla mnie tak wiele, nigdy nie mógłby cię zastąpić...

- Casey...

- Uwierz mi, John.

- Casey, posłuchaj. Odłóż to na kilka tygodni, nie decyduj się na nic w tej chwili.

- Nie muszę niczego odkładać. Ja już zdecydowałam.

- Dobrze, więc zrób to dla mnie. Zbyt wiele ostatnio przeszłaś. Chcę, byś była całkowicie pewna, co czujesz - dla dobra nas obojga.

- A jak jest z tobą, John? Czy ty jesteś pewien swoich uczuć?

Oparł się całym ciężarem na oparciu fotela.

- Nie pytaj mnie teraz o to. Za dużo się ostatnio wydarzyło, bym mógł być czegokolwiek pewien w tej chwili.

- Czy dlatego właśnie chcesz, żebym się nad tym zastanowiła, bo sam potrzebujesz czasu do namysłu? - Przygryzła wargi, nie będąc teraz z kolei pewna jego uczucia.

- Po części tak. Muszę też sam to wszystko przemyśleć.

Jej oczy zamglily się łzami; oparła policzek na jego kolanie nie chcąc, by zobaczył, że płacze. Poglądził ją po włosach i siedzieli tak przez kilka chwil w milczeniu, aż podniosła ku niemu głowę i powiedziała: - John, pozwól mi zostać dziś na noc.

- A co z twoim ojcem? - zapytał

- Powiedziałam już: on się nie liczy. Nadal go kocham. Nie chciałabym go stracić, lecz ty teraz jesteś dla mnie najważniejszy. Nie chcę cię opuścić. Pozwól mi zostać, chociaż tylko na tę jedną noc.

- Dobrze, Casey, niby dlaczego miałbym próbować cię przekonywać? - odrzekł, starając się poprawić nastrój.

- Zadzwoń do Thea później i wszystko wyjaśnię. Uklęknęła, przysuwając twarz do jego policzka. - Nie potrzebuję już więcej czasu do namysłu, John, ale poczekam. Chcę, abyś i ty był pewien, a jeśli dojdiesz do wniosku, że nie pragniesz

mnie naprawdę mocno... - przerwała, zmuszając się do powiedzenia ostatnich słów - ...to wtedy odejdę. Pocałował ją w usta i niespodziewanie wybuchnął gromkim śmiechem na widok jej zbolalej twarzy.

- Dobrze, Casey - rzekł. - Umowa stoi!

Wypili kawę, zatopieni na krótko we własnych myślach. Holman zaczynał z wolna odczuwać odprężenie. Przestał myśleć i o trzęsieniu, i o mgle, i o decyzji Casey. Chociaż nigdy nie odsuwał problemów, niekiedy lubił o nich zapomnieć, by wrócić do nich po jakimś czasie. Jego nastroje zmieniały się jak światła na skrzyżowaniu. Casey lubiła tę jego cechę, choć czasami jej nienawidziła. Tym razem, ponieważ i ona potrzebowała odprężenia, łatwo się poddała jego nastrojowi.

- Wiesz co, spędzić tydzień w tamtym szpitalu, nie widzieć cię przedtem cały weekend... - spojrzał w dół na nią, z cieniem pożądania w oczach.

- Tak? - odpowiedziała uśmiechem.

- Cóż, czuję się trochę jak kapucyn. Celibat.

- To dla twojego dobra.

- Mogłem przez to osłepnąć.

Roześmiała się i powiedziała: - Myślę, że potrzebujesz trochę odpoczynku.

- Całkiem rozsądnie. Chodźmy do łóżka.

- Przyrzeknij mi coś.

- Wszystko, co chcesz. - Zaczął rozpinać guziki jej bluzki, niecierpliwie się, gdy drugi nie poddał się jego palcom. Zrobiła to za niego.

- Przyrzeknij, że wrócisz jutro po raporcie u Spiersa. Nie dasz się wciągnąć w następne zadanie.

- Chyba żartujesz. Biorę wolne na resztę tygodnia, nawet jeśli cały kraj miałby rozpaść się na dwie połowy!

Wyciągnął bluzkę ze spódnicy i położył dłoń na jej piersi, wsuwając palec pod napięty materiał stanika.

- A jak ty? - zapytał. - Czy będziesz mogła zwolnić się na dłużej z pracy?

- Będę mogła - odparła, rozpinając mu koszulę. - Zostałam zwolniona.

Wstrzymał ruch ręki.

- Co?

- Gdy zadzwoniłam do szefa i powiedziałam mu, że zostaję z tobą przez resztę tygodnia, grzecznie odpowiedział, żebym nie przychodziła więcej. Znajdzie kogoś innego.

- A to bydlak! - zaklął Holman.

- Ale mnie ulżyło - zaśmiała się. - Był za bardzo zazdrosny o moje ciuchy. Myślę, że wydawało mu się, iż lepiej wyglądałyby na nim.

Holman wstał, uwalniając się od rozpiętej koszuli.

- Mam wrażenie, że chcesz, żeby ktoś cię przytulił - powiedział, po czym wziął ją za rękę i poprowadził do sypialni.

Holman szedł powoli Marsham Street, rozkoszując się odgłosami żyjącego miasta. Cieszył się, że przebywa wśród normalnych ludzi zajętych swoimi codziennymi sprawami. Powoli zapominał o ponurych przeżyciach w szpitalu. Ludzie tłumnie spieszyli do swoich biurów, podobni do mrówek zdążających do swoich gniazd ukrytych w ziemi pod kamieniami, żegnając ze smutkiem jasne poranne słońce, które przyszło im zamienić na sztuczne światło neonowych lamp. Holman wszedł do olbrzymiego gmachu Ministerstwa Ochrony Środowiska i pojechał windą na dziewiąte piętro. Pozdrowił panią Tribshaw, sekretarkę w średnim wieku o żywym usposobieniu. Zapewnił ją o swym znakomitym samopoczuciu po przejściach podczas trzęsienia, które stały się jego udziałem, po czym wszedł do swojego pokoju i zamknął drzwi, ucinając w ten sposób lawinę jej natarcywych pytań na temat tego wypadku.

- Witaj, John! - Jego kolega z pracy, pogodny Szkot mówiący z ledwo wyczuwalnym akcentem zdradzającym jego pochodzenie, podniósł głowę i powitał Holmana pytającym spojrzeniem. - Co się, u diabła, z tobą działo?

- To długa historia, Mac. Opowiem ci, gdy znajdziemy trochę czasu na drinka.

MacLellan nadal gapił się na niego tym samym tępym wzrokiem. Nieraz już wykonywali wspólnie zadania i wiedzieli, że w trudnych momentach mogą na sobie polegać. Trochę starszy od Holmana, Mac był za to większym idealistą. I chociaż udawał, że zazdrości przyjacielowi kawalerskiej swobody, to jednak w skrytości ducha uwielbiał życie rodzinne. Troje dzieci - dwóch chłopców i jedna dziewczynka, porycza, ale dobra z natury rudowłosa żona, mieszkanie w bliźniaku w lepszej części Wimbledonu - nie było to wiele, ale jemu wystarczało całkowicie. Praca stanowiła jedyną odmianę w jego codziennym życiu. I choć Holman podejmował się bardziej ryzykownych zadań, to od czasu do czasu i on był wysyłany na jakąś misję wywiadowczą, dla zmylenia przeciwnika. Zazwyczaj jednak jego zajęcia miały rutynowy charakter, ale i one rzadko go nudziły. Nieraz, śmiejąc się, mówił Holmanowi, że on, lubiący sport skromny student z Glasgow, może spowodować pociągnięcie do odpowiedzialności aroganckich kapitalistów myślących tylko o robieniu forsy i składujących odpady w niedozwolonych miejscach. Albo że on, kiepsko opłacany szeregowy urzędnik państwowy, może wykryć w planach własnego rządu niedopatrzienia, prowadzące do dewastacji naturalnego środowiska. To prawda, że dostarczane przez niego informacje nie zawsze służyły podejmowaniu dalszych działań, jak sam niechętnie przyznawał - w pięćdziesięciu wypadkach na sto nie były w ogóle wykorzystywane - ale mógł pochwalić się wieloma sprawami, w których odniósł sukces. Holman nazywał go komunistycznym szpiegiem, a on sam ze śmiechem przyznawał mu rację, choć obydwaj wiedzieli, że było to dalekie od prawdy. Kiedy pracowali razem, byli bardzo zadowoleni ze swojego towarzysztwa. MacLellan - bo mógł chociaż na krótko wyobrazić sobie, że wie dzie życie kawalera, Holman - bo lubił szkockie poczucie humoru.

- Spiers o ciebie pytał - powiedział w końcu Mac, stwierdzając z zadowoleniem, że Holman jest zdrowy, przynajmniej na ciele. - Zadzwońił koło wpół do dziewiątej i chciał wiedzieć, gdzie się, do diabła, podziewasz.

Holman obszedł swoje biurko i usiadł. Zaczął pośpiesznie przeglądać papiery, które nagromadziły się podczas jego nieobecności.

- Nic się nie zmieniło, co? - zauważył, przerzucając szare kartki raportów. - Nie ma cię przez tydzień i już myślisz, że wszystko się wywróciło do góry nogami przez ten czas. Po czym wracasz, przez chwilę czujesz się trochę obco, a po pięciu minutach znów popadasz w rutynę.

- Tak, no cóż, gdybym był na twoim miejscu, powróciłbym do rutyny natychmiastowego spotkania ze Spiersem.

- Racja. No to na razie, Mac. Mam po tym wszystkim wolne do końca tygodnia.

- Szczęściarzu - mruknął Mac, potem twarz rozjaśniła mu się na moment. - Cieszę się, że jesteś w dobrej formie, John. Spiers niewiele mówił, ale zdaje się, że miałeś duże kłopoty. Nie przejmuj się teraz niczym.

- Jasne, Mac. Dziękuję.

Holman mrugnął do pani Tribshaw, przemierzając długimi krokami sekretariat. Uniósł rękę, by powstrzymać cisnące się jej na usta pytania, i wszedł po schodach na dziedzię piętrowe, do gabinetu Spiersa.

- Jest? - zapytał sekretarkę, która przestała stukać na maszynie i podniosła wzrok, zaskoczona.

- John! Czy czujesz się już dobrze?

Poczuł się trochę skrępowany jej nieukrywaną radością, że znów go widzi.

- Tak, w porządku. Czy on tam jest?

- Co? Ach, tak, możesz wejść od razu. Co się z tobą działo? Słyszeliśmy, że wpakowałeś się w to okropne trzęsienie.

- Opowiem ci później. - Zapukał do drzwi i wszedł do gabinetu.

Spiers podniósł głowę z nad papierów i przez chwilę przyglądał mu się przez okulary z grubego szkła.

- A, John. Jak się masz? Dobra, usiądź, zaraz skończę.

Holman usiadł i zaczął studiować łysinę na głowie pochylonego nad papierami szefa, widoczną w tej pozycji w całej

swej okazałości. Wreszcie Spiers zebrał dokumenty i starannie ułożył na brzegu biurka.

- Hm, John - zaczął, patrząc na Holmana uważnie oczami, które jednak wydawały się niczego nie widzieć. - Dałem do wywołania twoje filmy i obejrzałem stykówki. Rzeczywiście, jest tam parę dziwnych rzeczy, ale one nas w ogóle nie obchodzą... Teraz... zdjęcia pól są bardzo ciekawe, ale o tym potem. Najpierw chciałbym, żebyś jeszcze raz opowiedział mi o tym trzęsieniu, od samego początku, niczego nie opuszczając.

Holman opowiedział mu wszystko, co pamiętał, ale gdy doszedł do momentu ratowania dziewczynki, stwierdził, że zupełnie nic sobie nie przypomina.

Spiers oparł się o blat biurka. - John, zastanów się dobrze. Zanim przepaść się otworzyła, czy słyszałeś jakiś wybuch?

- Nie, na pewno nie. Było dudnienie, to wszystko, a potem głośny trzask, gdy ziemia pękła. Jestem pewien, że nie było żadnego wybuchu.

Spiers opadł z powrotem na fotel, zdjął okulary i zaczął czyścić je chusteczką. Odchrząknął gwałtownie i przez chwilę pocierał palcami nasadę nosa tak, jak to czyni człowiek bardzo zmęczony. Założył z powrotem okulary i znów pochylił się do przodu. - Widzisz - powiedział - wiele mówiono o chmurze dymu, która się wyłoniła z ziemi zaraz po wyciągnięciu ciebie na powierzchnię.

- I dlatego sądzisz, że nastąpiła tam eksplozja?

- Możliwe.

- Która ma związek z tą bazą wojskową?

- Nie, nie. Nie mamy żadnych podstaw, by coś podobnego podejrzewać. Sam powiedziałeś, że to raczej niemożliwe.

- Tak, ale teraz zaczynam się zastanawiać. Kto wie, co oni tam wyczyniają? Wczoraj, wracając, natknąłem się na mgłę. Mgła w gorący letni dzień! Może wypróbują jakiś nowy rodzaj zasłony dymnej i po prostu pozwolili jej przedostać się z ich terenów na wiejskie pola?

- Och, daj spokój. To mogło być spowodowane czymkolwiek: zmianą temperatury, zanieczyszczeniami z pobliskiej fabryki. Ja sam wpadłem w mgłę, jadąc do ciebie. Równina Salisburska jest pełna takich oparów o każdej porze roku. Nie możemy przecież obwiniać armii o wszystko.

- Ale sądzisz, że oni mają coś wspólnego z tą katastrofą?

- Na pewno nie. Doskonale wiem, że są pewne sprawy w Ministerstwie Obrony, których obaj nie lubimy, ale możesz być pewien, że nigdy nie byłiby na tyle nieodpowiedzialni, by spowodować coś takiego.

- A co ze zdjęciami? Widać przecież na nich dość dziwne rzeczy. Zauważyłeś tę kopułę?

- To o niczym nie świadczy! - Spiers zaczynał tracić spokój i zdawał sobie z tego sprawę. Po raz kolejny rozparł się wygodniej w fotelu i mówił dalej, już spokojniej. - Mimo wszystko, kazałem je zniszczyć.

- Co?!

- Czy zdajesz sobie sprawę, jakie kłopoty mógłbyś mieć, gdyby dowiedziano się, że mamy fotografie tajnych urządzeń wojskowych?

- Ale wobec tego, jaki był powód, żeby tam w ogóle jechać?

- Zrobić zdjęcia, tak! Ale nie po to, żebyśmy je wykorzystali. Chciałem uzyskać dowód potwierdzający niszczenie bogatych ziem, żyznych gruntów i lasów, by mieć w ręku argumenty przemawiające za tym, że te obszary powinny nam zostać zwrócone. Mój Boże, za takie zdjęcia moglibyśmy pójść w odstawkę na całe lata!

Ziarno podejrzliwości zaczęło kiełkować w umyśle Holmana. - Podejrzewasz coś, prawda? - zapytał spokojnie Spiersa.

Spiers mówił zdenerwowany: - Próbowałem dotrzeć do Ministerstwa Obrony. Teraz wszystko jest tam ściśle tajne. Nie wiemy, czy to coś znaczy, czy nie, ale jeżeli znaczy, to i tak jestem bezsilny. Dziś po południu jestem umówiony na rozmowę z ministrem obrony i sir Trevorem Chambersem. Mam nadzieję, że się czegoś dowiem. - Sir Trevor Chambers

był parlamentarnym podsekretarzem w Ministerstwie Obrony. Ten gruboskórny człowiek o dużej sile przebicia starał się zawsze uzyskać odpowiedź na każde swoje pytanie. - Nie trzeba chyba dodawać, że nikt nie może o tym wiedzieć.

- A jeśli dojdiesz do wniosku, że armia jest w to zamieszana?

- Wtedy poczekamy i zobaczymy, co będzie można zrobić.

- Jak zawsze ta sama odpowiedź. Przypuszczam, że to pójdzie *ad acta*, prawda?

- Ta twoja przekłeta arogancja! Myślisz, że kim jesteś? Sądzę... - zaciął się, a Holman nie namyślając się, wpadł mu w słowo.

- Chociaż raz im dołożmy! Jeżeli to oni są odpowiedzialni, strzelmy po tych ich cholernych łapach!

Spiers opanował się i powiedział: - Nie wychylajmy się. Nic nie można osiągnąć... - po raz drugi zawiesił głos, przerywając w pół zdania.

Wciąż nieświadom zmiany, która wydawała się zachodzić u jego szefa, Holman w nowym przypiływie wściekłości krzyczał dalej, aż spostrzegł dziwne, nieprzytomne spojrzenie za grubymi szklami okularów Spiersa.

- Co się stało? - spytał Holman, zmieszany. - Co?! - urwał na widok Spiersa wstającego z fotela, wpatzonego w coś ponad jego głowę. Spiers obrócił się i podszedł do okna; Holman był zbyt zaskoczony, by cokolwiek uczynić.

Spiers otworzył okno. Odwrócił się i jeszcze raz spojrzął na oniemiałego Holmana; jego oczy jakby na chwilę straciły swój nieprzytomny wyraz, pojawiła się w nich iskierka świadomości, lecz zaraz zniknęła. Ponownie odwrócił się do okna, wspiął na parapet i zanim Holman zdążył zrobić krok w jego kierunku, wyskoczył.

Holman osłupiał. Siedział nieruchomo, z otwartymi ustami. To, co rozegrało się przed chwilą na jego oczach, nie docierało jeszcze do niego. Potem, wykrzykując imię Spiersa, zerwał się i podbiegł do okna. Zobaczył powykręcane ciało

leżące na chodniku, dziewięć piętér w dół. Kałuża krwi wokół zmiążdżonej głowy powiększała się z sekundy na sekundę. Z tej odległości dostrzegł tylko, jak ręka Spiersa podnosi się w dziwnym geście do góry: łokieć był oparty o ziemię, palce kurczyły się i rozkurczały w spazmatycznych drgawkach. Nagle całe ciało wygięło się w gwałtownym skurczu i równie szybko opadło na chodnik. Teraz spoczywało całkowicie spokojnie; ruchy ręki ustały. Holman wciągnął głęboko powietrze w płuca i oparł się o ramę okiennej. Ludzie biegli w stronę leżącego ciała, niektórzy trzymali się z daleka, odwracając wzrok. Odsunął się od okna i ujrzał w drzwiach sekretarkę Spiersa, stojącą z wyrazem przerażenia na twarzy.

- On... on wyskoczył - udało mu się w końcu wyrzucić z siebie.

Odwróciła się, gdy w sekretariacie gwałtownie otworzyły się drzwi i kilku ludzi wpadło do środka.

- Co się stało? - zapytał jeden z nich. - Kto to był?

Holman usiadł w głębokim fotelu, na którym przed chwilą siedział Spiers. Doznał dziwnie przejmującego wrażenia, gdy poczuł, że fotel jest wciąż ciepły. Nie zwracał uwagi na tłoczących się wokół niego ludzi, po prostu siedział ze wzrokiem utkwionym w blat biurka. Co się stało? Dlaczego wyskoczył? Czuł, że znowu ogarnia go dziwne przecucie. To wrażenie swędzenia skóry... Takie samo jak wtedy, gdy wjechali w mgłę. Nie, to nie mogło być to, nie było powodu, aby tak było. Lecz jego rozum nie potrzebował żadnego powodu - wystarczyło przecucie. Podniósł się gwałtownie i przepchnął przez tłum podnieconych ludzi. Musi jak najszybciej dotrzeć do Casey!

Rozdział szósty

Redbrook House wraz z otaczającym go parkiem położony był w jednym ze spokojniejszych zakątków Andover. Długi, wybity kostką dojazd, z rzędami drzew po obu stronach, oddzielał go od świata zewnętrznego. Okazały, zbudowany z czerwonej cegły budynek mógł przerazić przyjeżdżających tu po raz pierwszy. Zbudowany został wiele lat temu, ale szkołę z internatem założono dopiero w tysiąc dziewięćset dziesiątym roku. Szkoła przeznaczona była tylko dla dzieci z warstw uprzywilejowanych. Prosperowała dobrze do lat trzydziestych, kiedy to nagle straciła dobrą reputację wśród najbogatszych rodziców, którzy zauważyli, że niektórzy chłopcy przyjęci do szkoły nie są tak dobrze wychowani jak ich własne dzieci, chociaż rodzice tych uczniów byli oczywiście wystarczająco zamożni, by pozwolić sobie na zapłacenie wysokiego czesnego; ale wtedy pieniądze nie pochodziły już tylko z dziedziczonych majątków. Status szkoły obniżał się przez następnych piętnaście lat, aż do chwili, kiedy pojawił się młody, pełen energii i chęci działania nowy zastępca dyrektora. Udało mu się zerwać z zakorzenionymi tradycjami i metodami nauczania pochodzącymi jeszcze z czasów lorda Redbrooka i wprowadzić nowe, bardziej atrakcyjne formy; miał też inne podejście do stałych i nudnych przedmiotów. Po pięciu latach objął stanowisko dyrektora i przekształcił szkołę

w nowoczesną placówkę o szerokich perspektywach. Szkoła była nadal prywatna, lecz już nie tak elitarna. Dyrektor nazywał się Hayward. Teraz, po przeszło trzydziestu latach, większość innowacji, które wprowadził, przestała nimi być. Pięć lat temu Hayward zatrudnił nowego zastępcę, mając nadzieję, że pomoże tchnąć nowe życie w szkołę, zdawał sobie bowiem sprawę, że jego własne metody nauczania są już przestarzałe, ale za bardzo kochał to miejsce, by samemu odejść. Być może też, po tych wszystkich latach spędzonych w szkole po prostu bał się odejść. Rada Nadzorcza szkoły namawiała go od kilku lat do przejścia na emeryturę, ale jej członkowie żywili zbyt wiele sympatii do tego starego człowieka, by wydać mu takie polecenie. To oni właśnie zaproponowali, by zatrudnił nowego zastępcę, poprzedni bowiem zmarł dwa lata temu i wciąż jeszcze nikogo nie przyjęto na jego miejsce. Hayward nosił się z zamiarem zatrudnienia o wiele młodszego od siebie mężczyzny; takiego, który nie ma jeszcze trzydziestu lat, to znaczy, który jest w takim samym wieku, w jakim był on, kiedy przybył do tej szkoły; człowieka o świeżym umyśle, chętnego do eksperymentów. Ale do takiej szkoły jak ta trudno było znaleźć nauczycieli. Młodzi ludzie mieli większe ambicje i szukali pracy, w której mogliby zrobić karierę bez pokonywania długiej, uciążliwej drogi pod górę. I wtedy pojawił się pan Summers, gorąco polecany przez jednego z członków Rady Nadzorczej.

Summers służył przez pewien czas w wojsku podczas drugiej wojny światowej, w wyniku czego stracił jedną rękę. Nigdy nic nie mówił o swoim kalectwie, a zwłaszcza o tym, jak do tego doszło. Rzeczywiście, rzadko opowiadał o swoich wojennych doświadczeniach, a jeszcze rzadziej o swej karierze nauczyciela i wychowawcy... I choć Hayward czuł się zawiedziony, że jego zastępca ma ograniczoną wiedzę teoretyczną, to jednak musiał przyznać, że jest bardzo dobrym nauczycielem. Nie był lubiany przez uczniów - to było widoczne - ale z drugiej strony wykazywał niezwykle poświęcenie i zainteresowanie sprawami szkoły, i nie było wątpliwości,

że z czasem przejmie stanowisko jej dyrektora. Lecz jego nieustanne narzekania stawały się coraz bardziej irytujące.

Summers z wypadku autobusowego zrobił wielką aferę, zrzucając od razu całą winę na biednego Hodgesa. Zażądał jego natychmiastowego zwolnienia, informując dyrektora, że Hodges prowadził zbyt szybko w niesprzyjających warunkach atmosferycznych. Przechwalał się przy tym przed uczniami i nie zachowywał w stosunku do nich należytego dystansu.

Hodges, który był nie tylko kierowcą, ale również wóznym, ogrodnikiem i wykonywał w szkole wiele innych prac, nie wyglądał dobrze, gdy został wezwany na rozmowę do Haywarda. Przyznał, że wszystko to prawda, ale zaczął także wygadywać niezbyt miłe rzeczy o jego zastępcy. Hayward postanowił zwolnić Hodgesa, ale nie z powodu nieszczęśliwego wypadku we mgle. Po prostu nie mógł pozwolić na to, by Hodges rozsiewał oskarżenia pod adresem człowieka należącego do jego kadry, zwłaszcza że nie był w stanie ich udowodnić. Jeśli zaś chodzi o Summersa, to Hayward nie miał nawet zamiaru rozmawiać z nim na ten temat; byłoby to zbyt krępujące dla nich obu, ale na pewno będzie go miał teraz na oku.

Jutro pośle po Hodgesa i powiadomi go o swojej decyzji zwolnienia go z pracy, po czym ostrzeże go, ostrzeże z całą mocą, by nie szerzył żadnych podłych pomówień, bo sprawa może zakończyć się w sądzie. Dziękował Bogu, że sam wypadek nie miał groźnych następstw - żaden z trzydziestu sześciu chłopców biorących udział w wycieczce nie odniósł poważniejszych obrażeń; kilka zadrapań tu i ówdzie to nic, czym należałoby się przejmować. Jedyne pechowy Hodges otrzymał silne uderzenie w głowę, ale i on, po całonocnym odpoczynku, wydawał się w dobrej formie. To wielka szkoda, że musi się go pozbyć, mówił do siebie Hayward wzdychając, lecz łatwiej znaleźć kogoś na miejsce takiego Hodgesa niż na miejsce dobrego nauczyciela.

Hodges siedział w starym, zepsutym fotelu w suterenie, którą nazywał swym biurkiem, siorbiąc herbatę. Wlał trochę szkockiej whisky do blaszanego kubka, zataczając nim niewielkie kółka, by wymieszać ją z gorącym płynem. Chrząknął kilka razy, patrząc w gęsty napar, wzruszając ramionami i mlaszcząc językiem.

Woda na jego młyn, pomyślał uśmiechając się; sądził, że wpakuje mnie w kłopoty, co? Tak, dobrze, wkrótce obróci się to przeciw niemu - pociągnął głośno nosem. Nie był pijany, herbata z whisky stanowiła jego tradycyjny napój podczas przerwy śniadaniowej. Ten Jednóręki Kapitan tym razem zapłacił mi za to. Nie rozpoznał mnie, gdy przyjechał pierwszy raz do tej szkoły, co? Ale ja poznałem go od razu. Byłem wtedy tylko kapralem, a z niego był sprytny zasrany kapitan, ale słuchy o nim krążyły po całym obozie. Tak, wiedzieliśmy coś niecoś o nim.

Powrócił myślami do starych czasów: do ogromnej bazy wojskowej w Aldershot, gdzie tysiące świeżych rekrutów dostawało porządny wycisk. Coś wisiało w powietrzu w tamtych dniach; wojna trwała już trzy lata, w każdym tygodniu wysyłano coraz więcej żołnierzy na okrętach za morze, w każdym tygodniu przybywało do obozu coraz więcej młodszych i mniej doświadczonych chłopców. Hodges był kapralem w kuchni i był zadowolony, że udało mu się do tej pory uniknąć frontu. Znał kapitana Summersa, słyszał o wypadku, który kiedyś mu się przydarzył. Wraz z kumplami uśmiechał się za każdym razem, gdy pojawiała się wychudzona, zniechęcona postać. Salutując kiwał im małym palcem, kiedy przechodził. Ale Summers nie stanowił wyjątku. W tak wielkim obozie, skupisku tak wielu młodych, niedoświadczonych ludzi, homoseksualizm nie był czymś odosobnionym. Wyśmiewano te upodobania, potępiano powszechnie, ale wielu w tajemnicy oddawało się tej zakazanej przyjemności. Hodges nawet raz sam tego spróbował, lecz jak na niego było to zbyt bolesne i wymagało „zbyt wiele cholernie ciężkiej pracy”. Czasami uśmiechał się do siebie podczas nocnej warty,

wyobrażając sobie te wszystkie penisy, strzelające potajemnie ku gwiazdom, pompowane przez tysiące rąk w całym obozie.

Ale pewnego dnia Summers zaproponował to niewłaściwemu rekrutowi. Był to chłopak o gładkiej cerze i dziewczęcej figurze, lecz - co niestety Jednoręki Kapitan odkrył zbyt późno - należał do paczki z północnej, niebezpiecznej dzielnicy Londynu. Chłopak powiedział mu, dokąd może sobie pójść i co zrobić, po czym szantażem wymuszał od niego różne przywileje i funta czy dwa dla siebie i swoich przyjaciół.

Trwało to przez kilka miesięcy, dopóki nie dowiedział się, że wkrótce zostanie wysłany na front. Zaczął podejrzewać, że Summers ma z tym coś wspólnego. Wraz z trzema innymi kumplami ze swojej paczki zasadził się na niego na pustym odcinku drogi prowadzącej do obozu. Wiedzieli, że Summers będzie wracał samotnie na rowerze. Spotykał się często z młodymi chłopcami z miasta i zawsze wracał sam; wolał jechać na kupionym używanym rowerze, niż prosić o podrzucenie oficerów mających samochód czy też korzystać z autobusu.

Czterech młodych mężczyzn czekało cierpliwie. Popijali piwo i chichocząc opowiadali, co zrobią z kapitanem, gdy go dostaną w swoje ręce.

W końcu, po godzinnym prawie oczekiwaniu, dostrzegli go jadącego w ich stronę po ciemnej szosie. Zaczekali, aż podjedzie bliżej, i wyskoczyli, powstrzymując okrzyki radości i wściekłości w obawie, że ktoś przechodzący w pobliżu może ich usłyszeć. Zaczęli go brutalnie bić, uważając, by ich nie rozpoznał. Skowyt przerażenia i bólu urwał się po silnym kopnięciu w gardło. Summers podkulił nogi i skrył głowę między ramionami, lecz nieustające kopniaki i uderzenia zmusiły go do wyczołgania się na środek drogi. Wtem, wśród krzyku, napastnicy usłyszeli warkot silnika nadjeżdżającej ciężarówki i spostrzegli zbliżający się blask reflektorów.

Korzystając z niespodziewanej przerwy w napaści, Summers podniósł się i utykając pobiegł na drugą stronę drogi.

Zanim jego prześladowcy zorientowali się, co się dzieje, przeturlał się przez ogrodzenie. Wrzeszcząc dwóch pognało za nim, pozostała dwójka zdecydowała, że rozsądniej będzie pobiec w przeciwnym kierunku i skryć się w przydrożnych zaroślach, dopóki ciężarówka nie przejedzie. Chłopak o dziewczęcej budowie ciała był jednym z tych, którzy pobiegli za Summersem. Nie miał najmniejszego zamiaru pozwolić oficerowi tak łatwo uciec.

Summers biegł przez pole, potykając się; gnała go panika, a głucho dudnienie butów o trawę za jego plecami dodawało mu sił. Nie zwracając uwagi, dokąd biegnie, dotarł do ogrodzenia z drutu kolczastego. Nie zauważył ustawionych wzdłuż zasieków, w regularnych odstępach, tablic ostrzegawczych, zresztą zapewne i tak nie zrozumiałby ich znaczenia, nawet gdyby je dostrzegł. Był zbyt przerażony, by myśleć. Jęk bólu, który wyrwał mu się z ust, gdy jakiś kolec rozorał mu policzek, wywołał nowe wrzaski i głośne przekleństwa z tyłu. Przeszedł przez ogrodzenie, rozdzierając mundur i kalecząc ciało, po czym biegiem ruszył przed siebie, prosto na pole minowe.

Chłopak trzymał się uparcie tuż za nim, nie zwracając uwagi w ogarniającym go szale na znaki ostrzegawcze. Z kieszeni spodni wyjął nóż, pewny, że za chwilę dopadnie swą ofiarę. Kumple wołali go, ostrzegając przed niebezpieczeństwem, krzyczeli, żeby wracał. Ale on był zbyt blisko Summersa. Kapitan upadł na kolana i podniósł jedną rękę ku nadbiegającemu napastnikowi, jakby chciał go zatrzymać; jęczał i skomlał, błagał o darowanie mu życia.

Prześladowca uśmiechnął się. Nie miało już znaczenia, że ten pedał go rozpoznał. Z początku wcale nie zamierzał dopuścić do tego, by sprawy zaszyły aż tak daleko, ale teraz podjął decyzję. Wkrótce będzie już poza granicami kraju, być może zginie w tej pierdolonej wojnie. Kapitan musi za to zapłacić. Nikt się nie dowie, kto to zrobił. Summers był znany pederasta, więc każdy mógł to zrobić. Podniósł do góry nóż, obserwując z przyjemnością strach w oczach ofiary.

Uśmiech okrucieństwa nie schodził mu z twarzy, gdy zbliżał się powoli w stronę oficera.

Wybuch zabił go w jednej sekundzie; ciało zostało wyrzucone w powietrze jak liść poderwany przez wiatr. Kapitanem cisnęło w tył; upadł, lecz gdy spróbował usiąść, nie znalazł podparcia w prawym ramieniu. Gdy obrócił się, by dociec przyczyny, zarejestrował otepiałymi zmysłami, że nie ma ręki.

Znaleziono go później siedzącego pośrodku pola minowego. Ścisnął zakrwawiony kikut prawej ręki i zastanawiał się nad tym, co stało się z resztą ramienia.

Wszyscy w obozie wiedzieli, co zaszło poprzedniej nocy, chociaż sprawę szybko zatuszowano. Było to powodem małego zamieszania. Hodges wraz z tysiącami innych upajał się każdą chwilą. Summers został oczywiście zwolniony z dalszej służby ze względów zdrowotnych - jednoręki kapitan był nieużyteczny na wojnie. Hodgesa w kilka miesięcy później wysłano na front i wkrótce zapomniał o tym zdarzeniu, myśląc jedynie o tym, jak przeżyć. Dopiero jakieś pięć lat temu, kiedy wprowadzał nowego zastępcę do gabinetu pana Haywarda, zdał sobie sprawę, że go zna. Summers oczywiście go nie rozpoznał, lecz Hodges przypomniał sobie wszystko na widok tej jednorękiej, chudej, znienawidzonej postaci. Bił się z myślami, czy powinien powiadomić dyrektora, czy też nie; mężczyzna taki jak ten nie powinien przebywać z młodymi chłopcami. Postanowił jednak, że nic nie powie, może przynieś mu to kiedyś jakieś korzyści. Cóż, miał rację, dzisiejszy dzień tego dowiódł. Lubił czasami dawać Summersowi do zrozumienia, że coś wie o jego przeszłości. Nic wprost, rzecz jasna, tylko poprzez jakąś pozornie luźną uwagę o swoim pobycie w wojsku, o wojnie, o „zboczeniach”, które wtedy występowały. Były to aluzje tak subtelne jak lekki wiaterek, lecz Summers często spoglądał na niego niczym na niezagrzebane psie gównno.

Wysączył do końca herbatę, pociągnął z butelki długi łyk whisky, obtarł usta wierzchem dłoni, po czym wziął nożyce

ogrodowe, chcąc przystrzyc żywopłot obok głównego wejścia. Nie zwracał uwagi na dotkliwy ból głowy, tłumacząc go uderzeniem otrzymanym poprzedniego dnia. Skierował się po schodach na górę.

Summers był zajęty pisaniem raportu dla Rady Nadzorczej szkoły o przebiegu wypadku autobusowego. Pełną winą obarczył Hodgesa, wskazując, że kierowca rozwijał nadmierną szybkość w niesprzyjających warunkach. W końcu odłożył pióro i usiadł głęboko w fotelu, uśmiechając się z zadowoleniem. Przeczytał szybko raport raz jeszcze, dodając gdzieś tam kilka wyrazów, skreślając zdanie i wpisując inne, dopóki nie upewnił się, że jemu samemu nie będzie można niczego zarzucić.

Przecież to był głównie pomysł dyrektora, aby Summers pojechał na Równinę ze swoją klasą, bo pod koniec roku szkolnego uczniowie nie mogli już usiedzieć na miejscu. Doprawdy, gdyby on sam o tym decydował, kazałby chłopcom zrobić dwadzieścia okrążeń wokół terenu szkoły; wtedy by im się wszystkiego odechciało. Potarł mocno oczy, a po odjęciu ręki zaczął gwałtownie mrugać. Przekłęty ból głowy! Przez cały ranek odczuwał ostry ból oczu, trwający za każdym razem tylko parę sekund, lecz mimo to bardzo przykry...

Zebrał kartki swojego długiego raportu, zadowolony, że może je już dać do przepisania sekretarce szkolnej, pani Thorson. Tylko to, że raport musi być podpisany zarówno przez niego, jak i przez dyrektora, powstrzymało go przed dodaniem kilku krytycznych uwag na temat sposobu prowadzenia szkoły. Nieważne, i tak może je przekazać Radzie, wykorzystując swe znajomości.

I to, mój przyjacielu - uśmiechnął się do siebie wstając - niweczy twoje plany, jakiegokolwiek by one były. Podszedł do okna, myśląc wciąż o zniechęconym przez siebie kierowcy. Był przekonany, że spotkał tego człowieka dawno temu, gdy był jeszcze w wojsku, ale nie mógł sobie przypomnieć, w

którym to było obozie. Niepokoiło go coś w zachowaniu tego człowieka. Jakaś rzucona od niechcenia uwaga, tajemniczy wyraz twarzy, jaki przybierał, gdy mówił o wojnie. Czy wyobrażał sobie, że może go zastraszyć? Co wiedział Hodges o jego przeszłości? Cóż, cokolwiek ten obrzydliwiec wie lub nie, przypomina mu o przeszłości. A przeszłość była tym, o czym Summers chciał zapomnieć raz na zawsze.

Podniósł kikut swej ręki, świadectwo bólu i doznanych upokorzeń. Czy Hodges znał całą historię? Czy te jego pozorne przypadkowe uwagi odnosiły się do tamtego potwornego wypadku i jego przyczyn? Nie, wojsko trzymało to w tajemnicy. Kilku oficerów, którzy służyli razem z nim, wiedziało o tej jego słabości, niektórzy z nich mieli podobne skłonności, toteż zatuszowano całą sprawę związaną z wypadkiem. On sam nie pamiętał wiele z tamtej nocy, ale nawet teraz, po przeszło trzydziestu latach, wciąż odczuwał ból w ręce, której już nie miał. Były noce, kiedy nie mógł zasnąć z powodu tępego, świdrującego bólu nie w zdrowej części ramienia, lecz w tej poniżej kikuta, gdzie od dawna nie było nic.

Ale tamten wypadek miał skutki gorsze niż samo tylko trwałe uszkodzenie ciała. Boleśniejszy był uraz psychiczny. Żądze odczuwał jeszcze długo po tym tajemniczym wydarzeniu, ale nie mógł ich już zaspokajać fizycznie. Stwierdzenie tego faktu tak nim wstrząsnęło, że myślał o popełnieniu samobójstwa. To jednak wymagałoby dużej odwagi, a on jej nie miał. Przeżywał więc psychiczne tortury i fizyczne upośledzenie nie dlatego, że był odważny, że nie poddał się złemu losowi, ale ponieważ bał się śmierci.

Na szczęście potem, po kilku latach, żądze też wygasły, co wskazywało, że jego umysł pogodził się i z kalectwem, i z impotencją. Nie odczuwał już pociągu do chłopców, których uczył, nie ciągnęło go do młodych mężczyzn, z którymi zawierał znajomości, chociaż nieodmiennie lubił obracać się w ich towarzystwie. Widok męskich ciał tryskających młodością już go nie podniecał, choć nadal podziwiał ich piękno, tak jak

człowiek pozbawiony węchu może wciąż podziwiać piękno róży.

Kątem oka dostrzegł postać sunącą główną drogą w stronę bramy. Hodges. Nie można było pomylić tego nierównego, szurającego kroku z czymkolwiek innym. Summers uśmiechnął się do siebie, czując rosnące zadowolenie, że ten człowiek wkrótce nie będzie mu już zawadzał. Ujrawszy jego obandażowaną głowę, ucieszył się, że Hodges został kontuzjowany. Zaslugujesz na więcej, pomyślał, i właśnie to cię spotka. Stary Hayward był miękki, lecz tym razem nie będzie mógł odrzucić jego wniosku, aby zwolnić Hodgesa. Raport zostanie przedłożony Radzie Nadzorczej szkoły, a jej członkowie z całą pewnością nie będą tolerować nieodpowiedzialnych poczynań ogrodnika-kierowcy-woźnego.

Odwrócił się raptownie od okna i spojrział na zegarek. Czas na obchód szkoły przed kolejnymi zajęciami. Często to robił w czasie wolnym, uważając za swój obowiązek jako zastępcy dyrektora przeprowadzanie regularnych inspekcji klas podczas zajęć. Zaglądał nawet do sypialni, by sprawdzić, czy są czyste i posprzątane, czy łóżka zostały posłane, czy w szafkach wszystko było starannie poukładane. Zdarzyło się już nieraz, że któryś z chłopców został ukarany za pozostawienie skarpetki pod łóżkiem. Lubił potajemnie szperać po szafkach chłopców, węsząc za zdjęciami pornograficznymi czy też książkami o takiej treści, za różnymi rzeczami, które były tu niedozwolone; wąchał nawet brudne chusteczki do nosa, szukając śladów masturbacji.

Uczniowie wiedzieli o jego dziwnych nawykach wynikających z przykrych doświadczeń osobistych i bardzo uważali, by nie zostawić na wierzchu żadnych kompromitujących przedmiotów. Jeden z chłopców zapomniał kiedyś schować karykaturę przedstawiającą jednorękiego mężczyznę, przypominającego Summersa, zagląającego na klęczkach przez dziurkę od klucza i podpisaną: „Uwaga, uwaga, Jednoręki Kapitan jest tu zawsze, gdy jesteś nagi”. Dowcipniś został surowo ukarany przez Summersa osobiście, a dyrektor nie został nawet o tym powiadomiony.

Summers opuścił pokój, nie zwracając uwagi na kolejny, nagły atak bólu oczu. Ściskając pod ręką raport, kroczył korytarzem, nasłuchując, co się dzieje za kolejnymi drzwiami. Gdy dotarł do sekretariatu dyrektora, wręczył zajętej czymś pani Thorson trzymane papiery. Zadowolony z jej zapewnienia, że przepisze je na maszynie jeszcze przed obiadem, ruszył na dalszy obchód. Wiedział, że swoją własną klasę znajdzie w sali gimnastycznej. Był to mały pawilon, zbudowany stosunkowo niedawno, stojący na terenie szkolnym w pewnym oddaleniu od głównego budynku Redbrook House. Klasa otrząsnęła się już z szoku po wczorajszym wypadku, kilku uczniów chwaliło się swoimi skaleczeniami przed kolegami, którzy nie wzięli udziału w wycieczce. Summers przemierzał boisko, podświadomie pragnąc zobaczyć chłopców podczas wykonywania ćwiczeń. Zaczął nucić jakąś melodię.

Hodges doszedł już prawie do głównej bramy, gdy nagle zatrzymał się. Stał tak przez kilka minut, po czym upadł na kolana, upuszczając nożyce. Ukrył twarz w dłoniach i przez kilka chwil kiwał się na przemian w przód i w tył. Potem upadł do przodu i kłęcząc na czworakach, opuścił nisko głowę, wpatrując się w ziemię. Nożyce leżały pod nim, odcinając się jasno od cienia rzucanego przez jego ciało. Przesunął się na czworakach, chwycił je, podniósł ostrzami do góry, na wysokość oczu, patrząc na nie bezrozumnie. Następnie otworzył je i zamknął szybkim ruchem, po czym wstał powoli. Obrócił się i ruszył z powrotem w stronę szkoły, mocno ściskając obiema rękami trzymane przed sobą nożyce; trzymał je jak różdżkarz poszukujący wody. Wszedł głównym wejściem do starego budynku, minął otwarte drzwi sekretariatu dyrektora. Pani Thorson zerknęła tylko na niego, pisząc coś szybko na maszynie. Idąc korytarzem na tył szkoły, dostrzegł przez otwarte na boisko drzwi ubraną na czarno postać, zmierzającą żwawym krokiem w stronę sali gimnastycznej. Chuda, zniechęcona postura... Wiedział, do kogo należała. Poszedł za nią.

Chłopcy przerwali nagle ćwiczenia i stanęli w bezruchu. Krępy nauczyciel gimnastyki, pan Osborne, skakał teraz sam, wyrzucając ramiona i nogi w bok: raz - dwa, raz - dwa! Skakanie przerwał jeden z chłopców, a reszta jak jeden mąż poszła w jego ślady. Stali, sztywno wyprostowani, patrząc na ćwiczącego nauczyciela, z rękami wzdłuż tułowia, nic do siebie nie mówiąc, ale coś ich wewnętrznie łączyło. Osborne przestał w końcu skakać i spojrzał na chłopców.

- Kto kazał wam przestać? - zagrział. - Co?

Chłopcy patrzyli na niego.

- Ćwiczyć dalej, i to już! - Osborne zaczął znowu skakać w miejscu, lecz zaraz przestał, gdyż nikt nie poszedł za jego przykładem. Szybkim krokiem podszedł do stojącego najbliższego ucznia. Nie mógł pojąć tej nagłej zmiany w zachowaniu klasy, podejrzewał, że padł ofiarą żartu. Chociaż był bardzo porywczy i reagował różnie, często ostro, na każde nieposłuszeństwo uczniów, to jednak był przez nich lubiany. Dla niektórych był nawet bożyszczem. Jego umiejętności we wszystkich dziedzinach sportu wzbudzały respekt nawet u kolegów nauczycieli.

- Co to za zabawa, Jenkins? - zwrócił się do stojącego przed nim bladego chłopca.

Wargi ucznia poruszyły się, lecz nie wydostał się z nich żaden dźwięk. Osborne odsunął go szorstko na bok i podszedł do następnego.

- No, Clark, co to wszystko ma znaczyć, co?

Clark, jeden z jego ulubieńców, rokujący, że zostanie dobrym sportowcem, nie wyrzekł ani słowa, tylko gapił się tępym wzrokiem w twarz nauczyciela, jakby go nigdy przedtem nie widział.

- Dobra, dobra, macie już ten swój dowcip. Daję wam pięć sekund, żebyście znowu zaczęli robić wymachy! - Stał pośrodku między nimi: - Raz...

Nie zauważył Clarka, który szedł za jego plecami w kierunku leżącego na jednej z ławek pod ścianą sali kija do krykieta.

- ...Dwa... Ostrzegam was, chłopaki, wszystkim wam się za to dostanie! Trzy...

Clark podniósł kij i zaczął zmierzać w stronę rozłożonego nauczyciela.

- Cztery. To wasza ostatnia szansa... Gdy jego usta formowały się w słowo „pięć”, Clark podniósł wysoko kij i z całej siły uderzył prosto w dół, trafiając Osborne'a w tył głowy. Nauczyciel zatoczył się do przodu, a salę wypełnił trzask drewna uderzającego o kość czaszki. Złapał się za głowę, zgiął w pół, oślepiiony bólem, odwrócił się i ujrzał, jak ciężki kij ponownie zbliża się do jego głowy. Krzyknął przerażony i zaskoczony i w chwilę potem otrzymał drugi cios.

Osunął się na podłogę, wciąż zachowując przytomność, lecz ból pozbawił go możliwości ruchu. Gdy otrzymał kolejne uderzenie, padł do przodu, a krew spływająca wzdłuż karku zaplamiała niebieski dres. Jak na umówiony sygnał, chłopcy rzucili się na nauczyciela, wrzeszcząc w dzikiej furii i depcząc jego bezwładne ciało. Zdarli z niego spodnie, po czym przewrócili go na plecy, bijąc i kopiąc odsłonięte genitalia. Kilku z nich opuściło majtki i podkoszulki i zaczęło masować swoje nabrzmiałe już prącia. Jeden z mniejszych chłopaków skoczył na ciało trenera i próbował wejść w nie jak w kobietę, ale został odciągnięty i przewrócony na ziemię przez pozostałych. Ściągnęli górną część dresu Osborne'a i całkowicie nagięgo powlekli ku drabinkom na ścianach sali. Z góry zwisały liny do wspinania. Chłopcy unieśli Osborne'a i zręcznie oparli go o szczeble. Dwóch zaczęło wspinać się po obu stronach, by owinąć zwisające liny wokół drążków i związać nadgarstki nauczyciela nad jego głową. Potem wepchnęli jego stopy pomiędzy dolne szczeble.

Podczas gdy część uczniów pluła, kopała, biła pięściami czy też tylko złorzeczyła wiszącemu nauczycielowi, pozostali pobiegli w stronę dużego kozła do skoków, z którego wyciągnęli bramki do krykieta, skakanki i resztę kijów krykietowych. Jeden taszczył ciężką piłkę lekarską. Krzyki i śmiechy uciszyły się, gdy stanęli półkolem wokół jęczącej postaci. Krew z głowy Osborne'a spływała po ciele, kiedy skręcał się

w agonii. Wtedy po kolei zaczęli go masakrować bramkami krykietowymi, chłostać drewnianymi uchwytami skakanek. Jeden z silniejszych uczniów zmiażdżył mu kijem genitalia, zadając ciosy na przemian w kolana i w części intymne. Clark podniósł piłkę lekarską i rzucił nią w głowę nauczyciela. Pod wpływem ciosu głowa odbiła się o szczebel drabinki. Twarze wszystkich chłopców miały ten sam zwierzęcy wyraz wściekłości; ich oczy były rozszerzone, usta na wpół rozwarłe, ciekły z nich strużki śliny. Anormalne podniecenie wywołane tym, co robili, pozbawiało ich wszelkich cech człowieczeństwa. Dotyczyło to wszystkich, oprócz jednego małego chłopca. Drżąc, leżał skulony w odległym zakątku sali. Zbyt przerażony, by uciekać, nie mógł oderwać oczu od nieprawdopodobnego obrazu rozgrywających się wydarzeń. Był to chłopiec, któremu poprzedniego dnia nie pozwolono wziąć udziału w wycieczce z powodu dopiero co przebytej choroby. Kulił się, obejmując ramionami podciągnięte wysoko kolana, przycisnął głowę mocno do piersi w nadziei, że nikt go nie dostrzeże.

Summers dotarł do wejścia na salę i zatrzymał się. Ból głowy stawał się coraz ostrzejszy. Otarł chusteczką spotniałe nagle czoło. Coś się ze mną dzieje, pomyślał. Być może wypadek ma poważniejsze skutki, niż sądziłem. Och, co z tego, niedługo skończy się rok szkolny i będę miał kilka miesięcy na odpoczynek i na zapomnienie o tych nieznośnych chłopakach.

Otworzył drzwi i znów się zatrzymał. Usta rozwarł w bezgłośnym krzyku, nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Chłopcy, przeważnie nadzy, wili się wokół czegoś różowo-czerwonego zwisającego ze szczebli drabinek. Wyglądało to jak kawał rzeźniczego mięsa. I wtedy uświadomił sobie, że to Osborne. Na pewno martwy; głowa zwieszona na piersi, zwisające bezwładnie ręce podtrzymywane jedynie linami. Teraz zauważył, że całe ciało było poranione i potłuczone. Krew spływała obficie z rany na głowie. Dostrzegł, że stopy kilku chłopaków były czerwone od krwi rozlewającej się w kałużę na podłodze. Odwrócili się ku niemu, gdy zrobił krok do przodu,

nie mogąc wydusić z siebie słowa. Zobaczył, że na ziemi leży kilku uczniów pogrążonych w ekstazie masturbacji, a niektórzy połączyli się w pary. Wiedział, co zrobili z wiszącym ciałem, jak bardzo musieli je katować, że tak wyglądało. Skierował spojrzenie na patrzących na niego chłopców, jego chłopców, tak czystych w swej niewinności, tak okrutnych w swym szaleństwie. Stojących przed nim, wspaniałych w swej nagości.

Nagle poczuł podniecenie. Podniecenie w miejscu, w którym nic się nie działo przez tak wiele lat. Mgła zaczęła mu przesłaniać oczy, potrząsnął gwałtownie głową. I wtedy uśmiech pojawił się na jego ustach.

Ruszył do przodu w stronę milczących uczniów.

- Tak - powiedział gwałtownie. - Tak, tak!

Hodges kroczył przez boisko, wciąż trzymając przed sobą nożyce. Spojrzenie miał utkwione w drzwi na wprost. Dotarł do nich i otworzył je pchnięciem. Jego twarz nie zdradzała żadnego zaskoczenia, gdy ujrzał przed sobą jednoznaczna scenę. Dwóch mężczyzn wisiało przywiązanych do drabinek na przeciwległych ścianach. Jeden zwisał nieruchomo i cicho; jego ciało było tak zmasakrowane, że nie można było rozpoznać jego płci. Drugi wił się i jęczał, lecz nie z bólu, tylko z rozkoszy, jaką sprawiał mu ból. Jedna jego ręka była przymocowana za nadgarstek do drewnianej poprzeczki, drugie ramię chłopcy przywiązali między ramieniem a łokciem, ponieważ nie miało nadgarstka” Jego stopy były uwięzione w dolnych szczeblach drabinek. Obaj mężczyźni byli nadzy. Hodges dostrzegł dużego penisa w stanie erekcji u tego, który wydawał się żywy. Chłopcy uderzali w narząd drewnianymi kijami, inni biczowali mężczyznę za pomocą lin. Mężczyzną tym był Summers. Jego oczy błyszczały z podniecenia, potrząsnął w ekstazie głową.

- Jednoręki Kapitan - powiedział głośno Hodges.

Wszystkie spojrzenia zwróciły się ku niemu. Nawet Summers obrócił głowę w jego kierunku, przestając się wić. Hodges ruszył do przodu, wymachując groźnie wielkimi nożycami, rozwierając je szybko i zwierając. - Jednoręki Kapitan - powtarzał cały czas, krocząc ku bezbronnej postaci. Makabryczny uśmiech wykrzywił mu twarz.

Summers uśmiechnął się także, kiedy stanął przed nim Hodges, któremu z ust ciekła ślina. Oddech Summersa przeszedł w urywane, ostre zachłyśnięcia, gdy wpatrywał się wyczekująco w ogrodnika. Hodges opuścił spojrzenie wzdłuż obnażonego torsu przed sobą i utkwił je w dużym, naprężonym penisie. Uchwycił go jedną ręką i zachichotał gardłowo, a po chwili zaczął się śmiać szaleńczo głośno. Summers też się śmiał i kiwał głową w sposób zupełnie bezsensowny.

Hodges uwolnił pulsujący członek i powolnym ruchem uniósł nożyce, tak że penis znalazł się pomiędzy dwoma ostrzami.

- Tak, tak - zapał Summers; całe jego ciało wyprężyło się w ekstazie.

Chłopcy patrzyli w milczeniu, jak ostrza połączyły się. Krzyk odbił się echem o ściany sali.

Rozdział siódmy

Holman niecierpliwie bębnił palcami o przycisk windy. Oddychał ciężko; wysiadł z taksówki, którą wracał do siebie, do mieszkania na St. John's Wood. Wpadł w normalny o tej porze zator uliczny. Zaskoczenie kierowcy taksówki szybko ustąpiło miejsca zadowoleniu, gdy zmiął w rękę kilka funtowych banknotów, które Holman wcisnął mu do ręki. Na szczęście korek utworzył się niedaleko jego domu, lecz biegnąc potem szybko ulicą, z trudem łapał oddech i zaczął odczuwać bolesne klucie w boku. Zaatakował z furią przycisk jeszcze raz, chociaż wiedział, że nie ściągnie to windy wcześniej, ale nie mógł stać beczynnym. Winda nadjechała w momencie, gdy zastanawiał się, czy nie użyć schodów. Odtrącił kobietę w średnim wieku o niebieskich włosach, która wyłoniła się z windy. Posłała mu spojrzenie pełne obrzydzenia przez zamykające się drzwi, przemawiając do swego pekińczyka, że tacy młodzi i niewychowani ludzie powinni zostać wychłostani i wysłani do zamiatania ulic.

Holman niecierpliwie uderzał pięścią w miękko obitą ścianę windy, gdy ta powoli pięła się do góry. Na pewno będzie wszystko w porządku. Podczas tego wypadku we mgle nie wychodziła z samochodu, więc mgła nie mogła wyrzucić na nią żadnego wpływu. Ale co z nim samym? Czuł się do brze, chociaż był wystawiony na jej oddziaływanie przez

dłuższy czas. No, a Spiers? Przyznał, że wjechał w mgłę w drodze do niego. Czy mogła to być ta sama mgła? Przypominał sobie tę ledwie wyczuwalną kwaśną woń, żółty kolor zawiesiny; wtedy wydawało mu się to wszystko znajome, a teraz zaczęło się wyłaniać z pamięci to, co się zdarzyło w chwili rozstapionej ziemi. Mgła wypłynęła z głębi - żółta, ostro pachnąca. Czy to było to samo? Czy to stało się powodem jego szaleństwa? A może jeszcze nie odzyskał zdrowych zmysłów?

Poczuł drgnięcie zatrzymującej się windy. Zaczął otwierać rozsuwające się drzwi i prześlizgnął się przez nie, gdy utworzyły wystarczająco dużą szparę. Dotarł do swego mieszkania, szarpiąc się z ubraniem, szukając kluczy. Starał się uspokoić, pragnął jedynie tego, by nie wyjść na głupca, jeżeli wszystko okaże się w porządku. Otworzył drzwi i wstrząsnął nim zimny dreszcz, gdy ujrzał, że mieszkanie jest pogrążone w półmroku. Możliwe, że Casey jeszcze spała i nie zawracała sobie głowy odsunięciem zasłon. Ależ nie, przecież on sam odsłonił je dzisiaj rano. Stał w progu i zawołał ją po imieniu, nie za głośno, żeby jej nie przestraszyć. Podszedł do na wpół uchylonych drzwi prowadzących do największego pokoju. Pchnął je szerzej, wszedł do środka i zapalił światło. Pokój był pusty. Wszystko wyglądało tak, jak zostawił, z wyjątkiem zaciągniętych zasłon. Zajrzał do kuchni. Nikogo. Podszedł cicho pod drzwi sypialni, nacisnął klamkę i otworzył je delikatnie.

- Casey?

Cisza.

Dostrzegł łóżko pogrążone w nikłej poświacie, ale nie był pewien, czy rozrzucona pościel kryła śpiące ciało. Wszedł do pokoju i ruszył w stronę łóżka.

Tylko ostry i suchy śmiech, który usłyszał za plecami, uratował mu życie. Odwrócił się raptownie i ruch ten spowodował, że kuchenny nóż, którym Casey celowała w jego plecy, chybił celu, rozrywając mu jedynie rękaw. Syknął z bólu, gdyż ostrze rozdarło długim cięciem mięsień, a siła uderzenia spowodowała, że przewrócił się, unikając w ten sposób

ponownego ciosu. Stała nad nim; zawsze tak bliska, była teraz kimś obcym. Jej oczy były zimne, usta zaciśnięte w grymasie przypominającym zastygły uśmiech martwych zwierząt. Jej jasnobrunatne włosy spadały bezładnie na twarz, jak gdyby przed chwilą zaskoczył ją deszcz. Na jej twarzy zobaczył długie krwawe bruzdy wyżłobione paznokciami. Strużka śliny spływała po delikatnym podbródku. Ścisnęła nad głową nóż, a suchy, piskliwy śmiech znów wydobył się z jej krtani. Znowu opuściła gwałtownie nóż, lecz tym razem Holman był przygotowany. Zrobił unik i spróbował złapać ją za przegub, lecz bez powodzenia. Gdy ponownie uniosła nóż, celując długie, wykrzywione ostrze w jego brzuch, schwycił i odepchnął jej ramię, a drugą ręką objął ją w talii.

Ich głowy znalazły się blisko siebie, prawie zetknęły się ze sobą; wtedy niespodziewanie zatopiła zęby w jego policzku i zacisnęła, wbijając je mocno i głęboko. Szarpnął głową do tyłu, czując, że skóra się rozdziera, lecz nie odczuwał żadnego bólu. Przewrócili się na łóżko. Warczała z zaciśniętymi wargami, gdy walczyli o nóż, paznokcie wolnej ręki starała się wbić w jego twarz. Wykręcił jej rękę w przegubie, chcąc, by wypuściła nóż, ale stwierdził, że jest nieprawdopodobnie silna. Wsunął więc jej dłoń pod podbródek - nie chciał zrobić jej krzywdy, ale nie miał wyboru. Pchnął go do góry; odchylając jej głowę i wyprężając szyję, zmusił ją do zachłyśnięcia się. Dopiero gdy usłyszał prawic zwierzęce skomlenie, zwolnił chwyt, bojąc się, że zrobi jej coś złego. Gdy poczuła, że lekko rozluźnił mięśnie, uderzyła go kolanem między nogi. Krzyknął w nagłym skurczu bólu i zgiął się wpół, zwalniając uścisk jej nadgarstka. Wyrwała rękę i odskoczyła, śmiejąc się zwycięsko.

Uklękała na łóżku tuż za nim i gdy walczył o łyk powietrza, po raz kolejny uniosła nóż nad głowę, trzymając go obiema rękami. Widok ten spowodował, że zapomniał o bólu. Kopnął Casey w żołądek, zrzucił ją z łóżka i rozciągnął na podłodze. Uniósł się z trudem na łokciu; oboje dyszeli teraz ciężko,

starając się złapać powietrze. Nóż leżał gdzieś w ciemności, nie mógł dostrzec, gdzie. Uklękła na kolana, z jej oczu wyzierała żądza mordy, zęby odsłoniła w grymasie wściekłości i nagle skoczyła do przodu, ramionami zagarniając powietrze, drapiąc palcami w poszukiwaniu jego oczu. Chwyił jej ręce, gdy całym ciężarem upadła na niego, po czym wygiął się w łuk, chcąc zrzucić ją z siebie, ale odniósł tylko częściowy sukces. Stoczyli się z łóżka, zaplątawszy się w pościeli, która krępowała im ruchy. Plunęła na niego, jej oczy błyszczały furją, a z głębi jej gardła dochodził stłumiony charkot. Uderzył desperacko, nadal obawiając się ją zranić, lecz wiedział, że będzie do tego zmuszony, jeśli ma powstrzymać ją przed zrobieniem krzywdy jemu i prawdopodobnie także sobie.

Potoczyli się po ziemi, pociągając za sobą pościel. Casey udało się uwolnić z uchwytu; uniosła się na jednym kolanie, choć pościel wciąż krępowała jej ruchy. Wyciągnął ku niej rękę i chwycił za bluzkę. Ta rozdarła się, gdy Casey rzuciła się do tyłu, ukazując małe piersi. Widok ten spowodował, że Holman zawahał się, zatrzymał na chwilę. Tak jakby jej nagłość, widok miękkiego, bezbronnego ciała uczynił ją bezbronną. Bezradną.

Lecz słysząc jej śmiech, szybko zapomniał o litości. Szarpnął, chcąc uwolnić się z pościeli. Ten śmiech zmroził mu krew w żyłach: to było rżenie szalonej kobiety. Skoczył ku niej.

Odepchnęła jego wyciągnięte ramiona i przeczołgała się na drugą stronę łóżka ze zwinnością, która go zaskoczyła. Nieporadnie poczołgał się za nią; nogi miał wciąż uwięzione w pościeli. Zdążył przewrócić się na bok, gdy rzucona przez nią nocna lampka spadła tuż koło jego głowy. Syknął, gdy trafiła w zranione ramię. Wołał głośno jej imię, jakby to mogło przywrócić jej zmysły. Przerzucając nogi przez łóżko i pociągając za sobą pościel, zwłókł się na ziemię i upadł koło niej. Kopnęła go w twarz i ogłuszyła, trafiając w szczękę. Cios odrzucił go w tył, na bok łóżka. Przestał bać się, że zrobi jej krzywdę. Będzie musiał walczyć z nią, jakby walczył z mężczyzną - czy

też raczej z wściekłym psem. Spostrzegł, że sięga po coś leżącego na podłodze. Zrozumiał, że to musi być nóż. Gdy znów ruszyła ku niemu, odepchnął się od łóżka i cofnął, nie spuszczać jej z oczu. Zapomniał o uczuciu, które dla niej miał - teraz była jego wrogiem. Nadchodziła powoli, przestała warczeć, lecz twarz miała nadal wykrzywioną grymasem uśmiechu. Ich wzajemne ruchy były powolne, odmierzone, jak ruchy kota zbliżającego się do przerażonej myszy. Nagle rzuciła się do przodu, unosząc w górę nóż, by zadać śmiertelny cios. Z jej ust wydarł się ryk. Ale Holman prześlizgnął się pod opadającym ramieniem i znalazł się teraz za nią. Gdy odwróciła się, był już w drodze do drzwi sypialni; czuł na sobie przerażające ostrze, wiedział, że było tylko o metr lub dwa od jego odsłoniętych pleców. Dotarł do drzwi, schwycił i przekręcił klamkę, by zatrasnąć je za sobą. Usłyszał uderzenie noża wbijającego się w drewnianą framugę, a po chwili odgłos jej ciała walącego w drzwi. Jednym silnym pchnięciem natychmiast je otworzył - uderzyły w dziewczynę, odrzucając ją gwałtownie w tył i zmuszając do rozluźnienia ręki trzymającej nóż. Upadła na ziemię z okrzykiem wściekłości raczej niż bólu; sukienka podwinęła się jej aż po biodra, odsłaniając widok, który podniecił Holmana, mimo jego trudnego położenia. Skoczył na nią i przycisnął do podłogi całym ciężarem swego ciała, ale ona wciąż się wrywała. Jej niesłabnąca siła zdumiała Holmana. Rozsunęła nogi, próbując się uwolnić; leżał teraz pośrodku, twarzą blisko jej twarzy, ściskając wątle ramiona nad jej głową. Poczul, że mu sztywnieje - pozycja uprawiania miłości i podekscytowanie połączone ze strachem odciągnęły jego uwagę od niebezpieczeństwa i skierowały w stronę prymitywnych potrzeb ciała.

- Casey - wy dyszał przywierając do niej - Casey!

Ukąsiła go w już raz zranioną szyję, głęboko i mocno, do krwi. Krzyknął, próbował się odsunąć, lecz Casey nie puszczała go, unosząc głowę wraz z nim. Poczul, że jego skóra znowu się rozdziera, gdy zatopila zęby jeszcze głębiej w szyi.

Uwolnił się z uścisku jej ręki, ale wtedy schwyciła go za włosy. Zaciśnął pięść. Uderzył ją w żebra, lecz wciąż go nie puszczała. Desperacko, nie zwracając uwagi na ból, podciągnął kolano tak, że znajdowało się teraz wysoko między jej nogami, wygiął się, by zrobić trochę miejsca między nimi. Wtedy ponownie uniósł pięść i uderzył ją mocno w brzuch.

Casey opadła głową na ziemię i leżała, chwytając powietrze przez skrwawione usta. Nogi podciągnęła pod siebie, wolną rękę przyciskała do żołądka. Wówczas uderzył ją w twarz. Silny, okrutny, szybki cios odrzucił jej głowę w bok. Podniósł ją na nogi, po czym uderzył jeszcze raz, ponownie przewracając ją na podłogę. Na widok leżącej, jęczącej, szlochającej dziewczyny minęła mu wściekłość.

Ukląkł obok niej i wziął ją w ramiona, czule kołysząc.

- Och, Casey, przepraszam, kochanie - powiedział łagodnie. Zapomniał o jej szaleństwie, myślał jedynie o bólu, którego był sprawcą. Ale gdy ją tulił, jej oddech stawał się coraz szybszy; poczuł, że jej ciało sztywnieje, a skamlenie przerażda się w lekki pomruk. Rozejrzał się prędko po pokoju i dostrzegł potargane prześcieradło leżące na podłodze. Położył ją, modląc się, by nie miała siły się poruszyć, i sięgnął po nie, pociągając ku sobie. Jej ramiona zaczęły się wznosić i opadać, tym razem nie z braku powietrza, ale z powodu narastającej furii. Podniosła się na łokciu. Szybko pchnął ją z powrotem na podłogę i obwiązał, przyciskając jej ręce do pleców. Zaczęła wierzgać, ale usiadł na niej. Gdy krępował jej ręce skrzyżowanym prześcieradłem, rzucała głową, nieczuła na ból. I nagle, niespodziewanie, opadła bezwładnie, jej oczy stały się nieobecne, jakby znajdowała się w głębokim katalptycznym transie. Ślina, różowa od jego krwi, kapiała z jej tak kiedyś słodkich ust na ziemię.

Obrócił ją i z niepokojem starł cienką warstwę potu z jej brwi. Patrzyła bezrozumnie przed siebie. Podniósł ją delikatnie i przeniósł na łóżko, podkładając poduszki pod głowę i ramiona. Nasunął rozdarte części podartej bluzki, zakrywając piersi, te prześlizczone małe piersi, które miłośnicie całował tak

często; ułożył spódniczkę zakrywając uda, te miękkie uda, które też całował tak wiele razy przedtem. Potem wytarł ślinę i krew wokół jej ust skrajem prześcieradła, przypominając sobie o ranie, którą na nowo rozdarła mu zębami. Przyłożył chusteczkę do szyi i syknął z bólu, który dopiero teraz odczuł. Zauważył, że chusteczka jest zaplamiona krwią, ale nie sądził, by rana była zbyt poważna.

Usiadł w panującym półmroku, wpatrując się w dziewczynę; jedną ręką przykładał chusteczkę do szyi, drugą położył delikatnie na jej kolanie. Nie zareagowała, gdy spokojnie wypowiedział jej imię. Jaki wpływ, jak duży, miał na nią ten gaz, ta mgła, czy cokolwiek to było? Czy będzie jeszcze kiedykolwiek normalna? Czy będzie usiłowała się zabić, tak jak to zrobił Spiers? Przecież on sam też próbował rzucić się w przepaść, a później ciął własne gardło odłamem szkła. Tamta mała dziewczynka umarła na skutek działania mgły, ale ona znajdowała się pod jej wpływem bardzo długo, tak jak i on, uwięziona wewnątrz tej straszliwej dziury; jej dziecięcy umysł nie poradził sobie z jej skutkami. Jego jedyną nadzieję stanowił fakt, że Casey nie pozostawała pod wpływem mgły zbyt długo. Prawie przez cały czas była w samochodzie. Ale czy stanowi to jakąś różnicę? Czy krótkie oddziaływanie mgły było tak samo groźne jak każde inne? To się okaże w najbliższych dniach. Teraz mógł tylko przewieźć ją do szpitala, oddać pod opiekę lekarzy i czekać, aż to przejdzie, albo... Odrzucił tę myśl. Lekarze powiedzieli mu wtedy, że bardzo niewiele mogli zrobić, oprócz podawania mu środków uspokajających; prawdziwa walka toczyła się w jego mózgu, do którego nie mogli dotrzeć. Chyba że przeprowadziliby trepanację czaszki, co jednak mogło mieć fatalne skutki. Czy jej mózg będzie wystarczająco silny, by oprzeć się temu, co go niszczyło?

Siedział tak w mroku zasuniętych zasłon jeszcze dziesięć minut, aż w drzwi załomotała policja.

Podszedł szybko do drzwi, obawiając się zostawić Casey samą. Był zaskoczony widząc policję, lecz natychmiast zrozumiał, że wezwał ją sąsiad, zaniepokojony odgłosami walki. Było ich dwóch - jeden umundurowany, drugi ubrany po cywilnemu. Nie wiedział, czy był jeszcze jeden, pilnujący schodów na parterze.

- John Holman? - zapytał szybko cywil.

- Tak. To dobrze, że przyjechaliście...

Przerwał mu detektyw, machnąwszy legitymacją i chowając ją od razu do kieszeni. - Detektyw inspektor Barrow, mamy rozkaz aresztować pana.

- Co takiego? Och, Spiers. Sprowadźcie karet...

- Rozumiemy, że był pan tylko świadkiem, obecnym przy niedawnym, hm, wypadku w budynku Ministerstwa Ochrony Środowiska. - Detektyw był młody. Holman nie tak sobie wyobrażał detektywa. Ten miał na sobie luźny sweter i długą skórzaną kurtkę. Włosy, choć niezbyt długie, na pewno nie były „krótko z tyłu i po bokach”. Rozglądał się po mieszkaniu, wyraźnie zdziwiony panującym w nim półmrokiem.

- Tak, zgadza się. Mój szef popełnił samobójstwo, ale...

- Dlaczego pan uciekł? - rzucił detektyw, oddalając się. Otwierał wszystkie drzwi i zaglądał do środka. Holman odwrócił się w stronę wyglądającego jak byk policjanta stojącego w wejściu.

- Niech pan posłucha, musimy natychmiast wezwać karetkę - powiedział, ignorując pytanie detektywa.

- Chryste! - usłyszał i odwrócił się ponownie; ujrzał inspektora stojącego w drzwiach sypialni.

- Trzymaj go, Turner! - krzyknął przez ramię, znikając we wnętrzu pokoju. Ciężka ręka opadła na prawe ramię Holmana, gdy ruszył w stronę sypialni.

- Pan nic nie rozumie - rzekł Holman rozzłoszczony. - Musimy zawieźć ją natychmiast do szpitala. - Uwolnił ramię i pobiegł krótkim korytarzem. Ujrzał młodego detektywa siedzącego na łóżku i rozwiązującego ręce Casey. - Nie! Stój! Niech pan jej nie rozwiązuje, ona nie jest normalna! - Bolało

go, gdy wypowiadał te słowa, ale musiał spowodować, by zrozumieli. Silna łapa zamknęła się na jego szyi, a prawe ramię zostało wykręcone w tył i do góry.

- Nic nie rozumiecie! - wykrztusił.

- Och, my to dobrze rozumiemy - powiedział mężczyzna z wydziału śledczego, patrząc na niego zimnym wzrokiem. - Twój koleś powiedział nam, że z tobą było coś nie tak. Nie próbuj nam robić kłopotów, mam nastrój akurat na takiego drania jak ty - mówił spokojnie, ale za tymi słowami kryła się groźba.

Holman rozluźnił mięśnie; nie bał się tej groźby, ale zdał sobie sprawę, że w tej chwili nic nie może zrobić.

- W porządku, spokojnie. Ale musi pan ją zawieźć do szpitala - powiedział, starając się nie podnosić głosu. - Byłem w Wiltshire, gdy wystąpiło tam trzęsienie. Tam powstał gaz, on atakuje mózg...

- Na pewno zaatakował twój - powiedział detektyw, pomagając dziewczynie wstać. - Nie wiem, co jej zrobiłeś, ale spójrz na nią, zobacz jej oczy...

- Nie, nie. To nie ja. To mgła. Spiersa też złapała. Ona atakuje mózg.

- Z tego, co wiemy, nie było żadnych doniesień o gazie podczas trzęsienia.

- Ale ja tam byłem, w środku. Wewnątrz przepaści, tam gdzie był gaz!

- Tak, słyszeliśmy o jakimś uratowanym mężczyźnie i dziecku. Dzieciak nie żyje, a wierzymy na słowo, że to ty byłeś tym mężczyzną. Ale nic nie wiadomo o kimś jeszcze, tam, w dole.

- Nikogo więcej tam nie było. - Holman zaczynał tracić cierpliwość, lecz starał się panować nad sobą, wiedząc, że z pyskówki nie wyjdzie nic dobrego. - To było później, nie wtedy.

- Dobra, sierżancie, wyprowadź go stąd, mamy mnóstwo czasu na zadawanie pytań.

- Poczekajcie chwilę, jest jeszcze coś! - Holman opierał

się silnym łapom policjanta. - Szkoła! Posłuchajcie mnie! Autokar pełen dzieciaków wjechał w mgłę. Nie pamiętam, jak się ta szkoła nazywa, ale mieści się w Andover. Musicie ją znaleźć, i to szybko. Bóg wie, co tam się już do tej pory wydarzyło!

Holman bębnił niecierpliwie palcami w twarde blat stołu w jednym z wielu pomieszczeń do przesłuchań w Scotland Yardzie. Obserwował go policjant o kamiennej twarzy stojący przy drzwiach. Nic nie mówił, znudzony służbą, ale gotów był przystąpić do działania w razie najmniejszej oznaki agresywności u zatrzymanego.

- Co oni zrobili z dziewczyną? - Holman zapytał go po raz trzeci. Tak jak i przedtem, nie było odpowiedzi. - Mógłby mi pan chociaż to powiedzieć!

Holman opadł z powrotem na krzesło, widząc, że przekonywanie tego zombi nie ma sensu. Trzymano go w głównej komendzie policji ponad trzy godziny. Przez cały czas odpowiadał na te same pytania. Ich nieufność była oczywista i kiedy zostawili go samego, tylko ze strażnikiem, i dano mu czas do namysłu, zrozumiał, że nie może ich za to winić. Był jedyną osobą w pokoju, gdy wyskoczył Spiers. Przedtem słyszano ich podniesione głosy; policja nakryła go w mieszkaniu ze związaną i pobitą dziewczyną; został niedawno wypuszczony ze szpitala, do którego trafił w stanie psychicznego załamania. Fakty mówiły same za siebie i złośczenie się na to, że zadają mu wciąż te same pytania, nie miało sensu - nie przekona to ich o jego niewinności. Dziewczyna była w szoku, nie mogła więc powiedzieć, co się wydarzyło, lecz oni byli pewni, że odpowie na ich pytania później. W końcu zgodzili się sprawdzić szkoły w Andover: jeżeli stało się tam coś nie-normalnego, to wówczas jego zeznania nabiorą być może większego prawdopodobieństwa.

Poderwał głowę, gdy nieoczekiwanie otworzyły się drzwi i dwóch mężczyzn weszło do środka. Jednym z nich był młody detektyw, który go tu przywiózł. Stał na tyłu, spoglądając

lodowato na Holmana. Drugi, starszy, wyglądający na bardziej inteligentnego, usiadł w fotelu naprzeciwko. Nadkomisarz Wreford umiejętnie zaczął przepytować Holmana, pozwalając młodszemu koledze odgrywać rolę przeciwnika, aby samemu wypaść sympatycznie. Holman szybko zorientował się w tej grze. Układny, uprzejmy policjant w rzeczywistości był obserwatorem. Wreford chciał dociec, czy Holman jest niebezpiecznym szaleńcem, czy też po prostu sprytnie kłamie, kierując się prostymi, lecz nieczystymi motywami. Jak na razie, nie był jeszcze tego pewien.

- Sprawdziliśmy szkoły w Andover... - przerwał, studiując reakcję Holmana.

- Tak? - powiedział Holman, pochylając się do przodu.

- ... i nic nie znaleźliśmy.

Zawód na twarzy Holmana był zbyt naturalny, aby mógł być udany.

- Chociaż - ciągnął nadkomisarz - otrzymaliśmy raport o groźnym pożarze w jednej ze szkół na obrzeżach miasta.

- To na pewno ta! To musi być ta!

- Cóż, nie jesteśmy tego jeszcze pewni. Pożar wybuchł w sali gimnastycznej usytuowanej niedaleko szkoły. Przypuszcza się, że zostało tam uwięzionych około trzydziestu chłopców.. Ci, którzy przeżyli, są w szoku i nie mogą zostać teraz przesłuchani. Nie mamy jeszcze wszystkich danych, ale znamy nazwę szkoły. - Jego spojrzenie stało się bardziej uważne. - To była Crayton's.

Holman spuścił głowę i zmarszczył czoło, starając się skupić. - Nie, nie, nie sędzę, żeby to była ta. Tamten nauczyciel podał mi nazwę, ale po prostu ją zapomniałem. Pamiętam tylko, że ten wychowawca nie miał jednej ręki, ale to chyba niewiele wam powie.

Nadkomisarz przez kilka chwil wpatrywał się badawczym wzrokiem w Holmana, po czym rzekł: - W porządku, to nie była prawdziwa nazwa. Pokażę panu pewną listę. Zobaczymy, czy rozpozna pan właściwą nazwę.

Podał mu przez biurko kartkę. Holman szybko przeleciał po niej wzrokiem. Pokręcił głową i przeczytał jeszcze raz, tym razem wolniej. - Nie da rady - powiedział w końcu - żadnej nie rozpoznaję. Jedna czy dwie nazwy wydają mi się znajome, ale... - znów pokręcił głową.

- Ta szkoła nazywa się Redbrook. Dokładnie: Redbrook House. Przypomina pan sobie?

- Brzmi dobrze, ale nie mogę przysiąc, że to ta.

- Założę się, że nie możesz - rzucił ostro młodszy policjant.

- Pozwól mi dokończyć, Barrow - powiedział szorstko Wreford, lekko zirytowany brakiem subordynacji podwładnego. I choć często wykorzystywał go do równoważenia własnych delikatności, to teraz zaczynał się zastanawiać, czy Barrow nie za bardzo wczuwa się w rolę.

- W porządku, panie Holman - rzekł; jego głos był teraz twardszy. - Będziemy zmuszeni zatrzymać pana na krótko, podczas gdy my będziemy dalej prowadzić śledztwo.

- Czy jestem aresztowany? - w głosie Holmana zabrzmiało niedowierzanie.

- Oczywiście, że nie. Ale musi pan przyznać, że okoliczności sprawy są co najmniej podejrzane.

- Też tak sądzę. A co z Casey? Ona mnie będzie potrzebować.

- Panna Simmons znajdzie się pod dobrą opieką.

- Gdzie ona jest?

- W tej chwili jest pod obserwacją w Middlesex Hospital. Wygląda na to, że nadal jest w szoku.

- Ale czy pan nie rozumie, że przyczyną tego jest właśnie mgła?

- Jest czy nie, wkrótce do tego dojdziemy. Proszę mi jednak powiedzieć, panie Holman: jeżeli ta mgła przemieszcza się przez państwo, to dlaczego do tej pory nie otrzymaliśmy o niej żadnych doniesień? Dlaczego wszyscy mieszkańcy tej części kraju nie są krwiożerczymi szaleńcami? - Cień zniecierpliwienia pojawił się w ostatnim pytaniu policjanta.

- Nie wiem. Może dlatego, że mgła nie obejmuje tak dużej powierzchni. I proszę nie zapominać, że jest tam dużo obszarów niezamieszkałych. Być może niewielu ludzi zetknęło się z tym zjawiskiem do tej pory. Wygląda na to, że zachodzi tu coś w rodzaju reakcji opóźnionej. My napotkaliśmy mgłę wczoraj, Spiers dwa dni temu. Mózg reaguje na nią dopiero po jakimś czasie!

- Ale pan nam powiedział, że już był szalony, gdy wyciągnęli pana z tamtej dziury! - wtrącił się Barrow, zdenerwowany, że jego szef pozwala Holmanowi wygadywać takie bzdury.

- Otrzymałem silną dawkę! Byłem pierwszą ofiarą! - Holman uderzył gniewnie w stół.

- Więc niech pan nam powie, panie Holman - zaczął łagodnie Wreford - dlaczego teraz nie jest pan szalony? A może pan jest?

W małym pomieszczeniu zapadła nagle cisza. Trzy pary oczu wpatrywały się intensywnie w Holmana, trzech policjantów czekało na odpowiedź.

- Zaraz - powiedział zmęczonym głosem - ja po prostu nie wiem. Nie jestem lekarzem, być może wie coś o tym Ministerstwo Obrony.

Dwaj faceci z wydziału śledczego spojrzeli po sobie.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - spytał cicho nadkomisarz.

- Oni tam mają, na Równinie Salisburskiej, bazę wojskową. Prowadzą doświadczenia, niebezpieczne doświadczenia, dla dobra narodu. Być może oni znają parę odpowiedzi.

- Och, niech pan da już spokój... - zaczął Barrow; grymas lekceważenia pojawił się na jego twarzy, ale przerwał mu starszy wiekiem mężczyzna.

- Twierdzi pan, że Ministerstwo Obrony jest za to odpowiedzialne? Wypuścili jakiś... - Wreford przerwał... - rodzaj jakiegoś gazu działającego na system nerwowy?

- Na Boga, nie wiem! Ale jest taka możliwość!

- Och, czy musimy tego wszystkiego wysłuchiwać? - Barrow wyglądał, jak gdyby miał zamiar rzucić się za chwilę na Holmana.

- Nie, nie musimy. Jeśli to, co pan mówi, jest prawdą, panie Holman, to powinniśmy się o tym przekonać bardzo szybko. Dopóki jednak tak się nie stanie, obawiam się, że będziemy musieli pana zatrzymać.

- Dobrze, dobrze. Ale sprawdzajcie, czy Casey ma dobrą opiekę. Ona musi znajdować się pod ciągłą obserwacją.

- Będzie w dobrych rękach, panie Holman. Mogę pana o tym zapewnić.

Rozdział ósmy

Herbert Brown martwił się o swoje gołębie. Wysączył resztę whisky i na kilka chwil zapatrzył się w pustą szklankę.

- Jeszcze jednego, Herby? - rzucił barman, sięgając po nową szklankę, wiedział bowiem, że jego klient nie będzie już pił z poprzedniej.

- Tak, Harry, strzel sobie jednego.

Harry wiedział, że dostanie ten poczęstunek, dlatego właśnie lubił obsługiwać Herberta.

- No, łyknę sobie małego - powiedział, wyszczerzając żółte od papierosów zęby. Był ruiną człowieka, dla większości stałych bywalców był nikim, ale Herbert Brown zawsze traktował go dobrze.

- Masz, walnij sobie.

- Dobra, Herby. Wezmę dzin z tonikiem - wlał oba trunki do szklanki, po czym zgarnął z lady funtowy banknot położony nonszalancko przez Herberta. Wystukał na kasie cenę i wygrzebał resztę, zręcznie chowając do kieszeni dziesięciopensówkę.

- Oto reszta, Herby. Zdrowie! - Uniósł szklankę i wysączył drinka. Ten Herby to porządny chłop. Zawsze gotów postawić komuś drinka. Nigdy nie sprawdza reszty. Spędza w pubie naprzeciwko swego sklepu na Hackney Road co najmniej trzy wieczory w tygodniu oraz większość swych przerw obiadowych.

Herbert zazwyczaj wstawał wcześniej, koło piątej czy szóstej, po czym szedł na targ kupić towar do swego sklepu z owocami. Przed jedenastą uważał już swój dzień pracy za zakończony i zanim ruszył gdzieś w dalszą drogę, zawsze wstępował do pubu, zostawiając swą żonę samą przy sprzedaży owoców. Dawno już pogodziła się z myślą, że Herbert nigdy się nie zmieni, ale nie przeszkadzało jej to robić mu awantur. A im więcej mu się dostawało, tym więcej pił. Im więcej zaś pił, tym więcej mu się dostawało. Było to błędne koło, ale żadne z nich tego nie dostrzegało. Był to bowiem pewien sposób na życie.

- Nie powinieneś się o nie martwić, Herb. Wróć.

Harry pochylił się nad barem, na jego twarzy widniał wymuszony wyraz sympatii. Nie mógł zrozumieć, jak można martwić się o pieprzone gołębie. Był raz w gołębniku Herby'ego, w baraku zbudowanym od strony dachu na tyłach sklepu, który w każdej chwili może się zawalić. Sam dom był obszerny, tak jak większość domów przy London's Hackney Road. Ogródki z tyłu domów znajdowały się piętro niżej od poziomu drogi, co zapewniało zazwyczaj dodatkowe pokoje w suterenie. Dodatkowe pokoje zostały już wybudowane przez poprzednich właścicieli sklepu i zajmowały większą część powierzchni na tyłach domu, sięgając przy tym prawie drugiego piętra. Na płaski dach można się było dostać przez taras, i na tym właśnie dachu Herbert postawił swój gołębnik.

Panujący w środku odór spowodował, że Harry od razu poczuł się niedobrze, a pijackie gulgotanie zwojujące gołębie nappełniło go ledwie ukrywanym obrzydzeniem. Przez całe swoje życie nie mógł zrozumieć, co Herby widzi w tych grubych gulgoczących stworzeniach. Panoszących się, brudzących wszystko dokoła. Nie było z nich żadnego pożytku - nawet pieczone gołąbki wyszły już z mody. Herby wystawiał je w zawodach, Harry wiedział o tym, lecz nic nigdy nie wygrał. Zawsze, gdy ostrożnie poruszał ten temat, jedyną odpowiedzią było: „Czy ty kiedykolwiek widziałeś, jak one

latają?”. Po prostu głupawa odpowiedź, jakiej można się spodziewać od starego pijaczyny. Nadal jednak, pomijając te jego śmierdzące gołębie, Herby był w porządku, przynajmniej jeśli chodziło o zarobek.

- Powinny już być z powrotem - Herbert gadał bełkotliwie. - Zawiozłem je furgonetką tylko do Salisbury. Mam trochę nowych, rozumiesz? Z początku trzeba na nie uważać. Nie można ich wywozić za daleko, bo nie znajdą drogi do domu. Ale kilka starych było z nimi, to wszystko powinno grać. Zresztą Claude nigdy się nie gubi!

Harry ukrył uśmiech, myśląc o tym dziwnie nazywanym się ulubieńcu Herberta. Był już u niego od wielu lat - brzydki, stary ptak, który zawsze wyglądał, jakby dopiero co wyrwał się z pazurów kota. Herbert obchodził się z nim jak z dzieckiem. Wtedy, gdy był tam Harry, Herby przytulił ptaka do policzka, przemawiając do niego, jakby ten mógł zrozumieć każde słowo. Nie była to dziecinna paplanina, ale sensowne zdania, jak w rozmowie mężczyzny z mężczyzną. Lecz gdy trzymał go Harry, gołąb nasrał mu w dłoń.

- Wywiozłem je w niedzielę - ciągnął Herbert; słowa mu się już trochę plątały. - Powinny wrócić do tej pory. Kłopot w tym, rozumiesz, że one potrzebują słońca. Żeby je prowadziło.

- Cóż, a może wróciły dzisiaj wieczorem, Herb, już po twoim przyjeździe tutaj? Ty tu na nie czekasz, a gdy wrócisz do domu, to okaże się, że one siedzą i czekają na ciebie. - Poczul na sobie spojrzenie jakiegoś klienta i uniósł oczy ku górze, tak, by nie widział tego Herbert. Obserwujący ich mężczyzna odwrócił się tyłem.

- Robisz sobie jaja, Harry? - słowa Herberta zabrzmiały jak wyzwanie.

Harry wiedział, że po kilku szkockich jego przyjaciel może szybko stać się nie do wytrzymania. - Nie, nie - odpowiedział skwapliwie. - Mówiłem tylko, że wszystkie będą na dachu, że będą już na ciebie czekać. Jestem pewien, że tak będzie. Teraz ja ci postawię jednego - odwrócił się, sięgając po czystą szklankę. Wyrwało mu się westchnienie ulgi, gdy dobiegł go

znów rozrzewniony głos Herberta. Nie miał zamiaru obrazić Herby'ego.

- Ważne jest to, Harry, że ptaki niczego nie żądają. Dajesz im jeść, i to wszystko - są twoje. Nie jak psy czy koty, które łaszą się do ciebie, żebrzą. One są dumne, rozumiesz? Przychodzą do ciebie po jedzenie, i to wszystko. Jak nie karmisz, to ich nie ma. - Pochylił się do przodu i wycelował palec w barmana. - Ale jeśli się dobrze nimi opiekujesz, to zawsze do ciebie wrócą. One są lojalne, rozumiesz? Niezależne, ale lojalne.

Usiadł wygodnie, jak gdyby zadowolony z tego, co powiedział. Harry postawił przed nim whisky. Kiwał potakująco głową, choć był zły, że musiał zafundować mu drinka. Właściciel był czujny, nie mógł więc oszukiwać na kasie. Będzie musiał sam zapłacić za tego drinka.

- Claude je przyprowadzi. Wiem, że tak będzie. - Herbert opróżnił szklankę dwoma potężnymi haustami, zmuszając Harry'ego do otrząśnięcia się na myśl o ognistym płynie wypalającym sobie drogę przez gardło i spływającym do żołądka. Jego wnętrzności muszą być zrobione z hartowanej stali.

- Nie mogę pojąć, dlaczego tak długo ich nie ma. - Herbert wstał, chwiejąc się lekko. - Idę, Harry.

- Dobra, Herb, do jutra - barman wyszczerzył zęby w uśmiechu i dodał złośliwie: - Przekaż pozdrowienia żonie.

Prawie pożałował tych słów, bo Herbert odwrócił się i wpatrywał w niego przez długie trzy sekundy; jego zasnuty oparami alkoholu mózg nie był pewien intencji tej ostatniej uwagi.

- Cholera z nią - powiedział w końcu Herbert i zataczając się wyszedł z pubu.

Gdy znalazł się już na zewnątrz, oparł się na kilka chwil o ścianę. Ostatniego drinka wypił zbyt szybko i czuł teraz, że wnętrzności podchodzą mu do gardła. W końcu poderwała go myśl, że może jego ukochane ptaki faktycznie czekają na niego. Przemógł nudności i ruszył, zataczając się, przez ulicę;

zatrzymał się na środku jezdni, by przepuścić wolno jadący autobus.

Żona obserwowała go z okna sypialni nad sklepem. Robiła tak zawsze: podczas długich samotnych popołudni wyglądała na ruchliwą ulicę z zaciemnionego wnętrza sypialni. Bynajmniej nie z chęci zobaczenia wracającego do domu męża, lecz z samotności. Przypatrywała się przechodzącym ludziom, klientom, których znała, młodym, trzymającym się za ręce parom, zastanawiając się, dokąd oni się spieszą i co będą robić, gdy już dojdą na miejsce. Obcy - kim są i co robią w tej okolicy? Nieraz pogrążała się w dziwnym, niemal chorobliwym, fantazjowaniu na ich temat. Był kiedyś taki czas, że widok człowieka o innej barwie skóry niż biała wystarczał, by pobudzić jej fantazję, ale teraz ogarniała ją tylko gniewna niechęć. Mogła zajrzeć na jasno oświetlone górne pokłady dwupoziomowych autobusów, które regularnie przejeżdżały pod oknem. I chociaż te migające obrazy szybko mijały, wzbudzały jej ciekawość. I zwiększały samotność.

Odkąd jej chłopcy wyjechali, spostrzegła, że ma za dużo czasu dla siebie, za dużo czasu na myślenie o swym zamążpójściu i o ciężkich latach, które po nim nastąpiły. Synowie mieli swoje własne życie, to prawda, ale przecież zawsze chciałoby się, by przyjeżdżali częściej, chociaż obaj mieli już swoje domy, i to dość daleko. Tak chciałaby zobaczyć swoje maleństwa, swoje wnuki. To Herbert swoim pijaństwem, zaczepkami spowodował, że chłopcy wyjechali. Czy w ogóle okazywał im jakieś uczucie? Czy troszczył się o nich? Nie tak jak z tymi jego gołębiami. O, tak, dla tych cholernych gołębi zawsze było mało dobrego! Jak to się zamartwiał, gdy myślał, że się zgubiły, jaki był niespokojny przez ostatnich parę dni. Co też on w nich widział?

Spójrzcie teraz na niego: kiwa się na środku ulicy w pijackim otumanieniu. Boże, jakżeby chciała, by ten autobus go przejechał! To, że sklep prosperuje, jest wyłącznie jej zasługą; wszystko opierało się na jej własnej ciężkiej pracy. Tak, to prawda, że to on wczesnym rankiem jeździ na targ, ale dlaczego

ma to go zwalniać na cały dzień z innych obowiązków? Byliby bogaci, gdyby nie tracił każdego zarobionego grosza na picie i karty. I gdyby nie rozdawał. O, tak, wszyscy jego kumple wiedzieli, do kogo się udać, gdy zabrakło im forsy. Stary, dobry Herby - przyjaciel biedaków. Prawdę mówiąc, zawsze trochę uszczknęła z ich dochodów. Musiała, bo w przeciwnym razie szybko znaleźliby się na bruku, gdyby nagle interes źle poszedł. To nie była kradzież - jak można kraść pieniądze, które się samemu zarobiło? Ale nie było także żadnego powodu, żeby on o tym wiedział. Spójrzcie na niego, zataczającego się na ulicy! Mam tylko nadzieję, że żaden z klientów go nie widzi. Śmierdzący drań.

Oczy Leny Brown zamglily się łzami, ale nie były to łzy liści nad sobą czy żalu, lecz łzy nienawiści.

- Chcę, żebyś zdechł - powiedziała głośno; jej oddech zaparował szybę. - Chcę, kurwa, żebyś zdechł.

Herbert dotarł do bocznych drzwi sklepu i zaczął grzebać po kieszeniach, poszukując klucza. Kiedyś, raz, jego żona zaryglowała drzwi od środka. Tylko raz, nigdy więcej. Gdy narobił hałasu, wezwano policję, toteż już nigdy więcej nie ośmieliła się zamknąć przed nim domu. Znalazł klucz i bez większych trudności wsadził go w metalowy otwór zamka, przekręcając zręcznie i otwierając drzwi. Zatrzasnął je za głosem za sobą, wcale się nie przejmując, że może zakłócić żonie spokój. Nie dlatego, że mogła spać. O, nie, ona czekała na niego bez względu na porę dnia i nocy. No cóż, do diabła z nią! Nie jest ważna.

Po omacku pokonał ciemny korytarz i schodami zszedł na tył domu, nie kłopotząc się zapalaniem światła. Odryglował ciężkie tylne drzwi i wyszedł na chłodne nocne powietrze, wciągając je pełną piersią. Rozpiął rozporek i zaczął się odlewać na beton pokrywający ziemię, ciesząc się z odgłosu, jaki wydawał żółty, rozpryskujący się strumień. Nigdy nie wiedział, dlaczego to robi. Ich toaleta znajdowała się dokładnie na wprost miejsca, gdzie stał, a on wydał sporo forsy na założenie drugiej na piętze. Uznał, że jest to jedna z jego małych

przyjemności. No i wściekało Lenę.

Gdy strumień uryny utracił swój impet i zawrócił w stronę jego butów, doszedł go inny dźwięk. Było to gruchanie.

Popatrzył do góry, na dach. Jego gołębie wróciły, a niech je! Zaśmiał się głośno i szybko zapiął spodnie, mocząc sobie przy tym palce. Wycierając ręce w kurtkę zawrócił, chwając się, ku domowi. Wspiął się po schodach, zaklął potykając się, rękami chwycił kolejne stopnie. Gdy dotarł do okna na półpiętrze, z sypialni doszedł go głos żony.

- Ty brudna świnió! - krzyknęła. - Ty cholerny zwierza-ku! Dlaczego nie pójdziesz do kibla, jak każdy normalny człowiek?!

- Zamknij się! - odrzyknął, podnosząc jedno kolano na parapet okna. Teraz musi uważać. Nieraz już stracił oparcie i spadł, koziółkując, po schodach. Zawsze powtarzała, że pewnego dnia skończy się to jego chodzenie po dachach. Ale on wiedział, że nigdy nie będzie aż tak pijany, bo inaczej nie udałoby mu się przeleźć przez to cholerne okno.

Przeczłogał się na zewnątrz; dłonie opierał teraz na podłodze dachu, podtrzymując w ten sposób górną część ciała. Wciąż słyszał jej głos dochodzący z wnętrza domu, zgrzytliwy, nieprzyjemny. Ale słyszał także gulgot, o wiele teraz głośniejszy, i szuranie ptaków w gołębniku. Ptaki miotaly się na swych grzędach, podniecone czynionym przez niego hałasem.

- Już idę, moje wy kochaniutkie! - zawołał, zdając sobie sprawę z głupawego uśmiechu, jaki musiał mieć teraz na twarzy. Uważał, by trzymać się w bezpiecznej odległości od krawędzi dachu, nie miał bowiem ochoty spaść dziesięć metrów w dół na goły beton. - Wiedziałem, że wrócisz Claude. Wiedziałem, że mogę na tobie polegać. Co się stało, zgubiłeś się, prawda?

Gdy przez chwilę szarpał się z zapadką w drzwiach, spostrzegł, że kilka jego nowych gołębi wciąż siedzi na dachu drewnianego baraku. Zawsze trzeba trochę czasu, żeby się

nauczyły trafiać z powrotem do środka. Niedługo nauczą się tego od innych. - Claude, chodź, kochany, gdzie jesteś? - Zapalił rowerową lampkę, którą zawsze wieszal w gołębniku. Nagła jasność spowodowała paniczne trzepotanie się kilku ptaków.

- Już dobrze, kochane, to tylko ja. Nie zrobię wam krzywdy. - Herbert zamknął za sobą drzwiczki, by żaden z gołębi nie mógł wylecieć. Musiał posuwać się zgięty wół - pochyły dach gołębnika nie był na tyle wysoki, by dorosły mężczyzna mógł się wyprostować. Przebiegł szybko wzrokiem po ptakach, policzył je, upewniając się, czy żadnemu nic się nie stało. W końcu dostrzegł Claude'a, usadowionego wysoko w rogu gołębnika. Nie ruszał się, jedynie delikatne gulgotanie wydobywało się z jego gardła.

- Cześć, stary Claude. Tęskniłeś za mną? - zatoczył się w stronę starego gołębia, starając się przy tym nie spłoszyć pozostałych. Nie zauważył nagłej ciszy, jaka zaległa wśród tamtych, nie spostrzegł też, że siedziały teraz w całkowitym bezruchu.

- No, Claude, co masz na swoje usprawiedliwienie, hm? - Sięgnął po gołębia i delikatnie go zdjął. Trzymając go blisko twarzy, pstryknął kilka razy w jego pierś. - Wiesz, kto tu jest panem, co? Wiesz, kto się o ciebie troszczy?

Ptasia głowa nagle wystrzeliła do przodu i dziób wbił się w przekrwione oko Herberta. Wrzasnął z bólu i upadł do tyłu pomiędzy grzędy, wypuszczając swego ulubieńca. Gołębnik eksplodował trzepoczącymi ciałami, przelatującymi z jednej strony na drugą. Herbert uniósł ramiona, osłaniając twarz, lecz gołębie dziobały zawzięcie, aż popłynęły cienkie strumyki krwi. Zamachał dziko rękami, odrzucając ich lekkie ciała na ściany. Kilka spadło na ziemię; nie mogąc się podnieść, szaleńczo trzepotały złamanymi skrzydłami w bezowocnym wysiłku osiągnięcia go znowu. Ale reszta wciąż ponawiała swe ataki, uderzając go skrzydłami po głowie, dziobiąc jego skuloną postać, odszukując odsłonięte miejsca na ciele, pozostawiając maleńkie kropki krwi.

Wtem, po części z wściekłości, po części w panice, Herbert złapał jedno z pierzastych ciał i z okrzykiem przepelnionym rozpaczą połamał jego kruche kostki. Ale odsłonił przy tym twarz i trzy ptaki natychmiast sfrunęły i zaatakowały ją. Jeden uczeplił się szyi, dwa pozostałe dziobały policzki i oczy. Był już na wpół ślepy, a ptaki usiłowały pozabawić go drugiego oka. Puścił martwego gołębia i ponownie zasłonił twarz. Ból poderwał go na nogi; zaczął się gwałtownie otrząsać, ciskając gołębiami o ziemię, depcząc je nogami. Ruszył z trudem w stronę wyjścia, ale w panującym dookoła piekle - kotłowaniu trzepoczących ptaków, rozszalałych skrzydeł, ptasich piszków i własnych krzyków przerażenia - zupełnie zatracił poczucie kierunku i uderzył w ścianę baraku, przewracając się na ziemię.

Gdy tak leżał z rozpostartymi ramionami, oszołomiony upadkiem, gołębie opadły jego wznoszącą się i opadającą pierś i kontynuowały swoje wymyślne tortury. Załkał z przerażenia, wierzgął i udało mu się przekręcić na brzuch, miażdżąc znajdujące się pod spodem ptaki. Podniósł się na jedno kolano. Czuł ostre dziobnięcia w szyję i ramiona, lecz w tej chwili już prawie nie odczuwał bólu. Wyciągnął rękę w kierunku ściany gołębnika. Jego palce precyzyjnie się i zacisnęły kurczowo na płątaninie drutów tworzących jedno z okien. Powoli podciągnął się na nogi, nie zwracając uwagi na kilka ptaków, które dopadły wysuniętą rękę i kasały żywe mięso. Jakiś dodatkowy zmysł podpowiedział mu miejsce, gdzie znajdowały się drzwi. Ból odezwał się znowu, każąc mu zapomnieć o strachu. Wrzasnął dziko i drżąc, potrząsając całym ciałem, wymachując rękami, ruszył ciężko do małego wyjścia, wciąż atakowany przez trzepoczące ptaki. Był całkowicie oślepiały i ślepy.

Lena patrzyła z okna tarasu; jej twarz była biała w świetle księżyca. Ręce zaciskała kurczowo na parapecie okna. Usłyszała hałas, leżąc w sypialni; z początku nie zwróciła na to uwagi, sądząc, że mąż dostał jednego ze swoich napadów

wściekłości. Ale potem dotarły do niej krzyki przerażenia i wyskoczyła z łóżka, bojąc się tego, co może zobaczyć, gdy podejdzie do okna. A to, co ujrzała, sprawiło ją w całkowite osłupienie.

Jakaś postać wybiegła z gołębnika na skraj niewielkiego dachu. W świetle księżyca nie wyglądała na człowieka. Poruszała się, nie - raczej zataczała, zewsząd otoczona dziko trzepoczącymi skrzydłami gołębi. Lena wciągnęła głęboko powietrze, uświadamiając sobie, że to jej mąż, ledwie możliwy do rozpoznania, jest atakowany przez gołębie, które tak kocha. Stała z otwartymi ustami, nie mogąc po raz pierwszy w życiu wypowiedzieć żadnego słowa, niezdolna do poruszenia się, do przyjścia mu z pomocą. Poderwał ją jego kolejny krzyk. Rzuciła się do przodu, próbując precyzyjnie się przez okno, lecz jej grube ciało utrudniało podjęty wysiłek. Gdy w połowie była już po drugiej stronie, opierając ręce na dachu, spojrzała do góry i ujrzała swego męża staczającego się ku krawędzi dachu. Otworzyła usta, by krzyknąć jego imię, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu, choć dwukrotnie otwierała i zamykała usta. Lecz gdy zobaczyła, że stawia krok w próżnię, odzyskała głos.

- Herby! - krzyknęła, zagłuszając swoim wrzaskiem odgłos ciała uderzającego o beton dziesięć metrów niżej.

Na czworakach podpełzła na skraj parapetu, łkając i powtarzając głośno jego imię. Położyła się na wznak i wbiła wzrok w ciemność na dole. Jego ciało było ledwie widoczne - ciemny kształt spoczywający w całkowitym bezruchu. Nogi wykręcone na boki odstawały od tułowia pod dziwnym kątem. Nagły ruch obudził w niej nadzieję, ale zobaczyła, że to tylko słaby trzepot zdychającego gołębia, który spadł na ziemię razem z Herbym. Wiedziała, że Herby nie żyje.

- Och, Herby, moje biedne kochanie, och, Herby - załkała.

Wyżej, ponad jej głową, na dachu gołębnika, krzątały się ptaki, spoglądały w dół i były cicho... Ten, który nazywał się Claude, zagruchał miękko.

Tego samego dnia, dużo wcześniej, Edward Smallwood poszedł na ryby. Był mężczyzną wysokim, zaczynającym лысiec, bardzo nerwowym. Chociaż miał już trzydzieści pięć lat, nadal mieszkał z rodzicami. Przyczyną jego nerwowości w dużym stopniu był ojciec, który rządził rodziną żelazną ręką. Ten o wiele niższy od syna człowiek o surowych zasadach i niewzruszonych poglądach wcale nie ukrywał swojego rozczarowania do Edwarda, którego nazywał „slabeuszem”. Matka Edwarda, osoba jeszcze niższego wzrostu, do przesady przejmowała się synem i troskliwie - choć troska ta była pozbawiona sensu - próbowała osłonić go od kłopotów życia i surowości ojca. Niemniej jednak oboje kochali swego wysokiego i wiotkiego jak trzcina „chłopca” ze sterczącymi ramionami. Kochali go każde na swój sposób, lecz efekty ich wychowania były fatalne. Zaprogramowali jego życie do tego stopnia, że nie tolerowali najmniejszego przejawu jego własnej inicjatywy i od najwcześniejszych lat pozbawiali go wszelkiej radości. Robili to rzecz jasna nieświadomie, wyłącznie w trosce o jego dobro. Główną w tym rolę odgrywał ojciec. Takie wychowanie zdecydowało o całym życiu Edwarda. Kiedy miał szesnaście lat, rodzice zaprowadzili go do jego pierwszej w życiu pracy. Był to bank prowadzony przez przyjaciela rodziny; dobra praca, „bezpieczna, szanowana”. Został w niej i dochrapał się nawet pozycji asystenta; zawdzięczał to jednak raczej wykonywaniu obronnych uników niż naturalnym zdolnościom. Nieraz już proponowano mu przeniesienie, ale on nie chciał wyprowadzać się z ruchliwego, lecz dość przyjemnego miasteczka Ringwood leżącego na skraju New Forest, wiedząc, że i tak ojciec z matką nie zgodziliby się na to. Nie czuł wcale żalu, gdy prezes banku, przyjaciel rodziny, zmarł dwa lata temu, a jemu nie zaproponowano tego stanowiska. Nie przyszło mu to nawet do głowy, i był bardzo zaskoczony roztrząsaniem przez ojca tej straconej szansy.

Edward właściwie nigdy dotąd tak naprawdę nikogo nie nienawdził; zdarzało się, że kogoś nie lubił lub bał się go,

lecz uczucie nienawiści było mu obce. Ale Norman Symes, nowy prezes banku, wzbudził w nim to uczucie, którego już się nie pozbył. Zasada postępowania Symesa polegała na dręczeniu go: jeżeli jakiegoś dnia nie mógł uprzykrzyć Edwardowi Smallwoodowi życia, to uważał ten dzień za stracony. Edward raz tylko wspomniał o tym swym rodzicom, ale złość i zrzędenie ojca oraz natarczywe współczucie matki powstrzymały go od ponownego poruszenia tego tematu. Udręczony, cierpiał tak jak dawniej, jeszcze w latach przedszkolnych. Dobrze wiedział, że personel banku cieszył się, widząc, jak cierpi w obecności prezesa, wiedział też, z jaką przyjemnością Symes go dręczy. Ale to jeszcze nie wszystko. Prezes uwziął się, by go poniżyć, chcąc umocnić swoją pozycję wśród pracowników małymi złośliwościami pod jego adresem. Edward westchnął na myśl o krótkiej, lecz przykryj męczarni, jaką przyniesie mu dzisiejszy dzień. Będzie miał szczęście, jeżeli Symes wyjdzie na jedno ze swoich „spotkań na mieście” w interesach i niewiele będą się nawzajem widzieli.

Edward odrzucił kołdrę i wysunął rękę, szukając okularów ukrytych gdzieś na małym stoliku nocnym. Syknął, gdy przewrócił niedopitą filiżankę słabej herbaty, przyniesioną wcześniej przez matkę. Dzień był już zmarnowany przez mgłę, która zaskoczyła go dzisiaj o szóstej rano, gdy łowił ryby na odludnym brzegu rzeki Avon. Dwa razy w tygodniu pędził do swego ulubionego zakątka na ryby. Była to przyjemność pochwalana nawet przez rodziców. Lekarz zalecił mu bowiem świeże ranne powietrze jako skuteczne na chroniczny katar, który zmuszał go do pociągania nosem przez cały prawie dzień. Nie sądził, by świeże ranne powietrze faktycznie mogło go uzdrowić, ale znajdował wielką przyjemność w spokojnym odosobnieniu na brzegu rzeki. Pomagało mu to uodpornić się na cały dzień. Nie cieszył się wcale, gdy złapał jakąś rybę, i rzadko zakładał przynętę na haczyk. Robił to tylko po to, żeby zadowolić ojca, gdyż wyciąganie żywego stworzenia z jego wodnego środowiska budziło w nim uczucie litości.

Ale tego konkretnego poranka, gdy siedział nad rzeką zatopiony w rozmyślaniach, podpełzła do niego chmura żółtej mgły, czego z początku w ogóle nie zauważył. Zorientował się dopiero wtedy, kiedy stwierdził, że ledwie widzi koniec swej wędk. Wówczas to spostrzegł, że otacza go gęsta mgła. Lekko przestraszony gwałtownością zjawiska, szybko spakował termos i sprzęt wędkarski i ruszył z powrotem do głównej szosy. Zajął mu to dobrze ponad dziesięć minut. Zanim do niej dotarł, nic nie widział - co chwila wpadał na drzewa, zaplątywał się w nisko rosnące krzaki. Na szczęście mgła nie zasnęła szosy i Edward odetchnął, znalazłszy się z powrotem w jasnym brzasku dnia. Matka, jak zwykle, ucieszyła się, że już wrócił, i zaraz wpakowała go do łóżka, by jeszcze przez godzinkę wypoczął przed wyjściem do pracy. Zbudziwszy się, był zdziwiony, że niechcący przespał cały ten czas. Mgła zostawiła mu uczucie przykrego niesmaku w ustach, który nie zniknął nawet po wypiciu podanej przez matkę herbaty.

Namacał okulary i przed ich nałożeniem przetarł oczy. Skrzywił się - zabolęła go nagle głowa. Poszedł do łazienki i gdy mijał drzwi do sypialni ojca, życzył mu dobrego dnia. Wiedział, że „stary” siedzi - jak zwykle - w łóżku, wysoko oparty o poduszkę, i czyta „Daily Telegraph”, żując tosty i siorbiąc herbatę.

- Dzień dobry, Edwardzie! - usłyszał rzeński głos ojca i powtórzył swoje: „Dzień dobry, ojcze”.

Po dokładniejszym niż wcześniej tego ranka umyciu się powrócił do swego pokoju i ubrał się, zakładając rzeczy starannie poukładane przez matkę poprzedniego dnia. Zszedł do kuchni, ucałował nadstawiony policzek matki, i zasiadł przy stole. Nie był zbyt głodny, choć przecież odbył już poranną wycieczkę. Przemógł się, by coś przełknąć, ale po chwili odsunął talerz. Matka popatrzyła na resztki niedojezionej jajecznicy na boczku i pochyliła się niespokojnie, zagładając mu w twarz.

- Nie czujesz się dziś dobrze, kochanie? - spytała.

- Ależ, dobrze, matko, po prostu nie jestem zbyt głodny, to wszystko. - Zaczął siorbać herbatę, patrząc w filiżankę, by uniknąć widoku zatroskanej twarzy matki.

- To pewnie ta okropna mgła dostała się do twoich płuc.

- Nie, nie wydaje mi się, matko.

- Wiesz, jakie słabe masz płuca - ciągnęła, nie zwracając uwagi na jego sprzeciw. - Może nie powinieneś wychodzić na zimne powietrze zaraz po wstaniu.

Odchylił się, gdy chciała dotknąć jego czoła.

- Nie, naprawdę, matko, naprawdę nic mi nie jest. Zwyczajnie nie jestem głodny, to wszystko.

- Byłeś już dziś w ubikacji?

- Tak, matko.

- Pozwól, że dam ci kilka tabletek na przeczyszczenie.

- Nie, matko, byłem w ubikacji.

- Hm, gdzie zatem cię boli, kochanie?

- Nie boli. Po prostu nie jestem głodny!

- Nie musisz podnosić głosu, Edwardzie. Ja chcę tylko...

- Nie podnoszę głosu, matko.

- Tego, że nie czujesz się najlepiej, nie musisz zaraz odbijać sobie na matce.

- Ale ja się czuję dobrze, matko. Nie mam ochoty na śniadanie, to wszystko. Boli mnie trochę głowa.

- Och, dlaczego od razu tego nie powiedziałaś? Dam ci kilka pigulek, zaraz ci przejdzie.

- Nie, nie trzeba... - Ale matka już wyszła i wróciła po kilku sekundach z dwiema tabletkami w ręku.

- A teraz popij je herbatą. Zaraz się lepiej poczujesz. - Zapewne wepchnęłaby mu je w usta, gdyby nie zgarnął ich szybko i nie połknął. - Ojciec mówi, że będzie rozsądnie, jeśli zostaniesz dzisiaj w domu, bo możesz się gorzej poczuć.

- Na litość boską, matko, to jest tylko lekki ból głowy! - Edward wstał uniesiony złością; jego twarz nabrała płamisto-czerwonego koloru.

- Siadaj, Edwardzie.

- Tak, matko. - Usiadł.

- Wiesz, jak strasznie wyglądasz, gdy tracisz panowanie nad sobą.

- Nie straciłem panowania nad sobą - mruknął.

- Nie ma potrzeby, by inni cierpieli tylko dlatego, że nie czujesz się zbyt dobrze.

Siedział pogrążony w ponurym milczeniu, zdając sobie sprawę, że każde kolejne słowo z jego strony przedłuży tylko rozmowę i matka zacznie zapewne narzekać na jego brak wdzięczności.

- Bardzo dobrze, Edwardzie. Możesz iść do pracy. Ale proszę cię, nie przychodź do domu podczas przerwy obiadowej, mówiąc, że się gorzej poczułeś.

- Tak, matko.

- Postaraj się coś przegryźć w przerwie na herbatę.

- Tak, matko.

- Herbatnika czy coś innego...

- Tak, matko.

Pani Smallwood zamilkła na widok nieszczęśliwej miny syna. Co on by począł, gdyby nagle ich zabrakło? Był tak bardzo od nich zależny, tak bardzo ich potrzebował. Wiedziała, że odejdzie pierwsza i że ojciec tak naprawdę nie rozumie jej chłopca. Kto pocieszy wtedy Edwarda, gdy ojciec na niego nakrzyczy? Do kogo wtedy Edward się zwróci? Mężnie zwalczyła cisnące się do oczu łzy litości i wyciągnęła rękę, by pogłaskać go po głowie.

- Idź już, Edwardzie, bo się spóźnisz.

- Tak, matko. - Wstał ponownie i zapiął kurtkę.

Matka spojrzała do góry na niego, zmusiła się do uśmiechu, starając się skryć smutek, który czuła. - Kochamy cię, drogi chłopcze - powiedziała.

- Tak, matko - odpowiedział.

Tępy ból rozsadzający czaszkę wzmógł się, gdy maszerował w stronę oddziału Midland Bank, w którym pracował. Kilkoro ludzi, którzy go znali, życzyło mu dobrego dnia, a on odpowiadał na ich pozdrowienia uprzejmym, lecz powściągliwym uśmiechem. Kochał swych rodziców, ale naprawdę pragnąłby, żeby tak nie zrzedzili, zwłaszcza matka. Zamartwiłaby się na

śmierć, gdyby oduczyła się przejmowania każdym drobiazgiem. Ta myśl napełniła go smutkiem. Mój Boże, musi pamiętać, by wracając do domu na obiad, kupić jej pudełko czekoladek i w ten sposób naprawić swe poranne zachowanie. Był pewien, że przez resztę tygodnia chodziłaby smutna, jeżeli nie zrobi tego. Pomyślał o swym ojcu, którego sposób życia zmienił się, od kiedy przeszedł na wcześniejszą emeryturę; jego dominacja w rodzinie przybrała na sile, jakby chciał zamienić dom w swoje dawne biuro w firmie ubezpieczeniowej. Edward wiedział jednak, jak bardzo ojcu zależało na tym, aby synowi dobrze się wiodło.

Gdy miał właśnie zejść z chodnika, z zamyślenia wyrwał go ryk klaksonu. Odskoczył, potykając się piętami o krawężnik, i stracił równowagę, siadając na chodniku i przyciskając teczkę do piersi. Podniósł wzrok na przejeżdżający samochód i ujrzał za szybą kierowcę bezgłośnie poruszającego ustami. Samochód zatrał jeszcze raz i popędził dalej. Doszły go śmiechy przechodniów patrzących na niego, siedzącego na chodniku ze złożonymi kolanami, szeroko rozstawionymi łokciami i teczką na udach. Gdy popatrzył w ich stronę, właśnie się odwracali; nikt nie pospieszył mu z pomocą. Wstał i otrzepał spodnie na siedzeniu. Wielka purpurowa plama wstydu pokryła całą jego twarz aż do szczytu łysiejącego czoła.

Upewniwszy się, że ulica jest pusta, przeszedł na drugą stronę, przyspieszając kroku.

Do diabła z nimi, zaklął w głębi duszy. Mając za sobą tyle gorzkich lat wymuszonego opanowania, zaczął się wewnętrznie buntować. Do diabła z nimi za te śmiechy, do diabła z kierowcą, że na niego naklął! Do diabła z całym tym miastem! Do diabła z Midland Bank! Do diabła z Symesem!

Spostrzegł przed sobą jakiegoś pochylonego mężczyznę, mającego zamiar pogłaskać uniesiony łeb swego pieska. Edward ruszył ku niemu żwawym krokiem i patrząc na wypięty tyłek, wymierzył mu silnego kopniaka. Mężczyzna

podskoczył z okrzykiem zaskoczenia, a przestraszony pies wbił się zębami w jego rękę. Mężczyzna znowu wrzasnął i odwrócił się do psa, uderzając go drugą ręką w głowę. A Edward pomaszerał dalej, nie zwracając uwagi na psie warczenie i wrzaski mężczyzny za plecami. Jakiś sprzedawca wyszedł ze swego sklepu, by zobaczyć, co jest przyczyną tego zamieszania; mijając go, Edward potraktował ciekawskiego sklepikarza zręcznym kopniakiem w siedzenie.

Człowiek odwrócił się, chwytając się obiema rękami za bolące miejsce. Zwrócił ogłupiałe spojrzenie w stronę odalającego się asystenta prezesa banku, nie zdając sobie dokładnie sprawy z tego, co się stało. A Edward szedł dalej, rozdając kopniaki na lewo i prawo. Ofiary, zbyt zaskoczone, by jakoś zareagować na napaść, wytrzeszczały oczy na wysoką, pewnie kroczącą postać Edwarda. Na rogu skręcił i wtedy ujrzał podrygujący tuż przed nim największy zad, jaki kiedykolwiek widział. Należał do dobrze, i rzecz jasna drogo, ubranego biznesmena, któremu sadło wylewało się spod śnieżnobiałego kołnierzyka. Grubas był właścicielem jednego z lepszych hoteli w Ringwood. Był to człowiek nadęty, perfekcjonista w swym fachu. Właśnie dzisiaj rano kierował swe kroki do właściciela dużej rzeźni zaopatrującej większość hoteli w tym rejonie w świeże mięso, by złożyć skargę z powodu złej jakości wczorajszej dostawy.

Nagły cios w tyłek wyrwał go z nerwowych rozważań. Odwrócił się gwałtownie, by poznać źródło tej przykrej niespodzianki, i ku swemu zdumieniu ujrzał patykowatego mężczyznę w okularach na nosie, wyzywająco spoglądającego mu w oczy.

Zaskoczonemu grubasowi nie udało się włożyć wiele mocy w wypowiedzianą tonem zdziwienia uwagę: - Na co ty sobie pozwalasz? - wykrztusił.

Edward nie odpowiedział, tylko uniósł nogę, próbując kopnąć grubasa w udo i zręcznie manewrując stopą, by dosięgnąć ogromnego zadka.

- Hej, spokój! - Mężczyzna odskoczył nerwowo.

Edward zajął dogodniejszą pozycję do zaatakowania tyłka grubasa.

- Hej, koniec! - Lecz było już za późno. Właściciel hotelu obiema rękami zaczął masować swój, zapewne już poczerwieniały zad, sycząc z bólu. - To bezprawie! Co ty... - i przerażony dziwnym błyskiem w oku u nacierającego Edwarda, odwrócił się, chcąc uciec. - Won! - wyrzucił z siebie z trudem i pognał na tłustych nóżkach.

Edward ruszył za nim. Mając dłuższe nogi, z łatwością dostrzymywał tempa i co chwila częstował kopniakiem trzęsący się przed nim cel.

Pozostawili za swymi plecami gapiów, którzy przystawali i uśmiechali się, spoglądając po sobie znacząco. Była to do prawdy pyszna zabawa, a kontrastujący ze sobą wygląd dwóch mężczyzn - jeden wysoki, tyczkowaty, drugi niski i kulkowaty - dodawały ulicznemu przedstawieniu jeszcze większej śmieszności.

Właściciel hotelu, zaczynał opadać z sił, a maltretowany tyłek bolał go coraz bardziej. Wołanie do ludzi o pomoc spotykało się tylko z ich zaskoczeniem, przechodzącym w rozbawienie. W końcu ujrzał to, o co się skrycie modlił. Właśnie ze sklepu wychodził policjant, kierując się do wozu zaparkowanego przy krawężniku.

- Ratunku! - wydyszał grubas. - Na pomoc!

Szczęśliwie dla Edwarda on także spostrzegł policjanta i zwolnił do normalnego kroku. Grubas chwycił ramię stróża porządku i wymierzył wskazującym palcem w stronę idącego sobie teraz wolno asystenta prezesa banku.

- To ten człowiek! Ten człowiek mnie goni!

Policjant odwrócił się spokojnie i popatrzył na grubasa kurczowo uczeponego jego koszuli, a potem na mężczyznę, na którego, rozpaczliwie gestykulując, wskazywał.

- Zatrzymaj go! - bełkotał dalej podniecony grubas, oburzony brakiem zainteresowania ze strony stróża porządku.

- On mnie napadł! Aresztuj go!

Policjant już dawno nauczył się nie wierzyć nikomu, dopóki nie miał dwóch bezstronnych świadków potwierdzających zeznanie. Często spotykał osobników, którzy wprost uwielbiali prowokować różne zajścia, wciągając w nie niewinne osoby postronne, a ten grubas bynajmniej nie wyglądał na zdrowego na umyśle. Mimo wszystko należało zbadać tę sprawę i opanować powstałe zamieszanie.

- Chwileczkę, sir! - zawołał do Edwarda.

- Dobrze, poruczniku - powiedział właściciel hotelu z satysfakcją w głosie. - On nie jest normalny. Trzeba go zamknąć.

- Tak, poruczniku? - Edward spokojnie podszedł do stojących dwóch mężczyzn; na jego twarzy widniało lekko skrywane zdziwienie.

Policjant z miejsca stał się nieufny w stosunku do grubasa, wciąż uczonego jego łokcia. Wydawało się to dosyć oczywiste, kto tu jest nienormalny.

- Hm, ten człowiek twierdzi, że pan go napadł, sir - rzekł niemal przepraszając.

- Czyżbym się przesłyszał? - zapytał Edward, lekko poruszony, bynajmniej niezmięszony, lecz tylko zaciekawiony stwierdzeniem policjanta.

- On twierdzi, że pan go napadł.

- Tak. Gonił mnie całą ulicę, kopał mnie. - Grubas nagle schował się za plecami policjanta, jakby obawiał się, że w każdej chwili może dostać kolejnego kopniaka.

- Ależ, poruczniku, musiała tu chyba zejść jakaś pomyłka - powiedział Edward. - Nigdy dotychczas nie widziałem tego człowieka.

Policjant starał się uspokoić grubasa, podskakującego przed nim nerwowo.

- Skopał mój tyłek do krwi. Niech pan coś zrobi, poruczniku!

- Skopałem jego co? Och, doprawdy, poruczniku. - Edward uśmiechnął się uprzejmie. - Muszę już iść, bo się spóźnię do pracy, lecz jeśli mogę w czymś jeszcze panu pomóc...

- Hm, tylko chwilę, sir. - Policjant zwrócił się do zaniepokojonego właściciela hotelu. - Czy ma pan świadków?

- Mam, oczywiście, że mam! - Grubas wymierzył palcem w kierunku grupy gapiów.

Lecz tamci zaczęli jedynie znacząco chrząkać i kręcić głowami.

- Rozumiem - stwierdził, chowając notes, policjant. Na jego twarzy pojawił się wyraz znużenia.

- Ale on mnie naprawdę kopał! - wrzasnął grubas.

- To nieprawda - odparł spokojnie Edward.

- No cóż, obawiam się, sir, że niewiele mogę zrobić, dopóki nie znajdzie pan świadków - podsumował policjant. - A teraz, dlaczego nie zajmie się pan swoimi sprawami i nie pozwoli temu panu zająć się jego własnymi. - I nie zwracając już uwagi na wściekle prychnięcie grubasa, ponownie zwrócił się do Edwarda, przemawiając poufnym tonem. - Przykro mi, że tak się stało. Tak jest często z ludźmi. Zobaczą tacy mundur i od razu to wykorzystują, by się poczuć ważnymi. Ale ten nie jest niebezpieczny.

- Rozumiem, poruczniku - rzekł Edward zatroskanym głosem. - Nic się nie stało. Naprawdę.

- Chcą zwrócić na siebie uwagę, to wszystko. - Policjant uśmiechnął się. - A jednak to coś niespotykanego twierdzić, że kopał pan jego tyłek, biegnąc za nim wzdłuż całej ulicy.

Edward uśmiechnął się również. - Tak, to z całą pewnością oryginalne. - Obydwaj mężczyźni pokręcili w zadumie głowami.

- Cóż, życzę panu miłego dnia, sir. - Policjant uniósł rękę salutując. - Nie będzie już pana więcej niepokoił.

- Dziękuję panu, poruczniku, i życzę przyjemnej służby.

Gdy policjant odwrócił się i ruszył do swojego wozu,

Edward uczynił dwa szybkie kroki, zrobił wymach nogą, po czym strzelił mu siarczystego kopniaka w miejsce, gdzie plecy tracą swą szlachetną nazwę.

Symes, już po raz czwarty tego ranka, spojrzął na wiszącą na ścianie zegar. Wpół do jedenastej, a Smallwooda wciąż nie ma! Marszcząc gniewnie brwi, prezes banku oczekiwał lada chwila dzwonka telefonu i głosu matki Smallwooda, która od razu, gdy podniesie słuchawkę, zacznie usprawiedliwiać chorobitego syna i mówić o jego słabym zdrowiu. Cóż, zaczynał powoli tracić cierpliwość do tego chłopaka. Chłopaka! Był dorosłym mężczyzną, lecz wciąż zachowywał się, jakby miał szesnaście lat! Prawda, że był dość rozgarnięty, rzadko mylił się w rachunkach, ale był tak potwornie powolny! Przy najmniejszej oznace jakiejś choroby matka zatrzymywała go w domu. Wiedział, że poprzedni prezes rozpieszczał tego dużego, przerośniętego chłopca, ponieważ znał jego ojca, ale on z całą pewnością nie będzie dłużej tolerował tego ciąglego nieprzychodzenia do pracy, nawet jeśli oznaczało to wyzwolenie od tego jego pociągania nosem przez cały boży dzień. Tak naprawdę to raczej irytujące zmanierowanie Smallwooda niż brak jakiejkolwiek inicjatywy z jego strony denerwowały Symesa. Sposób, w jaki obgryzał paznokcie, sposób, w jaki za wszystko przeproszał, sposób, w jaki odnosił się do klientów. No i ta jego przesadna uprzejmość! Reszta personelu nie miała dla niego żadnego szacunku, po prostu naśmiewano się z niego.

Mimo wszystko jednak ta częsta nieobecność w pracy była doskonałym pretekstem, żeby się go pozbyć. Jego miejsce może zająć Balmer, dobry chłopak, bystry, zawsze pali się do roboty. A on, wychodząc coraz częściej na spotkania poza bankiem, potrzebował zaufanego człowieka, który by zajmował się bieżącymi sprawami firmy. To był dobry pomysł, by wychodzić i osobiście spotykać się z miejscowymi biznesmenami i inwestorami; lepszy niż bierne czekanie, aż sami do niego przyjdą. Spotykać się z nimi w ich biurach, odwiedzając ich domy, rozmawiać o interesach podczas trwającego ponad trzy godziny obiadu - to był właściwy sposób traktowania dobrych klientów i pozyskiwania nowych.

Teraz, gdy z centrali nadeszła delikatna sugestia, by bankowcy przestali siedzieć na tyłkach i czekać, aż firmy same do nich przyjdą, by wyszli na zewnątrz i szukali obiecujących kontrahentów, teraz zapewne oczekiwano od prezesów lokalnych oddziałów, by uczynili to samo. Był przekonany, że jego posunięcia zostaną w niedalekiej przyszłości zauważone i docenione - w odróżnieniu od poczynań innych prezesów lokalnych banków. Rozkoszował się myślą o nadejściu wezwania do centrali, a tam już na pewno zrobi karierę. Dzisiaj czekało go kilka bardzo ważnych spotkań, na które musi iść, toteż myślał, że Smallwood zawiódł go znowu, napełniała go rozdrażnieniem.

Rozległo się nieśmiało pukanie do drzwi i przez możliwie najmniejszą szparę wetknęła głowę sekretarka, mówiąc:

- Pan Smallwood przyszedł, panie Symes. Pomyślałam, że chciałby pan może o tym wiedzieć. - Uśmiechnęła się, zadowolona z siebie.

Zaskoczony Symes podniósł wzrok. Było rzeczą normalną, że jego asystent nie przyszedł do pracy, ale spóźnienie bardzo do niego nie pasowało. - Naprawdę przyszedł? Cóż, czy mogłaby pani zatem, pani Platt, powiadomić go, że chciałbym się z nim zaraz widzieć?

Głowa sekretarki zniknęła, a w kilka sekund później drzwi otworzyły się ponownie, ukazując stojącego w nich Smallwooda.

- Wchodź, wchodź. Nie stój tak. - Symes ponaglił go, zirytowany. - Dlaczego przychodzisz tak późno?

Edward zamknął drzwi, po czym podszedł do biurka szefa, nie odpowiadając na pytanie.

- Pytałem cię przecież o coś, i czekam na odpowiedź.

Edward potarł dłonią czoło i spojrział na Symesa tak, jakby go dotychczas nigdy nie widział. - Ja, ja miałem mały kłopot, sir.

W rzeczywistości ten mały kłopot polegał na posądzeniu go o zakłócanie spokoju publicznego i napaść na oficera na służbie. Posądzenie, na które jutro rano będzie musiał

odpowiedzieć w sądzie. Pocziwy porucznik policji, który znał jego rodziców, poradził mu, by wrócił do domu i odpoczął, wiedząc, że nie jest to zły człowiek. Poranne zajście złożył na karb wyczerpania nerwowego albo czegoś w tym rodzaju. Lecz Edward nie wrócił do domu. Miał jeszcze coś do załatwienia.

Symes przyjrzał się swemu asystentowi i westchnął z rezygnacją. Uznał, że jednak miał szczęście, iż Smallwood w ogóle się dzisiaj pojawił, choć z całą pewnością wyglądał raczej blado.

- Nieważne. Wiesz, że mam dziś ciężki dzień, opowiesz mi później. Mam umówione spotkanie na jedenastą i chciałbym, żebyś, jak tylko skończę, zszedł ze mną do skarbcza. - Zgarnął papiery w jedną kupkę i odłożył je do szuflady. - Wielebny Peters złożył dzisiaj dość okazały depozyt na ten swój Fundusz Odnowy. Ten człowiek to idiota - trzyma pieniądze z datków na plebanii i dopiero, gdy zbiera znaczną sumę, oddaje w depozyt. Mówi, że nie chce mnie zbyt często fatygować. - Obszedł biurko i stanął przed sejfem wpuszczonym w ścianę. - Powtarzałem mu już sto razy, że pewnego dnia go okradną. Dzisiaj przyniósł osobiście trzysta funtów! - Wybrał właściwą kombinację, otworzył drzwiczki i wyjął brązową kopertę oraz klucze do skarbcza. - Nie chcę, by to tutaj leżało, gdy mnie nie będzie, nawet jeśli jest tu wystarczająco bezpiecznie. Ostrożności nigdy za wiele, Smallwood. Aha, jak już powiedziałem pani Platt, jeśli wszystko pójdzie dobrze, może mnie nie być dziś przez cały dzień. - Zaplanował sobie spotkanie z ostatnim klientem dnia na polu golfowym.

Zatrzasnął drzwi sejfu i przekręcił tarczę. W drodze do drzwi zerknął przez ramię na Edwarda, który wpatrywał się w niego w milczeniu.

- Chodźże już, człowieku, nie mam czasu!

Zeszli po schodach do podziemia, w którym mieścił się skarbiec. Symes otworzył kluczem ciężkie stalowe drzwi i dwaj mężczyźni wkroczyli do pomieszczenia pełnego małych skrytek. W każdej z nich leżały poufne dokumenty klientów

banku. Sam sejf znajdował się na końcu. Niewielki, lecz wystarczająco duży jak na bank tej wielkości. Prezes banku ruszył w jego stronę nucąc - cieszył się na myśl o czekającym go przyjemnym dniu. Edward szedł za nim.

- A teraz, Smallwood - zaczął Symes, podając mu brązową kopertę z pieniędzmi księdza - masz ciężki dzień przed sobą i nie chcę słyszeć o żadnej pracy odłożonej na jutro. Jak będzie trzeba, weź Balmera do pomocy.

Zamilkł, wykręcając kolejne liczby na drzwiach kasy, całą uwagę skupiając na obrotach tarczy. Był zadowolony ze swej władzy. Odskokczyła ostatnia zapadka i Symes wyprostował się z uśmiechem na twarzy. Szarpnął ciężkie stalowe drzwi i odwrócił się, by wziąć kopertę od swego asystenta. Zmarszczył brwi na widok tępego wyrazu twarzy Edwarda.

- Chcę z tobą jutro pomówić, Smallwood. Ma to związek z twoją przyszłością w tym banku, przyjdź więc na pewno do pracy.

Odwrócił się i wszedł jedną nogą do środka sejfu, pochylając się lekko z braku miejsca, po czym sięgnął po małą czarną kasetkę z napisem: „Plebania Świętego Andrzeja. Wielebny Anthony Stephen Peters”.

- Czy słyszałeś, co powiedziałem, Smallwood? - padło niewyraźne pytanie. - Nie pojmuję, co się z tobą dzisiaj dzieje.

Edward zrobił krok i silnie pchnął swego przełożonego. Symes poleciał do przodu, uderzył głową w tylną ścianę kasy i upadł. Zdążył się jeszcze odwrócić, by zobaczyć, jak ciężkie drzwi zatraskują go w czarnej otchłani.

Edward przekreślił kilka razy tarczą, po czym oparł rozpalone czoło o zimne drzwi. Powietrza wewnątrz kasy nie starczy na długo. Z pewnością nie dłużej niż na noc.

Wyszedł ze skarbcza, zamknął za sobą drzwi na klucz i wszedł po schodach na parter. Gdy przechodził obok biurka pani Platt, podniosła na niego zdziwione oczy.

- A gdzie pan Symes? - spytała.

- Nie będzie go przez cały dzień - odparł Edward. - Wyszedł od tyłu do samochodu. Powiedział, że jest już spóźniony.

- A jego teczka?

- Powiedział, że jej nie potrzebuje.

Pani Platt zagdakała ze złością. - Siedziałam wczoraj do późna, wypisując te dokumenty. Mówił, że muszą być gotowe na dzisiaj. - Pacnęła rozzłoszczona w klawiaturę.

- Pani Platt - rzekł Edward.

Spojrzała do góry.

- Idę teraz do domu. Źle się czuję - ruszył w stronę drzwi.

- Wątpię, żebym wrócił.

Rozdział dziewiąty

- Wygląda na to, że jesteśmy winni panu przeprosiny, panie Holman. Wreford popatrzył zza biurka na Holmana, mając wrażenie, że to tamten powinien siedzieć na jego miejscu.

- To znaczy, że dostał pan nowe raporty o szkole?

Nadinspektor Wreford milczał przez kilka sekund, zanim zaczął mówić. Na czole pojawiła mu się zmarszczka zatroskania. - Tak, rzeczywiście dostaliśmy - odpowiedział.

Holman głęboko odetchnął z ulgą. Była czwarta rano, a on spędził bezsenność noc w pokoju zatrzymań, wyposażonym jedynie w krzesło i pryczę. Z tego stanu biernego otępienia wyrwał go Barrow. Nie mówiąc ani słowa, zaprowadził go do biura Wreforda. Obaj mężczyźni z wydziału śledczego wyglądali na zmęczonych - całą noc spędzili na rozmowach telefonicznych z wieloma posterunkami policji otaczającymi Salisbury, chcąc upewnić się, czy nie zaszły tam ostatnio jakieś dziwne wypadki i czy ktoś w ich rejonie nie doniósł czegoś o mgle.

Raport z Andover o Redbrook House zdopingował ich do działania.

- Powiedźcie mi, co się stało - zażądał Holman.

- Z trzydziestosiedmioosobowej klasy jednemu chłopcu udało się wydostać z pożaru bez większych obrażeń. Był w szoku, myślano, że właśnie wskutek pożaru, ale on zaczął

potem mówić dziwne rzeczy. - Wreford przekreślił fotel tak, że Holman nie widział teraz jego twarzy. - Z początku lekarze sądzili, że chłopak histeryzuje, lecz pewne zastanawiające szczegóły na ciele ofiar spowodowały, że zaczęli się uważniej przysłuchiwać temu, co miał do powiedzenia.

Barrow przerwał mu. - Kilka ciał było nagich, ale nawet gdyby się spaliły podczas pożaru, to przecież zostałyby wtopione w skórę jakiejś strzępki materiału.

Wreford ciągnął dalej: - Wygląda to tak, jakby pożar spowodowano świadomie. Obok ciała jednej z ofiar znaleziono kanister po benzynie. Były to zwłoki mężczyzny, miał tylko jedną rękę. Istnieje pewność, że był to zastępca dyrektora szkoły, człowiek o nazwisku Summers. - Holmanowi nagle zrobiło się słabo: czy mógł temu zapobiec?

- Wygląda także na to, że wiele ciał nosi ślady ciężkich obrażeń - dodał ponuro Barrow.

Wreford obrócił fotel z powrotem w stronę Holmana.

- Z tego, co udało się naszym ludziom wyciągnąć z chłopaka, wynika, że wszystko zaczęło się od normalnych zajęć gimnastyki. Później chłopcy rzucili się na trenera i pobili go aż do utraty przytomności. Wtedy wszedł inny nauczyciel - Summers, i wówczas zaatakowali także jego. W tym momencie chłopak zaczyna histeryzować i nie wiadomo, co się dokładnie stało, ale najprawdopodobniej pozostali uczniowie mieli napad niesamowitego szału, bijąc i - zawiesił na chwilę głos - masakrując się nawzajem.

- O Boże, gdybym wcześniej się z wami skontaktował!

- Nie może pan winić siebie za to, panie Holman. Wydarzyło się to wczoraj rano. Nie mógł pan o tym wiedzieć.

Holman potrząsnął głową. - Nie, ale to gdzieś krążyło po mojej głowie. Coś mnie tknęło wtedy, gdy ugrzęźliśmy we mgle. No, a co z tym chłopcem, czy jest przy zdrowych zmysłach?

- Lekarze twierdzą, że tak. Jest w szoku, to prawda, i trudno przewidzieć, jakie będą skutki tego, co przeżył. Ale oni są pewni, że nie jest obłąkany. I my także.

- Dlaczego? Skąd możecie to wiedzieć?
- Jest coś, co potwierdza pańską hipotezę o mgłę. Barrow, siedząc na krawędzi biurka nadinspektora, wtrącił:
 - Był chory w dniu wycieczki. Opiekunka szkolna nie puściła go, bo dopiero co wyszedł z przeziębienia. Wczoraj był na sali gimnastycznej, lecz nie brał udziału w zajęciach, bo nie był jeszcze całkiem zdrowy. Siedział na końcu sali i obserwował swoich kolegów. Na szczęście tamci nie zwrócili na niego uwagi i w ten sposób widział wszystko.

Biedne dziecko.

W pomieszczeniu, w którym się znajdowali, na kilka chwil zapadła cisza, potem zaś Holman zapytał: - A co się dzieje teraz?

- Przez całą prawie noc rozmawialiśmy z naszymi posturkami w tamtym rejonie. Staraliśmy się dowiedzieć, dokąd posuwa się mgła i czy nie dzieje się u nich nic dziwnego. - Wreford podniósł kilka kartek zabazgranych odręcznym pismem. - Dzieje się wprawdzie wiele dziwnych rzeczy, ale tak jest zawsze. Naszym zadaniem jest odróżnić te, które mają związek z mgłą.

- Czy wierzycie mi teraz?

- Powiedzmy, że nie niedowierzamy panu. Potrzebujemy więcej dowodów.

- Więcej dowodów?! - wybuchnął Holman, ale Wreford podniósł rękę.

- Myślmy, że mamy te dowody. Na przykład morderstwa toporem trzy dni temu: pewien mężczyzna nazwiskiem Abbot posiekał na kawałki bogatego właściciela ziemskiego, jego żonę i dwie kobiety ze służby, a później odrąbał sobie dłoń. Miał jakąś pretensję do tego bogacza, ale to nie usprawiedliwia takiej rzezi. W tym samym rejonie zginął pewien rolnik, stratowany przez własne krowy, a ksiądz wikary dostał amoku podczas mszy w swoim kościele. No i kilka jeszcze podobnych wypadków, ale już nie tak drastycznych. Wszystkie mogą mieć tę samą przyczynę. Nakazaliśmy, by każdy następny raport był kierowany bezpośrednio do nas, a

w tej chwili staramy się zlokalizować mgłę.

- Ale ona może być teraz gdziekolwiek.
- Wkrótce ją znajdziemy.
- Dobrze, a jaki będzie wasz następny ruch?
- Opracujemy wszystkie fakty, a potem skontaktuję się z komisarzem i zaproponuję przedstawienie zebranych dowodów ministrowi spraw wewnętrznych.

- Ale w tym czasie zostanie zarażona połowa kraju!
- Nie, panie Holman. Mam zamiar działać szybko. - Pochylił się do przodu i rzekł twardo: - Ale muszę mieć w rękę dowody.

- Przecież ma je pan!
- Mam kilka odręcznie nabazgranych notatek i raportów, które dopiero są w drodze do mnie.

- To niech pan złoży raport ustny!
- Mam zamiar to zrobić. Ale żeby pójść do ministra, muszę mieć jeden jednoznaczny przypadek!

- Jednoznaczny przypadek?! Pan czeka, żeby jeszcze coś się stało, prawda?

- Prawdę mówiąc, tak.

Holman siedział przerażony, z otwartymi ustami. Nie wierzył temu, co usłyszał.

- Ale to nie znaczy, że nie podejmuję żadnego działania - dodał szybko Wreford. - Poderwałem na nogi wszystkie nasze siły w zachodniej części kraju.

- I co im pan powiedział?

- Żeby wypatrywali niebezpiecznego gazu i żeby natychmiast reagowali na sygnały o jakimkolwiek zamieszaniu, dużym czy małym.

- Ale ludność powinna zostać ostrzeżona. Powinno się usunąć ludzi na trasie przemieszczania się mgły!

- Po pierwsze, panie Holman, musimy najpierw tę mgłę zlokalizować. A potem upewnić się, czy to faktycznie ona jest odpowiedzialna za te wszystkie wypadki.

- Ale przecież pan powiedział, że mi wierzy!

- I tak jest, ale nie mam tyle władzy, by zrobić to, czego

pan żąda. Żeby zaś mieć jakiegokolwiek poparcie z góry, muszę przekonać moich przełożonych o niebezpieczeństwie.

- Więc ma pan zamiar czekać, aż zginie więcej ludzi?

- W ciągu najbliższych paru godzin ta mgła czy też gaz - cokolwiek to jest - zacznie oddziaływać na ludzi, którzy już się z nią zetknęli, i wtedy powinniśmy uzyskać niezbite dowody. Teraz jednak nic nie możemy dla tych ludzi zrobić.

- Oprócz zamknięcia ich dla ich własnego dobra!

- Niech pan będzie rozsądny, panie Holman. Co możemy zrobić? Podać przez radio wiadomość dla wszystkich, którzy ostatnio natknęli się na mgłę, żeby łaskawie zgłosili się do najbliższego posterunku policji? W najlepszym wypadku staniemy się obiektem żartów, w najgorszym panika opanuje cały kraj. I po co to wszystko? A co będzie, jeśli mgła już się rozproszyła? Albo jeśli jest już niegroźna? Co będzie, jeśli stwierdzimy, że mgła nie jest przyczyną tych wszystkich wydarzeń, że nie mają one ze sobą nic wspólnego, że są to tylko odizolowane przypadki? Co będzie wtedy, panie Holman? Czy weźmie pan na siebie tę odpowiedzialność?

Holman poderwał się i uderzył ręką w biurko. - Nie możemy tutaj siedzieć i nic nie robić! - krzyknął.

- Poinformowałem pana o tym, jak zamierzam działać - rzekł ostro Wreford. - A teraz proszę usiąść i proszę, niech pan będzie rozsądny - mówił dalej uspokajającym tonem. - Niech pan pomyśli o tym, panie Holman: mamy jedynie pańskie zeznania o mgłę, i niech pan pozwoli mi być szczerym - został pan wypuszczony ze szpitala już następnego dnia po tym, co okazało się złamaniem nerwowym. Trochę cierpliwości, niech mi pan pozwoli zebrać fakty, nim zacznę działać dalej. Sytuacja wygląda tak, że to ja nadstawiam karku przez to, że zarządziłem stan pełnej gotowości w zachodniej części kraju. Drogo mnie to będzie kosztowało, gdy moi przełożeni dowiedzą się o tym jutro rano. - Zerknął na zegarek. - Mam na myśli dzisiaj rano.

Proszę jedynie, by uzbroidł się pan w cierpliwość.

- Nie mam wielkiego wyboru, prawda? - odrzekł Holman, oparłszy łokcie na kolanach i zacisnąwszy dłonie. - Wspaniale. Ale teraz chcę zobaczyć Casey. Chcę pojechać do tego szpitala.

Wreford uśmiechnął się uprzejmie. - Oczywiście, ale wołałbym, by został pan tutaj.

- Nigdy! - Holman poderwał się ponownie.

- Potrzebuję pana tutaj. Niech pan pozwoli, by detektyw Barrow zadzwonił do szpitala i sprawdził, jak ona się czuje. I tak nie pozwolą panu widzieć się z nią tak wcześnie rano. - Wreford skinął głową młodemu detektywowi, który po chwili zniknął za drzwiami.

- Jestem pewien, że rozumie pan naszą sytuację - Wreford mówił dalej opanowanym głosem.

- Jestem pewien, że nie rozumiem - odparł Holman.

Barrow wrócił po krótkiej chwili. Był czymś bardzo przejęty. Milcząc minął Holmana, podszedł do nadinspektora i zaczął mu coś szeptać do ucha.

- Och, na litość boską! - wybuchnął Holman.

- Już, panie Holman - powiedział szybko Wreford, nie chcąc dopuścić, by tamten ponownie wybuchnął. - Barrow właśnie dzwonił do szpitala. Powiedziano mu, że panna Simmons została zwolniona kilka godzin temu na żądanie ojca i znajduje się pod jego opieką.

Holman patrzył na niego tępym wzrokiem. Wreford wyglądał na zakłopotanego. - Przykro mi. Prawdopodobnie nic nie mogli zrobić. Dziewczyna wydawała się w pełni zdrowa, no może trochę otepiała, a jej ojciec - mimo protestów lekarzy - nalegał, by ją zabrać do domu. Sami woleliby potrzymać ją pod obserwacją jeszcze przez jakiś czas, ale niestety nie byli w stanie jej zatrzymać.

Niebieskozielony rover pędził przez wyludnione ulice, kierując się na Highgate. Jego trzech pasażerowie siedzieli w ponurym milczeniu. Holman spoglądał tępym wzrokiem przez okno. Był zmęczony i przepełniony niepokojem o Casey.

Ścisnęło go coś w dołku. Czy jest z nią wszystko w porządku? Czy zniknęły skutki działania gazu? Przecież bardzo krótko przebywała we mgle.

Barrow siedział obok, nie mogąc uwierzyć w to wszystko, co się działo, i jednocześnie ciekaw, co będzie dalej. To była na pewno niezwykła sprawa. Wciąż nie wiedział, czy siedzi obok szaleńca, czy też orędownika ważnej sprawy. Ten człowiek był z pewnością w gorącej wodzie kąpany, ale nie całkiem chyba obłąkany. A jego niewiarygodna opowieść miała jakąś dziwną logikę. Trzeba się było tylko przełamać, by w nią uwierzyć. Bo dopiero, gdy patrzy się na całą sprawę obiektywnie, widzi się, jak bardzo jest absurdalna. Był zadowolony, że tym, kto weźmie na siebie całą odpowiedzialność, będzie Wreford, a do niego będzie jedynie należało wykonywanie poleceń. Wreford był za miękki, zawsze taki był. Ale z drugiej strony był sprytny, co do tego nie było żadnej wątpliwości. Jednakże tym razem popełnił duży błąd, zawierając temu kutasowi! Nadstawiał karku, dobra, ale nie aż tak, jak powiedział Holmanowi. Wreford zaalarmował miejscowe siły policji, to fakt, ale nakazał im tylko, aby zwracały uwagę na jakieś dziwne warunki pogodowe, a w szczególności na mgłę, i by meldowały o tym bezpośrednio jemu. Przekonał jakiegoś swojego przyjaciela w centrali policji, dokąd przekazywane są meldunki z całego kraju, żeby przez całą noc informował go na bieżąco o wszystkich doniesieniach dotyczących niezwykłych wydarzeń w Somerset, Wiltshire, Dorset i Hampshire. Nieoficjalnie, rzecz jasna. Będzie musiał wytłumaczyć się ze swojego żądania przesyłania raportów o pogodzie, no i będzie lepiej, aby miał wtedy gotową odpowiedź, ale poza tym nie zrobił nic, co mogłoby zepsuć mu jego reputację. Ale jeśli - i tylko jeśli - niewiarygodna teoria Holmana się sprawdzi, to Wreford będzie kryty; działał dyskretnie, według posiadanych informacji.

Barrow spojrział na zegarek. Dziesięć po piątej. Jezu, ależ był zmęczony. Kilku godzinna narada w pokoju zatrzymań nie wyszła mu na zdrowie, a to wszystko po co? Dla korzyści tego

robala. Chociaż, miał w końcu rację z tą szkołą. Może...? Nie, teraz on dawał się w to wciągnąć! Głos Holmana, instruującego kierowcę, przerwał tok jego myśli.

- Prosto pod górę, na Highgate Hill, potem skręć w lewo w osiedle. Zobaczysz boczną drogę w lewo. Powiem ci, gdzie.

Wóz policyjny rozpoczął długi podjazd pod górę. W brzaśku poranka opustoszałe ulice sprawiały smutne wrażenie. Dotarli do osiedla i skręcili w lewo, na Hampstead. Holman spoglądał z niepokojem przez okno, rozglądając się za ulicą, gdzie wraz z ojcem mieszkała Casey. Dostrzegł ją i nakazał kierowcy zwolnić. Narastające w nim napięcie osiągnęło szczyt. Znowu zadał sobie pytanie: czy działanie mgły już się skończyło? Wkrótce będzie mógł się o tym przekonać.

Gdy zobaczył właściwy dom, szturchnął kierowcę w ramię. - To tutaj - wskazał palcem.

Dom był duży, położony tuż przy drodze; mały ogródek od frontu ledwie zasługiwał na swe miano, ale z nawiązką nadrabiał to wielki, rozciągający się hen daleko, ogród za domem. Ojciec Casey był człowiekiem zamożnym; był zastępcą przewodniczącego rady nadzorczej w jednym z największych brytyjskich Unit Trust Finance Houses. Miał udziały w wielu innych przedsiębiorstwach, w tym niemało w handlu nieruchomościami. Po kilku wzajemnych spotkaniach przestali się lubić; nie czuli do siebie sympatii, ponieważ obaj wiedzieli, że rywalizują o tę samą osobę - Casey. Holman był zaskoczony ogromem niechęci, a nawet wrogością Simmons'a do niego; rozumiał jego zaborczość po utracie żony, ale uczucie, które okazywał Casey, powodowało, że Holman poczuł się niepewnie. Wyglądało to trochę zbyt intymnie jak na stosunki między ojcem i córką. Gdy kiedyś ją o to zapytał, Casey była zdumiona posądzeniem, że widzi coś dziwnego w stosunku ojca do niej. A potem była zła, że mu to w ogóle przyszło do głowy. Holman od razu się wycofał, zdając sobie sprawę ze swej zazdrości, która mogła zniekształcać

ocenę sytuacji. Ale Simmons wcale nie ukrywał, że zainteresowanie Holmana jego córką nie jest mile widziane i przy jakiejś okazji, gdy Casey wyszła z pokoju, rozwodził się długo, by mu to wreszcie uświadomić. Lodowata odpowiedź Holmana jeszcze bardziej zaogniła stosunki między dwoma mężczyznami. Po tej rozmowie nigdy już nie odwiedzał Casey, gdy jej ojciec był w domu.

Teraz, patrząc w górę na ciemne okna domu, przeklinał głupotę tego starszego od siebie człowieka, który wymógł, by tak wcześniej wypuszczono Casey ze szpitala. Jeśli coś się jej stało... Nie chciał o tym myśleć.

- Wygląda na to, że wszyscy są już w łóżkach - zauważył cierpko Barrow.

Holman zignorował uwagę i wysiadł z samochodu.

- Poczekaj tutaj, Tom. - Dobiegł go z tyłu głos Barrowa, wydającego polecenie kierowcy. Holman podszedł do furtki i zatrzymał się, by poczekać na inspektora.

- Czy naprawdę chce ich pan obudzić? - spytał Barrow.

- Tak - odparł Holman i ruszył w stronę potężnych białych drzwi. Odczuł dziwny niepokój, gdy odkrył, że są otwarte. Odepchnął je drżącą ręką.

Rozdział dziesiąty

Dokładnie w tym samym momencie, trochę ponad sto mil na południe, Mavis Evers stała bosą na plaży Bournemouth i myślała o popełnieniu samobójstwa. Wyruszyła w nocy z Londynu. Prowadziła, walcząc ze łzami zalewającymi jej oczy, zamazującymi widok szosy, grożącymi roztrzaskaniem się jej czerwonego mini o przydrożne drzewa. Nie chciała zginać w samochodzie, bo wtedy jej przyjaciele, jej rodzice nigdy by się nie dowiedzieli, czy ta śmierć była zamierzona, czy też przypadkowa. Chciała, żeby wiedzieli, że sama odebrała sobie życie. Jej śmierć - w odróżnieniu od jej życia - musiała mieć jakiś sens, nawet jeśli to tylko Ronnie będzie osobą, która w pełni zrozumie jej znaczenie.

Ronnie ją zniszczyła, Ronnie zmusiła ją do zakochania się, to przez Ronnie utraciła swą niewinność.

Dwa razy, nie mogąc zatamować strumienia łez, musiała zjechać na pobocze i zatrzymać wóz. Raz zatrzymała się, gdy mgła zawisła nad drogą. Płakała czekając, aż przejdzie.

Dlaczego jej ukochana tak z nią postąpiła? Przecież żyły ze sobą dwa lata, dzieląc z radością swój czas, wyłączając kogośkolwiek innego z ich intymnego szczęścia, śmiejąc się z całego świata. Do momentu, gdy Ronnie nagle i nieodwracalnie odeszła. Wszystko zaczęło się dwa tygodnie temu, gdy Ronnie z żalem, lecz twardo zaczęła odrzucać jej pieszczoty. Po-tem były klótnie, pytania, błaganie i w końcu ta okropna

wiadomość: Ronnie zakochała się w kimś innym. W mężczyźnie! Ronnie zakochała się w mężczyźnie!

Cały paradoks polegał na tym, że to Ronnie uwiodła Mavis. Uwiodła i zapoznała z taką odmianą miłości, jakiej ta do tej pory nie знаła. Była to miłość swoistego rodzaju; miłość, która może być udziałem tylko dwóch kobiet. Miłość dla większości nie do przyjęcia, ale tym bardziej wiążąca ze sobą osoby, które dotknęła.

Mavis po raz pierwszy spotkała Ronnie wiele lat temu, gdy obie jeszcze były dziećmi i mieszkały w Basingstoke. Ich rodzice byli zaprzyjaźnieni i często wszyscy razem wyjeżdżali na weekendy nad morze. Chwile spędzone wówczas w Bournemouth Mavis pamiętała do dzisiaj. Mieszkali w wynajmowanym domu, gdzie dwie dziewczynki musiały spać ze sobą w jednym łóżku. Tam właśnie Ronnie wprowadziła ją w świat rozkoszy ciała. Ona miała wtedy jedenaście lat, Ronnie - dwanaście. Rodzice poszli gdzieś na cały wieczór, obiecując - jeśli będą grzeczne - smakołyki i lemoniadę, a faktycznie mając nadzieję, że gdy wrócą, obie pociechy będą już dawno spały. I gdy dziewczynki leżały tak, rozprawiając o wydarzeniach minionego dnia, kogo lubią, a kogo nie, Ronnie ni stąd, ni zowąd zapytała Mavis, czy ta kiedykolwiek już się dotykała. Zbita z tropu, spytała, gdzie?

Płochliwie Ronnie wsadziła palce pomiędzy nogi Mavis, a po chwili szybko je wyciągnęła. Mavis była zdziwiona i podekscytowana dziwnym mrowieniem, które przebiegło przez jej ciało, po czym sama dotknęła się w to miejsce, z początku chichocząc, a potem ciesząc się z nowego odkrycia. Ronnie spytała wtedy, czy chciałaby ją tam znowu poczuć, na co - czując, jak ogarnia ją fala ciepła - odpowiedziała, że tak, ale pod warunkiem, że ona dotknie też Ronnie. Dwie kolejne godziny spędziły na podniecającej, po dziewczęcemu niewinnej, wzajemnej masturbacji. Powtórzyło się to jeszcze tylko dwa razy; żadna z dziewczynek nie przywiązywała do tego zbyt dużej wagi, dla obu stanowiło to tylko radosną rozrywkę. W ciągu paru następnych lat widywały się rzadko.

Rodzice Ronnie przenieśli się do Londynu i dziewczynki spotykały się może trzy czy cztery razy w roku, lecz nie już nie mówiły o swoich niewinnych igraszkach. Mavis zdawała sobie sprawę z tego, że był to jedynie przejaw kolejnego etapu dojrzewania, przez który przeszły razem. W końcu Ronnie znalazła sobie mieszkanie bliżej centrum miasta, bliżej swej pracy i bliżej życia towarzyskiego, i wyprowadziła się od rodziców. Przez pewien czas pisywały jeszcze do siebie listy, ale później kontakty ograniczyły się do wysyłania kartek urodzinowych i świątecznych. I wtedy, tuż po swoich dwudziestych pierwszych urodzinach, znudzona pracą, rodzicami i ciągłym brakiem zainteresowania płci przeciwnej, Mavis postanowiła, że Londyn może stać się odpowiednim miejscem także dla niej. Napisała do Ronnie, pytając, czy słyszała może o jakimś niedrogim mieszkaniu do wynajęcia. Odpowiadając przyjaciółka zaproponowała, aby zamieszkała z nią, dopóki czegoś nie znajdzie. I tak, bojąc się trochę życia w wielkiej metropolii, Mavis przeprowadziła się do Ronnie. Nie była pewna, czy to jej przyjaciółka z dawnych lat, gdy spotkały się na stacji Euston. Ronnie przemieniła się bowiem w piękną, delikatną kobietę - w każdym razie na taką wyglądała. Mavis miała się wkrótce przekonać, że pozę taką przybierała w stosunku do ludzi, których nie znała za dobrze, a to, chociaż tylko przez krótki czas, dotyczyło także Mavis.

Mavis była zaskoczona szerokim kręgiem przyjaciół Ronnie. Niektórzy z nich byli, prawdę mówiąc, kolorowi. Desperacko próbowała przejąć ich cyniczny i zblazowany stosunek do życia, lecz po kilku tygodniach zrozumiała, że w sposób naturalny nigdy nie wejdzie w ich towarzystwo. Ich wartości uważała za nieprawdziwe, ich ideały były dla niej sztuczne.

Nie chciała być intruzem u swej przyjaciółki. Odkryła, że w rzeczywistości pod warstwą tego całego jej blichtru Ronnie była taką samą samotną dziewczynką, jaką kiedyś znała. Zaczęła więc szukać oddzielnego lokum dla siebie. Ale proponowano jej tak obskurne i przygnębiające mieszkania, że

w końcu, pewnej nocy, załamała się. Było to po powrocie z kolejnej bezowocnej wyprawy w poszukiwaniu pokoju do wynajęcia. Ceny mieszkań, które się jej podobały, daleko wykraczały poza jej możliwości finansowe; te zaś, na które było ją stać, były obrzydliwe. Zmokła do suchej nitki w londyńskiej mżawce i na pierwsze słowa sympatii ze strony przyjaciółki - dała upust swoim uczuciom.

Ronnie usadowiła się na oparciu kanapy, na której siedziała Mavis, i mówiąc, by się nie martwiła, że wymyśla coś później, objęła ramieniem jej przygarbione plecy. Kazała jej zdjąć mokre ubranie i wziąć szybką, gorącą kąpiel, a potem iść do łóżka, ona zaś w tym czasie przygotowuje dla niej mocnego drinka. Po krótkim jeszcze szlochaniu, podczas którego Ronnie delikatnie gładziła jej rozczochrane włosy, wzięła się w garść i przez łzy uśmiechnęła się z wdzięcznością, po czym poszła do niewielkiego pokoiku, służącego za przebieralnię albo dodatkową sypialnię. Gdy Ronnie przygotowywała dla niej kąpiel, przebrała się w szlafrok. Moczyła się przez dziesięć minut w gorącej wodzie, uspokajając roztrzęsione nerwy. Wyszorowała się i umyła włosy, a potem szybko wytarła w rozkosznie miękkie ręczniki Ronnie. Jej przyjaciółce dobrze się powodziło, od kiedy przeniosła się do Londynu. Najpierw pracowała jako sekretarka prezesa pewnej amerykańskiej firmy tytoniowej, a później została jego osobistą asystentką. Opłata za wynajmowane mieszkanie musiała być dość wysoka, skoro czynsze skromnych mieszkań oglądanych przez Mavis bynajmniej nie były umiarkowanie niskie. Ronnie nosiła także drogie ubrania. Jej garderoba w szafie - jej liczba i jakość - wprowadziła Mavis w osłupienie. Ale tak naprawdę Ronnie wciąż pozostawała tą samą słodką przyjaciółką, którą Mavis знаła przez te wszystkie lata.

Poszła do swego pokoju, gdzie doszedł ją z kuchni głos Ronnie. - Pakuj się do łóżka, a ja zaraz ci przyniosę gorącą czekoladę i ten porządny drink, który ci obiecałam!

- Dziękuję! - odrzyknęła Mavis, zdejmując ręcznik z mokrej głowy i wycierając energicznie włosy. Rozczesała je, aż stały się proste i długie, ułożyła je blisko szyi i ramion. Gdy zdejmowała szlafrok, dostrzegła swoje odbicie w wysokim lustrze. Różowe ciało wydawało się pełne i doskonałe w miękkiej poświacie pochodzącej z zapalanej lampki do czytania. Przez kilka sekund badała wzrokiem swą postać, zadowolona, że jej figura, może nie olśniewająco piękna, jest mocna, a jednocześnie gibka; z całą pewnością nie była gruba. Przesunęła dłońmi wzdłuż ud i potem ku ich środkowi, po biodrach i po szczupłej talii, a później do góry, ku pierśsiom. I gdy tak jej dłonie krążyły wokół tych delikatnych wypukłości, poczuła na sobie wzrok Ronnie, obserwującej ją od strony drzwi.

Szybko opuściła ręce i zaczerwieniła się, spostrzegłszy, że jej sutki twardnieją.

- Masz piękne ciało - powiedziała cicho Ronnie.

Mavis poczuła się zakłopotana. - Och, nie, nie jestem Wenus, ale sądzę, że jest w porządku.

- Jest piękne - Ronnie weszła do pokoju i położyła tacę z gorącą czekoladą i dwiema szklankami brandy na małym kredensie przy łóżku. Uniosła kódrę i poklepała poduszkę. - No, dalej, wskakuj, zanim zdążysz złapać katar - powiedziała, podniosła pościel wyżej i odsunęła się na bok, pozwalając przejść Mavis.

Gdy Mavis wsunęła się już pod kódrę, Ronnie przysiadła na krawędzi łóżka, zakrywając do połowy jej ciało, ale zostawiając piersi i większą część brzucha odsłonięte. Mavis poczuła, że czerwieni się jeszcze bardziej, gdy Ronnie, z ledwie widocznym uśmiechem na ustach, bez żadnego zażenowania, zaczęła badać wzrokiem jej ciało.

- Pamiętasz, jak byliśmy dziećmi? - spytała.

Mavis pamiętała, tylko że teraz wspomnienia te wydawały się nabierać odmiennego znaczenia. Pokiwała głową.

- Twoje ciało już wtedy było rozkoszne - mówiła dalej Ronnie, a jej uporczywe spojrzenie błędziło wokół dwóch małych różowych pączków, które w tej chwili były jeszcze bardziej podkreślone. Dziwne, ale Mavis nie czuła się już

skrępowana wzrokiem Ronnie - przeciwnie, zaczęła upatrywać w tym przyjemność, czując takie samo podniecenie, jakie ją ogarniało, gdy była małą dziewczynką. Serce biło jej teraz szybko, nerwy dygotały. Nie myślała o tym, co mogło się stać za chwilę, ale też nie odrzucała myśli o tym; była dziwnie ożywiona, a jednocześnie trochę odrętwiała.

Ronnie podniosła rękę do policzka Mavis. - Tęskniłam za jakimś przyjacielem - rzekła; koniuszki jej palców prawie dotykały skóry Mavis, stając się przez to delikatnie zmysłowe.

- A ja myślałam, że masz tu wielu przyjaciół - głos Mavis był cichy i pełen wahania.

Oczy Ronnie na moment zaszyły smutkiem. - Tak, mam wielu przyjaciół. Ale nie mam żadnego prawdziwego przyjaciela, takiego, jakim ty byłaś.

Mavis spuściła wzrok. - Przykro mi.

- Nie trzeba - uśmiechnęła się Ronnie. - Teraz jesteś przy mnie.

Jej dłoń powoli przesunęła się w dół i zatrzymała na szyi Mavis. Nacisk zwiększył się lekko, potem ponownie zelżał.

Mavis zauważyła, że jej oddech staje się coraz szybszy, jej małe piersi zaczęły wznosić się i opadać. Uniosła rękę do spoczywającej na szyi dłoni i lekko zacisnęła na niej palce, pozostawiając ją tam.

Oczy Ronnie zabłysły czymś, co mogło być łzami; wciągnęła gwałtownie powietrze w płuca. Jej dłoń zaczęła ponownie przesuwać się w dół, przebiegając po gładkiej skórze palcami przypominającymi w dotyku pióra, aż natrafiła na miękkie wzniesienie, którego szukała. Mavis zadygotała, gdy dłoń zamknęła się na jej piersi, a sutek został uwięziony pomiędzy dwoma palcami. Ronnie nachyliła się, po czym dotknęła różowego czubeczka wargami, pocałowała go delikatnie, a potem zwilżyła językiem.

W Mavis rozgorzał ogień - najpierw w piersiach, potem spłynął w dół, między uda. Rozkoszne mrowienie czuła nawet w palcach u nóg. Przytłumione wrażenie przepływającego prądu przeszło jej całe ciało. Przestała o czymkolwiek

myśleć, nie zastanawiała się, co znaczy cała ta sytuacja. To się nie liczyło, sens tego wszystkiego nie był teraz ważny.

Ronnie położyła rękę nad głowę Mavis i przysunęła się do niej bliżej. Jej wargi musnęły nagą szyję dziewczyny i zaczęły ją całować bardzo, bardzo delikatnie. Mavis przesunęła się w łóżku, by mogły leżeć obok siebie. Do tej pory sama nie dotknęła jeszcze Ronnie, trochę obawiając się to zrobić; jakaś maleńka cząstka podświadomości podpowiadała jej, że będzie to oznaczało ostateczne, nieodwołalne wyrzeczenie się siebie.

Wargi Ronnie znalazły w końcu usta Mavis; pocałowały się, ledwo się dotykając, delikatnie, jak gdyby bały się okazać swą namiętność. Potem Ronnie wcisnęła swój język między wargi Mavis, lecz ta wypchnęła go lekko swoim językiem. Odszukała dłonią pierś Mavis. Tym razem pieszczoty były już bardziej zdecydowane - jej dłoń obejmowała to jedną, to drugą pierś, nie chcąc zaniedbać żadnej. Mavis jęknęła cicho, gdy Ronnie zaczęła powoli przesuwać dłoń w stronę miejsca, które było już gotowe, już paliło się do jej przyjęcia. Najpierw dotknęła płaskiego brzucha; naciskając go przez chwilę, Ronnie poczuła, jak Mavis drży. Kontynuowała swą nieśpieszną, lecz niespokojną podróż, aż palcami dotarła do krótkich loczków, tworzących splątany trójkąt, ukrywający prowadzącą do wnętrza ścieżkę. Koniuszki palców przedierały się delikatnie przez włosy.

Mavis była rozczarowana, gdy dłoń nie weszła głębiej, między uda. Minęła to miejsce i zaczęła przesuwać się po gładkich nogach. Zaraz jednak zrozumiała, że było to tylko wyrafinowane drażnienie, gdyż wkrótce palce Ronnie zaczęły na powrót przesuwać się w górę, tym razem wzdłuż wewnętrznej strony ud, tak bardzo wrażliwej na pieszczoty. Rozsunęła lekko nogi, by nie opóźnić tej podróży, i wtedy Ronnie znalazła wejście.

Mavis wydała głośny jęk czując, jak palce Ronnie poruszają się w mokrej pochwie. Chwyliła dziko przyjaciółkę, poddając się gwałtownie narastającej namiętności, pragnąc dotykać, pieścić, a nawet sprawić Ronnie ból. Wyciągnęła

dłoń w stronę jej bluzki i odkryła piersi, tak bardzo spragnione pieśszoty. Pożądała ciała przyjaciółki równie mocno jak Ronnie jej.

Mavis przesunęła rękę w dół, aż dotarła między uda przyjaciółki. A właściwie kochanki! Uświadomienie sobie tego faktu tak spotęgowało jej namiętność, że stała się ona prawie niemożliwa do opanowania. Mavis i Ronnie zatraciły się w szale, a ich rozkosz zlała się w jeden długi dygoczący jęk.

Leżały nagie na łóżku, rozmawiając aż do świtu, nie mając ochoty na sen, pragnąc poznać swoje myśli i ciała. Tej nocy kochały się jeszcze wiele razy, na wiele różnych sposobów, ale już spokojniej. Nie miały żadnego poczucia winy czy wstydu, że są lesbijkami. Ronnie przyznała, że już przedtem miewała stosunki z kobietami, ale nigdy nie doznała tak głębokich uczuć jak teraz, stanowiły one bowiem jedynie zaspokojenie namiętności.

Mavis zwierzyła się, że raz tylko kochała się z mężczyzną i chociaż to się jej podobało, nie miało dla niej żadnego znaczenia pod względem uczuciowym.

Przez dwa lata Ronnie i Mavis były szczęśliwe, żyjąc ze sobą. Żyły nie jak mężczyzna i kobieta, lecz po prostu jak dwie kochanki; żadna nie miała ochoty na odgrywanie roli męskiej, nie był to ten rodzaj związku. Ich kochanie się wykluczało jakiegokolwiek nienaturalne kombinacje; przyjemność czerpały wyłącznie z drugiego ciała. Obie zachowywały swą kobiecość i obie ceniły swoją niezależność.

Ale dwa tygodnie temu coś się w Ronnie zmieniło. Stało się to nagle i było niepokojące. Odrzucała pieśszoty Mavis, pogrążając się w długich rozmyślaniach nie wyjaśniając przyczyny tych ponurych nastrojów. Kilka nocy spędziła poza domem. Nie chciała powiedzieć Mavis, gdzie była. Dopiero ostatniej nocy, wróciwszy po trzydniowej nieobecności, przyznała, o co chodzi. Łamiącym się głosem oznajmiła swojej przyjaciółce, że już jej nie kocha, że spotkała kogoś, kto uwolnił ją od skrytych obaw, spowodował, że zrozumiała, iż miłość fizyczna, której się zawsze bała, może być pięknym,

poruszającym do głębi aktem. Zakochała się w mężczyźnie i pozwoliła mu się z sobą kochać.

Ronnie płakała, przyznając, że nie chciała, by to się stało, ale Philip był tak miły, tak delikatny, że wyzwoliła się od wszelkich zahamowań wobec mężczyzn. Czuła się tym aktem oczyszczona. Te słowa najbardziej zraniły Mavis. Oczyszczona? Czyżby ich miłość była brudna? Czy ich sypanie ze sobą, przytulanie się - czy wszystko to było obrzydliwe? Wrzasnęła na Ronnie, błagając ją, by nie odchodziła; prosiła o to na kolanach. Lecz Ronnie odepchnęła ją z całej siły, i to właśnie dotknęło ją najmocniej. Nie mogła i nie chciała przyjąć do świadomości, że została odrzucona przez swoją kochankę. Ronnie nigdy dotychczas nie użyła w stosunku do niej siły; odrzucając Mavis, jej przyjaciółka odrzucała również siebie; użycie siły oznaczało zerwanie łączących je więzów. Mavis przyczołgała się z powrotem do stóp Ronnie, szlochając upokorzona, po czym wstała, objęła ją ramionami, próbując przytulić głowę do jej piersi. Ronnie pozwalała jej na to przez chwilę, ale gdy Mavis posunęła się jeszcze dalej, rozpaczliwie usiłując przywrócić łączącą je do niedawna intymną więź, odskoczyła krzycząc, by nigdy więcej jej nie dotykała. Mavis upadła, załamana.

I wtedy właśnie zrozumiała, że przegrała. Jej żal zamienił się we wściekłość, gdy zdała sobie sprawę, jak bardzo została oszukana. To przecież Ronnie zaprowadziła ją na tę ścieżkę, uwiodła ją! Jak mogła teraz odsunąć ją na bok, jak gdyby nic nigdy się nie zdarzyło? Znalazła „normalną” miłość i porzuciła Mavis. Ale Mavis nie chciała innej miłości. Kim teraz będzie? Samotną, rozgoryczoną lesbijką? Wybuchła płaczem z litości nad sobą.

Ronnie podeszła do drzwi i otworzyła je. Zanim wyszła, powiedziała jeszcze: - Przykro mi, Mavis. Tak bardzo mi przykro. Ale muszę iść, Philip czeka na mnie na dole, w wozie. Nie wie o nas i nie chcę, by się kiedykolwiek dowiedział. Może kiedyś, gdy będę go zupełnie pewna, powiem mu o tym. Uwierz mi, Mavis, nie chciałam, by tak się stało. Nie

przypuszczałam, że to może się zdarzyć, ale tak jest dobrze. Myślę, że to, co robiłyśmy, było złe. Przebac mi, kochanie. Mam nadzieję, że kiedyś odnajdziesz to, co ja odnalazłam.

Po jej wyjściu Mavis pozostała skulona na podłodze, wstrząsana gorzkim płaczem, zaskoczona okrucieństwem kochanki. Była przerażona losem, jaki ją czekał. Wreszcie nazwała to tak, jak było naprawdę - dwie kobiety żyjące ze sobą w nienormalnym związku. Nigdy nie zgadzała się z myślą, że była zbroczona, ale w jakiś sposób odejście Ronnie odarło ich skłonność z całej jej subtelności i odsłoniło przed Mavis nagą prawdę. Lesbijka!

Było faktem, że z tą świadomością czuła się teraz niezdolna do dalszego życia. Odżyło poczucie winy, dotychczas drzemiące w jej podświadomości. Po raz pierwszy odezwały się wyrzuty sumienia. Ale nadal rozpaczała za Ronnie, pragnąc ponownie znaleźć się w jej objęciach, chcąc, by ją pocieszyła, by ją znów posiadała. Jej zawstydzenie wzrosło z tego powodu jeszcze bardziej. Wstała z podłogi, twarz miała spuchniętą i zaczerwienioną od płaczu. Zwinęła się w kłębek na kanapie, podciągając kolana pod brodę. Przebiegła myślą te minione dwa lata, wspominając, jak bardzo były sobie bliskie i jak wspaniałe snuły plany. Powróciła pamięcią do czasu, kiedy były jeszcze młode - dwie przyjaciółki chichoczące nad niewinną wspólną tajemnicą. Pomyślała o tym pierwszym razie w Bournemouth i zdała sobie sprawę, że to tam zdecydował się niezauważalnie ich późniejszy związek. Dlaczego to wszystko się teraz zmieniło? Co spowodowało, że ludzie niszczyli się wzajemnie?

I wtedy postanowiła, co zrobi. Walcząc ze łzami, zeszła na dół do małego czerwonego mini, którego kupiły kiedyś, nie myśląc, że przyjdzie taki moment, w którym zaczną dzielić swoją własność, jak to robią rozwiedzione małżeństwa.

Jechała do Bournemouth nocą, zatrzymując się od czasu do czasu, gdy nie mogła już powstrzymać łez. Jedyнным pocieszeniem było to, że wiedziała, co ma zrobić. Ale raz musiała się zatrzymać z powodu gęstej mgły.

A teraz Mavis stała boso na plaży, wpatrując się w piękne, oświetlone blaskiem poranka, czarne morze. Przestała już płakać, opanowała się. Ronienie lez nie miało sensu, skoro zdecydowała się umrzeć. Oczyma wyobraźni widziała stojącą przed sobą postać Ronnie ze smutnym uśmiechem na twarzy i jej spokojne brunatne oczy, i ten wyraz smutku w nich nawet wtedy, gdy się śmiały.

Mavis ruszyła ku morzu, zostawiając buty na piasku. Zadrżała z zimna, gdy stopy dotknęły wody, ale większy chłód odczuwała w swoim wnętrzu. Weszła głębiej - woda sięgnęła kolan, przyływ napierał na nią tak, jakby namawiał do powrotu na brzeg. Dotarł do ud; zmoczona sukienka przylepiła się do ciała. Potem dotknął tej części ciała, którą tak uwielbiała Ronnie i tak często całowała. Mavis zanurzyła się głębiej i teraz morze zaczęło ją wciągać w swoje lodowate głębiny, a nie - tak jak przed chwilą - odpychać. Z coraz większym trudem łapała oddech. Zimna woda sięgała już do jej piersi. Zaczęła się bać. Stała, starając się utrzymać równowagę. Śmierć. Śmierć jest tak absolutna. Czy będzie czuła ból, zanim odda swe ciało czarnemu morzu? A może w ostatniej chwili ciało zacznie się panicznie wyrwać z objęć śmierci, próbując zachować życie, które ona chce świadomie przeżyć? Czy ciało zdradzi ją, walcząc i skazując na powolną agonię, zamiast szybkiej i ostatecznej utraty świadomości? Jak wielki ból i psychiczną udrękę sprawi Ronnie, czyniąc ją odpowiedzialną za tę śmierć? Czy pragnęła zniszczyć Ronnie tak jak siebie? Nadal ją kochała, nie chciała jej skrzywdzić tak, jak została sama skrzywdzona. Może była jeszcze jakaś szansa? Może Ronnie dojdzie do wniosku, że nie została stworzona do miłości heteroseksualnej? Może, po kilku tygodniach, wróci do Mavis, straciwszy złudzenia co do swojego uwielbianego mężczyzny, szukając zrozumienia i pocieszenia, które mogła dać jej tylko ona? Musi jeszcze być jakaś szansa! Jeżeli tak, to Mavis zaczeka, gotowa przebaczyć, gotowa objąć ją mocno w chwili, gdy Ronnie będzie błagała o przyjęcie jej z powrotem. A ich miłość stanie się wtedy silniejsza niż

kiedykolwiek, ponieważ obie będą wiedziały, że są ze sobą nierozzerwalnie połączone.

To czarne morze dookoła jest takie przerażające!

Obróciła się gwałtownie w wodzie, w rozpaczliwym wysiłku powrotu do brzegu. Nie chciała już umierać. Omal nie straciła równowagi i krzyknęła przerażona. Nie potrafiła dobrze pływać i gdyby nogi straciły oparcie, trudno byłoby jej dotrzeć do brzegu. Umieranie nie miało teraz sensu, teraz, gdy zdała sobie sprawę, że może mimo wszystko nie utraciła swej kochanki, że mogą znowu być razem.

Zatoczyła się do tyłu. Starła się nie stracić gruntu pod nogami. Miała wrażenie, że przeżywa koszmar senny. Czuła, że jej nogi są jak z ołowiu, że nie może. uciec przed czyhającą za plecami śmiercią.

Z trudem dotarła do miejsca, gdzie falująca woda sięgała już tylko bioder, i zatrzymała się na chwilę, by uspokoić oddech. Poczowała z ulgą, że jest bezpieczna. Przestała już myśleć o śmierci.

Łapiąc ciężko oddech, otworzyła szeroko oczy, zdumiona tym, co ujrziała przed sobą.

Setki, a może tysiące ludzi schodziły po schodach i szły ku niej, ku morzu!

Czy to sen? Czy zwariowała po tych wszystkich udrękach duchowych, przez które przeszła? Tłum mieszkańców pobliskiego miasteczka przesuwał się nieprzerwaną falą w kierunku morza, nie wydając z siebie żadnego dźwięku, gapiąc się w stronę horyzontu, jak gdyby tam było coś, co ich przyzywało. Twarze mieli białe, dzikie, kroczyli jak pogrążeni w transie. Wśród nich były dzieci; niektóre szły o własnych siłach, jakby nie należały do nikogo; te, które nie potrafiły jeszcze chodzić, trzymano na rękach. Niektórzy byli nadzy, ale większość mieszkańców szła w piżamach, jakby przed chwilą zerwali się z łóżek, by odpowiedzieć na wezwanie, którego Mavis nie słyszała ani też nie widziała. Obejrzała się w stronę rozjaśniającego się z wolna horyzontu, lecz zobaczyła tylko czarne, groźnie wyglądające morze.

Wszyscy szli teraz w jej stronę. Zdała sobie sprawę, że jest ich tysiące. Wylewali się z domów, hoteli, bocznych uliczek i kroczyli w jednej wielkiej masie. Jedyнным dźwiękiem, jaki wydawali, był odgłos stąpanię. Choć większość była bosa.

Mavis dostrzegła idącą na przedzie starą kobietę, która nagle potknęła się i upadła, dysząc przerażona. Ludzie przechodzili po niej, wdeptując ją w piasek. Nie zwalniając kroku, weszli do morza i nacierali teraz w jednolitej ludzkiej ścianie. Spojrzała w prawo, potem w lewo i zauważyła, że ściana ta rozciąga się tak szeroko i daleko, jak mogła okiem sięgnąć. Groza tej sceny przechodziła wszelkie pojęcie. Myślała tylko o tym, jak uciec przed tą ogromną nawałnicą.

Cofnęła się, ale morze za plecami było równie przerażające. Gdy tłum podszedł bliżej, zaczęła krzyczeć, tak jak dziecko, które ma być ukarane i wrzeszczy na widok nadchodzącego rodzica. Ale oni wciąż się zbliżali, głusi na krzyki, ślepi. Pojęła grożące jej niebezpieczeństwo i rzuciła się na nich w bezsilnej próbie przebicia się, lecz odepchnęli ją, nieczuli na jej błagania. Zaczęła bić i kopać; udało jej się uczynić w ten sposób niewielki wyłom w ich murze, ale ogromna poruszająca się masa była nie do pokonania i Mavis została z powrotem odepchnięta w morze.

Upadła i zaczęła rozpaczliwie wierzgać, by odzyskać grunt pod nogami. Niechcący przewróciła małego chłopca i natychmiast zanurkowała, by go wydobyć na powierzchnię. Chłopiec gapił się przed siebie, nie dostrzegając jej, nie wiedząc nawet, że przed chwilą się topił.

Znów ją popchnięto. Przewróciła się i tym razem poszła pod wodę. Puściła chłopca; do płuc wdarła się słona woda. Wynurzyła się, rozpaczliwie próbując złapać oddech, wrzeszczała w panice, oślepią morską wodą. Co się działo? Czy zabiła już siebie? Czy to było karą dla samobójców? Przewróciła się po raz kolejny na kolana, zaplątując się w ręce i nogi otaczających ją ludzi. Próbowwała krzyczeć, ale nie mogła złapać tchu. I wtedy poczuła ogarniające całe ciało znużenie.

Jej szamotanie się osłabło i w końcu legła w ciemności. Nacierający tłum potykał się o jej ciało, wgniatając je nogami w miękkie dno. Gdy ostatnie bąbelki powietrza uciekały z jej ust, nadszedł koniec jej potwornych przeżyć. Nie czuła bólu. Nie było filmu z całego życia i wspomnień, dręczących zawsze w chwili umierania. Żegnając się z życiem, odczuwała jedynie mglistą pustkę w głowie. Żadnej myśli o Bogu. Żadnych pytań, dlaczego. Tylko opadanie białej zasłony. Nie zasłony spokoju, ale i nie potworności. Nawet nie pustki. Nicość. Wolna od uczuć i wolna od chłodu. Była już po drugiej stronie.

W Bournemouth tysiące mieszkańców i turystów wyszło z domów, hoteli, pensjonatów i ruszyło ku morzu, wypełniając sobą ulice. Wkroczyli na plażę. Mgła, która popsula im wczoraj cały dzień, dzisiejszego ranka ich zabijała. Weszli do morza, by utopić się jak lemingi; ci, którzy szli z tyłu, przechodzili przez utworzone na przybrzeżnej mieliźnie stosy ciał. Ci, którzy z różnych powodów nie byli w stanie się poruszać, odbierali sobie życie w inny sposób. Setki tych, którzy nie mogli dostać się do morza, gdyż było już przepelnione trupami, zostało odepchniętych od brzegu przez ludzi, którzy przybyli do miasteczka, aby ich ratować i zmniejszyć straty w ludziach. Ale był to daremny trud. Mgła powróciła znad morza. Być może dlatego, że biło od niego zimno, a może została zepchnięta przez wiatr? Ruszyła ponownie w głąb kraju, zachowując się tak, jak gdyby była żywą istotą. Zostawiała za sobą zło, nigdzie nie zagrzewała miejsca, wiecznie w drodze, wiecznie czegoś szukając.

Rozdział jedenasty

Holman wszedł do ciemnego domu, starając się czynić jak najmniej hałasu.

- Może byłoby lepiej zadzwonić i obudzić ich? - rozległ się z tyłu głos Barrowa.

- Nie - szepnął Holman.

- Dlaczego nie, do diabła?

- Nie wiem. Po prostu myślę, że to nie byłby dobry pomysł.

- Dobra. Ale to jest włamanie, wie pan chyba o tym?

- Może pan poczekać na zewnątrz - powiedział Holman głośnym szeptem.

- O nie, wolę się trzymać pana.

- To proszę być cicho i iść za mną.

- Teraz będę cicho, ale później...

Holman odwrócił się, ignorując faceta z wydziału śledczego; był zdenerwowany jego arogancją. Ruszył w stronę pokoju gościnnego i powoli otworzył prowadzące do niego drzwi. Pokój był pusty. Zamknął drzwi z powrotem i ruszył przez hall do pokoju, o którym wiedział, że stanowi gabinet Simmonsa. Kiedy naciskał klamkę, wydało mu się, że słyszy jakiś stłumiony głos, lecz niespodziewany szept Barrowa odwrócił jego uwagę.

- Na gorze pali się światło. - Barrow ruszył od razu do schodów i Holman pognał za nim. Przeskakiwał po dwa stopnie, chcąc dogonić biegnącego przed nim policjanta.

- To jest sypialnia jej ojca - powiedział do Barrowa, gdy już się z nim zrównał.

- Będziemy wyglądać dość głupio, gdy ujrzymy go ubierającego się do pracy - zadrwił detektyw.

- Lepiej wyglądać głupio, niż skończyć z nożem w gardle.

- O Boże, i ona jest pana dziewczyną!

- Mówiłem już: ona nie jest odpowiedzialna za swoje czyny. W tej chwili jest obłąkana.

- Ha - parsknął Barrow. - Ktoś tu na pewno jest nienormalny.

Holman zerknął na niego krzywo. - Pan mi nadal nie wierzy.

- Proszę posłuchać! Wykonuję rozkazy Wredforda i mam współpracować z panem. To nie znaczy, że muszę panu wierzyć!

- Barrow, ty chodząca kupo wdzięku. - Holman uśmiechnął się zimno. - Ale skoro ma pan swoje rozkazy, to niech pan pracuje ze mną.

Odwrócił się od wściekającego się policjanta i pokonał resztę schodów, zatrzymując się na górze. Stał nasłuchując. Barrow dołączył do niego i obaj zaczęli się skradać w stronę snopu światła padającego spod drzwi sypialni.

Holman powoli nacisnął klamkę i, podświadomie wstrzymując oddech, delikatnie pchnął drzwi.

Przytłumione światło pochodziło od małej nocnej lampki. Na łóżku leżała jakaś postać. Mogli dostrzec jedynie głowę i wzniesione ku górze oczy; twarz była poszarzała i zapadnięta, wokoło unosił się odór śmierci.

- Simmons! - Holman rzucił się w stronę łóżka i zatrzymał przed leżącą postacią. Od razu zdał sobie sprawę z tego, co się stało. Wytrzeszczone oczy powoli zwróciły się ku niemu, a blade wargi poruszyły się, jakby Simmons chciał coś powiedzieć. Barrow przepchnął się przed niego i pochylił nad starym człowiekiem.

- Co się stało, proszę pana? Czy jest pan ranny?

Na krótką chwilę oczy obróciły się ku policjantowi, po czym wróciły do poprzedniej pozycji.

- Ty jej to zrobiłeś - dobiegł słaby głos. - To ty ją do tego zmusiłeś.

Holman był zbyt zaskoczony, by móc cokolwiek z siebie wydusić. Czy to on teraz ponosił za to winę? Ukląkł obok starszego mężczyzny.

- Gdzie jest Casey, to jest Christine? - spytał.

- Dlaczego, dlaczego ona to zrobiła? - Simmons spuścił oczy w dół, jakby wskazując na coś w pobliżu brzucha.

Barrow zerwał kołdrę i obaj mężczyźni wstrzymali oddech. Z brzucha Simmons'a sterczały końce nożyczek; cała piżama i pościel były przesiąknięte krwią.

- Jezu, Jezu! - wyrzucił z siebie Barrow. Odwrócił się do Holmana. - Idę do Jenningsa, niech sprowadzi przez radio karetkę. Mamy szansę jeszcze go uratować, tylko szybko. Niech pan wsadzi mu pod głowę poduszkę, żeby nie zadławił się krwią. I proszę nie dotykać tych nożyczek, i nie próbować ich wyciągać! - Zniknął w drzwiach, a Holman usłyszał, jak zbiega ze schodów, przeskakując ryzykownie po dwa czy trzy stopnie naraz.

Naciągnął na ranę zaplamioną krwią kołdrę; zrobiło mu się niedobrze, lecz nie tyle na widok rany, ile na myśl, że zrobiła to właśnie Casey. Pochylił głowę nad jej ojcem, gdy ten zaczął mówić. Słowa były ledwie słyszalnym szeptem.

- Dlaczego ona to zrobiła? Kochałem ją, wiedziała o tym.

- Ona nie jest odpowiedzialna za to, co zrobiła - rzekł do niego Holman, przemawiając miękko, jakby twarde słowa mogły zwiększyć ból Simmons'a. - Ona została zarazona przez... przez trujący gaz, który zaatakował jej mózg. - Oczy Simmons'a popatrzyły na niego przez chwilę z zakłopotaniem; nie rozumiał wypowiedzianych słów, ale przyjmował je z widoczną ulgą. Chciała go zabić, bo była chora - to nie był akt nienawiści. Uspokoiło go to na pewien czas. Zaczął mówić znowu: - Przywiozłem ją do domu ze szpitala. Powiedzieli mi, co jej zrobiłeś.

Jego twarz nabrała na chwilę groźnego wyrazu, ale był to

zbyt duży wysiłek. Rozluźnił mięśnie; twarz wyrażała teraz tylko ból.

- Nie, ja jej nic nie zrobiłem - zapewnił go Holman. - To ten gaz, to on jest temu winny.

- Ja... ja przywiozłem ją do domu. Była trochę oszołomiona. Przez cały czas przyciskała dłonie do głowy, jakby coś ją bolało. Nie chcieli jej puścić, ale wiedziałem, że będzie lepiej, jeśli pojedzie ze mną. Położyłem ją do łóżka i usiadłem obok, przemawiając do niej. Chyba mnie nie słyszała. Mówiłem jej rzeczy, których nigdy przedtem nie słyszała, ale ona nie wydawała się słuchać.

Zaczął kaszleć i Holman zaniepokoił się, że krew sięgnęła mu już do gardła. Wsunął poduszkę pod głowę starszego mężczyzny, chcąc zatrzymać krew; bał się, żeby Simmons się nie udusił.

Simmonsowi udało się opanować kaszel. Leżał, oddychając ciężko. - Kochałem ją - mówił dalej - może bardziej, niż powinienem.

Holman nic nie powiedział.

- I... i powiedziałem jej coś, czego nigdy przedtem nie mówiłem.

- Proszę nic więcej nie mówić. Spokojnie oddychać. - Holman nie słuchał go prawie. Spostrzegł przesączającą się przez kołdrę świeżą krew.

- Nie, muszę ci to powiedzieć, Holman. Masz prawo to wiedzieć, ty także ją kochasz. Jego ręce próbowały dosięgnąć ukrytych pod kołdrą nożyczek, lecz po chwili bezwładnie opadły na boki. - Ja... ja nie jestem jej ojcem, Holman. Ta suka, jej matka, tuż przed naszym rozводом powiedziała mi, kto jest prawdziwym ojcem. Ale mnie to nie robiło żadnej różnicy, za bardzo kochałem to dziecko. Pazurami walczyłem o przyznanie mi opieki nad nią. Jej matka nigdy by nie zeznała w sądzie, że Christine nie jest moja, bo w ten sposób przyznałaby się do swej niewierności. A na to była zbyt sprytna, zbyt zachłanna. - Holman dostrzegł na wykrzywionej bólem twarzy słaby, gorzki uśmiech.

To mogło wyjaśniać pewne sprawy związane ze stosunkiem

tego człowieka do Casey. Uważał ją za swoją córkę, ponieważ wiedział, że nią nie była. Ale był jeszcze inny czynnik, który odgrywał pewną rolę w ich wzajemnych relacjach. Casey tego nie dostrzegła, a Holman jedynie się czegoś domyślał. Lecz to nie miało większego znaczenia, nawet mimo braku prawdziwych więzów krwi. W stanie, w jakim ten człowiek teraz się znajdował, nadal wywoływał u Holmana odrazę.

- Powiedziałem to jej dziś wieczór. Dlatego mi to zrobiła - wymamrotał Simmons bardziej do siebie niż do Holmana.

- Nie, to nie dlatego. Mówiłem już, że to gaz.

- Wydaje mi się, że było to dla niej za dużo, w tym stanie.

- Zbyt silne miały wyrzuty sumienia, by słuchać młodszego mężczyzny. - Obudziłem się, nie wiem kiedy, chyba kilka godzin temu. Ona tu stała nade mną. Zostawiłem zapalone światło, gdyby potrzebowała mnie w nocy. Widziałem ją wyraźnie: tylko na mnie patrzyła, bez jakiegokolwiek wyrazu w oczach; ręce trzymała za plecami. - Łza wypłynęła z kącika jego oka. - Ja... ja otworzyłem ramiona, by przysła do mnie. - Jego oczy, dotąd utkwione w suficie, obróciły się teraz, pełne winy, i skierowały na Holmana. - Ja ją źle zrozumiałem...

Holman zmarszczył brwi. Źle zrozumiał?

-- Podeszła do mnie, a potem - zaczął drżeć na całym ciele - potem odkryła koldrę i wtedy ujrzałem nożyczki skierowane ostrzem prosto w dół... - Głos mu się załamywał, gdy wreszcie zrzucił z siebie ten ciężar.

Młodszy mężczyzna był skonsternowany. Wyglądało na to, że Simmons obwiniał siebie o coś. Powiedział, że źle zrozumiał. Czy myślał, że? Och, nie, nie to. Nie sądził chyba, że Casey przysła do niego po ten rodzaj miłości? Jak głupi, jak bardzo ślepy musiałby być! Biedna Casey, przejść przez to wszystko... Nagły krzyk dochodzący z dołu przerwał jego rozmyślenia. Brzmiało to jak krzyk mężczyzny, pewnie Barrowa.

Zostawił umierającego mężczyznę samego i pobiegł ku schodom. Wydawało mu się, że dźwięki dochodziły z gabinetu. Były to odgłosy niszczonej mebli i alarmujące wrzaski o pomoc. Zbiegł po schodach i pchnął drzwi do gabinetu. I wtedy się zatrzymał.

Barrow pełził po podłodze na czworakach; z rany na głowie, spomiędzy włosów wypływała strumieniem krew. Nad nim stała Casey, ściskając w ręku przerażająco wyglądający kawał szkła. Wokół jej stóp leżały rozrzucone odłamki dużego antycznego lustra. Podniosła rękę, gotowa zatopić ostrze w szyi Barrowa.

- Casey! - ryknął Holman.

Obróciła się, by spojrzeć na niego, i przez chwilę na jej twarzy pojawił się grymas jakby rozpoznania. Wtedy uśmiechnęła się i podeszła do niego. Nie poruszył się, nadal czujny, i wyciągnął ku niej rękę.

- Casey - powiedział miękko.

Z warknięciem i nagłym grymasem głębokiej nienawiści na twarzy skoczyła na niego, mierząc szkłem w jego głowę.

Zanurkował pod opadającą ręką i uderzył silnie łokciem w jej plecy, rzucając ją na ścianę. Ze swej poprzedniej walki wiedział już, że aby ją pokonać, będzie musiał użyć siły. Odbiła się od ściany; zaciśnięta na szkle dłoń krwawiła. Znowu rzuciła się na niego i ostrzem szkła lekko drasnęła jego policzek. Złapał ją za nadgarstek i ze złością uderzył otwartą dłonią w twarz; padła na ziemię. Nie puszczając jej nadgarstka, ścisnął mocniej, zmuszając ją do krzyknięcia z bólu i upuszczenia szkła, po czym gwałtownie podciągnął Casey na nogi, obrócił tyłem i wykręcił jej ręce do tyłu. Wrzasnęła i zaczęła się miotać, jak to czynią obłąkane kobiety - zresztą była jedną z nich - lecz tym razem nie okazał litości i użył całej swojej siły, by utrzymać ją w miejscu.

Chwiejąc się Barrow podszedł do drzwi i patrzył na nich, zdumiony.

- Chryste! - wydyszał. - I pomyśleć, że ja panu nie wierzyłem.

- Nie stój tak, cholerny kretynie! - krzyknął na niego Holman. - Weź coś, żeby ją związać!

Barrow zniknął i wrócił po chwili z długim sznurem do zasłon. Gdy wiązali ręce dziewczyny, przez frontowe drzwi wszedł kierowca policyjnego wozu.

- Karetka jest już w drodze, poruczniku - powiedział do Barrowa, nawet nie unosząc brwi na widok rozgrywającej się przed nim sceny.

- W porządku. Na górze jest ranny człowiek. Idź tam i zostań z nim. Myślę, że tamten ma już dosyć. - Młody detektyw potarł skórę na karku. - Cholerne zwierzę - jęknął. - Właśnie wchodziłem z powrotem do domu, gdy zobaczyłem, że zamykają się drzwi gabinetu. Chyba zamierzała wyjść z domu, gdy się pojawiliśmy, a gdy przechodziliśmy, ukryła się w gabinecie. Chciała się pewnie wymknąć, ale akurat wracałem.

- Jak to się stało? - zapytał Holman, prowadząc dziewczynę do ogromnego hallu. Posadził ją na długiej, skórzanej kanapie.

Teraz wydawała się uległa.

Barrow usiadł obok nich. - Wbiegłem do gabinetu i wtedy mnie uderzyła. Musiała stać za drzwiami z tym cholernym lustrem; czekała na mnie. Przyznaję, głupio mnie dostała. Wszystko, co pamiętam potem, to pełzanie po ziemi z jedną tylko myślą: by się od niej oddalić. Dziwka!

- Uważaj na to, co mówisz, Barrow - powiedział z gniewem Holman. Jak na jeden dzień miał już dosyć tego policjanta i był gotów odegrać się na nim, jeśli tamten będzie kontynuował swoje złośliwości. Ukląkł u stóp Casey i ujął jej twarz w swoje dłonie. Patrzyła przez niego na wylot, ponad jego ramionami, oczy miała szeroko otwarte, ale nieprzytomne.

- Casey, kochanie, słyszysz mnie? - spytał czule. - Rozumiesz, co mówię?

Jej zimny wzrok spoczął na nim. - Skurwysyn - powiedziała.

Było to tak, jakby go uderzyła. Wypowiedziała to słowo z tak lodowatą obojętnością, że aż go to zaszokowało, raniąc przy tym bardzo głęboko.

- Nie poznaje pana, Holman, nie widzi pan tego? - rzucił Barrow, wcale nie nieprzyjaźnie.

- Nie, nie poznaje. - Oczywiście Holmana przygasły. - Czy kiedyś jeszcze mnie pozna?

Tym razem Holman pojechał do szpitala razem z Casey. Karetka zabrała ojca do szpitala Whittington w rejonie Highgate Hill, a ją z powrotem do Middlesex Hospital. Zanim detektyw inspektor Barrow opuścił dręczonego obawami o los Casey Holmana, porozmawiał o dziewczynie z lekarzem, który wcześniej się nią opiekował. Ustalili, że Casey znajduje się pod bardzo ścisłą obserwacją. Doradził także lekarzowi, by skontaktował się ze szpitalem w Salisbury, gdzie leczono Holmana. Lekarz zgodził się, ale chciał przedtem dowiedzieć się czegoś więcej o przypadku Holmana. Barrow przerwał mu, mówiąc, że on sam i tak będzie musiał uzyskać wszystkie te informacje z Salisbury. Scotland Yard potrzebował Holmana natychmiast w związku ze sprawą, która dotyczyła czegoś znacznie ważniejszego niż dobre samopoczucie dziewczyny.

Nie powiedział nic więcej. Gdy jechali do Westminsteru, rzucił tylko, że Holman wkrótce dowie się wszystkiego i że on sam nie zna jeszcze pełnego raportu. W końcu dotarli do pokoju Wrèforda. Tam powiadomiono Holmana o zdumiewających i przerażających faktach.

Wreford pominął wstęp. - Mamy mało czasu na przeprosiny, panie Holman - zaczął bez ogródek. - Słyszałem pokrótce, co przydarzyło się panu oraz detektywowi inspektorowi Barrow dzisiaj rano, i współczuję panu, że musiał pan przez to przejść, ale ostatnie wypadki są szczególniej wagi.

- Raporty o dziwnych zdarzeniach napływały przez całą noc. Dotychczas, oczywiście, nie były mi przekazywane, dopóki nie wydałem odpowiedniego zarządzenia. I teraz muszę panu powiedzieć, że zrobiłem to nieoficjalnie.

Uniósł dłoń, napotyając zaskoczone spojrzenie Holmana.

- Jeszcze w to nie wchodzimy, ale musi mnie pan zrozumieć: nie mogłem przyjąć pańskiego słowa jako jedynego dowodu. Musiałem grać bezpiecznie.

- W porządku - odrzekł kwaśno Holman. - Sądzę, że powinienem być wdzięczny, że pan w ogóle się tym zainteresował.

Wreford odchrząknął i spuścił wzrok, zakłopotany, ale po chwili odzyskał zwykłą pewność siebie.

- Cóż, raporty zaczęły napływać natychmiast i nie tylko ja, ale wszyscy w tym budynku zaczęli zajmować się tą sprawą. Z początku wydawało się, że mamy do czynienia jedynie z odosobnionymi wypadkami. Niektóre rzeczywiście były błahe, ale inne już bardzo poważne. W końcu wszystko zaczęło układać się w jedną całość. Okazało się, że wszystkie wypadki zdarzały się wzdłuż zygzakowatej linii łączącej Wiltshire, Dorset i Hampshire. Ci z centrali są oczywiście bardzo ciekawi, dlaczego wydałem nieoficjalne polecenie przesyłania raportów właśnie z tamtych okolic. Odpowiedź zachowuję dla komisarza policji; mamy spotkanie za - spojrzał na zegarek - dziesięć minut. Chciałbym, by pan na nim był.

Holman skinął głową. Wreford zasępił się i ciągnął dalej. - Dotychczas mieliśmy do czynienia z pojedynczymi wypadkami, które zazwyczaj dotyczyły jednej osoby, czasami dwóch lub trzech, nigdy więcej. Ale właśnie przed godziną nadeszła bardzo ważna wiadomość, najważniejsza z dotychczasowych. Nic mamy jeszcze pełnej jasności, o co tu chodzi. Ciągłe napływają nowe informacje, ale to, o czym nam doniesiono, przekracza nasze zdolności wyobrażenia.

- Co to jest, do cholery?! - krzyknął zniecierpliwiony Holman.

- Dzisiaj około szóstej rano prawie cała ludność Bournemouth opuściła domy i ruszyła ku morzu, by popełnić zbiorowe samobójstwo.

W pokoju zapadła cisza.

W końcu Holmanowi udało się wykrztusić. - To niemożliwe.

- Niemożliwe, tak, ale się zdarzyło. Ponad sto czterdzieści osiem tysięcy osiemset dwadzieścia osób, nie licząc tych, którzy przebywali tam na urloпах. Mężczyźni, kobiety, dzieci - utopili się wszyscy. Ciągłe starają się odciągać tych, którzy nie mogą wejść do morza z plaży. Port Poole dosłownie jest zapchany dryfującymi ciałami, brzegi wokół Bournemouth są usłane trupami.

Barrow, który do tej pory nie odezwał się ani razu, przemówił. - A co z mgłą? Czy zauważono mgłę?

- Wydałem polecenie, by ją zlokalizować, ale policja w pobliskich miasteczkach ma wystarczająco dużo na głowie, by zajmować się jeszcze mgłą. Na razie nie mogłem powiedzieć im, co wywołało tę katastrofę, bo spowodowałoby to ogromną panikę. Muszę się przedtem zobaczyć z komisarzem. Ale otrzymałem jedną ważną informację: wczoraj Bournemouth było pokryte gęstą mgłą.

Komisarz policji nie tracił ani chwili. Skontaktował się z ministrem i natychmiast zorganizował spotkanie. W ponurym milczeniu wysłuchał relacji Holmana, od czasu do czasu przerywając, by zadać mu jakieś pytanie, lecz ani razu nie podał w wątpliwość tego, co Holman mówił. Holman zaproponował, aby wysłuchali go także minister obrony oraz jego własny szef, to znaczy parlamentarny podsekretarz stanu w Ministerstwie Ochrony Środowiska, przypominając sobie o spotkaniu, na które miał iść Spiers tuż przed śmiercią.

Dwadzieścia minut później składał swoją relację w obszernej, obitej dębową boazerią sali w Whitehall, otoczony przez ministrów i ich głównych asystentów. Odpowiadał na padające ze wszystkich stron liczne pytania. Parlamentarny podsekretarz stanu do spraw armii z niezadowoleniem odrzucił jego przypuszczenie, że wojsko w Salisbury zapewne wie, skąd wzięła się mgła.

Minister spraw wewnętrznych nagle uderzył pięścią w masywny stół przed sobą. - Panowie, nie będziemy teraz wdawać się w spory. James, chcę pełen raport o twoich zakładach w Salisbury - zwrócił się do podsekretarza do spraw

armii. - Chcę wiedzieć o wszystkich ostatnio tam prowadzonych doświadczeniach, a przede wszystkim o eksperymencie Broadmeyera. Holman dostrzegł przez chwilę lekkie zakłopotanie na twarzach obu mężczyzn.

- Richard - minister spraw wewnętrznych zwrócił się z kolei do ministra obrony - będziemy potrzebowali wojska do oczyszczenia Bournemouth i opanowania paniki, która zapewne wybuchnie w okolicy. Komisarzu, czy pana ludzie już zlokalizowali mgłę?

- Nie, ale mają rozkaz, by, jak tylko będą coś wiedzieli, złożyć mi meldunek.

- Sugeruję, by skontaktował się pan z Biurem Meteorologicznym i sprawdził, czy nastąpiły jakieś zmiany w cyrkulacji powietrza.

- Oni już nam pomagają w zlokalizowaniu mgły, sir.

- A gdy już ją pan odnajdzie, zapewne będzie pan chciał wiedzieć, dokąd się przemieści, czyż nie tak? - powiedział minister bez cienia sarkazmu w głosie.

- I co ma pan zamiar zrobić, gdy już ją pan znajdzie? - zapytał z ironią sir Trevor Chambers, parlamentarny podsekretarz stanu w Ministerstwie Ochrony Środowiska. Było to pytanie, na które wszyscy czekali. Co można zrobić przeciwko dryfującej, lekkiej masie mgły? Jak można ją odizolować? Jak można ją zniszczyć?

- Są metody - odparł minister obrony. - Niektóre zostały opracowane podczas wojny przez RAF, ale z chwilą wprowadzenia radaru do powszechnego użycia przestały być stosowane. Jednakże te stare metody wciąż nadają się do wykorzystania.

- Najpierw znajdziemy mgłę - rzekł zniecierpliwiony minister spraw wewnętrznych. - Chcę wiedzieć, dokąd i którądy się przesuwają, i żądam, aby ewakuowano stamtąd ludzi.

- Mój Boże - powiedział sir Trevor - to będzie operacja na wielką skalę!

- Dobrze o tym wiem, ale co pan proponuje innego? - I nie pozostawiając sir Trevorowi czasu na odpowiedź, mówił

dalej. - Panie Holman, chcę, aby był pan do dyspozycji Departamentu Badań Medycznych Ministerstwa Zdrowia. Jest pan jedyną ofiarą mgły, która się uratowała. Pragnę podkreślić, że może to pomóc ocalić życie niezliczonej liczbie ludzi.

- Hm, czy mógłbym podpowiedzieć, że nasi chłopcy z Porton Down dublują pracę Departamentu Badań? - wtrącił podsekretarz do spraw armii.

- Porton Down? - Sir Trevor Chambers uniósł brwi.

- Tak, nasza Obrona Chemiczna i Zakłady Badań Mikrobiologicznych mieszczą się właśnie tam.

- Porton Down, Salisbury? - Sir Trevor nie ustępował.

- Tak, zgadza się.

- Ta cała sprawa zaczyna mi diabelnie brzydko pachnieć.

Minister spraw wewnętrznych uniósł ręce, by zażegnać spór, który mógł za chwilę wybuchnąć. - Panowie, poprosiłem Jamesa o wyczerpujący raport z jego działań w Salisbury i nie będę tolerował żadnych zatargów między nami, dopóki go nie przeczytam. W tej chwili mamy ważniejsze problemy, z którymi się musimy zmierzyć. Wykorzystajmy więc Obronę Chemiczną i chłopców z Zakładów Badań Mikrobiologicznych, wykorzystajmy każdego, kto może nam służyć najmniejszą nawet pomocą w naszych wysiłkach opamiętania zagrożenia. Czy to jest jasne?

W ciągu następnych czterdziestu minut ustalono plany działania w nadzwyczajnych sytuacjach; przygotowano plany ewakuacji ludności z zagrożonych miejsc i rozpatrzono sposoby rozproszenia mgły. Część mężczyzn wyszła, by przekazać pilne polecenia dalej, pozostałym wydano instrukcje, które wprawiły ich w małe zakłopotanie, lecz zaczęli je od razu wykonywać. Kiedy komisarzowi podano kawałek papieru, ten przerwał rozmowy.

- Zlokalizowali mgłę - oznajmił ponurym głosem. - Przesuwa się z powrotem na północ. W stronę Winchester.

Rozdział dwunasty

Kapitan Joe Ennard zajął swoje miejsce w kabinie gigantycznego boeinga 747, witając swoich kolegów wymuszonym uśmiechem.

- Jak tam wolny dzień? - zapytał technik pokładowy.

- Wspaniale - odparł sucho Joe. Kiedy przechodził przez kontrole przed startem, myślał o dniu, który spędził z Sylwią - zaczął się tak dobrze, a zakończył tak marnie. Teraz nacisnął przycisk łączności i poprosił kontrolę lotów o pozwolenie na uruchomienie silników. Kontrola potwierdziła odbiór i wydała pozwolenie. Razem z pierwszym oficerem rozpoczął włączanie wszystkich przyrządów i jumbo jet ożył. Hałas silników wzmógł tępy ból, który odczuwał tuż nad oczami.

Wczorajszy dzień spędził z żoną w New Forest. Chcieli choć w części odtworzyć chwile szczęścia, które łączyło ich we wcześniejszym okresie małżeństwa. Sylvia wiedziała o wszystkich skokach w bok, jakie mu się przytrafiały w ciągu ostatnich kilku lat, ale usiłowała pogodzić się z tym, wiedząc o własnych niedostatkach. Miał trzydzieści osiem lat, a jego aktywność seksualna niewiele zmalała od czasu, gdy miał dwadzieścia pięć. Nie wiedział, czy byłoby tak samo, gdyby ich małżeństwo układało się normalnie, ale fakt, że odrzucała akt miłosnego spełnienia, zamiast osłabiać, tylko potęgował jego pożądanie. I tak, chociaż nadal ją kochał, musiał szukać zaspokojenia gdzie indziej.

Paradoks polegał na tym, że sam czuł się winny. Nigdy nie wyrzucała mu jego niewierności, nie wytykała złego prowadzenia się. Często widział ją płaczącą po kryjomu, lecz nie były to łzy oskarżenia - zawsze łzy żalu. Zaczęło się to dwa lata po ślubie, gdy stracili dziecko. To nie była jej wina, lecz nikt, nawet lekarze, nie mógł jej o tym przekonać. Joe był obecny przy narodzinach dziecka. Jeszcze dziś miał przed oczyma tę pięknie ukształtowaną istotę ludzką, która wyłoniła się na świat; taka mała, tak doskonała - i tak nieżywa. Lekarze wytłumaczyli im, dlaczego tak się stało, ale to przecież nie mogli przywrócić im dziecka.

Po tym przeżyciu bała się, że jeżeli znów zajdzie w ciążę, może się to powtórzyć, i to właśnie było powodem jej oziębłości. Nawet podejmowane przez niego środki ostrożności nie zmniejszały jej obaw. Już dawno więc zrezygnował z prób podejmowania współżycia. Ale nadal się mocno kochali, a jego skoki w bok nie miały znaczenia. Nie angażował się w nie uczuciowo. Traktował je wyłącznie jako akt dający mu trochę odprężenia. Czy można być niewiernym i nadal kochać swą żonę? Znał na to odpowiedź. Przynajmniej w jego przypadku brzmiała ona: tak.

No, a teraz to, co się zdarzyło wczoraj. Ten dzień miał ich zbliżyć, usunąć przepaść, która zaczęła się między nimi tworzyć. Lata zdrad przyniosły bowiem złe żniwo. Postanowił, że nie będzie już szukał fizycznego zaspokojenia poza małżeństwem. Zawiózł ją do New Forest, gdzie spędzali tak wiele czasu przed ślubem. Postanowił ponownie przyrzec jej swoją miłość i wierność i zapewnić, że nigdy już nie będzie jej zdradzał. Miał zamiar powiedzieć jej, że łączyło ich wystarczająco wiele, by móc zacząć budować życie małżeńskie od nowa.

Ale we mgle, która ich zniemacka otoczyła, powiedziała mu, że odchodzi. Znalazła kogoś, kto chciał być z nią i akceptował jej warunki, przyrzekając, że nie będzie zaspokajał swoich potrzeb przy pomocy innych kobiet i że będzie szczęśliwy, kochając ją dla niej samej, a nie tylko dla jej ciała.

Był zbyt zaskoczony, by o cokolwiek błagać.

Dziś rano poczuł dziwną ulgę, jak gdyby ktoś zdjął mu z ramion ciężkie brzemię. Był wolny. To nie on jest tym, który odchodzi, ale ona. Nie musi się już obawiać, że mogłaby się załamać wskutek rozstania. Będzie teraz szczęśliwa. Może to właśnie było to, co trzymało go przy niej przez te wszystkie lata: nie miłość, lecz obawa przed dodatkowym zranieniem jej, gdyż przecież sama wystarczająco cierpiała. Zdobył się nawet na kilka pytań na temat tego mężczyzny. Kim jest? Czy on go zna? Czy jest żonaty? Co robi? Pytał o to bez złośliwości, nie mając nawet zamiaru okazywać usprawiedliwionego niezadowolenia. Mimo wszystko ona je wyczuła, ale odpowiedziała na wszystkie pytania. Miał na imię Kevin - Joe nie mógł sobie przypomnieć nazwiska, jakie podała - nie, nigdy go nie widział, jest rozwiedziony, jest technikiem radarowym. Spotkała go w Londynie, gdy Joe odbywał daleki lot. Poznali się dawno, zanim jeszcze zetknęła się z Joem; od tamtej pory nie widzieli się. Aż któregoś dnia pojechała do centrum zrobić zakupy i przypadkowo wpadła na niego przed sklepem Haeal's na Tottenham Court Road. Wychodził właśnie na obiad podczas przerwy w pracy i poprosił ją, by mu towarzyszyła. Przyjęła zaproszenie.

Kevin powiedział jej, że od trzech lat jest rozwiedziony, ona natomiast niewiele wspominała o swoim związku z Joem. Pod koniec obiadu zdali sobie oboje sprawę, że mają ze sobą wiele wspólnego, chociaż tyle lat byli daleko od siebie, aż do momentu, w którym się przypadkiem znowu spotkali. Oboje mieli wrażenie, jakby przez te wszystkie lata w ogóle się nie rozstawali. On pochwalił się, że zajmuje się wynalazczością i obecnie pracuje nad wykorzystaniem radaru w wieży GPO, olbrzymiego wieżowca poczty i telekomunikacji w Londynie. Obiecał jej, że podczas następnego spotkania oprowadzi ją po tym fantastycznym budynku.

Sześć dni później zadzwoniła do jego biura i umówiła się z nim na spotkanie. Było to pół roku temu. Od tamtego czasu tak

mocno związali się ze sobą uczuciowo, że dłużej już nie chcieli żyć oddzielnie.

Była zdumiona, gdy Joe uśmiechnął się i życzył im obojgu szczęścia. Czy rzeczywiście można tak łatwo zakończyć dziesięć lat małżeństwa?

Joe wyszedł z domu i pojechał na lotnisko Heathrow, odczuwając tak silny ból głowy, że przestał myśleć o swoim nieudanym małżeństwie. Zlekceważył ból i nie zameldował lekarzowi dyżurnemu o swojej dolegliwości, wychodząc z założenia, że wkrótce minie.

747 potoczył się w stronę wyznaczonego pasa startowego i zajął kolejkę pośród oczekujących na start samolotów. Jumbo, ważący ponad trzysta pięćdziesiąt ton, drżał od powstrzymywanej mocy potężnych silników. Na pokładzie znajdowało się prawie trzystu pasażerów, ale i tak nie wszystkie miejsca były zajęte.

Joe otarł pot z czoła, czekając na zezwolenie wieży kontrolnej na start. Jak zawsze, gdy wreszcie nadeszło, poczuł ulgę. Zawyły cztery ogromne silniki i samolot wyrwał do przodu; siła przyspieszenia wcisnęła go w fotel. Jumbo toczył się po pasie startowym, z każdą sekundą nabierając coraz większego rozpędu. Gdy pokonał dwa tysiące metrów pasa startowego, Joe powoli pociągnął do siebie ster i zadarł do góry nos samolotu. Po chwili ogromna, niezgrabna maszyna oderwała się od ziemi i zaczęła wzbijać się coraz wyżej i wyżej, jeszcze raz dowodząc triumfu ludzkiej myśli i geniuszu.

Załoga wydała westchnienie ulgi, gdy 747 zatoczył koło wokół lotniska, nabierając wysokości. Zawsze przeżywali chwile napięcia, zastanawiając się, czy ten potwór podniesie się, czy też opadnie z powrotem na ziemię, chociaż po wielu latach pracy wiedzieli, że do tego drugiego raczej nie dojdzie.

Miller, pierwszy oficer Joego, wyszczerzył do niego zęby w uśmiechu. - Nowy Jork, tak, Beryl, moja kochana, mam zamiar cię przelecieć! - zaśmiał się z własnego żartu. Beryl była hostessą pracującą w konkurencyjnej linii, spotkał ją na lotnisku Kennedy'ego. Nadużywany slogan reklamowy jej towarzystwa lotniczego zawsze go bawił.

Zdziwił się, że kapitan nie zareagował na dowcip. - Dobrze się czujesz, stary? - spytał.

Joe Ennard patrzył przed siebie, trzymając ster w wyprostowanych rękach.

- Hej, kapitanie! - zawołał nerwowy młody technik pokładowy. Był to dopiero jego drugi lot z kapitanem Ennardem, a ten gigant wciąż wzbudzał w nim lęk. - Eee, zeszedliśmy trochę z kursu.

Miller nawet nie musiał sprawdzać swoich przyrządów. Mógł to stwierdzić z łatwością, spoglądając tylko na ziemię, trzy i pół tysiąca metrów w dół. - Powinieneś lecieć tędy - rzekł z humorem, pokazując kciukiem kierunek nad ramieniem. - Stary? Hej, Joe!

Wyciągnął rękę i potrzęsnał Ennarda za ramię. - Dobrze się czujesz? No, co jest, Joe, skończ już z tym! - nachylił się z niepokojem i zobaczył nieruchomą twarz kolegi. Potrzęsnał nim znowu.

Cios zadany przez Joego Ennarda kantem dłoni powalił go z powrotem na fotel, pozostawiając krwawy ślad w kąciku ust.

- Terry, przyłóż mu! - wrzasnął do drugiego oficera, obracając się ku przyrządom, by przejąć maszynę spod kontroli kapitana.

Technik pokładowy rozpiął pas i skoczył do przodu, nie będąc do końca pewnym, co ma zamiar zrobić, nie miał jednak najmniejszej ochoty dotknąć kapitana.

- Odsuń go od przyrządów! - ryknął na niego Miller.

Przejęcie kontroli nad gigantyczną maszyną było niemożliwe bez współdziałania kapitana.

Terry złapał Joego za ręce i próbował oderwać je od steru, lecz były zbyt mocno zaciśnięte. Otoczył ramieniem szyję kapitana i zacisnął, szarpiąc go jednocześnie do tyłu. Teraz pierwszy oficer próbował oderwać palce Joego od steru. Żaden z nich nie usłyszał dyskretnego, ale uporczywego pukania do zamkniętych drzwi kabiny: główny steward także miał wątpliwości co do kierunku lotu.

Nagle, w ułamku sekundy, kapitan Ennard uwolnił się z

pasów bezpieczeństwa i wyprostował na tyle, na ile pozwalała mu na to niewygodna pozycja. Potężny mężczyzna, jeszcze potężniejszy szaleń, który go opanował, uderzył pięścią pierwszego oficera z całej siły, oślepiając go i odrzucając skulonego na fotel. Łokciem wymierzył cios w żebra technika pokładowego, zmuszając go do zwolnienia chwytu; technik zgął się wpół z bólu. Kolejnym ciosem przedramienia przewrócił go na podłogę kokpitu.

Miller trzymał się za głowę i przecierał oczy, by znowu móc widzieć. Krzyknął do na wpół przytomnego technika pokładowego: - Weź pistolet! Na miłość boską, zastrzel go!

Mieli nielegalny pistolet ukryty za urządzeniem nadawczym. Między załogami istniało ciche porozumienie, żeby zaopatrzyć się w broń w obawie przed coraz częstszymi porwaniami.

Jego krzyk urwał się, gdy poczuł uderzenie dwóch pięści na odsłoniętym karku. Osunął się, nieprzytomny, między przyrządy.

Joe Ennard zajął ponownie swoje miejsce i sięgnął do steru. Twardy mechaniczny głos z wieży kontrolnej Heathrow dźwięczał mu w głowie i wypełniał całą kabinę, lecz Joe nie zwracał na niego uwagi. Patrzył w dół na Londyn, szukając wysokiego, charakterystycznego punktu. Oczy kapitana stały się szkliste, lecz nadal widziały.

Przez jego twarz przemknął grymas zadowolenia, a dziwny uśmiech odsłonił zęby, jeszcze bardziej upodabniając jego głowę do ludzkiej czaszki: zobaczył to, czego szuka!.

Odgłos wściekłego walenia w drzwi zaczął powoli docierać do świadomości Terry'ego. Główny steward usłyszał zamieszanie i zaniepokojony domagał się otwarcia drzwi, nie zważając w tej chwili, czy pasażerowie to usłyszą. Technik pokładowy, lekko zamroczony, podniósł się z trudem na kolana i spojrział na dziób kabiny. Nie widział Millera, ale za to dostrzegł kapitana, zgarbionego nad przyrządami, jakby parzącego przez okno kabiny na coś na ziemi, w dół.

Poczuł, że jumbo jet wszedł w lot nurkowy, gdy kapitan pchnął ster do przodu. Wszystkie cztery silniki zaczęły pracować

pełną mocą i olbrzymia maszyna gwałtownie przyspieszyła. Zrozpaczony, sięgnął po ukryty pistolet i zaczął niezdarnie rozpinąć pasy bezpieczeństwa. Przechylił się w stronę siedzenia pilota, trzymając w drżącej ręce uniesiony pistolet.

- Stój! - krzyknął, lecz kapitan nie zareagował. - Leć do góry albo strzelam!

Wstał, podciągając się na oparciu fotela kapitana Joego Ennarda, i chwiejąc się zaczął go błagać, żeby odciągnął ster. W tym momencie zauważył szybko zbliżający się w ich stronę budynek. Krzyknął, pociągając za spust.

Zanim jeszcze rozległ się odgłos wystrzału, zanim zmieszany z krwią mózg kapitana rozprysnął się na desce kontrolnej, Terry'emu wydawało się, że usłyszał, jak tamten coś mówi. Brzmiało to jak: - Dzień dobry, Kevin - ale technik pokładowy nie miał ani czasu, ani ochoty, by na to zareagować; był zbyt przerażony.

Jumbo jet 747 wbił się z potężnym grzmiotem w strzelistą wieżę GPO. Huk słyhać było w każdym zakątku Londynu, kiedy ponad trzysta pięćdziesiąt ton rozpędzonego żelaza zdmuchnęło budynek, tak jakby zbudowany był z dziecięcych klocków do zabawy.

Rozdział trzynasty

Holman i przydzielony mu do ochrony detektyw inspektor Barrow pojechali do Middlesex Hospital, by zabrać stamtąd Casey. Minister kazał pilnować Holmana jak oka w głowie, jak dotąd bowiem był on jedyną osobą, którą udało się wyleczyć ze skutków działania tajemniczej mgły. Trzeba będzie go dokładnie przebadać i przeanalizować jego fale mózgowe. Może to wyjaśni, jak można zostać wyleczonym, zakładając, że Holman jest już rzeczywiście zdrowy. Casey była również potrzebna, jako jedyna znajdująca się na miejscu osoba cierpiąca na chorobę, której przyczyną jest mgła. Z Bournemouth przewieziona zostanie śmigłowcem ciała zmarłych i poddana sekcji w celu zbadania uszkodzeń i zmian w mózgu. Na badania przewiezieni zostaną również wyselekcjonowani chorzy opanowani szaleństwem. W tej chwili jednak John Holman i Casey Simmons byli dwójkiem najważniejszych ludzi w Anglii.

Ze szpitala przewieziono ich karetką do Ministerstwa Zdrowia, mieszczącego się w dziwnie wyglądającym budynku w dzielnicy Elephant and Castle. Holman patrzył na Casey; znajdowała się pod działaniem środków uspokajających, ujął jej dłoń w swoje ręce, zaniepokojony błądzącej jej twarzy. Zerknął na zegarek: dziewięć czterdzieści pięć. Boże, ale był wykończony! Sądził, że jest już co najmniej koło południa. Ludzie nadal spieszyli się do pracy; ich dzień dopiero się

zaczynał, dopiero teraz usłyszeli niepokojącą wiadomość o wydarzeniach w nadmorskiej miejscowości wypoczynkowej. Czy wybuchnie panika? Z pewnością trzeba będzie coś im powiedzieć. Kogo zaczną obwiniać? Rząd? Rosjan? Chińczyków? A może dla odmiany jakieś inne kraje? Czy w ogóle są jeszcze jakieś przyjazne kraje? Nawet Ameryka stawiała się coraz bardziej wroga.

Jakie wytłumaczenie poda rząd? Skażenie środowiska? Czy to wystarczy? Podczas swej pracy znalazł już wystarczająco wiele dowodów na to, jakie szkody może wyrządzić skażenie środowiska, ale nie zetknął się jeszcze z czymś takim w tak wielkiej skali. A naród nie jest już przecież tak głupi. Środki masowego przekazu poszerzyły horyzonty myślowe ludzi, umożliwiły im poznanie - choć może nadal niepełne - pewnych rzeczy, o których jeszcze kilka lat temu nie mówiono i co do których istniały jedynie domysły. Zaczną teraz podejrzewać, że przyczyną jest trująca substancja gazowa, która przedostała się do atmosfery w wyniku błędu popełnionego przez jakieś naukowe laboratorium, mieszczące się gdzieś tam, a jeśli nie, to był pewien, że taką ewentualność zasugerują im środki przekazu.

Holman miał dobrą zabawę obserwując, jak wysocy urzędnicy państwowi wykręcali się od jakiegokolwiek odpowiedzialności. Ale z drugiej strony przez cały czas nękała go wątpliwość, którą tak sprytnie potrafiły wygrywać rządy na całym świecie: czy winę ponosi człowiek, czy też przyczyną katastrofy jest jakiś wybryk natury; brak całkowitej pewności w tej sprawie powstrzymywał go przed obarczeniem winą Ministerstwa Obrony. Ale jeżeli znajdzie jakiś konkretny dowód...

Stłumiony odgłos eksplozji przerwał jego rozmyślenia. Karetka zatrzymała się gwałtownie i gdy otworzył tylne drzwi, zobaczył, że podobnie zachowały się wszystkie pojazdy jadące przez most Waterloo. Gdy zszedł po schodkach karetki na jezdnię, z eskortującego go wozu policyjnego przybiegł, klucząc między stojącymi autami, Barrow.

- Niech pan spojrzy - pokazał - tam!

Holman popatrzył we wskazanym kierunku i ujrzał olbrzymi kulisty obłok dymu i płomieni unoszący się od strony West Endu. Dym cienkim zygzakiem wzbijał się w niebieskie niebo. Czarna falująca chmura czerwieniała gwałtownie u podstawy.

- Co to, do diabła, jest? - Holman skierował pytanie właściwie do nikogo, gdyż pytanie to powtarzali wszyscy kierowcy, którzy wysiedli ze swych samochodów i stali, gapiąc się w niebo i nie wiedząc, co o tym myśleć.

- Nie jestem pewien - rzekł Barrow z namysłem - ale to chyba w pobliżu Tottenham Court Road. To może być tuż koło wieży GPO. O ile to nie jest sama... - nie dokończył zdania.

Holman odwrócił się, by spojrzeć na niego. Z tego samego miejsca nadeszły jeszcze kolejne, trochę słabsze, odgłosy wybuchów, a potem ujrzeni płomienie strzelające wysoko w niebo.

- To doszło już tutaj - powiedział spokojnie Holman.

- Co? Nie, nie mieliśmy tu jeszcze mgły! - zaprzeczył Barrow. - To nie ma żadnego związku, nie może mieć!

- Chciałbym, żebyśmy mogli być tego pewni.

Zebrani na moście ludzie utworzyli kilka grup i dyskutowali zawzięcie, pokazując rękami na czerniejące niebo. Barrow podszedł do jednej z nich i zadał kilka krótkich pytań. Wrócił po minucie.

- Oto odpowiedź dla pana - zaczął. - Ci ludzie widzieli jumbo jeta krążącego nad Londynem. Mówią, że leciał bardzo, bardzo nisko, wywnioskowali więc, że miał jakieś kłopoty, potem zanurkował. Sądzą, że uderzył w wieżę GPO, jeden stary facet przysięga, że to widział.

Holman potrząsnął w niedowierzaniu głową. - To nieprawdopodobne. Ta szkoła, potem Bournemouth, a teraz to.

- Przecież mówiłem już panu, że to wszystko przypuszczalnie nie ma nic wspólnego z mgłą!

- Chciałbym w to uwierzyć, Barrow: Naprawdę chciałbym.

Mimo palących promieni słońca Holman poczuł, że przebiega go zimny dreszcz.

Był zaskoczony na widok olbrzymiego pomieszczenia pod budynkiem Alexander Fleming House, użytkowanego przez Medyczny Wydział Naukowo-Badawczy. Nawet sam, chociaż był pracownikiem służb socjalnych, nie wiedział o jego istnieniu. Przywitał ich główny lekarz, gruby, jowialny mężczyzna, który powiedział: - Zaprowadzę was teraz na dół i oddam w ręce Janet Halstead, szefa Rady Naukowej. To jest zupełnie odrębne ministerstwo i nie ma z nami nic wspólnego, ale z pewnych względów zajmują tę część naszego budynku. Ich wydziały prac badawczych porzucane są po całym kraju; większość mieści się w Londynie, ale niektóre znajdują się daleko stąd, nawet w Szkocji. Gdy trzeba wspólnie popracować nad jakimś problemem - a mogę was zapewnić, że zdarzało się to już wiele razy - zbierają się tutaj. Nie muszę chyba dodawać, że jesteście związani tajemnicą państwową i wszystko, co zobaczycie i usłyszycie, musicie zatrzymać tylko dla siebie. - Roześmiał się, widząc ich poważne twarze. - Nie ma tu aż tak wielkich sekretów, ale rozumiecie, że są powody, dla których nie powinny przedostać się do publicznej wiadomości.

Weszli do windy, Casey zaś podwieszono do mniej rzucającego się w oczy wejścia z tyłu budynku.

Gdy drzwi otworzyły się ponownie, stała przed nimi pulchna kobieta w średnim wieku, ubrana w biały fartuch. Zrobiła krok do przodu i wyciągnęła do Holmana rękę, nie czekając, aż zostanie przedstawiony.

- Pan musi być Holmanem - i dodała, uśmiechając się: - Czytałam o panu w pańskich aktach, które przysłało mi pana ministerstwo. Pańskie zdjęcie nie oddaje całej prawdy.

Holman odwdziaczył się lekkim uśmiechem, całkowicie rozbrojony.

Jadący z nimi lekarz odezwał się wreszcie. - Oto pani Janet Halstead. Zostawię was samych, dobrze, Jane?

Skinęła głową i poprosiła Holmana i Barrowa, by udali się za nią; drzwi windy zamknęły się za uśmiechającym się mężczyzną z Ministerstwa Zdrowia. Czy to jest lekarz naczelny? Holman nie był w stanie powstrzymać uśmiechu: była na pewno miła, ale nie wyglądała mądrzej od przeciętnej kury domowej. Ten dzień miał jednak wykazać, że jest inaczej.

- Rozumiem, że sir Geoffrey wyjaśnił już, dlaczego ściągnęliśmy panów do tego budynku. Chcielibyśmy, aby zbadało was kilka obecnych tu osób. Nam wygodniej jest sprowadzić je tutaj, niż was wozić po całym kraju. Nie wiem, czy już słyszeliście, ale właśnie ogłoszono stan zagrożenia. Musimy bardzo szybko znaleźć odpowiedź na kilka pytań.

Zaprowadziła ich do biura i poprosiła, by usiedli. Sama usadowiła się na krawędzi biurka. - A teraz pierwsza rzecz: czy któryś z panów jadł już dzisiaj coś? - Uśmiechnęła się, gdy obaj zaprzeczyli ruchami głowy. - W porządku, zaraz to załatwimy. Niewiele, niestety, dla pana, panie Holman. Mamy do przeprowadzenia kilka testów, które nie pozwalają na to. Ale damy panu wystarczająco dużo, by podtrzymać pana przy życiu. Nie chcielibyśmy, by stracił pan u nas przytomność, prawda?

Holman poczuł się prawie zahipnotyzowany jej słowami; zaczynał się odprężać. Było to połączone oddziaływanie jego własnego zmęczenia, miękkiego krzesła, na którym siedział, i łatwości, z jaką do niego mówiła.

- Jedząc, może pan zacząć opowiadać o wszystkim, co się panu przydarzyło, i będę wdzięczna, jeżeli postara się pan niczego nie opuścić. Nawet mała z pozoru rzecz może mieć bardzo duże znaczenie. - Podniosła słuchawkę telefonu, nacisnęła przycisk i zamówiła śniadanie dla obu mężczyzn.

Holman zerknął na Barrowa i spostrzegł, że ten nie czuje się zbyt pewnie w swojej biernej roli.

- A przy okazji: proszę mówić do mnie Jane - powiedziała, odkładając słuchawkę. - Tak więc, jak już mówiłam, mamy przed sobą niezwykle pracowity dzień. Dysponujemy wszystkimi urządzeniami, jakie mogą nam być potrzebne, a najlepsi specjaliści z dziedziny medycyny są już albo na miejscu, albo w drodze do nas. Mogę was zapewnić, że przez ostatnich kilka godzin nie traciłmy czasu.

- Proszę mi pozwolić powiedzieć krótko, kto pana będzie badał. Nie podam wszystkich nazwisk, bo sama nie pamiętam nawet połowy, ale większość specjalistów reprezentuje wydziały: Zaburzeń Komórkowych, Chorób Zakaźnych, Psychiatrii i Zaburzeń Nerwowych, Parazytologii Biochemicznej, Badań Neurobiologicznych Zmian Mózgowych, Mutacji Komórkowej, Genetyki Molekularnej, Chemii Zakaźnej i Odporności Komórkowej, Prostezy Neurologicznej i Neuropsychiatrii. - Uśmiechnęła się do Holmana. - Mamy jeszcze dwóch przedstawicieli Wydziału Promieniotwórczości Środowiska Naturalnego i - jak sądzę - Ministerstwo Obrony przyśle nam kilku ludzi z Obrony Chemicznej oraz paru mikrobiologów.

Gdy tak siedział, zaskoczony i przestraszony, zaczęła go pospiesznie zapewniać. - Jak być może zauważył pan, większość tych specjalistów nie ma z naszym problemem nic wspólnego, ale musimy mieć ich pod ręką na wszelki wypadek... - Ponownie uśmiechnęła się rozbrajająco.

Holman milczał przez kilka sekund, z wyrazem zatroskania na twarzy. Potem powiedział. - Utkwiły mi w pamięci dwa wydziały. Wydaje mi się, że jeden z nich starała się pani ukryć pośród pozostałych.

Wciąż się uśmiechała. - A były to? - zadała pytanie.

- Rzecz jasna, jednym z nich jest Wydział Promieniotwórczości Środowiska Naturalnego. Drugi to Mutacja Komórkowa.

Spojrzała na niego szybko i stwierdziła bez cienia protekcjonalizmu w głosie: - Doskonale rozumiem, o co panu chodzi, panie Holman. Mogę mówić: John?

Skinął głową.

- Tak, rzeczywiście starałam się ukryć ich nazwę wśród

innych; nie chciałam cię przestraszyć. Tak jak powiedziałam, większość tych wydziałów badawczych jest zwykłą stratą czasu. Sądzę, że jednym z nich jest właśnie Wydział Mutacji Komórkowej, ale musimy być tego absolutnie pewni. Rozumiesz to, prawda? Niczego nie możemy pozostawić przypadkowi. Jeśli zaś chodzi o Wydział Promieniotwórczości Środowiska - no cóż, to chyba oczywiste w dzisiejszych czasach i dwudziestym pierwszym wieku?

- Ale co konkretnie możecie u mnie wykryć? Jestem przecież, jak sądzą, zdrowy, czyż nie?

- Przede wszystkim, John, chodzi o informacje. Rozmawiałam już przez telefon z lekarzami, którzy się tobą zajmowali w Salisbury. Ich informacje o objawach choroby były bardzo przydatne, ale obawiam się, że niewystarczające. Poprzez badania możemy stwierdzić, w jakim stopniu naruszony został twój mózg, jeśli to w ogóle mózg został zaatakowany. Ja myślę, że jesteś zdrowy - nawet jestem tego pewna - ale mimo to musimy znaleźć jakiś ślad wskazujący na przyczynę twojej choroby. Jak siniak po uderzeniu czy blizna po zranieniu.

- Czy to wszystko będzie wymagać operacji chirurgicznej?

Roześmiała się na głos... - Nie, nie sądzą, nie w twoim przypadku. - Ponownie spoważniała. - Mamy tu dużo zwłok, które możemy w ten sposób badać.

- A co z Casey?

- Panna Simmons? Spróbujemy ją wyleczyć.

Drzwi otworzyły się i wjechał barek ze śniadaniem. Janet Halstead sięgnęła ręką za siebie i włączyła magnetofon.

- A teraz, John - powiedziała - nie spiesz się i powiedz nam wszystko, co wiesz o tej tajemniczej mgłę. Zacznij od samego początku, staraj się niczego nie opuścić.

Resztę dnia Holman przypominał sobie jako jakiś zamazany obraz. Został poddany próbom, testom, badaniom i przepytывaniom. Zrobiono mu elektrokardiogram, by zbadać serce; prześwietlono całe ciało; wprowadzono substancję

promieniotwórczą do jego układu krwionośnego, by sprawdzić, czy nie ma jakichś zmian skórnych; na ciemieniu i ponad czołem założono mu elektrody, by wykryć ślady guzów; z rdzenia kręgosłupa pobrano i zbadano niewielką ilość płynu rdzeniowego. Wszystkie te i wiele jeszcze innych badań zostało przeprowadzonych na nim i na Casey. Pozwolono mu odpocząć dopiero późnym popołudniem. Zasnął głębokim snem, takim, jakim się śpi po ogromnym wysiłku.

Gdy po kilku godzinach obudził się, zobaczył Barrowa siedzącego na krześle obok łóżka. Spał i chrapał. Gdy Holman usiadł, policjant poruszył się, a po chwili już był obudzony; natychmiast popatrzył na łóżko z niepokojem. Uśmiechnął się i przetarł twarz rękami.

- Padł pan jak zabity - powiedział do Holmana.

- I ty nie byłeś zbyt żwawy - wytknął Holman.

- Dobra, ale ja czujnie śpię. - Spojrzał z zakłopotaniem na Holmana. - Hej, co by pan powiedział na to, żebyśmy podali sobie ręce? Wiem, że byłem dla pana trochę szorstki, ale to wszystko wydawało się tak nieprawdopodobne, no nie?

- Zgadza się.

- No cóż, przepraszam.

- W porządku, zapomnijmy o tym. Prawdę mówiąc, to jestem zaskoczony, że jeszcze jesteś koło mnie.

- Służba specjalna, przyjacielu. Jestem pańską ochroną. Teraz z pana ważna osobistość. Za drzwiami stoi jeszcze jeden goryl.

- Czy im się wydaje, że ktoś ma zamiar mnie zabić, albo czy myślą, że chcę uciec? - Holman zastanawiał się na głos, prostując się na łóżku.

Barrow był lekko zmieszany. Westchnął i powiedział: - Powiem prawdę: oni nie chcą ryzykować. Proszę nie przypominać o skutkach, jakie ten gaz wywołał u innych. Tak naprawdę, nie mam pewności, czy pan już wyzdrowiał, rozumie pan?

- Dobra, zaczynam rozumieć, o co chodzi... - odparł z

rezygnacją Holman. - Powiedz mi, co się działo, gdy spałem.

- W sumie dość dużo. Kilka godzin temu lekarze i naukowcy weszli do sali obrad. Nie wiem, o czym tam gadali, ale wiem, że mieli przeprawę z tymi facetami z Porton Down, naukowcami z Instytutu Mikrobiologii. Wykręcali się i w końcu odmówili odpowiadania na dalsze pytania, dopóki nie zobaczą się ze swoim ministrem.

- Wszystko wydaje się wskazywać na to samo - skomentował Holman.

- Racja - potwierdził z sarkazmem w głosie Barrow. - Można by tak powiedzieć. Godzinę temu pojechali do Ministerstwa Obrony, a ci, co zostali, byli wściekli!

- Jak się czuje Casey?

- Nie wiem, ale zaraz sprowadzę naczelnego lekarza. Chciała, żeby ją powiadomić, jak się pan obudzi. - Podeszedł do drzwi i wydał stojącemu na zewnątrz nie umundurowanemu policjantowi polecenie, by sprowadził Janet Halstead.

- Co z mgłą? - zapytał Holman, gdy detektyw inspektor zajął z powrotem miejsce na krześle.

- Znaleźli ją, wie pan o tym. Na szczęście wiatry ucichły i w tej chwili dryfuje bardzo powoli. To niesamowity widok: ta mgła jest na półtora kilometra szeroka i na półtora kilometra wysoka.

Fakt ten zaniepokoił Holmana. - Powiększyła się! Gdy widziałem ją ostatnim razem, była dwa razy mniejsza.

- Racja, oni wiedzą, że rośnie. Staje się też coraz gęstsza i ma teraz jakieś brudnożółte zabarwienie. Rozpylali coś nad nią przez cały dzień, żeby ją rozproszyć, ale nie wiem, czy to się udało. Mimo wszystko ewakuują Winchester, żeby uniknąć niebezpieczeństwa, a Biuro Meteorologiczne przez cały czas śledzi kierunek wiatru.

- A jak reagują ludzie?

- Tak, jak się pan spodziewał. Panika. Strach. Oskarżenia. Prasa ma teraz pole do popisu.

- A co im powiedzieli?

- Do tej pory nic oficjalnego. Teraz jest prowadzone zakrojone na wielką skalę śledztwo, a dziś wieczorem ogłosi swoje stanowisko w tej sprawie premier. Oficjalnie jednak podano, że od strony morza wtargnął trujący gaz i to on był przyczyną tej katastrofy w Bournemouth.

- Mój Boże, czy ludzie dają się na to nabrać? A co z tym pęknięciem w ziemi?

- Żadnego skojarzenia. Przynajmniej nie w oficjalnych wypowiedziach.

- Szkoła! A co ze szkołą?

- Eee, na ten temat nie zostały wypuszczone żadne informacje.

- Ależ oni nie mogą zatuszować czegoś takiego! Co na to powiedzą rodzice?

- To, co wiedzą, a mianowicie, że ich synowie zginęli podczas przypadkowego pożaru. Kiedy wchodzi w rachubę trzy wielkie katastrofy, które pochłonęły życie tysięcy ludzi, wypadek w szkole musi zejść na dalszy plan.

- Trzy? Jakie trzy?

- Rozstąpienie się ziemi, Bournemouth i to dzisiejsze zderzenie 747 z wieżą GPO.

- Ile osób tam zginęło?

- Jeszcze tego nie ustalono. Ich liczbę ocenia się jednak na co najmniej tysiąc. W samym jumbo było dwieście osiemdziesiąt sześć osób. Bóg wie, ilu było w wieży i w pobliskich biurach.

Martwa cisza zapadła w małym, podobnym do szpitalnej salki, pokoju. Obaj mężczyźni próbowali zrozumieć ogrom wypadków. Były tak nierealne, że nie można ich było z niczym porównać. I właśnie ta nierealność sytuacji chroniła ich przed szaleństwem.

- Czy ludzie wiedzą o mgle? - Holman jako pierwszy przerwał ciszę.

- Tak, zostali ostrzeżeni. To nie jest coś, co można zachować w tajemnicy - na półtora kilometra szeroka i na półtora wysoka. I tak musieliby zostać o niej powiadomieni, by mieć czas na zejście jej z drogi.

- A jakie są ich reakcje?
- Głównie hister...

Drzwi otworzyły się i weszła Janet Halstead, nie pozwalając detektywowi dokończyć.

- Cześć, John, jak się czujesz? - Jej uśmiech był trochę bardziej wymuszony niż dziś rano.

- Ja dobrze, ale powiedz mi, co z Casey.

- Muszę być z tobą szczerą, John. Wystarczy już na dzisiaj wykrętów: jej stan się pogarsza. - Usiadła na brzegu łóżka. - Ale jest jeszcze pewna szansa.

Spojrzał na nią z nadzieją.

- Jesteśmy prawie pewni, że wiemy, co się dzieje. Pracuje nad tym kilka najtęższych głów w państwie. Sekcje zwłok przyniosły nam odpowiedź. Ale musimy poznać przyczynę, John. Nie będziemy do końca pewni, póki nie poznamy przyczyny. To jest właśnie to, co miałam na myśli, mówiąc o wykrętach.

- Powiedz mi dokładnie, co masz na myśli.

- Wszyscy uważamy, to znaczy członkowie Departamentu Badań Medycznych, że Instytut Naukowy Chemii i Instytut Mikrobiologii w Ministerstwie Obrony coś przed nami ukrywają. Widzisz, podczas prowadzenia swoich testów oni zdawali się dokładnie wiedzieć, czym jest to, czego szukamy, tak jakby nie poszukiwali odpowiedzi, lecz tylko potwierdzenia odpowiedzi, którą już znają. Powoli zaczynamy zdawać sobie z tego sprawę, w miarę jak badania posuwają się naprzód. Nie stosują metody prób i błędów - oni dokładnie wiedzą, co robić. Cóż, pozwoliliśmy im skończyć i dopiero wtedy poprosiliśmy o wyjaśnienie. Ale oni nabrali wody w usta i nie powiedzieli ani słowa. Zażądali widzenia się ze swym ministrem, bo tylko on może im zezwolić na ujawnienie tego, co stwierdzili, czy też raczej tego, co się potwierdziło.

- Dranie. Ukrywają coś! - Holman zeskoczył z łóżka. - Barrow, znajdź mi sir Trevora Chambersa. Będzie musiał się wytłumaczyć przed nami. Jak nie, to wysadź to całe gówno u powietrze!

- Znajdę go, Holman, ale sam nic nie zrobisz. Zamkną cię znowu i koniec - odparł trzeźwo Barrow.

- Po prostu go znajdź! Zobaczymy!

- Okay, okay. Ale uspokój się, dobra?

- Tak, John - powiedziała stanowczo Janet Halstead. - Nie powinieneś się unosić, nikomu to nie pomoże. Pierwsze co musisz zrobić, to coś zjeść. Myślę, że mamy wszystko, czego od ciebie potrzebowaliśmy; na kilka wyników trzeba jeszcze poczekać, ale sądzę, że potwierdzą tylko nasze podejrzenia. A teraz, gdy inspektor Barrow będzie szukać sir Trevora, pozwól mi zamówić ci coś do jedzenia. Kiedy będziesz jadł, opowiem ci szczegółowo, co dzisiaj odkryliśmy.

Rozdział czternasty

Dwie godziny później Holman siedział między Janet Halstead i sir Trevorem Chambersem w jednej z obszernych sal konferencyjnych budynku Ministerstwa Obrony. Sir Trevor potraktował poważnie telefon z Centrum Naukowego w Alexander Fleming House i narobił tam gdzie trzeba sporo szumu. Wkrótce miało się okazać, że ten alarm nie był już potrzebny; przedstawiciele ministerstwa zajęli teraz inne stanowisko - postanowili grać uczciwie, chociaż co prawda tylko w stosunku do kilku wybranych osób. I nie zrobili tego chętnie. Po prostu zostali do tego zmuszeni przez swych przełożonych.

Czekając na rozpoczęcie zebrania, Holman spojrzął na długi dębowy stół, po czym powiódł wzrokiem po zebranych, zajętych cichą rozmową ze swoimi sąsiadami. Kilku obecnych poznał, pozostałym został przedstawiony przy wejściu. Oczekując na rozpoczęcie spotkania, próbował przypomnieć sobie nazwiska i tytuły obecnych: minister spraw wewnętrznych, Charles Lyall-Smith, siedział sztywno, jak zawsze, opanowany; minister do spraw obrony, lord Gibbon, wraz ze swym pierwszym sekretarzem osobistym był zatopiony w rozmowie z parlamentarnym podsekretarzem stanu do spraw obrony, Williamem Douglasem-Glyne'em i jego pierwszym sekretarzem osobistym; wielki, rubaszny szef Sztabu Obrony, sir Hugh Dowling, był jak zwykle w dobrym humorze,

głośno rozmawiając z siedzącym po przeciwnej stronie stołu szefem Sztabu Generalnego, generałem sir Michaeliem Redmanem, i jego zastępcą, pułkownikiem sir Keithem Macclenem; główny doradca naukowy, profesor Hermann Ryker, w skupieniu studiował rozłożone przed sobą papiery, podkreślając ołówkiem ważniejsze punkty. Byli jeszcze i inni, usadowieni dalej od stołu, których funkcji Holman nie znał, lecz trzech z nich miało na sobie wojskowe mundury.

Minister spraw wewnętrznych popukał w stół wiecznym piórem, prosząc o ciszę. - Panowie - zaczął - pani - uśmiechnął się przelotnie do Janet Halstead - wszyscy znacie fakty; to wieczorne spotkanie jest po to, by poinformować was, w jaki sposób do tego wszystkiego doszło, i aby ustalić plan działania. Jestem w stałym kontakcie z premierem, który w tej właśnie chwili wraca do kraju ze Związku Radzieckiego. Żałuje, że nie mógł być z nami podczas kryzysu, ale nie chciał, by z powodu jego nieobecności były odkładane jakiegokolwiek decyzje. Wielka szkoda, że został zmuszony do nieoczekiwanego skrócenia swojej wizyty w Związku Radzieckim. Każda taka podróż ma olbrzymie znaczenie dyplomatyczne, ale, rzecz jasna, bezpieczeństwo własnego kraju jest sprawą nadrzędną. Premier prosił o zawiadomienie was, że po powrocie do kraju podpisze się pod każdą decyzją, którą podejmiemy dzisiaj wieczoru. Tak więc nie będzie żadnej zwłoki we wprowadzeniu w życie naszych planów działania, jakiegokolwiek by one były.

- Premier zalecił przede wszystkim, aby każde ministerstwo udzieliło wszelkich informacji osobom znajdującym się dziś wieczorem w tym pokoju. Przeprowadziłem prywatne rozmowy z lordem Gibbonem i z Douglasem-Glyne'em i przekazałem premierowi wszystko, czego się podczas nich dowiedziałem. Stanowisko premiera jest jasne: między nami nie mogą istnieć żadne tajemnice. W czasie dzisiejszego spotkania nie będziemy tolerować oskarżeń czy też obarczania kogoś winą; jesteśmy tu po to, by znaleźć jakieś rozwiązanie!

Powiedzmy to wprost - stawką jest bezpieczeństwo milionów. Tragiczne katastrofy, które się wydarzyły, nie stanowią bynajmniej odosobnionych przypadków. Wiecie tylko o najważniejszych zdarzeniach, lecz mogę was zapewnić, że zaszło jeszcze wiele innych, drobnych wypadków, równie tragicznych w skutkach.

- Kilku z nas, siedzących w tej sali, zna przyczynę tych wydarzeń; chciałbym, żebyście poznali ją wszyscy, i byśmy mogli wspólnie wykorzystać nasze różnorodne kwalifikacje do wyeliminowania groźby, która wciąż narasta, i to w dosłownym znaczeniu tego słowa.

Spojrzął po zebranych, badając, jakie wrażenie wywarły jego słowa. Potem zwrócił się do siedzącego po jego lewej stronie ministra do spraw obrony, mówiąc: - Richard, czy mógłbyś powtórzyć tę informację, którą mi przekazałeś?

Lord Gibbon nachylił się i oparł łokcie o stół, splatając grube palce. - Panowie, obawiam się, że Ministerstwo Obrony będzie musiało wziąć na siebie dużą część odpowiedzialności za...

- Nie jesteśmy tu po to, by rozdzielać winę, Richard. Po prostu podaj nam fakty - przerwał mu z irytacją minister spraw wewnętrznych.

- Bardzo dobrze. - Wysoki mężczyzna wyprostował się, jak gdyby zrzucił z siebie jakiś ciężar. Mówił dalej szybko i zwięźle, jak biznesmen zdający sprawozdanie, już bez pozy kogoś przyznającego się do winy. - Jeśli mamy zacząć od początku, to musimy cofnąć się piętnaście lat, do naszych Zakładów Badań Mikrobiologicznych w Porton Down i do wspaniałego naukowca o nazwisku Broadmeyer, który specjalizował się w badaniach nad bronią bakteriologiczną. - Holman poczuł przechodzące mu po plecach zimne dreszcze. Miał rację! To te tępe bydlaki były odpowiedzialne.

- Profesor Broadmeyer był pod wieloma względami wspaniałym człowiekiem - kontynuował lord Gibbon. - Być może nawet zbyt wspaniałym. Odkrył, czy też wynalazł,

organizm, który mógł zaatakować mózg zwierzęcia, ale także człowieka.

- Bądźmy może bardziej precyzyjni - przerwał mu głos o lekko cudzoziemskim akcencie. Oczy wszystkich skierowały się w stronę profesora Hermanna Rykera, głównego doradcy naukowego.

- Tak, profesorze Ryker? - zapytał minister spraw wewnętrznych.

- On nie wynalazł i on nie odkrył - stwierdził odważnie Ryker. - On zmutował. Wziął organizm znany jako mykoplazma i poddał go mutacji. - Z powrotem zamilkł.

- Może będzie pan łaskaw kontynuować, profesorze. Zna się pan na tym lepiej niż ja - rzekł minister obrony.

- Tak - przyznał ironicznie Ryker. Spojrzał po zgromadzonych. - Broadmeyer był wspaniałym człowiekiem - studiowałem u niego przez wiele lat - ale był, co powinniśmy wiedzieć, trochę nieodpowiedzialny. Zmutował mykoplazmę w taki sposób, że po dostaniu się do krwi atakowała zdrowe komórki i przedostawała się do mózgu jako pasożyt. Jestem pewien, że pani Halstead wie coś o czynniku Rhesusa - potwierdziła skinieniem głowy. - Chodzi o to, że krew matki powoduje defekt mózgu u dziecka wskutek genetycznej niezgodności między nią a płodem. Podobny proces zachodzi tutaj, z tym jednak że choroba atakuje mózg żywiciela, nie płodu.

- Mikroorganizmy, które powodują podrażnienie substancji mózgowej i otaczających ją osłon, w końcu prowadzą do zniszczenia zdrowych komórek mózgu i zastąpienia ich nowymi, ale już pasożytniczymi komórkami. Im silniejsze są te pasożyty, tym łatwiej pożerają zdrowe komórki. Dlatego też choroba kończy się pełnym i całkowitym zniszczeniem mózgu ofiary. Czasami ma ona szanse na przeżycie, ale wtedy zostaje już tylko wegetującą rośliną całkowicie niezdolną do niczego.

- A co ze mną?! - krzyknął Holman, nie mogąc się już dłużej powstrzymać. - Dlaczego ja nie jestem rośliną?

Profesor Ryker uśmiechnął się lekko. - Pan miał wielkie

szczęście, młody człowieku - rzekł, a potem spojrzął ponownie na Janet Halstead. - Myślę, że pani Halstead ma coś do powiedzenia na ten temat, i o tym, co pana uratowało. Ja także mam jeszcze potem coś do dodania.

Wtracił się lekarz naczelny, mówiąc: - Pan Holman, z powodu doznanych obrażeń, podczas jednego ze swych ataków został poddany transfuzji krwi. Sądzę, że to właśnie pomogło oczyścić jego krew z obcych komórek.

- Dokładnie tak, pani Halstead - profesor Ryker skinął głową. - Pomogło to zdrowym komórkom zniszczyć pasożyty, tak jak oddział, który otrzymał posiłki. Szczęśliwie dla pana Holmana otrzymał on świeżą krew, zanim jeszcze pasożytnicze komórki zdążyły się rozmnożyć. Ale miał szczęście także z innego powodu.

- Tak jak większość organizmów wykorzystywanych w broni bakteriologicznej, mutacja Broadmeyera, jak to zostało nazwane, mnożyła się sama. Wszystko co jej trzeba, to dwutlenek węgla. Ten prosty składnik zawarty jest chociażby w powietrzu, którym oddychamy, mutacja więc może rosnąć i rosnąć, czy też powinienem powiedzieć: mnożyć się. Pan Holman był wystawiony na jej działanie jeszcze we wczesnym stadium tego procesu, dlatego że mutacja została dopiero co uwolniona, i to w swej czystej postaci, wskutek czego była stosunkowo słaba. Ta zawiesina - czy też, jak to nazywacie, mgła - jest produktem ubocznym procesu, któremu cały czas podlega, pobierając z powietrza dwutlenek węgla. Sama w sobie stanowi dziwny, w porównaniu z normalnym, organizm żywiący się dwutlenkiem węgla. Precyzując, musi on być fotosyntetyczny i wymaga do życia i mnożenia się światła słonecznego. Dalej, mykoplazmy nie mają ścian komórkowych; ta mykoplazma utrzymuje się przy życiu jedynie dzięki delikatnej plazmatycznej błonie, co oznacza, że może żyć i rozwijać się wyłącznie w osmotycznie ochranianym środowisku - dlatego też żyje w dużych skupiskach w celu ochrony wewnętrznych ścianek przed zmianami ciśnienia osmotycznego.

Widzimy tu więc pewną sprzeczność: do życia potrzebują światła słonecznego, a z drugiej strony otaczają się tą dziwną mgłą. Tylko Broadmeyer, jako twórca tej mutacji, znał odpowiedź na tę zagadkę. I niestety, już nie żyje. Zabiła go cholera, którą sam stworzył.

- Jak już powiedziałem, był człowiekiem nieodpowiedzialnym. Uważam go za nieodpowiedzialnego, gdyż stworzył taką mutację. Ale był także nieodpowiedzialny pod innym względem. Był nieostrożny i wystawił się na działanie mykoplazmy. Oczywiście, oszalał. I w swym szaleństwie zniszczył wszystkie swoje papiery i notatki, pracę wielu lat, prowadzoną nie tylko nad zmutowaną mykoplazmą, ale i nad innymi programami i znakomitymi koncepcjami. Wszystko obróciło się wniwecz. Umarł w obłąkaniu, jako ofiara własnego tworu, zabierając ze sobą wiele tajemnic.

- Mutacja została zabezpieczona i - tak jak wiele innych rodzajów broni bakteriologicznego odstraszenia, które dotychczas wyprodukowano - została uznana za zbyt niebezpieczną, by jej kiedykolwiek użyć... Może pułkownik Macklen powie, co się z nią stało? - Uniósł brwi w stronę zastępcy szefa Sztabu Generalnego.

- Nie możemy się już doczekać - rzucił cierpko sir Trevor Chambers.

- Sir Trevorze - ostrzegł go minister spraw wewnętrznych.

- Ale zanim to zrobimy - przerwała nagle Janet Halstead - czy mogę zapytać profesora Rykera o środki zaradcze? Myślę, że w tej chwili jest to ważniejsze niż wszystko inne, chyba się z tym zgodzicie?

Minister spraw wewnętrznych kiwnął głową i rzekł: - Proszę bardzo.

- Potwierdza więc pan, profesorze, że transfuzja krwi pomaga? - zadała pytanie Rykerowi.

- Tak, zakładając, że jest przeprowadzona we właściwym czasie. Jeżeli natomiast komórki pasożyta zdążyły się już mocno usadowić w mózgu, to nowa krew nic nie pomoże. Pan Holman miał szczęście, że pasożyt nie zdążył się jeszcze

rozprzestrzenić i dzięki temu został łatwo pokonany przez silniejsze komórki. Ale jeśli się już usadowi na trwałe... - Rozłożył ręce i wzruszył bezradnie ramionami.

- A co się stanie, jeżeli użyjemy promieni Roentgena do wypalania tych komórek?

- Tak. Tak. - odpowiedział cedząc słowa. Rozważał już ten pomysł. - To jest jakiś sposób. Ale jest to zawsze niebezpieczne, bo można uszkodzić pozostałe, zdrowe komórki. Trzeba zachować największą ostrożność. I trzeba także pamiętać, że nie można uratować zdrowych komórek, gdy zostały naruszone przez pasożyta albo przez promienie Roentgena. Nigdy już nie przybędzie zdrowych.

- Nie, to jest ryzyko, które warto podjąć - rzekła Janet Halstead.

- Rzecz jasna, nie można myśleć o ratowaniu w ten sposób każdego, kto został zaatakowany. Chciałem powiedzieć, że po prostu nie ma na to wystarczających środków. - Lord Gibbon potrząsnął z rozpaczą głową.

- Nie, na pewno nie będziemy leczyć tak wszystkich. - Janet Halstead spojrzała po zgromadzonych. - Ale zauważcie, że nie musimy tego robić. Trzeba tylko zniszczyć mykoplazmę.

Nie dała im czasu na ustosunkowanie się do jej ostatniego stwierdzenia. Powiedziała do Holmana: - John, wracam do Centrum Badawczego. Chcę zrobić pannie Simmons transfuzję krwi i, jeśli będzie trzeba, poddać ją napromieniowaniu, a ponieważ jej ojciec nie może już tego uczynić, sądzę, że ciebie powinnam zapytać o zgodę.

- Rób, co trzeba - odparł Holman. - Cokolwiek można zrobić, zrób to!

Wstając od stołu, lekko dotknęła jego ramienia. - Wybaczcie, ale mam do uratowania kilka istot ludzkich. No, i czeka mnie jeszcze dużo pracy. Mam nadzieję, że będziecie mnie o wszystkim informować?

Profesor Ryker powściągnął uśmiech sympatii, gdy wymaszerowała z sali.

Minister spraw wewnętrznych odchrząknął. - Jest jeszcze

jedno pytanie, które chciałbym zadać. Może ono dotyczyć tego, o czym będziemy rozmawiać później. - Spojrzała na Rykera. - Jeżeli ktoś już raz przezwyciężył tę chorobę, to czy będzie potem odporny na jej kolejne ataki?

Profesor Ryker namyślał się przez chwilę. W końcu powiedział: - Najprawdopodobniej tak, chociaż chciałbym usłyszeć opinię pani Halstead na ten temat. Jeśli organizm raz przezwyciężył chorobę, to buduje wówczas częściowy, a niejednokrotnie i całkowity system obronny. Kiedy zmutowana mykoplazma zostaje dosłownie wypłukana z organizmu w swoim wczesnym stadium, a obce komórki w mózgu ulegają zniszczeniu, zanim jeszcze miały szansę się rozwinąć, a tak było w wypadku pana Holmana, wtedy, tak, sądzę, że wtedy jest się już uodpornionym na kolejne ataki. Ta hipoteza musi zostać oczywiście potwierdzona badaniami, ale każdy człowiek ma silny instynkt samozachowawczy i każdy organizm sam tworzy swój system obronny.

- A czy ta, hm, choroba jest zakaźna? - spytał sir Trevor Chambers, unikając wzroku Holmana. - Czy pan Holman może зараzić innych?

- No cóż, nie wygląda na to, żeby się tak stało, prawda? - Ryker odparł z wymuszonym uśmiechem. - Według mnie DNA, materiał genetyczny organizmu, natychmiast łączy się z DNA komórek mózgowych w sposób podobny do tego, w jaki - jak przypuszczamy - wirusy rakotwórcze łączą się z materiałem komórkowym. Jednakże w przypadku wirusów nowotworczych mogą one nie zaatakować zdrowych komórek, dopóki coś ich nie uaktywni. Wydaje się, że jeśli chodzi o zmutowany organizm Broadmeyera, DNA wytwarza prawie natychmiast komórki krańcowo złośliwe, uodparniając organizm na ponowne zakażenie.

- Naszym zmartwieniem jest to, że za mało wiemy o mykoplazmie w jej czystej postaci, i nie jest ważne, co z nią później robiono. Powiem wam krótko to, co wiemy. Mykoplazma, zwana także OPPP - organizm pleuropneumoniopodobny - składa się z najmniejszych znanych komórek. Są one

zdolne do samodzielnego rozmnażania się, są prawie kuliste i mają jedynie 0,001 milimetrów średnicy. Chromosom większości z nich zawiera prawdopodobnie nie więcej niż sześćset pięćdziesiąt genów, to jest około jednej piątej liczby genów zwykłej bakterii. Z fizycznego oraz medycznego punktu widzenia mykoplazmy podobne są do bakterii, z jedną tylko istotną różnicą, o której już mówiłem: nie mają ściany komórkowej. - Ryker urwał, by rozejrzeć się po kamiennych twarzach zebranych.

Zaczął mówić dalej, a jego słowa z ostrością noża cięły powłokę niezrozumienia. - To znaczy: ponieważ nie są ograniczone mocną ścianą komórkową, mogą przeciskać się przez pory węższe od ich własnej średnicy. Oznacza to także, że są w pełni odporne na penicylinę i wszystkie inne substancje działające przez przerywanie syntezy ściany komórkowej bakterii.

Zapadła długa cisza, przerwana w końcu przez sir Trevora, który odchrząknął i zapytał: - Hm, czy chce pan przez to powiedzieć, że nie ma na to lekarstwa?

- Nie, nie. Znajdziemy jakieś - zapewnił wszystkich Ryker. - Jednakże by wytworzyć szczepionkę, musimy dokładnie znać sposób zmutowania mykoplazmy.

- Ale pan z pewnością musi mieć jakiś pomysł? - powiedział minister obrony.

- Och, tak, mam pomysł, ale czy jest teraz czas na eksperymentowanie i zajmowanie się pomysłami? - Profesor przemawiał jak do dziecka, które zadało niemądre pytanie i które dostało grzeczną odpowiedź. - Możemy wszakże wydożyć trochę tych organizmów z ciał żyjących ofiar. Wtedy będziemy mogli poddać je analizie, poznać ich skład, a potem wytworzyć szczepionkę. Ale, rzecz jasna, wyprodukowanie jej w dużych ilościach wymaga dużo czasu. A my go nie mamy zbyt wiele, prawda? - Rozejrzał się dookoła i dodał: - Oczywiście, gdybyśmy mieli trochę zmutowanej mykoplazmy w jej czystej postaci, zyskalibyśmy bardzo na czasie.

- A co nam przeszkadza w pobraniu próbki tej mgły? -

zapytał zniecierpliwiony Douglas-Glyne, podsekretarz obrotu.

- Powiedziałem: w jej czystej postaci. Mgła, poza tym, że jest zmutowanym organizmem, w tej chwili zawiera dwutlenek węgla i wiele innych dodatkowych składników. Podejrzewam, że ten żółtawy kolor ma związek z zanieczyszczeniem powietrza, spowodowanym działalnością człowieka. Wylimitowanie tych wszystkich składników w celu uzyskania zmutowanej mykoplazmy w jej najczystszej postaci zabierze wiele czasu.

- To prowadzi do następnego punktu zebrania, panowie - odezwał się minister spraw wewnętrznych. - Chciałbym powrócić do wypowiedzi pułkownika Macklena. Sir Keith, czy mógłby pan nam powiedzieć, w jaki sposób zabezpieczono ów wirus przed przedostaniem się do atmosfery?

- I w jaki sposób się przedostał! - dodał sir Trevor Chambers.

Sir Keith Macklen powstał, jakby salutując zgromadzonym oficerom.

- Mykoplazma Broadmeyera - rozpoczął, celowo unikając nazwy użytej przez profesora Rykera - była przechowywana w hermetycznie zamkniętym pokoju, w niewielkich pojemnikach ze zbrojonego szkła. Broadmeyer potknął się o jeden z pojemników, a ten się otworzył. Stało się to podczas przeprowadzania doświadczeń na zwierzętach, badające na królikach, ale nieważne. Broadmeyer zauważył, że pokrywa się odsunęła, założył ją więc z powrotem, po czym opuścił szczelnie zamknięty pokój. Już po chwili dostał szau. Jak profesor Ryker powiedział, znajdowała się tam mykoplazma w najczystszej postaci, a Broadmeyer był wystawiony na jej oddziaływanie jedynie przez kilka sekund. Nie minęło wiele czasu, gdy zaczęła rozmnażać się pod wpływem powietrza. Kiedy zaś to się stało, reszta trwała już tylko chwilę.

- Zniszczył całą swoją pracę i zabił swojego kolegę naukowca. Potem stał się niczym. Jego mózg prawie przestał

funkcjonować, nic nie widział i nic nie słyszał. Wkrótce potem zginął z własnej ręki!

- Podjęliśmy decyzję, że mutacja jest zbyt niebezpieczna, aby jej kiedykolwiek użyć, toteż musieliśmy się jej pozbyć. Mieliśmy trzy wyjścia: zniszczyć, zatopić w morzu albo zakopać głęboko pod ziemią.

- Mój Boże! - wykrzyknął sir Trevor, wciągając głęboko powietrze. - I postanowiliście to zakopać?!

- Eee, nie ja, sir Trevorze, lecz moi ówcześni przełożeni. Niech pan nie zapomina, że było to piętnaście lat temu.

- Proszę kontynuować, sir Keith - rzekł minister spraw wewnętrznych.

- Cóż, nie mogliśmy tego zniszczyć; nie wiedzieliśmy dokładnie, co to jest. Nie mogliśmy też zatopić tego w morzu - uważaliśmy to za zbyt ryzykowne. Tak więc zakopaliśmy to. Bardzo, bardzo głęboko pod ziemią, w pojemnikach ze zbrojonego szkła, umieszczonych wewnątrz ołowianego kontenera o grubych ścianach.

- Pod wioską - rzucił Holman; nie było to pytanie, lecz raczej stwierdzenie.

- Oczywiście, że nie! Dokładnie pół kilometra od wioski. - Spojrzał, zirytowany, na Holmana.

- Proszę dalej, sir Keith - znów wtrącił się minister spraw wewnętrznych, prowadząc zebranie w sposób stanowczy, nie mając zamiaru dopuścić do wybuchu sporów i namiętności.

- Sporządzono protokoły o potencjalnym działaniu mykoplazmy i miejscu zakopania pojemników, po czym odłożono je do akt. Piętnaście lat temu, jak już powiedziałem. Eee, teraz... - Zawahał się, patrząc na kamienne twarze zebranych; nie miał specjalnie ochoty na kontynuowanie swojej relacji. - Eee, kilka tygodni temu armia prowadziła tam podziemne próby pewnych materiałów wybuchowych.

- Wiedziałem! - wybuchnął sir Trevor, zrywając się na równe nogi. - Zaufać tej cholernej armii! Macie do dyspozycji

całą Równinę Salisburską i musieliście wybrać akurat ten cholerny punkt, gdzie piętnaście lat temu umieściliście pojemniki ze śmiertelnością chorobą!

- Oczywiście, że nie! Nasze próby były prowadzone co najmniej trzy kilometry od tamtego miejsca!

- W takim razie, czemu pan przypisuje katastrofę w tej wiosce?

- Sir Trevorze, proszę usiąść! - rozkazał minister spraw wewnętrznych ostrym tonem. - To spotkanie nie może zakończyć się kłótnią. Jesteśmy tu po to, by znaleźć jakieś rozwiązanie! Sir Keith, proszę mówić dalej.

- Wypróbowywaliśmy nowy silny materiał wybuchowy, jeden z wielu, jakie testowaliśmy pod ziemią w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Wiele państw stosuje ten sposób na testowanie siły swoich bomb. Wolałby pan raczej, żebyśmy wysadzili cały kraj?

- Wolałbym, żebyście w ogóle nie testowali bomb - odparł sir Trevor.

- Prawdopodobnie ta właśnie bomba - obawiam się, że nie mogę ujawnić rodzaju użytego materiału - spowodowała biegnące pod ziemią pęknięcie. To zapewne było przyczyną katastrofy i to uwolniło mykoplazmę.

- Czy chce pan przez to powiedzieć, że dysponujecie bombą, która może spowodować taki stopień zniszczeń w promieniu trzech kilometrów? - z niedowierzaniem spytał sir Trevor.

- Tak, chociaż wtedy tego jeszcze nie wiedzieliśmy - odparł zastępca szefa Sztabu Generalnego, nie ukrywając dumy w głosie. - Ziemia została silnie rozerwana wokół centrum wybuchu, lecz pęknięcie, które spowodowało najwięcej szkód, biegło przez kilka kilometrów. Musiało dotrzeć do miejsca, gdzie spoczywał ołowiany kontener z mykoplazmą; napór ziemi spowodował jego otwarcie i mykoplazma przemieszczała się dalej, aż została wypchnięta na powierzchnię w wiosce. Przypuszczamy, że była to już mutacja w stanie zanieczyszczonym, która wytworzyła zaobserwowany nad rozpadliną gaz.

- Dlaczego tak przypuszczacie? - zapytał Holman.
- Ponieważ tego dnia, gdy usłyszeliśmy, że w grę wchodzi jakiś trujący gaz, przejrzelśmy akta wszystkich naszych składowisk. Stwierdziliśmy, że to właśnie składowisko znajduje się dokładnie na drodze pęknięcia.

- I przez cały czas wiedzieliście, że to wasza eksplozja spowodowała owo trzęsienie ziemi? - spytał oskarżycielskim tonem sir Trevor.

Sir Keith skłonił głowę, unikając wzroku zebranych, którzy wpatrywali się w niego, jak gdyby to on ponosił całą winę.

Minister spraw wewnętrznych odezwał się pierwszy, zanim ktokolwiek inny zdążył coś powiedzieć. - My wiedzieliśmy, ale zdecydowaliśmy, że nic dobrego nie wyjdzie z publicznego ujawnienia tego, co usłyszeliśmy. To znaczy, do dzisiaj. Dziękuję, sir Keith. - Zastępca szefa Sztabu Generalnego usiadł, odetchnąwszy z ulgą, że ma już to wszystko za sobą, a minister spraw wewnętrznych mówił dalej: - Pano wie, znamy już prawie wszystkie fakty. Wprawdzie nie czas teraz na wyciąganie konsekwencji, ale pozwólcie mi to podkreślić: błąd ludzki tej wielkości nie będzie tolerowany. To wszystko, co można powiedzieć na ten konkretny temat w obecnej chwili, lecz mogę was zapewnić - tu spojrzął w stronę sir Trevora - że wszystko zostanie dokładnie zbadane po uporaniu się z obecnym zagrożeniem. A teraz zajmijmy się właśnie nim.

- Przegraliśmy bitwę o niedopuszczenie mgły do Winchesteru; na szczęście wszyscy mieszkańcy zostali w porę ewakuowani.

- Jak próbowaliście ją powstrzymać? - spytał Holman.

- Może ty nam o tym powiesz, Williamie? - minister spraw wewnętrznych zwrócił się do podsekretarza stanu do spraw obrony, Williama Douglasa-Glyne'a.

- Dobrze. Otóż istnieją cztery podstawowe metody walki z mgłą. Metoda, którą stosowaliśmy dzisiaj przez cały dzień, polega na rozpylaniu chlorku wapnia z nisko lecących samolotów; metoda ta jest często stosowana do rozpraszania mgieł

w San Francisco. Chlorek wapnia jest związkem chemicznym, który wysusza powietrze, ale chociaż zużyliśmy tony tego proszku, nie było żadnego widocznego rezultatu. Mogę dodać, że jest to także metoda bardzo kosztowna. Wprawdzie część oparów mgły uległa rozproszeniu, ale - jak wiemy - mamy tu do czynienia z gazem, który sam się bez przerwy odradza, tak więc przez cały czas go przybywa.

- Próbowaliście innych metod? - zapytał sir Trevor.

- Jeszcze nie, mieliśmy za mało czasu, a poza tym stosowanie chlorku wapnia uważane jest za metodę najskuteczniejszą. Gdy omówię pozostałe metody, zrozumiecie, dlaczego. Podczas wojny nasze lotniska były wyposażone w coś, co nazywało się systemem F100. Była to jeszcze jedna kosztowna technologia, od tamtej pory niezbyt często stosowana. Od kiedy istnieją radary, mgła nie stanowi już większego problemu, ale oto, co wtedy robiono: powietrze wokół lotniska ocieplano za pomocą benzyny, palonej w specjalnych urządzeniach; powietrze, ocieplając się, absorbowало wilgoć, rozpraszając w ten sposób mgłę i tworząc nad lotniskiem dziurę, przez którą mogły lądować samoloty.

- Obecnie mamy za mało czasu na ustawienie tak skomplikowanego systemu wokół miasta. Jedyne, co możemy zrobić, to tylko zmienić kierunek mgły, a nie pozbyć się jej.

- Kolejną metodę stanowi stosowanie ultradźwięków. Szybkie drgania powietrza powodują, że małe kropelki wody łączą się ze sobą i tworzą krople, które są już wystarczająco duże, by spaść jako deszcz. Wadą tej metody jest to, że moc fali dźwiękowej, której musielibyśmy użyć, może być szkodliwa dla żywych organizmów. I znowu: wiemy teraz, że metoda ta jest bezużyteczna z powodu istniejącego czynnika samoregeneracji.

Przerwał i zajął do notatek, nie chcąc patrzeć na zakłopotane twarze zebranych.

- A ostatnia metoda? - ponaglił minister spraw wewnętrznych.

- Ostatnia metoda w ogóle się nie nadaje. Wymaga użycia

dwutlenku węgla, a on powoduje przecież powiększanie się organizmu. Rozpylenie dwutlenku węgla na mgłę sprawia, że kropelki wody zamarzają, łączą się ze sobą i stając się odpowiednio ciężkie, spadają na ziemię. Ale w tym przypadku mykoplazma po prostu się tym „pożywi”.

- Czy chce pan zatem powiedzieć, że nic nie możemy zrobić? - zapytał z niedowierzaniem sir Trevor.

- Cały czas szukamy innych sposobów - padła cicha odpowiedź.

- Jestem przekonany, że mamy w tym kraju wystarczająco wiele tęgich umysłów, by znaleźć jakieś rozwiązanie - stwierdził minister spraw wewnętrznych. - Szukają go nie tylko instytuty naukowe w Anglii, ale także w Ameryce, Związku Radzieckim i we Francji. Pracują dla nas największe potęgi świata. Nawet Chiny przysłały nam ofertę pomocy. Pamiętajcie, że nic nie powstrzyma mgły przed dotarciem do morza, a potem do innych krajów; nie jesteśmy więc osamotnieni w tym zagrożeniu, chociaż niebezpieczeństwo dotyczy bezpośrednio nas.

- Fakt, że mogą zostać dosłownie spustoszone takie miasta jak Bournemouth, spowodował, że zagrożenie stało się oczywiste dla wszystkich państw. Wprawdzie mgła, jak dotąd, nie przyniosła nic dobrego, ale sprawiła, że główne potęgi naszego świata mają teraz wspólnego wroga.

- Skoro nie możemy rozproszyć mgły, to naszą jedyną szansą jest znalezienie antidotum na chorobę, i to szybko. Aby jednak wyprodukować szczepionkę, potrzebujemy trochę - nieważne ile - zmutowanej mykoplazmy i to, jak powiedział profesor Ryker, w jej „najczystszej postaci”.

- Czy zdaje pan sobie sprawę, że jest to niemożliwe? - zaprotestował Ryker, nie ukrywając troski.

- Niemożliwe? Dlaczego? - Sir Trevor spojrzał na naukowca. - Z pewnością ktoś ubrany w kombinezon ochronny i wyposażony w aparat tlenowy będzie mógł bezpiecznie podejść wystarczająco blisko, aby pobrać próbkę.

- Tu nie chodzi o podejście wystarczająco blisko - odparł

Ryker. - Tu chodzi o dotarcie do samego centrum mgły!

- Centrum?

- Tak - potwierdził minister spraw wewnętrznych. - Czujniki jednego z naszych samolotów odkryły w centrum mgły jakieś źródło energii. Z pewnością jest to samo jądro mykoplazmy.

- Żar! - powiedział Holman na wpół do siebie, na wpół do zebranych. - Gdy przejeżdżaliśmy przez mgłę, Casey zobaczyła jakieś żarzenie!

- Zgadza się, panie Holman - profesor skinął głową. - To możliwe, że organizm ten zaczął się w pewnym sensie żarzyć w wyniku zachodzącego procesu.

Sir Trevor Chambers przerwał arogancko: - W porządku. A więc „czysta” substancja jest w centrum. Ale to też nie przeszkadza, aby ktoś odpowiednio zabezpieczony tam się przedostał!

Ryker spojrział na ministra spraw wewnętrznych, prosząc w ten sposób o głos. Odpowiedział mu szybkim kiwnięciem głową.

- Mówiliśmy już wcześniej, że Broadmeyer był nieostrożny - powiedział do sir Trevora. - Ale tylko w pewnym sensie. Żaden naukowiec nie jest aż tak nieostrożny, by zajmować się niebezpiecznymi chemikaliami czy też innymi substancjami bez odpowiedniego zabezpieczenia. Otóż Broadmeyer był od stóp do głów ubrany w kombinezon ochronny.

- Dobry Boże! To znaczy, że nie ma przed tym żadnego zabezpieczenia?

- Praktycznie nie ma osłony pozwalającej człowiekowi swobodnie się poruszać. To właśnie było jedną z przyczyn, dla których uznano mutację za tak niebezpieczną; przenikała nawet przez specjalny, gruby materiał kombinezonów.

- Kombinezony z fartuchem ołowianym? - rzucił Holman.

- Zbyt niezgrabne i niewygodne jak na operację tego typu. Osoba, która to założy, musi iść prawie kilometr, by

dotrzeć w końcu w całkowitej ciemności do środka mgły, i to bez pewności, że będzie zabezpieczona przed zmutowaną mykoplazmą w miejscu, gdzie jej działanie jest najsilniejsze.

W głowie Holmana zaczęło kiełkować ziarno podejrzliwości. - To w pewnym sensie sprowadziło nas z powrotem do kwestii odporności, prawda? - powiedział, patrząc prosto w oczy ministra spraw wewnętrznych.

- Tak, to prawda - odparł minister, bynajmniej nie zmieszany. - Potrzebujemy kogoś, kto jest odporny na tę chorobę, by tam wszedł i powrócił z próbką. Wygląda na to, panie Holman, że to pan jest tym kimś.

Rozdział piętnasty

W gęstej grubej mgłę poruszały się cztery postacie-widma. Trzy - przypominające karykaturalnie zniekształcone postacie ludzkie - stąpały ciężkim, nierównym krokiem. Jedna z nich prowadziła niewielki wózek, na którym znajdował się ciemny prostopadłościan z kilkoma dziwnymi przystawkami. Czwarta postać, bliższa z wyglądu gatunkowi, do którego należała, dźwigała na plecach osobliwy garb, a zamiast całej twarzy wydawała się mieć tylko parę wpatrujących się przed siebie oczu.

Jeden z ciężko ubranych mężczyzn poklepał Holmana po ramieniu. Doszli tak głęboko, na ile mieli odwagę; reszta zależała już tylko od niego. Uniósł kciuk w geście pozdrowienia, po czym powiedział przytłumionym przez maskę gazową głosem: - Okay! - Trzech naukowców w hełmach, ze szklanymi wizjerami na oczach, nie mogło go jednak usłyszeć. Mieli bardzo mały kąt widzenia i aby się nawzajem dostrzec, musieli odwracać głowy. Mgła była tak gęsta, że trudno było zobaczyć coś dalej niż na dwa metry.

Holman miał lepszą widoczność. Był bez kombinezonu, ale granica, do której mógł sięgnąć wzrokiem, wciąż nie przekraczała w przybliżeniu pięciu metrów. Ciężko odziana postać, która wcześniej dotknęła jego ramienia, wręczyła mu pilota wózka. Po naciśnięciu przycisku na końcu urządzenia pojazd - mały, lecz wyposażony w mocny silnik - jechał sam,

z szybkością kierującego nim człowieka. Holman zajrzał do wnętrza helmu naukowca, próbując zobaczyć oczy tamtego, ale szkło wizjerów było zbyt grube, by ujrzeć cokolwiek oprócz czerni. Poklepał więc tylko mężczyznę w geście podziękowania po ramieniu.

Patrzył, jak groteskowe postacie odwracają się i nikną w żółtej chmurze. Pozostał sam, z tak silnym uczuciem zupełnej samotności, że musiał się przemóc, by nie krzyknąć za nimi. Jego towarzysze dużo ryzykowali, docierając z nim aż tutaj; wprawdzie wiedzieli, że obrzeża mgły są mniej niebezpieczne, ale o ile mniej, tego jeszcze nie zdołano ustalić.

Holman oderwał wzrok od miejsca, w którym mężczyźni rozplynęli się we mgle, po czym odwrócił się w kierunku, w którym musiał ruszyć sam. Przywołał w pamięci plan ulic przestudiowany przez ostatnią noc. Dotychczas sądził, że zawsze znajdzie właściwą drogę; nawet gdyby szedł z zawiązanymi oczami.

Niewielki zbiornik tlenu, który niósł na plecach, był niewygodny, ale niezbędny na wypadek, gdyby mgła stała się tak dusząca, że nie mógłby oddychać. Nacisnął przycisk sterujący wózkiem i ruszył przed siebie, odczuwając narastającą klaustrofobię. Test wypadł pomyślnie. Byli prawie pewni, że jest uodporniony, i wystarczająco pewni, by uznać, że można zaryzykować. Pozostawili mu jednak wybór: nikt nie mógł go zmusić do ponownego wejścia w mgłę.

Rzecz jasna, tak naprawdę nie miał żadnego wyboru. Co innego mógł zrobić? Jeżeli nie uda się zniszczyć mgły, zginą miliony. Jedynym wyjściem była szczepionka. A on był jedyną odpowiednią osobą. Nie miało sensu gromienie wojskowych za ich głupotę, oczywistą głupotę, o którą obwiniał ich od samego początku: teraz trzeba było się skupić na konstruktywnym działaniu. Ale, mój Boże, czy oni będą o tym pamiętać, gdy się to wszystko już skończy? Jeżeli w ogóle się skończy.

Od żyjącej jeszcze, ale kompletnie obłąkanej ofiary z

Bournemouth pobrano niewielką ilość chorej krwi i wstrzyknięto ją Holmanowi. Obca krew została odrzucona i zniszczona. Czy jednak tak niewielka ilość była wystarczająco duża, by być pewnym, że jest w pełni odporny? W pełni czy nie, tego nie wiedzieli, ale w czasie tak wielkiego kryzysu trzeba podejmować ryzyko. I to on był tym, któremu przypadało to w udziale. Pomyślał o Casey. Ostatniej nocy wyglądała tak blado, tak spokojnie i niewiarygodnie pięknie w tym podobnym do transu stanie. Nie chciał jej stracić! Wolalby raczej sam umrzeć, niż zostać bez niej. Czy to jej choroba uświadomiła mu, jak bardzo ją kocha i jak bardzo się o nią boi? Nie, odpowiedział sobie. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak wiele dla niego znaczy i jak puste byłoby jego życie bez niej. Utracić ją teraz - byłoby już tylko ironią losu.

Staął. Przez chwilę wydawało mu się, że widzi jakiś cień poruszający się we mgle. A może to wirująca mgła sprawiała takie wrażenie? Ruszył dalej, trzymając się skraju jezdni, by lepiej widzieć budynki i miejsca, gdzie kończy się zabudowa, ustępując miejsca przecznicom. Nie wchodził na chodnik, gdyż z tyłu toczył się wózek.

Transfuzja krwi, którą przeprowadzono Casey, była udana; dzisiejszego ranka przypadła kolej na terapię naświetleniową: promieniami Roentgena wypala się chore komórki, cały czas zmieniając kąt padania promieni, by uchronić od zniszczenia zdrową tkankę. Modlił się, by to pomogło, i odrzucał od siebie przerażającą myśl, że może być inaczej.

Obawiał się momentu, w którym będzie musiał jej powiedzieć o śmierci „ojca”. Simmons odszedł na zawsze w nocy, od momentu zabrania go z domu nie odzyskując przytomności. Umarł samotnie. Holman postanowił nie mówić Casey, że zabiła człowieka, którego uważała za swojego ojca - mogłoby ją to zniszczyć. I nadal nie był pewien, czy powie jej o spowiedzi umierającego człowieka. Czy zmniejszyłoby to jej ból? Sądził, że nie. Zraniłoby tylko jej uczucia. Szedł dalej przez mgłę, która stawała się coraz gęstsza i coraz bardziej żółta.

No, spójrzmy teraz, pomyślał. To musi być pasaż handlowy. Jeżeli teraz skręcę w tę ulicę, to powinienem dotrzeć do katedry. Zatrzymał się na chwilę, oddychając ciężko. Był pewien, że jest to bardziej wynik napięcia psychicznego, niż trudność oddychania spowodowana przez mgłę; mimowolnie wciągał w płuca jak najmniej powietrza, ale wiedział, że w razie potrzeby będzie mógł skorzystać z małego pojemnika z tlenem, który ciążył mu na plecach.

Powiedziano mu, że źródło energii prawdopodobnie znajduje się gdzieś w okolicach starej katedry. Na wózku, który podążał za nim jak wierny pies, spoczywało zabezpieczone ołowianą powłoką urządzenie, które działało na tej samej zasadzie co odkurzacz. Do jednego z boków przymocowany był długi zwój metalowej rury. Po odczepieniu i podłączeniu do elastycznego łącznika wychodzącego ze skrzynki można ją będzie wetknąć w samo jądro zmutowanej mykoplazmy i pobrać próbkę do zbiornika. Z braku czasu nie można było przygotować jakiegoś lepszego rozwiązania.

Zbierając całą odwagę, Holman skręcił w ulicę prowadzącą do trawników wokół katedry. Ulica była wąska i gdy mijali usytuowane przy niej sklepy, spostrzegł, że szyba w jednym z nich jest rozbita. Trochę dalej zobaczył kolejną. Grabieżcy? Czy to możliwe, by w mieście byli jeszcze ludzie, pozbawiona skrupułów banda, nie zdająca sobie sprawy z niebezpieczeństwa, na które się naraża? Mieszkańcy zostali na pewno powiadomieni o skutkach zetknięcia się z mgłą; z pewnością nikt teraz nie zaryzykowałby wejścia do miasta tylko po to, by rabować nie strzeżone sklepy. Być może był to tylko wypadek; może jakaś przejeżdżająca ciężarówka wojskowa nie mogła zmieścić się w wąskiej uliczce, a może ktoś wpadł na szybę podczas pospiesznej ewakuacji miasta. Ale dwie szyby? Przyjrzał się dokładniej wystawie. To był sklep jubilerski. Tak, to by się zgadzało. Ktoś tu był, chcąc zagarnąć nie strzeżony majątek, nie zważając na ryzyko i lekceważąc wszelkie ostrzeżenia. Czy był tu nadal w pobliżu, czy też

zbiegł - lub zbiegli - po dokonaniu kradzieży? Wzruszył ramionami; to nie była jego sprawa.

Gdy zbliżył się do zabytkowej budowli, żółty kolor zageścił się jeszcze bardziej, a widoczność się pogorszyła. Wszedł na trawnik okalający katedrę, na którym mieściło się zapewne kilka sławnych nagrobków. Oczy miał przez cały czas zmrużone; wpatrywał się w półmrok, próbując znaleźć drogę do otwartych wierzei tego historycznego miejsca kultu. Gdzie jest ten żar? Z pewnością powinien być już się na niego natknąć. Będzie musiał obejść kościół - z całą stanowczością twierdzono, że tutaj jest centrum mgły. Oczywiście, mogło przesunąć się gdzieś dalej, ale przy tak słabym wietrze wydawało się to mało prawdopodobne.

I gdy szedł w stronę wejścia do katedry, zobaczył lekki odblask żaru.

Zamarł w bezruchu. Czy to możliwe? Czy jądro, serce choroby, rzeczywiście znajduje się wewnątrz tego dużego starego kościoła? Czy mogło ono wdryfować do katedry winchester-skiej i ugrzęznąć w jej starych, grubych murach?

Jeszcze inna, bardziej natarczywa myśl zelektryzowała Holmana: a jeśli nie wdryfowało ono do środka przez przypadek? Czy mogło kierować się jakimś własnym rozumem? Wydawało się to mało prawdopodobne, próbował odrzucić taką możliwość. Byłoby to zbyt fantastyczne, za bardzo przypominałoby science fiction. Ale w końcu wszystko, co się do tej pory zdarzyło, było równie nieprawdopodobne, a jednak się wydarzyło.

Myśl ta nie przestawała go dręczyć.

Ruszył dalej, czując, że mu zimno ze strachu. Stał cicho i czujnie. Spróbował przemóc przebiegający po plecach dreszcz, starając się przekonać samego siebie, że to tylko złowieszcze warunki, osamotnienie i brak widoczności, wszystko to razem pobudzało jego wyobraźnię, wyzwalał strach.

Spostrzegł żar - a może był to tylko jaśniejszy odcień żółci? Tak, na pewno dochodził zza otwartych wierzei. Czy będzie

musiał zmierzyć się z jego, czającym się w środku, źródłem?

- Raz, kurwa, kozie śmierć! - Był to szeptany okrzyk wojenny. Ruszył.

Ociągnął się trochę w przejściu, przyjrzał się jaśniejszej teraz mgłę. Oddychało mu się tu znacznie trudniej; kwaśny odór powietrza drażnił nos i gardło. Sięgnął po przewieszoną przez ramię maskę tlenową i właśnie miał zdjąć noszoną do tej pory maskę przeciwgazową, gdy coś mignęło mu na granicy widzenia. Zamarł w bezruchu i spojrzął w tym kierunku. Czy znowu było to jakieś złudzenie? Ale poza tworzącymi się z zawirowań mgły jakimiś dziwnymi wzorami nie dostrzegł niczego. Nadstawił ucha, lecz nic nie usłyszał, oprócz głośnego bicia swojego serca.

Popatrzył w stronę, z której dochodziło żarzenie. Najsilniejsze było w samym środku przestronnego wnętrza katedry, blisko ołtarza. Nie miało jakiegoś określonego kształtu; jego brzegi ciągle się zmieniały i widoczne były jedynie dzięki ostremu kontrastowi dwóch odcieni żółtego: przejrzystej, czystej żółci samego jądra i ciemniejszemu, bardziej poszarzałemu żółtemu kolorowi ochronnego ekranu, którym była mgła. Nie mógł określić rozmiarów tego dziwnie wijącego się kształtu; przeszkadzały mu w tym otaczające go warstwy mgły. Ale samo zjawisko sprawiało wrażenie czegoś złowrogiego, przerażającego, a jednocześnie perwersyjnie fascynującego.

Tylko ogromnym wysiłkiem woli udało się Holmanowi oderwać wzrok od pełnego grozy widowiska. Ukląkł przy stojącej obok maszynie. Przypomniał sobie o masce tlenowej i zdjawszy maskę przeciwgazową, założył ją na usta. Zrobił kilka głębokich wdechów i natychmiast poczuł się lepiej. Zastanawiał się, czy sama mgła nie działa lekko otumaniająco. Odczepił z boku skrzynki zwój metalowej rury i zaczął ją montować, coraz bardziej denerwując się na myśl o tym, co teraz będzie musiał wykonać.

Nadal nie był przekonany, czy będzie miał odwagę podejść do zarzącej się masy. Masy, która wyglądała tak niewinnie, a

w rzeczywistości była zbudowana ze śmiercionośnej, z każdą chwilą powiększającej się mutacji. Postanowił o tym na razie nie myśleć. I tak wkrótce nadejdzie chwila prawdy i albo ruszy w stronę tej masy, albo w piekielnym strachu ucieknie. W każdym przypadku, bez względu na to, w którym kierunku pobiegnie, wszystko dzieć się będzie bez udziału jego woli. Skupił uwagę na montowaniu urządzenia.

Wyczuł ich obecność, nie widząc ani nie słysząc ich nadejścia. Pojawili się we mgle jako trzy ciemne kształty, stojące w odległości około dwóch metrów od siebie, tuż poza zasięgiem widoczności. Nie poruszali się i milczeli. Powiódł wzrokiem od jednej zamglonej postaci do drugiej i jeszcze następnej; ich znieruchomienie było bardziej przerażające niż atak - ruch nadałby im chociaż jakiegoś kształtu, który mógłby już rozpoznać.

Podniósł się, trzymając niepewnie rury, które już zdążył zmontować. Jedna z postaci wysunęła się do przodu i Holman z ulgą stwierdził, że był to człowiek. Ale głowa była jakaś inna.

Zrobił krok w tył, przerażony, i podniósł metalowe rury w geście obrony. Gdy postać podeszła bliżej, prawie się roześmiał z ulgi. Był to mężczyzna, a jego głowa wyglądała tak dziwnie, ponieważ tkwiła w groteskowo wyglądającej masce przeciwgazowej pochodzącej jeszcze z czasów ostatniej wojny. Osobnik trzymał w dłoniach długi czarny świecznik, mierząc w Holmana ostrym szpikulcem, na który zazwyczaj nasadza się świecę.

- Co ty tu, do diabła, robisz? - Holman zadał niepewnie pytanie, zdejmując, by tamten go zrozumiał, maskę tlenową. Mężczyzna stanął przed nim, nie udzielając żadnej odpowiedzi.

- Ta mgła jest niebezpieczna, powinieneś się stąd zmyć razem z resztą - ciągnął Holman, nie spuszczać wzroku z wycelowanego w jego pierś ostrza świecznika. Prawie zahipnotyzowany patrzył, jak mężczyzna powoli podnosi świecznik i odsuwa się nieco do tyłu, by zadać nim cios.

Holman nie czekał już dłużej. Trzymany w rękę metalowy pręt wbił mocno w brzuch mężczyzny, a gdy ten zgiał się wpół, opuścił go gwałtownie na odsłoniętą głowę. Człowiek padł, rażony ciosem.

Holman znowu uniósł pręt, gotowy na przyjęcie pozostałych dwóch. Ale tamci zniknęli.

Rozejrzał się od prawej do lewej, podczas gdy postać u jego stóp jęczała i wiła się na twardej kamiennej posadzce. Ukląkł i przewrócił mężczyznę na plecy. - Biedny, cholerny głupcze! - wymamrotał. Pewnie myślał, że maska przeciwgazowa zabezpieczy go przed mgłą i wykorzysta okazję, aby obłowić się, rabując w opustoszałym mieście cenne przedmioty. Ale co on i jego kumple robili w katedrze i dlaczego ten człowiek go zaatakował? Czy zostali już dotknięci chorobą? Czy może po prostu uznali, że zagraża swobodzie ich działania? Ściągnął z twarzy mężczyzny obrzydliwą maskę i spostrzegł, że ten ma lekko szkliste spojrzenie, takie samo, jakie przedtem widział u Casey: a więc ten człowiek jest zarażony.

Odgłos kroków za plecami ostrzegł go przed następnym napastnikiem. Odwrócił się raptownie, ale otrzymał gwałtowne uderzenie i padł na wznak na posadzkę, wypuszczając z ręki rurę. Mężczyzna stanął nad nim i zaczął się śmiać rechoczącym, histerycznym śmiechem. Z mgły wyłonił się trzeci osobnik, stanął obok tamtego i zaczął śmiać się wraz ze swym towarzyszem.

Nagle pochylili się, chwycili Holmana za kostki u stóp i zaczęli go wlec po kamiennej posadzce w stronę żaru. Próbowal kopniakami uwolnić nogi, ale tamci trzymali go mocno i tylko śmiali się coraz głośniejszymi na widok jego wysiłków. Macał rękami wokół, szukając jakiegoś zaczepienia, ale stare płyty posadzki były wygładzone długimi wiekami używania. Gdy mijali leżącego mężczyznę, Holman otarł się o ciężki świecznik. Sięgnął po niego rozpaczliwie, ale ten potoczył się po posadzce. Już myślał, że stracił szansę, gdy na szczęście świecznik zawadził o nogę leżącego i Holmanowi udało się go

schwycić. Przyciągnął go do siebie i już miał nim rzucić w jednego ze swych napastników, gdy mężczyzna, który - jak sądził - został wyeliminowany z akcji, podniósł się na kolana i widząc Holmana, rzucił się na niego z ogłuszającym rykiem, szczerząc zęby z wyraźnym zamiarem ugryzienia go.

Holman zdołał uderzyć napastnika łokciem w gardło, odsuwając od siebie zgrzytające zęby; jednocześnie odchylił daleko od niego głowę. Gdy poczuli, że coś ich zatrzymuje, dwaj ciągnący go mężczyźni wydali wrzask wściekłości. Puścili nogi Holmana i zaczęli kopać walczących, nie zważając, kto swój, a kto wróg. Jeden z nich złapał za włosy tego, który zaatakował jako pierwszy, i odchyliwszy mu głowę do tyłu, zaczął bić drugą ręką w twarz. Dało to Holmanowi szansę, na którą czekał. Uderzył w nadstawione gardło mężczyzny trzymanym w ręku narzędziem, miażdżąc mu tchawicę. Widząc efekt swojego ciosu, natychmiast poczuł się niedobrze, ale nie miał czasu przejmować się czymkolwiek, bo zaraz zajęto się nim znowu.

Odepchnął od siebie rannego i szarpnął stopę jednego z napastników, przewracając zaskoczonego mężczyznę na ziemię. Trzeci szalenięc złapał Holmana od tyłu, chwycił go pod szyję i zaczął ścisnąć gardło, chcąc go zadusić. Ponieważ stał wyżej, jego głowa znajdowała się nad Holmanem, a ślina z otwartych w obłąkanym uśmiechu ust spływała na twarz Holmana, powodując zakrztuszenie się.

Holman czuł, że za chwilę pęknie mu głowa. Gdy zaczął tracić przytomność, usłyszał jeszcze obłąkany chichot napastnika, a gdy wzrok zaczął mu zachodzić mgłą, zobaczył, że mężczyzna, którego pokonał, podnosi się na jednym łokciu i leżąc śmieje się z niego. Jak przez mgłę Holman zdał sobie sprawę, że nadal trzyma w ręku świecznik. Obiema rękami pchnął szpikulcem ślepo do góry, trafiając w miękkie ciało. Wrzask mężczyzny i gwałtowny strumień krwi, który bluzgnął na twarz Holmana, powiększył jeszcze grozę rozgrywanego się koszmaru. Gdy poczuł, że nacisk na jego szyję zelżał, łapczywie wciągnął w płuca powietrze. Jego napastnik upadł na plecy.

Ostatni z trzech mężczyzn celował w nich trzęsącym się palcem, chichocząc histerycznie.

Dla Holmana tego już było za wiele. Wstał i zataczając się wybiegł z katedry.

Gdy znalazł się na zewnątrz, opadł na kolana na żwirowej ścieżce, ale dochodzący zza pleców tupot kroków kazał mu rzucić się w gęstą mgłę, która udzieliła mu zbawiennego schronienia. Biegł po trawie, nie myśląc o niebezpieczeństwie zderzenia się z niewidocznymi drzewami i nagrobkami. Myślał tylko o tym, jak się wydostać, uciec daleko od tych szaleńców, daleko od tej mutacji i od katedry. Chciał być jak najdalej od tej mgły i znaleźć się znowu wśród normalnych ludzi. Zapomniał o swoim zadaniu; w tej chwili kierował nim tylko instynkt samozachowawczy. Nie poczuł nawet coraz częstszych gwałtownych porywów wiatru ani nie spostrzegł, że wiry we mgłę poruszają się coraz szybciej.

Poślizgnął się na mokrej trawie i rozpaczliwie usiłując utrzymać równowagę, zatoczył się do przodu i wpadł na drzewo. Uderzył w nie głową z głośnym trzaskiem i powoli osunął się wzdłuż pnia; uklęknął, a potem przewrócił się na ziemię.

Tracąc przytomność zobaczył jeszcze, że z mgły wyłoniła się jakaś postać i stanęła nad nim. Gardłowy chichot był ostatnim dźwiękiem, jaki usłyszał, zanim stracił przytomność.

Znaleziono szaleńca, który usiłował go pogrzebać żywcem. Mgła zniknęła z miasta, wymieciona nagłym i niespodziewanym wiatrem i deszczem. Krążąc wokół krawędzi grubej powłoki mgły, śmigłowce zniżyły lot w poszukiwaniu Holmana. Gdy jeden z nich penetrował teren wokół katedry, zauważono jakiegoś mężczyznę kopiącego w ziemi. Tak przynajmniej zdawało się pilotowi, ale gdy zszedł niżej, spostrzegł, że w rzeczywistości człowiek ten zasypywał głęboki dół. Jeden z członków załogi potrząsnął nim silnie za ramię.

- Łąduj tam, szybko! - zawołał, przekrzykując ryk silnika.
- W tej dziurze jest jakiś człowiek. On chce go zakopać!

Gdy wylądowali, drobny oszust, wniebowzięty możliwości-
cią płądowania bez przeszkód - wraz ze swoimi dwoma
kumplami - całego miasta Winchester, rabuś, który wpadł w
obłąd w wyniku źle wybranego na to przedsięwzięcie mo-
mentu, nie zwracał uwagi na lądującą maszynę i radośnie
kontynuował wypełnianie ziemią dołu, do którego wciągnął
nieprzytomnego człowieka. Nie dokończony dół zostawili
grabarze, którzy zaczęli kopać grób dla jakiegoś ważnego
dygnitarza kościelnego, jako że ostatnim jego życzeniem było
spocząć w cieniu swojej ukochanej katedry. Praca została
przerwana wskutek rozkazu natychmiastowej ewakuacji. Tak
więc zamiast pogrzebu, który miał nastąpić jeszcze tego sa-
meo dnia, odbyła się ceremonia znacznie mniej godna.

Holman leżał na dnie otwartego grobu, gdzie został bru-
talnie wrzucony. Całe jego czoło pokrywała rozległa opuchli-
zna spowodowana uderzeniem o drzewo. Kolejne grudy zie-
mi rzucone z góry na jego ciało sprawiły, że zaczął odzyski-
wać przytomność. Poruszył się, wydając głęboki jęk. Akurat
gdy przykładał do głowy dłoń, mając oczy wciąż jeszcze za-
mknięte, i otworzył usta, by głośniej jęknąć, na jego twarz
spadł nowy ładunek mokrej ziemi. Szybko otworzył oczy i
natychmiast je zamknął, widząc sypiące się grudy.

Zakrztusił się i zaczął dusić, ponieważ ziemia wpadła mu
przez otwarte usta do tchawicy. Spróbował usiąść, ale nie
mógł tego uczynić z powodu nasilających się zawrotów głó-
wy. Przesunął dłońmi po twarzy, chcąc oczyścić ją z ziemi.
Ale czuł, że jest wciąż zasypywany ziemią, i starał się zrozu-
mieć, co się właściwie działo. Dopiero gdy usłyszał charakte-
rystyczny chichot, otrząsnął się z ośpienia i stał się w pełni
przytomny.

Znów otworzył oczy, tym razem starannie osłaniając je
dłonią. Nad sobą dostrzegł najpierw brzęgi dołu, a potem

postać sypiącą na niego ziemię. W jednej sekundzie zrozumiał, gdzie jest i co się dzieje. Ten człowiek grzebał go żywcem!

Ogarnięty paniką, wczepił się rękami w osypujące się zwaly ziemi na ścianach dołu i podciągnął się na nogi. Mężczyzna na górze, gniewnie warcząc, podniósł łopatę, by uderzyć go i uniemożliwić mu opuszczenie jego przedwczesnego grobu.

Holman uniósł rękę, chcąc sparować uderzenie, i zamknął oczy, wiedząc, że nie było miejsca na zrobienie uniku. Ale uderzenie nie nastąpiło. Usłyszał krzyki, a potem odgłosy bójki. Gdy otworzył oczy, przez otwierający się nad nim prostokąt ziemi zobaczył tylko szare, wzburzone niebo. Poczul deszcz zalewający dół, a mokre zimno otrzeźwiło go do końca. Podciągnął kolana, przygotowany na odparcie następnego ataku.

Wtem pojawiła się, naruszając prostokąt nieba, twarz, a należący do niej głos powiedział: - Nie ma teraz czasu na leżenie przy pracy, panie Holman.

Ktoś wyciągnął rękę, by pomóc mu wydostać się z jego makabrycznego miejsca spoczynku.

Rozdział szesnasty

Holman szedł, pełen niepokoju, korytarzem do sali obserwacyjnej numer trzy, gdzie - jak mu powiedziano - leżała teraz Casey. Po powrocie do Centrum Badawczego nie miał możliwości zobaczenia się z Janet Halstead, która w związku z wywołaną przez mgłę klęską przez całą noc organizowała pracę swojego personelu oraz wszystkich szpitali w kraju, a do tego jeszcze czuwała nad leczeniem Casey. W tej chwili położyła się na kilka godzin, by trochę odpocząć. Jeden z lekarzy poinformował go, że kuracja naświetleniowa przebiega pomyślnie i że teraz czekają na przebudzenie się pacjentki z głębokiego snu. Wtedy dopiero będzie można z całą pewnością orzec, czy była skuteczna.

Holman także potrzebował snu. Po przeżyciach dzisiejszego ranka był kompletnie wyczerpany. Wspomnienie chwili, gdy po odzyskaniu przytomności spostrzegł, że znajduje się w grobie, a jakiś szaleniec zasypuje go ziemią, chcąc go żywcem pogrzebać, przesłoniło wszystkie inne okropności, jakie do tej pory stały się jego udziałem. Niejednemu zapewne śniło się, że jest grzebany żywcem, ale mało komu przydarzyło się to naprawdę.

Wojskowy śmigłowiec przewiózł go z powrotem do Londynu. Wiedzieli, że tego dnia nie da się już namówić do ponownego wejścia w mgłę. Wraz z nim leciał profesor Ryker i oczywiście Barrow, który nadal stanowił jego ochronę. Ryker,

rzecz jasna, był rozczarowany, gdy Holman wrócił bez próbek zmutowanej mykoplazmy, ale rozumiał, przez jaki koszmar tamten przeszedł, toteż nie starał się nawet namawiać go do ponowienia próby. Zresztą nieoczekiwana zmiana pogody spowodowała szybkie przemieszczanie się mgły, co uniemożliwiało umiejscowienie jej centrum.

Ludność miast leżących bezpośrednio na jej drodze została ewakuowana. Na szczęście obszar, przez który się przemieszczała, nie był gęsto zaludniony. Wozy policji i wojska, kierowane ze śmigłowców, mknęły przed nadciągającą szarą masą, zatrzymując się w małych wioskach i przy oddalonych domostwach, by zabrać do pojazdów ich mieszkańców, po czym, wypełnione ludźmi, skręcały w bok, aby uniknąć nadciągającego zagrożenia. Po wyładowaniu ludzi pędziły z powrotem, już inną trasą, żeby powtórzyć całą operację. Było to wszystko męczące i maksymalnie wyczerpujące, toteż nie obyło się bez poważnych wypadków. Ogólnie jednak biorąc, operacja była skuteczna.

Niestety, takiej akcji nie można było prowadzić bez końca i ci, którzy za jej przebieg odpowiadali, myśleli ze strachem o tej nieuniknionej chwili, kiedy mgła dotrze do jakiegoś wielkiego miasta. Modlili się, by wiatr przestał wiać na wschód i żeby mgła nie sunęła w stronę Basingstoke, Farnham, Aldershot, Londynu.

W tej chwili najbardziej niepokojono się o Haslemere, największe miasto leżące bezpośrednio na drodze przemieszczania się mgły. Mieszkańcy już je opuszczali; większość kierowała się na północ. Mało kto decydował się uciekać na południe w obawie przed znalezieniem się w pułapce, którą stwarzało morze - ciągle pamiętano o losie, jaki spotkał Bournemouth. Nikt nie był w stanie ich przekonać, że te obawy są bezpodstawne, że mgła ma szerokość tylko półtora kilometra, że można ją łatwo wyminąć oraz że drogi położone na północ są zatłoczone wszelkiego rodzaju pojazdami i uciekającymi w panice ludźmi.

Premier powrócił do Londynu i wraz ze swymi głównymi

doradcami wojskowymi kierował działaniami ze specjalnej kwatery. Był nią olbrzymi, niedostępny podziemny schron oddalony o około półtora kilometra od Izby Gmin. Jego dokładne usytuowanie trzymane w ścisłej tajemnicy, nie chcąc, by informacja ta dotarła do wiadomości publicznej. Kwaterę przystosowano już do zamieszkania, obawiając się, że mgła może przesunąć się w stronę Londynu. Zbudowano ją jako schron przeciwatomowy, obawiając się ataku jądrowego, ale teraz miała służyć do obrony przed niebezpieczeństwem, którego nigdy przedtem nie brano pod uwagę. Zabezpieczenia schronu przed radioaktywnym skażeniem miały być teraz równie skutecznie wykorzystane do ochrony przed śmiertelną chorobą stworzoną przez człowieka.

Rozważano propozycję rozpalenia w Londynie gigantycznych ognisk, które rozproszyłyby mgłę. Wydano rozkaz, by się przygotować na taką ewentualność, z tym że postanowiono uczynić tak wówczas, gdy zawiodą wszystkie inne środki. Obawiano się bowiem, aby cały Londyn nie poszedł z dymem. Było to przynajmniej jakieś konkretne posunięcie. Nie można było bez końca bawić się z mgłą w chowanego, a to, co działo się na południu, oddziaływało demoralizująco. Należało dowieść ludności, że zapewnia się jej jakieś realne zabezpieczenie, nawet jeśli jest ono prymitywne.

Poinformowano także mieszkańców, że przygotowywana jest szczepionka i że będzie dostępna w dostatecznej ilości. Poza tym zakomunikowano, że mgła słabnie i że wkrótce zniknie lub zostanie tak rozrzedzona przez czyste powietrze, iż przestanie być groźna. Potwierdzono również, że zdaniem ekspertów mgła przyplęnęła w jakiś tajemniczy sposób od strony morza i że dochodzenie w tej sprawie zostanie przeprowadzone natychmiast po zakończeniu kryzysu.

Okłamywano w ten sposób ludność, ponieważ rząd uznał, że tak będzie najlepiej. Obawiano się bowiem, że panika na wielką skalę może jedynie stworzyć jeszcze większe zagrożenie dla istnień ludzkich. Prawdę, albo przynajmniej

jakaś jej część, można będzie powiedzieć, gdy niebezpieczeństwo już minie.

Ci, którzy są odpowiedzialni za tę katastrofę, poniosą konsekwencje, ale nie publicznie.

Poczynione zostaną kroki, aby nieszczęście tego rodzaju i w tej skali nigdy się już nie powtórzyło.

Holman dyskutował z Rykerem o umiejscowieniu się mykoplazmy w katedrze. A może tam się tylko schroniła? Czy jest możliwe, czy jest prawdopodobne, żeby mutacja obdarzona była jakąś siłą napędową? Czy może ona być - Holman wahał się to powiedzieć - istotą inteligentną? Przecież bądź co bądź jest to pasożyt żerujący na mózgu!

Profesor Ryker śmiał się, ale w jego głosie nie było wesołości. - Każda żywa istota ma jakąś siłę napędową, panie Holman. Nawet roślina ma pewien stopień inteligencji, należy tylko ustalić, jak wysoki. Ale sugerować, że ten organizm ma własną wolę, rozum? Być może, że ma on jakąś motywację, aby przetrwać, tak jak kwiat, który zawsze rośnie ku słońcu, ale własny rozum? Nie, panie Holman. Niech pan tak nie fantazjuje po tych okropnych porannych przeżyciach. Mykoplazma nie kieruje mgłą. Gdy wiatr zdmuchnął czapę ochronną, mykoplazma - uwięziona w środku chmury, zamknięta we własnej osłonie - także musiała się przesunąć. Nie ma ona żadnej władzy nad mgłą, która służy jej za płaszcz, i nie kieruje nią. To jest rzecz bezrozumna, o ograniczonych możliwościach, niezdolna do inteligentnego działania.

- A działanie instynktowne? - przerwał Holman.

- Tak, to możliwe.

- A może jest to jedno i to samo?

Przez resztę drogi Ryker już się nie odzywał, głęboko zatopiony w myślach. Od czasu do czasu potrząsał głową, jak gdyby chciał zaprzeczyć jakiejś teorii, marszczył w skupieniu czoło, gdy wpadał na jakąś nową myśl lub gdy ją odrzucał.

Barrow towarzyszył Holmanowi w drodze do Centrum Badawczego. Podczas wręczania ministrowi spraw wewnętrznych raportu Holman obiecał, że postara się zdobyć

próbkę mykoplazmy, gdy tylko nastaną sprzyjające ku temu warunki. Uzgodniono, że aż do nadejścia takiej sposobności będą w stałym kontakcie radiowym i że gdy to nastąpi, zostanie natychmiast przewieziony na miejsce śmigłowcem. Proponowano, aby zajął stanowisko w miejscu leżącym bezpośrednio na trasie mgły, bo wtedy widziałby ją przesuwaną się dokładnie nad nim, ale Holman zdecydowanie sprzeciwił się temu pomysłowi. Jeżeli nie ma innego wyjścia, zdobędzie tę próbkę, ale wychodzenie naprzeciw mutacji, kiedy ta przesuwa się szybko, nie ma sensu, gdyż nie będzie mógł obejrzeć jej ze wszystkich stron.

Innym razem zapewne podjąłby się takiego ryzyka, ale teraz jego nerwy były tak zszarpane, że nie miał ochoty przeżywać jeszcze raz tego, co mu się przydarzyło dzisiaj poranka. Chciał też jak najszybciej zobaczyć się z Casey i dowiedzieć się, czy próba się udała. Musiał wiedzieć, czy Casey będzie taka sama jak dawniej, czy też do końca swoich dni zostanie wegetującą rośliną.

Działając bardzo rozważnie, choć nie bez oporów, minister spraw wewnętrznych powstrzymał się przed wydaniem mu rozkazu, aby jeszcze raz podjął próbę. Zdawał sobie bowiem sprawę, że ten człowiek będzie bardziej użyteczny, jeżeli powróci do dawnej formy. A tymczasem umieści się na drodze przesuwania się mgły różne aparaty w pojemnikach zamykających się na sygnał radiowy w momencie, gdy sensory dadzą znać o bliskiej obecności mykoplazmy. Nie była to metoda pewna, ale jedyna, na jaką mogli sobie w tej chwili pozwolić.

Narastający niepokój Holmana sięgnął zenitu, gdy nacisnął klamkę drzwi oznaczonych numerem trzy. Przez górną szybę spostrzegł leżącą nieruchomo na łóżku bladą postać. Obok siedziała pielęgniarka, której zadaniem było wezwać Janet Halstead, gdy tylko u pacjentki wystąpią pierwsze oznaki powrotu do przytomności. Na widok Holmana uśmiechnęła się.

- Co z nią? - zapytał.

- Śpi dość spokojnie - odparła pielęgniarka - ale przed naświetlaniem i transfuzją trzeba było podać jej środki uspokajające. Zachowywała się dość gwałtownie.

- Czy mogę posiedzieć przy niej przez chwilę?

- Tak, oczywiście. - Ciągłe się do niego uśmiechając, pielęgniarka wstała z krzesła. - Zostawię pana na chwilę, ale gdyby się przebudziła, proszę nacisnąć ten przycisk. Zapewniam pana, że w jednej sekundzie ten pokój wypełni się ludźmi. Wszyscy jesteście ciekawi, jakie będą wyniki naświetlania.

- Czy rokowania są dobre?

- Och, tak, rokowania są dobre, panie Holman, ale szczerze mówiąc, nic nie wiemy. Sądzę, że pani Halstead już to panu wyjaśniła.

Holman skinął głową i usiadł na krześle, z którego przed chwilą wstała. Pielęgniarka opuściła salę po zbadaniu tętna dziewczyny, po raz szósty od rozpoczęcia swojego dyżuru. Holman nie mógł niczego odczytać z jej twarzy.

Przez następnych kilka minut siedział, patrząc na Casey. Niepokoiła go jej mała odporność. Tak wiele przeszła, że wydawało się prawie niemożliwe, aby kiedykolwiek jeszcze była taka jak przedtem, nawet jeśli pasożyt zostanie zniszczony.

Czy gdy otworzy oczy, pozna go, czy też nadal będzie patrzeć nieobecny, szklisty wzrokiem, którego wspomnienie wciąż go prześladowało? Wiedział, że jej dłonie pod bielizną pościeli były przywiązane do łóżka, i świadomość tego spowodowała, że oczy zaczęły mu się wypełniać suchymi łzami. Chciał płakać, aby dać upust swoim emocjom, ale od tak wielu lat już nie płakał, że łzy nie napłynęły do oczu. Chciał płakać, a fakt, że mu się to nie udaje, odczuwał nie jako dowód swojej siły, lecz jako dotkliwy ciężar.

Wyciągnął dłoń, pragnąc pogłodzić ją po twarzy. Dotknął palcami jej warg, potem policzka, potem szyi. Poruszyła się; na jej czole pojawiła się drobna zmarszczka, ale po chwili rysy znów się rozluźniły. Wymówił jej imię; nie po to, by ją zbudzić, ale dlatego, że odczuwał taką potrzebę.

Jej oczy otworzyły się na chwilę i zamknęły. A potem rozwarły się szeroko.

Popatrzyła na niego i przez moment nie dawała żadnego znaku. Zamarł i przez tę króciutką sekundę wszystko przestało dla niego istnieć - rzeczywistość wokół i czas. Nie było też żadnych pytań.

Ale po chwili jej oczy stały się normalne, wyrażając uczucia i duszę, i uśmiechnęły się, a jej usta uśmiechnęły się wraz z nimi.

- Dlaczego nazywasz mnie Casey, John? - spytała i ponownie zapadła w głęboki sen.

Janet Halstead była zachwycona, gdy Holman poinformował ją o tym, co powiedziała Casey. Nie mogła być jednak niczego pewna, dopóki Casey w pełni nie odzyska przytomności. Wydawało się jednak oczywiste, że jej mózg będzie funkcjonował normalnie jak dawniej. Janet namawiała Holmana, aby położył się na kilka godzin, obiecując, że go zbudzi natychmiast, jak tylko Casey przestanie spać. Wyszukała cichy pokój z kanapą i zostawiła go samego. Chciała jeszcze przestudiować kartę choroby Casey.

Trzy godziny później Barrow szarpał go za ramię, chcąc go obudzić.

- Obudziła się, Holman, i ma się dobrze - powiedział.

Holman usiadł i uśmiechnął się. - Do diabła - rzekł - muszę się ogolić.

- Nic wydaje mi się, żeby jej to w czymś przeszkadzało.

- Co nowego z mgłą? - spytał policjanta, szybko narzucając na siebie marynarkę.

- Bardzo dużo, ale powiem dopiero, jak zobaczy się pan ze swoją dziewczyną.

Gdy Holman dotarł do sali obserwacyjnej numer trzy, Casey siedziała na łóżku, pogrążona w rozmowie z Janet Halstead. Kiedy otworzył drzwi, jej twarz rozjaśniła się: w jednej sekundzie znaleźli się w swoich ramionach. Holman zasypywał ją pocałunkami. Janet uśmiechnęła się do Barrowa, po czym oboje dyskretnie opuścili salę.

- Jesteś zdrowa! - Roześmiał się Holman, przerywając w końcu powitanie.

- Tak, tak, jestem zdrowa!

- Czy - zawahał się - czy pamiętasz cokolwiek?

- Parę rzeczy, John. - Spowaźniała, nie patrzyła mu teraz w oczy. - Pamiętam, że próbowałam cię zabić.

Nic nie odpowiedział, przytulił ją tylko mocniej do siebie.

- To wszystko jest tak zamazane - ciągnęła. - W głowie kłębią mi się różne wspomnienia, ale wszystko jest ze sobą przemieszane, mało realne. - Silnie przywarła do jego piersi.

- Mój ojciec... - Jej głos odpłynął gdzieś daleko.

- Casey - zaczął Holman.

- On nie żyje, prawda?

Holman zaniemówił. Pamiętała to? W końcu odzyskał zdolność mówienia. - Tak, Casey, on nie żyje.

- On nie był moim ojcem.

Holman po raz drugi nie był w stanie wykrztusić słowa.

- Powiedział mi, John, tuż przedtem, zanim go zabiłam. Powiedział mi, że mnie kocha... ale to było coś więcej niż miłość ojca. On... on mnie pożądał. - Teraz zaczęła płakać, jej ciało drżało, nie były to jednak łzy spowodowane wyrzutami sumienia, lecz smutkiem. - Nie dotarło to do mnie jeszcze. Żał mi go, ale jakoś nie odczuwam żadnego bólu z powodu jego śmierci. Dlaczego tak jest, John? Czy nadal jestem szalona? - Odsunęła się i popatrzyła na niego z błaganiem w oczach. - Powiedz mi, John, czy wciąż jestem chora?

- Nie, kochanie - odpowiedział, ujmując jej twarz w dłonie. - Odczujesz go później. - I niech cię wtedy Bóg ma w swojej opiece, pomyślał. - Zbyt wiele przeszedłeś. Ból dopiero przyjdzie, i to niedługo. Nie szukaj go sama.

Wybuchnęła płaczem, opierając głowę na jego piersi. Konwulsyjny szloch wstrząsał jej ciałem. Przytulił ją mocno, wiedząc, że w płaczu znajdzie ujście ból Casey.

- Kochałam go, tak bardzo go kochałam. Jak ja teraz będę z tym żyć?

- To nie twoja wina, Casey, nie odpowiadałaś wtedy za swoje czyny.

- A ty, John, przecież ciebie też chciałam zabić? Czy mi wybaczysz?

- Powiedziałem ci już, kochanie, że nie wiedziałaś, co robisz.

- Czy teraz jestem naprawdę zdrowa? Czy faktycznie jest już dobrze?

- Tak, oczywiście, że tak. Pomogę ci o wszystkim zapomnieć, Casey. Obiecuję.

Wyleczenie ran, które sama wciąż rozdrapywała, mogło trwać długo, ale wiedział, że jest już wystarczająco silna, by przez to przejść. Może jej w tym pomóc świadomość, że motywy działania Simmonsa nie były kryształowo czyste, ale równie dobrze może to pogorszyć sytuację. Tego nie sposób było przewidzieć. I od Casey, i od niego zależeć będzie, czy wypełni puste miejsca po tej miłości, którą utraciła.

Przemawiał do niej potem cicho przez długi czas, a jego słowa koily jej smutek, pomagając zapomnieć o bólu i rozgoryczeniu.

- Co będzie teraz? - spytała w końcu.

- Chcą, bym znowu zanurzył się w mgłę i pobrał próbkę mykoplazmy.

- Dlaczego? Dlaczego ty? Janet powiedziała mi o tej mutacji i w jaki sposób powoduje ona szaleństwo. Ale kto chce, żebyś ty to zrobił? I dlaczego to zawsze musisz być ty?

Opowiedział jej w skrócie o ostatnich wydarzeniach, o katastrofach, o swoim uodpornieniu na chorobę i o tym, że teraz i ona jest już odporna. Powiedział też o chmurze, jej pochodzeniu i o ślepej głupocie, która doprowadziła do jej wymknięcia się spod kontroli. O tym, co przeżył tego dnia rano, napomknął tylko, nie chcąc jej jeszcze bardziej niepokoić. Ograniczył się do informacji, że nie mógł umiejscowić źródła.

Słuchała go w milczącym przerażeniu, od czasu do czasu kręcąc z niedowierzaniem głową. Rosnący w jej sercu strach łągodziła świadomość, że prawdopodobnie jest teraz uodporniona.

Przerwała im Janet Halstead, wchodząc szybkim krokiem do sali. Wymuszony uśmiech zdradzał zmęczenie. - Mamy jeszcze kilka testów do przeprowadzenia na panie Simmons, John. A tak na marginesie, to myślę, że powinna trochę odpocząć. I chyba ten twój policjant chce z tobą pilnie zamienić kilka słów.

Holman ucałował Casey i obiecał, że wróci tak szybko, jak tylko mu na to pozwolą. Casey chciała mu jeszcze powiedzieć, aby nie wracał do mgły, aby został z nią i aby, jak tylko wstanie z łóżka, wyjechali razem gdzieś daleko stąd. Wiedziała jednak, że jej prośby byłyby daremne i nierozsądne. Mimo wszystkich sukcesów techniki i współczesnej nauki okazało się, że los ludzkości nadal zależy od działania człowieka. Jednego człowieka.

Barrow czekał na niego w korytarzu. - Chcą, żeby pan poszedł tam jeszcze raz - oznajmił.

- A co z tymi urządzeniami, które poustawiali?

- Nie uruchomiono ich. Ta mutacja po prostu nie przechodziła nad nimi. Nad mgłą ciągle rozpylają chlorek wapnia, setki ton. I wydaje się, że mgła ustępuje. Chcą, żebyś tam pojechał i był gotów do akcji, gdy zakończą rozpylanie.

- A wiatr? Zmniejszył się?

- Nie jest już tak źle, jak było.

- Dobra. Ponieważ nie dano mi wyboru, postanawiam spróbować jeszcze raz.

Na miejsce, gdzieś na wschód od Haslemere, zostali przewiezieni śmigłowcem. Tam powitali ich Hermann Ryker, William Douglas-Glyne i pułkownik sir Keith Macklen. Mężczyźni stali w środku grupy pojazdów ustawionych na odsłoniętym wzniesieniu górującym nad otoczeniem. Na Holmanie duże wrażenie uczynił nieprzerwany strumień lekkich samolotów krążących nad odległą chmurą mgły, która wieczorem wyglądała jeszcze bardziej złowieszczo.

W stronę Holmana szedł z wyciągniętą ręką Douglas-Glyne.

- Męska przygoda, co, panie Holman? - rzucił ściskając mu rękę.

Słyszając te słowa, Holman skrzywił się. - Przykro mi, że nie udało mi się nic zrobić - odparł.

- Nie ma sprawy, może więcej szczęścia następnym razem?

Dołączył do nich sir Keith Macklen, stwierdzając bez ogródek. - Musi pan spróbować jeszcze raz. To szalenie ważne, żeby zdobył pan trochę tej cholernej substancji.

- Tak - przytaknął Douglas-Glyne. - Kilka godzin temu wysłaliśmy dwóch ochotników. Są bezpieczni w kombinazonach i mają do dyspozycji wojskowego skota. Ale około godziny temu utraciliśmy kontakt radiowy z nimi.

- Tak więc wszystko teraz zależy od pana - dodał sir Keith.

- Panowie! - zabrzmiał głos profesora Rykera, który zbliżał się do nich wolnym krokiem. - Pan Holman nie może w tej chwili nic zrobić. Nie chcemy przerywać rozpylania, ponieważ właśnie zaczęło przynosić pierwsze efekty, na to przynajmniej wygląda, a pan Holman nie może przebywać w tak dużym zagęszczeniu chlorku wapnia. Niestety, nie rozproszyliśmy jeszcze mgły w takim stopniu, jak planowaliśmy. Wkrótce się ściemni i podejmowanie przez pana Holmana takiej akcji stanie się jeszcze bardziej ryzykowne.

- Ale stawką są tysiące istnień ludzkich - burkliwie zaproponował sir Keith.

- Właśnie. Dlatego też pan Holman jest dla nas tak cenny. Nie możemy bez powodu ryzykować jego życia. Zwłaszcza teraz, gdy jesteśmy pewni, że kręci się tam dwóch szaleńców.

- Ale przecież nie wiemy tego na pewno...

- Oczywiście, że wiemy! - wykrzyknął zdenerwowany już Ryker. - To pan na to nalegał, sir Keith. Radziłem, by tam nie wchodzić, ostrzegałem przed tym, co może się stać. Nie pozwolę, by pan Holman ryzykował życie z powodu pańskiej błędnej decyzji! On znaczy zbyt wiele dla całej operacji.

- Ale nie możemy przecież tak siedzieć i nic nie robić - Douglas-Glyne był wściekły.

- Nie siedzimy beczynn timer. Będziemy kontynuować rozpylanie przez całą noc. Tak długo, aż wyczerpią się wszystkie zapasy chloru. Do świtu mgła powinna opaść na tyle, że będzie można zobaczyć właściwą mykoplazmę - o ile będzie ona widoczna - bez mglistej osłony. W tym czasie panu, panie Holman, radzę położyć się i spróbować zasnąć. Obudzimy pana, gdy nadejdzie czas.

O świcie następnego dnia Barrow po raz kolejny szarpał Holmana za ramię, budząc go z głębokiego snu. Poprzedniej nocy Holman przez wiele godzin obserwował samoloty i pojazdy wojskowe krążące za mgłą, podobne do orszaku żałobnego poszukującego cmentarza. W końcu zmorzył go ciężki sen. Noc spędził na tylnym siedzeniu samochodu, który stanowił część tego orszaku. Obudzono go tylko raz - gdy w konwoju nastąpiło jakieś poruszenie: to odnaleziono ciała dwóch naukowców, którzy wcześniej weszli w mgłę; ślady wskazywały, że pozabijali się nawzajem. Karabiny maszynowe stanowiły część ich wyposażenia, mającego stanowić ochronę przed atakami ludzi, którzy nie zdążyli uciec przed mgłą. Po wysłuchaniu tej relacji natychmiast zasnął i śniły mu się różne, groteskowo wyglądające postaci.

Nie zrozumiał Barrowa i trąc mocno oczy, by się rozbudzić, poprosił o powtórzenie tego, co tamten powiedział.

- Powiedziałem, że mgła odeszła - rzekł Barrow powoli, akcentując każde słowo. - Znikła.

Rozdział siedemnasty

Kapral Wilcox zaklął. W panującej ciemności potknął się na stromym zboczu i zaczął się z niego ześlizgiwać, a ponieważ trawa była mokra, zsuwał się coraz szybciej. Na domiar złego zawadził o jakiś korzeń i przekoziółkował. Dwóch żołnierzy ryczało ze śmiechu, obserwując jego zsuwanie się i raptowne zatrzymanie u podnóża wzniesienia.

- Ja was jeszcze załatwię, cholera! - krzyknął w ich stronę, szukając latarki zgubionej podczas zsuwania się. Skierował jej światło na stojące głupie miny postaci. - Hej, wy dwaj, złaźcie no na dół!

- Idziemy, kapralu - odparli niskim głosem i z okrzykiem skoczyli razem, gasząc jednocześnie latarki.

Słyszał, jak się zsuwają, przewracając się i chichocząc. Skierował latarkę w inną stronę, by spadali w zupełnej ciemności. - Niech se te powariowane skurwysyny połamią karki - zagderał do siebie.

Zjechali tuż pod jego stopy, tak że musiał szybko odskoczyć w tył w obawie, że żołnierze - wierzgając nogami - powalą go na ziemię.

Leżeli na plecach, oddychając ciężko i śmiejąc się.

- No, jazda, wstawać - rozkazał szorstko. - Nie wiem, o co wam dwóm chodzi. Zachowujecie się jak para chichotliwych prawiczek.

- Wybacz, Eddie - przeprosił z uśmiechem niższy - ale mój przyjaciel Bernard - przesadnie podkreślił to „ard” - zawsze taki się robi, gdy czas na łóżeczko.

- Dla ciebie to ja jestem kapral, Evans - powiedział Wilcox, a w jego głosie można było wyczuć niechęć do małego cockneya. Tych dwóch było nieustanną zadrą w jego ciele; wiecznie robili sobie jaja, ale nigdy nie przebierali miarki, by mógł ich ukarać, korzystając ze swego wyższego stopnia, albo dopieprzyć jednemu z nich. Nie musieli nawet nic mówić - ich głupie facjaty wystarczały, by wyczuł jakąś drakę.

- Po co my tu tak w ogóle zjechaliśmy, kapralu? - zapytał szeregowiec Buswell, a jego brzęczący głos był kolejnym powodem irytacji Wilcoxa. - To przecież tylko zafajdany tor kolejowy.

- Rozkaz jest taki, żeby każdy centymetr kwadratowy tego rejonu był przez nas kontrolowany! - warknął kapral, omiatając światłem latarki szyny, które nie były już srebrzyste, ale matowe i zardzewiałe.

- Hej, ale tego i tak już nie ma, nie? - powiedział Evans. - Znaczy się, szukamy tego już od dwóch pieprzonych dni!

- Oni sądzą, że zniknęło. My tego szukamy, by mieć pewność.

- Racja, ale ten proszek to zniszczył, nie? - nalegał Evans.

- Powiedziałem już: to oni tak myślą.

- No, ale nie mogli przecież tego tak po prostu zgubić - wtrącił się Buswell.

- Nie, ale ciekawe, jak to tak po prostu zniknęło - zastanawiał się Wilcox. - Znaczy, rozpylali przez cały dzień i ten proszek działał, ale nagle okazało się, że tego już nie ma, znaczy się - tej rzeczy w środku.

- Racja, a co to jest ta rzecz w środku? Mówią, że to jakiś zarazek, tak? - zapytał Evans, zapalił własną latarkę, i skierowała ją do góry, chcąc sprawdzić, jak wysoko dochodzi światło.

- Ta choroba to właśnie to. Oni chcą, żeby to zniknęło raz na zawsze, i to na pewno.

- Racja, ale ja wcale nie mam ochoty na znalezienie tego.

- Nie martw się, nie musimy się do tego zbliżyć - zapewnił go Wilcox, a po chwili dodał z pogardą: - I tak wy dwaj pieprzenci jesteście już wystarczająco stuknięci. Nie będzie to miało na was żadnego wpływu.

- Jasne, kapralu - Evans skrzywił się w uśmiechu. - Ja i Bernard jesteśmy porządnie zwariowani, ja bym na pana miejscu dobrze uważał przy rozdawaniu naboju do naszych karabinów.

- Racja, kapralu - przytaknął Buswell, a jego uśmiechnięta twarz wyrażała zakłopotanie. - Dlaczego dostaliśmy ostrą amunicję?

- Na wszelki wypadek, Buswell. Na wypadek, gdybyśmy się napatoczyli na prawdziwych wariatów.

- To znaczy, że mamy ich zabijać?

- Jeżeli odnajdziemy ten żar i wpakujemy się w jakiegokolwiek kłopoty, które mogłyby utrudnić nam podanie jego lokalizacji, wtedy mamy użyć odpowiednich środków.

- Och, robi mi się zimno na samą myśl o tym. Chodźcie, zapalimy po fajce.

- Z wami dwoma wiecznie, cholera, to samo. Ja odpowiadam, gdy nakryje nas sierżant. On musi gdzieś niedaleko być - zajęczał Wilcox.

- Coś ty, on jest daleko stąd. Chodźmy jeszcze kawałek, może znajdziemy jakiś przyjemny cichy kącik.

Kapral Wilcox wszedł na tory i zaczął iść, świecąc latarką po szynach. Pozostała dwójka ruszyła za nim. Fałszując, Evans gwizdzywał jakąś melodię.

- Hej! Nie rozjedzie nas chyba nic, nie? - Przerwał swoje gwizdanie Evans.

- Nie rób z siebie palanta. Ta linia kolejowa jest nie używana. Popatrz sobie na tę trawę, to zobaczysz, że nikt tędy nie jeździł od lat. Spójrz na tę rdzę na szynach.

- Tak tylko pytałem, kapralu.

Wilcox usłyszał dochodzący z tyłu rechot Buswella i parsknął, rozdrażniony. - Dlaczego, do diabła, zawsze muszę wciągać, cholerni komedianci?

Maszerowali przy akompaniamencie niemelodyjnego powgwiszdywania Evansa, przeszukując latarkami stok po przeciwnej stronie.

- Jak to jest, że to się żarzy? - zapytał po chwili Buswell.

- Promieniowanie, nie? - odpowiedział mu Evans.

- Kto powiedział, że to promieniowanie? - Wilcox zatrzymał się, odwrócił i spojrzał na niego.

- To chyba proste, nie? - odparł Evans. Jego oczu nigdy nie opuszczało rozbawienie. - To się żarzy, tak nam przynajmniej powiedzieli. Wyjada ludziom mózgi. Dryfuje sobie spokojnie po kraju i oni nie potrafią tego zatrzymać. Wszystko wychodzi na jedno i to samo.

- Dobra, ale jak promieniowanie mogło przyjść z morza? - spytał arogancko kapral.

- O Boże! Nie wierzysz mi, co? - odparł Evans. Teraz on z kolei był niezadowolony. - Oni właśnie polegają na takich kutasach jak ty, które wierzą w to, co im podkładają.

- Uważaj, co mówisz, Evans. To ja tu jestem dowódcą.

- W porządku, kapralu, tylko nie rób się przykry. No, chodź, ruszajmy się.

Gdy maszerowali dalej wzdłuż torów, Evans zaczął objaśniać swoją teorię. - Widzicie, to oni zrobili, ci naukowcy. Mieli jakiś wypadek w jednej z tych swoich atomowych elektrowni i teraz milczą. Ta cholerna mgła tak naprawdę to po prostu pieprzona promieniotwórcza chmura, racja, Bernard?

- Racja, profesorze.

- To trzęsienie ziemi poprzedniego dnia. Wy myślicie, że co to było?

- Trzęsienie ziemi - bystro zauważył Buswell.

- Och, zamknij się, tępaku. To, kapralu, był podziemny wybuch. A z tego, co wiemy, był to wybuch jądrowy, a z tego,

co wiemy, to właśnie stamtąd przyszło to promieniowanie. - Pokiwał głową, przyznając sobie rację.

- Ty naprawdę pieprzysz głupoty, Evans - zauważył Wilcox, ale jego uwaga była w tej chwili skupiona na majaczącym przed nim jakimś kształcie.

- Właśnie - mruknął cicho Evans - i właśnie takie głupawe ciemniaki jak ty niczego się nigdy nie nauczą.

Nagle Wilcox zatrzymał się tak gwałtownie, że wpadł na niego Evans, a na Evansa Buswell.

- Tam dalej jest tunel - oznajmił im.

- Dobra, zapalmy więc - rzekł Evans rozpinając kurtkę.

- Przez was dwóch trafię kiedyś pod sąd polowy - parsknęła Wilcox. Uznali to jednoznacznie za zgodę. Przykucnęli tuż za wejściem do tunelu, ukryci przed wzrokiem innych żołnierzy, których gęsto rozmieszczono w okolicy dla obserwacji terenu.

Evans zasłonił zgiętą dłonią płomień zapalki, zapalając najpierw papierosa Buswellowi, a potem sobie. - Och, przepraszam, kapralu - przeprosił nieszczerze, podając ogień Wilcoxowi.

Wilcox zignorował go i zapalił papierosa własnymi zapalkami. Usiadł na szynie naprzeciwko obu szeregowców.

- Dobra, wszystkowiedzący - zwrócił się kwaśno do Evansa - powiedz mi jedną rzecz: jeśli to coś, czego szukamy, to promieniowanie, to dlaczego nie mogą tego znaleźć detektorami? - Nachylił się do Evansa z uśmiechem satysfakcji.

- Ponieważ, mój stary bobasie, już tego nie ma - odparł Evans, uśmiechając się w sposób świadczący o tym, że jest z siebie bardzo zadowolony.

- Co, zniknęło po tym cholernym rozpylaniu? - Wilcox, siedząc, wyprostował się i pokręcił głową, zaszokowany głupotą szeregowca.

- Właśnie tak. Nie wiemy przecież, czym to opryskiwali, no nie? Powiedzieli, że miało to zniszczyć mgłę, ale naprawdę chodziło o to, że miało zniszczyć promieniowanie.

- Boże, spraw, bym to wytrzymał - westchnął Wilcox, wznosząc oczy ku sklepieniu tunelu.

- Nie, nie - upierał się Evans. - Bo przecież nie wiemy, prawda? Nie wiemy, co oni tam wynaleźli. Z tego wynika, że wymyślili coś, by pozbyć się tego promieniowania. Mieli na to wystarczająco dużo czasu.

Wilcox ponownie parsknął, a Buswell jak zwykle zarechotał.

- Jesteśmy, chłopie, mięsem armatnim - mówił dalej Evans. - Wysłali nas tu, żeby się upewnić, że tego już nie ma.

- Bez detektorów?

- Bez detektorów. Nie chcą, żeby ludzie dowiedzieli się, że to jest promieniowanie, nie?

- Chryste! - Wilcox poddał się. Absurdalna logika Evansa od dawna była dla niego źródłem irytacji i frustracji, ale czasami stawało się to nie do zniesienia. - Zerknę tylko, co jest w tunelu, i idziemy dalej. - Mógł tam wysłać jednego z nich, ale wtedy musiałyby wysłuchiwać ich protestów, a poza tym czuł, że musi trochę od nich odpocząć, chociażby tylko na kilka sekund.

Pieprzeni nieprzystosowańcy, zaklął w myślach, zanurzając się w czerń. Nie wstąpili do armii, tak jak on, by robić karierę. Wstąpili, bo chcieli łatwego życia - darmowego żarcia, darmowego mieszkania i kogoś do podejmowania za nich decyzji. Zawodowcy! Chyba raczej bumelanci. Rzuciliby się na każdą możliwość wykręcenia się od obowiązków. Tych dwóch wpakowało go już niejedną raz w kłopoty, to dlatego nie był jeszcze sierżantem. Myślałbyś, że po sześciu pieprzonych latach ma już stopień sierżanta! Miał go dostać w tym roku, ale nic z tego nie wyszło, bo te dwie małpy uwzięły się na niego. Dlaczego na niego? Co było w nim takiego, że właśnie przy nim musieli robić z siebie bydlę? Wtedy, gdy tak załatwili w Niemczech, pełnił wartę honorową. Najpierw namówili go na jednego, potem na jeszcze jednego i jeszcze

jednego, aż doszło do tego, że nic już go nie obchodziło. Spił się tak, że obrzygał wypucowane buty marszałka, gdy ten wyszedł na inspekcję.

O mało nie poszedł za to pod sąd polowy. Że tak się nie stało, zawdzięcza tylko temu, że marszałek musiał być następnego dnia z powrotem w Anglii i nie chciał zostawać na posiedzenie sądu polowego. Tam by go dopiero załatwili! Ale musiał za to odpokutować w inny sposób.

Potem była ta „przyjemna, czysta, mała spódniczka”, którą przedstawili mu w Hamburgu. Miała nawet zaświadczenie od lekarza, że jest zdrowa. Zaraził się od niej syfem, a armia brytyjska nie lubi żołnierzy, którzy zarazili się syfem, chociaż zdarza się to przez cały czas.

W Irlandii Północnej zabrali go do „małego przytulnego klubu” niedaleko koszar, obiecując, że zostaną tam ugoszczeni tak dobrze jak cywile. Trzech z nich zostało „dobrze ugoszczonych” kulami w tył głowy. Jedynie to, że wybił krzesłem okno i wyskoczył, a trzech żołnierzy za nim, uratowało im życie. Evans podłożył mu dziwkę, która zaprosiła ich tam na flaszkę, i zanim wyskoczył, kosztowało go to kulę w pośladek. Armia także nie była zbyt uszczęśliwiona tym małym epizodem.

Biorąc to wszystko pod uwagę, uznał, że mimo wszystko miał jednak szczęście. Te drobne wypadki - a było ich o wiele więcej - nigdy nie były na tyle poważne, by spotkała go jakaś drastyczna kara, ale wszystkie pomogły mu za to w tym, że ciągle miał ten sam stopień.

Cały kłopot polegał na tym, że za każdym razem dawał się wrobić. Tamci przymilali mu się przez dłuższy czas albo też rzucali mu wyzwanie. A on zawsze ulegał lub połykał przynętę. Zawsze musiał udowodniać, że jest jednym z chłopaków. Chryste, ależ to długi tunel!

Spojrzał w tył i pomyślał, że chyba już minął zakręt, bo nie widział światła latarek obu szeregowców. Poświecił latarką przed siebie, ale dostrzegł tylko matowo jaśniejącą ścianę. Znajdował się chyba pośrodku zakrętu. Nie widział nic - ani

z przodu, ani z tyłu, ale i jego nikt nie mógł teraz zobaczyć. Dobra, tyle wystarczy, pomyślał, zszedł z torów i oparł karabin o ścianę. Zaczął rozpinać spodnie, świecąc latarką trzymaną pod pachą. To było jeszcze jedno! Nie mógł się nawet przy nich porządnie odlać. Ich kpiarskie ryje wywoływały u niego psychiczną blokadę czy też blokadę w innym miejscu. Wiedzieli, jaki wpływ na niego wywierali, i czasami, gdy byli w kantynie albo w klubie, szli za nim do ubikacji i stawali naprzeciwko, wyszczerzając w uśmiechu zęby, a wtedy jego twarz stawała się coraz bardziej czerwona, a jego kutas w ręce coraz bardziej przeprasający.

Nawet teraz samo wspomnienie o tym powstrzymywało jego ciało od spełnienia tej naturalnej czynności. Dlaczego musieli zamieniać jego życie w męczarnię? Poczekajcie, aż zostanę sierżantem, wtedy zapłacicie za wszystko. A może to właśnie to. Może wiedzieli o tym i próbowali opóźnić jego awans? Skurwysyny!

Wlepił wzrok w ścianę pół metra przed sobą. Rysy twarzy podświetlonej latarką robiły niesamowite wrażenie. Stał w rozkroku, trzymając palcami penisa, i pogrążony w gorzkich rozmyślaniach zupełnie nie zauważył grubych macek mgły, które zaczęły skradać się wokół jego stóp jak wiotkie pędy winorośli. Macki zgęstniały, tworząc warstwę mgły, która zaczęła się powoli unosić, zakrywając całe jego ciało.

- Eddiego coś długo nie ma - skomentował Buswell. Papieros parzył mu opuszki palców, ale palił go dalej.

- Jak tak będziesz robił, to dostaniesz raka - zauważył Evans. - Najwięcej nikotyny jest na koniuszku papierosa.

Buswell wzruszył ramionami. To jego sprawa.

- Hej, kapralu, co ty tam robisz? Walisz konia czy co?! - krzyknął w ciemność Evans. Nie było odpowiedzi. - Pewnie się obraził - stwierdził, opierając ponownie łokcie na kolanach, i strzelił papierosem w półmrok.

- Biedny stary Eddie. Przejmuje się tym, nie? - rzekł Buswell.

- No, ale jest w porządku. Tylko nie ma, czego chce. Ale można się chociaż z niego pośmiać.

- Myślisz, że dostanie tego sierżanta?

- Coś ty, nie ma szans. Zawsze gdy jest okazja, spieprza ją. Zawsze! - Evans uśmiechnął się; jego twarz wyglądała złowieszczo w świetle latarki. - Nie wiem, jak on to robi.

- Więc jak myślisz, czym jest ta mgła tak naprawdę, Ray? - spytał Buswell, wiedząc, że Evans zawsze miał w zanadru kilka hipotez na każdy temat.

- Powiem ci prawdę, Bernard. Nie wiem, kurwa. Ale mogę się założyć o jedno - to zrobił człowiek. I ma to chyba coś wspólnego ze skażeniem środowiska. To jest tak samo jak te rzeki, w których znajdowali tysiące nieżywych ryb. Wszystko z powodu tych cholernych fabryk, które wypuszczają ścieki. No i tym razem ktoś coś wyrzucił do powietrza, rozumiesz, gaz albo jakiś związek chemiczny, nie wiem co, ale wyrwało się to spod kontroli. Tak jak w jednym z tych horrorów w telewizji.

- Coś ty!

- Tak, mówię serio. Coś dostało się do powietrza i rozmnożyło się. To nie jest prawdziwa mgła. To jest coś jak, eee, zawiesina...

Gdy zaczął tak się rozwodzić nad nową teorią, którą myślał zresztą na poczekaniu, mgła, niewidoczna w ciemnościach, wirowała w tunelu, zmierzając w ich stronę. Dokładnie w jej środku posuwał się mężczyzna. Przed sobą trzymał wycelowany karabin, tak jakby szedł z bagnetem na wzburzony tłum. Usłyszał dochodzące skądś z przodu głosy i coś drgnęło w jego otępiałym umyśle.

Spostrzegł zarysowane poświatą latarek dwie postacie. Jego własna latarka została między szynami daleko w głębi tunelu. Zbliżył się do dwóch mężczyzn i słowa: Gdzieś ty był? - nic dla niego nie znaczyły.

Powolnym ruchem uniosł karabin i przytknął go do czoła jednego z żołnierzy. Potem pociągnął za spust.

Tunel rozbrzmiał hukami wystrzału i krzykiem drugiego mężczyzny. Nagły błysk oświetlił rozgrywającą się scenę. Żołnierz, który krzyknął, patrzył na tę scenę jeszcze przez kilka sekund.

Buswell rzucił latarką w kaprala Wilcoxa, trzymającego w ręku nadal dymiący karabin. Nieruchomy wzrok kaprala spoczywał na nieżyjącym mężczyźnie, który powoli przewracał się do tyłu. Wciąż krzycząc Buswell wybiegł z tunelu, pozostawiając swój karabin oparty gdzieś w ciemności o ścianę. Ogarnięty paniką, popełnił błąd, próbując wspiąć się po zboczu zaraz za wylotem tunelu. Gdy chciał się podciągnąć, jego ręce wyrwały jedynie kępy trawy, a stopy ześlizgiwały się po mokrej ziemi.

Uchwycił się jakiegoś krzaczka, który cudem zdołał utrzymać jego ciężar, umożliwiając mu wspięcie się kilkanaście centymetrów w górę. Wtedy doszedł do jego uszu dźwięk odwodzonego zamka karabinu, ostry i wyraźny w mroźnym nocnym powietrzu. To zdopingowało go do jeszcze jednego wysiłku. Zrozumiał, że strzelec jest gotowy do oddania następnego strzału.

Tylko dzięki swojej prawie zwierzęcej sile i na przekór prawom grawitacji udało mu się dotrzeć niemal na sam szczyt wzniesienia.

Jego drugim błędem było to, że spojrzał w dół.

Zobaczył stojącą u podnóża postać. Nie poruszała się, nawet nie podniosła karabinu.

Buswell wydał zdławiony krzyk i skoczył rozpaczliwie przed siebie, wyciągając rękę ku górze, tak jak gdyby spodziewał się, że na szczycie wzniesienia czeka na niego ktoś gotów do podania mu pomocnej dłoni i wyciągnięcia w bezpieczne miejsce, ale próba złapania się czegokolwiek zakończyła się fiaskiem.

Zacisnął rękę na kępie trawy, ale ta z łatwością wyszła z rozmokłej ziemi i została mu w dłoni, wskutek czego nogi straciły punkt oparcia. Przywierając płasko całym ciałem do mokrej murawy, zaczął się zsuwać, rozpaczliwie szukając

kurczowo zaciskającymi się palcami jakiegoś zaczepienia, które uratowałyby go od dalszego zsuwania się.

Powoli, powoli ześlizgiwał się w dół, aż w końcu dotknął nogami podnóża wzniesienia. Opadł na kolana. Kapral stał nad nim; po chwili podniósł lufę karabinu.

Z tunelu wolno wypłynęła mgła. Z początku rzadka, zaraz potem zgęstniała i zaczęła się błyskawicznie rozprzestrzeniać. Zawirowała wokół dwóch żołnierzy i szybko okryła ich swoim całunem.

Rozdział osiemnasty

Holman otworzył oczy i odczekał kilka chwil, aż jego umysł zacznie prawidłowo działać. Spojrzał do góry na sufit, zbierając myśli. Potem odwrócił się w stronę osoby leżącej obok niego w łóżku. W przesączającym się przez zaciągnięte zasłony szarym świetle jej twarz wyglądała jak dawniej - spokojna i nie naruszona troskami życia, wiedział jednak, że w ostrym świetle dnia odnajdzie na niej pierwsze zmarszczki. Przeżycia ostatnich kilku dni nie mogły minąć bez śladu. Ale rana w jej duszy pozostawi po sobie blizny o wiele większe.

Jakże inaczej wyglądała, będąc u niego poprzednim razem. Czy zapomni kiedykolwiek, jak wściekle i gwałtownie go atakowała, z obłąkaną twarzą wykrzywioną nienawiścią? Czy będzie go już zawsze dręczyła obawa, że taki sam grymas pojawi się znowu na jej twarzy? Nie mógł przestać myśleć o koszmarnych przeżyciach sprzed kilku dni. Bał się, że choroba czai się, głęboko uśpiona w jej mózgu, czekając tylko na okazję, by wznowić swoją śmiertelność, pasożytniczą drogę.

Janet Halstead zapewniła go, że Casey została całkowicie wyleczona, tak samo jak on, i że nie ma żadnych obaw co do nawrotu choroby. Ale mimo to bał się. Upłynie chyba dużo czasu, zanim zupełnie pozbędzie się strachu.

Był wdzięczny lekarce, że pozwoliła mu zabrać Casey do

domu. Ponieważ nie zakończono jeszcze wszystkich badań prowadzonych zarówno na nim, jak i na dziewczynie, Janet mogła - choć ich przydatność w tej chwili była już mniejsza - uprzeć się, by na wszelki wypadek zatrzymać ich w Centrum Badawczym. Ale ona pozwoliła im wrócić do domu, pod warunkiem, że codziennie będą się u niej meldować. Czuli, że oboje muszą być blisko siebie, tak jak dawniej, by wyleczyć swoje rany i nacieszyć się sobą. Leczenie szpitalne może tylko częściowo pomóc w powrocie do zdrowia; potem wszystko zależy od samego pacjenta i jego instynktu samozachowawczego.

Holman przez cały czas był pod telefonem, chociaż już od dwóch dni nie natrafili na żaden ślad mgły. Spustoszenie, jakie spowodowała, było przerażające: nie wszyscy zostali w porę ewakuowani z terenów, nad którymi przechodziła. Wciąż ujawniały się nowe przypadki zachorowań, ponieważ reakcja na jej działanie występowała u niektórych osób znacznie później niż u innych. U wielu ludzi reakcja była natychmiastowa w postaci szaleństwa spowodowanego szybkim zniszczeniem komórek mózgowych wskutek gwałtownego szturmu zmutowanego pasożyta. Wielu ludzi zostało zabitych, wielu popełniło samobójstwo.

Pierwszego dnia spokoju, gdy mgła rozplynęła się w nie wyjaśniony sposób, kraj był nadal oniemiały. I wtedy zewsząd zaczęły się odzywać głosy żądające wyjaśnień. Czym jest mgła? Skąd się wzięła? Skoro przysłała z nad morza, to jak powstała? Czy naprawdę zniknęła, a jeśli tak, to czy może się znowu pojawić? Czy wielu ludzi oszalało? Jakie są pierwsze symptomy choroby? Czy rząd odpowiednio szybko zareagował na rozwój wypadków? Jakie kroki zostały poczynione, aby nigdy już nie dopuścić do tak wielkiej katastrofy? Czy jakieś obce mocarstwo nie prowadziło zagrażających państwu tajnych doświadczeń na terenie Wielkiej Brytanii?

Zadawano takie i inne pytania, a rząd musiał na nie odpowiedzieć, i to szybko. Dzisiaj nadszedł czas odpowiedzi i zapewnień. W gronie członków ścisłego gabinetu zastanawiano

się nawet, czy ujawnić całą prawdę, ale pomysł ten szybko odrzucono.

Holman dotknął miękkiego zaokrąglenia przegubu Casey. Wzdrygnął się na myśl, że zaraz zadzwoni telefon i każą mu przyjść. Z przerażeniem myślał o powrocie w mgłę i modlił się, aby okazało się, że została ona raz na zawsze pokonana.

Casey poruszyła się i przysunęła do niego. Z rozchylnych ust wydobyło się głębokie mruczenie. Przesunął ręką wzdłuż pleców dziewczyny i przyciągnął ją do siebie tak, że ich ciała zetknęły się. Na wpół śpiąc, włożyła swoją nogę między jego nogi, ramię oparła mu na piersi, po czym zsunęła się, dotykając przypadkiem dłonią jego pośladka. Zesztywniał. Poczul podniecenie, gdy jego penis wcisnął się między jej miękkie ciało i jego własne.

Była teraz już rozbudzona, chociaż głowę miała nadal przyjemnie ocieężałą. Przesunęła rękę jeszcze niżej i nieświadomie pogładziła tył jego uda. Westchnęła i wypowiedziała jego imię, a on, całując ją we włosy i w czoło, wyznał szeptem swoją miłość. Podniosła głowę i ich usta zetknęły się; jej były wilgotne i nabrzmiałe pożądaniem. Odsunął się trochę, by dotknąć jej piersi; sutki stwardniały pod opuszkami jego palców, wyraźnie pragnąc, by je obudzić i wznieść nad okolice miękkiego różowego ciała. Przesunął się w dół, by objąć ustami jeden z nich. Zacisnął na nim wargi, po czym zwilżył jego czubek językiem.

Wydała zduszony jęk i wyprężyła się, mocno przylegając do niego, a on wcisnął swoje udo między jej nogi. Poprzedniej nocy żadne z nich nie miało ochoty na kochanie się: przeszkadzała im w tym zbyt świeża pamięć o śmierci jej ojca. Chcieli być ze sobą, ale tylko po to, by się przytulić i pocieszyć nawzajem. Szybko zasnęli, zmęczeni fizycznie i psychicznie wydarzeniami minionego tygodnia.

Teraz zapomnieli o swoim zmęczeniu, a poza tym byli w znacznie lepszym nastroju, chociaż Casey dopiero zaczynała odzyskiwać duchową równowagę. Wysunęła swoją pierś z jego ust i wtedy poczuła jeszcze większe podniecenie. Ugryzła

go w szyję, najpierw delikatnie, a potem mocno, aż pod skórą ukazała się krew.

Na ułamek sekundy ogarnął go strach, ale zapomniał o nim, gdy sunęła ustami w dół, szepcząc miłosne wyznanie, całując jego pierś i obejmując wargami jego stwardniały sutek, najpierw jeden, potem drugi, by żaden nie był pokrzywdzony. Potem przejechała śliskim językiem między mięśniami brzucha, zostawiając cienki, wilgotny ślad, który biegł aż do pępka.

Jego penis podniósł się, pulsując w oczekiwaniu na spotkanie z rozchylonymi wargami, i nagle otuliło go ciepło pieczary jej ust. Miękkie wejście skrywało ostry rząd zębów, lecz dalej oczekiwało na niego jedwabiste i wiecznie ruchliwe zwierzę, które obsypało go na powitanie pieścotami. Casey przesuwała wargami w dół i w górę stałym, regularnym ruchem, nie dotykając go zębami i nie pozwalając odpocząć swojemu językowi. Holman zadrżał z rozkoszy, zacisnął dłonie na jej ramionach, poruszając się w tym samym rytmie.

Zanim drżenie zamieniło się w szal, a rozkosz sięgnęła zenitu, wycofał się z niej i delikatnie przyciągnął uśmiechniętą twarz Casey ku sobie, całując ją mocno i pożądliwie w usta, podniecając się jeszcze bardziej, gdy poczuł ślad smaku swego ciała na jej języku.

Wysunął rękę w stronę jej brzucha i przebiegł palcami w dół przez mały, zgrabny zagajnik włosów, aż dotarł do drugiej pieczary jej ciała, bardziej wilgotnej i jedwabiście gładkiej pod wpływem rosnącego pożądania. Uniosła lekko biodra i naprężyła uda, rozchylając przy tym kolana i wbijając się piętami w łóżko. Rozluźniła się, po czym ponownie napięła mięśnie, wydając zduszony jęk i przekręcając na bok głowę. Jego palce zatrzymały się przed wejściem i drażniły jego najbardziej zmyslową część, a potem pieściły ją coraz mocniej, odpowiadając na pragnienia jej ciała.

Tym razem Casey odsunęła go, nim rozkosz stała się nie do wytrzymania. Przyciągnęła go za biodra, a on wślizgnął

się w nią łatwo, ale powoli, panując nad swoim pożądaniem. Droga była równa i gładka. Zatrzymał się dopiero, gdy penis wsunął się na całą swoją długość. Casey mocno zacisnęła dłonie na jego pośladkach i przycisnęła do siebie, rozpaczliwie pożądając każdego centymetra jego ciała. Jęknęła głośno, gdy zaczął się rytmicznie poruszać, jej usta oszalały, szukając jego warg. Odchyliła głowę, wbijając ją mocno w poduszkę, czując szybko narastającą rozkosz. Zgięła nogi, ale nie objęła go nimi, nie chcąc krępować ani jego ruchów, ani własnych. Jedną ręką sięgnął do jej piersi i zaczął ją miażdżyć z okrucieństwem, lecz okrucieństwo to wypływało z pożądania i zostało przyjęte z radością i zrozumieniem.

Odprężyła się na kilka sekund przed nim, ale ciepły płyn, który wypłynął z niego i wypełnił ją, jeszcze zwiększył jej rozkosz. Z przyjemnością przyjęła na siebie ciężar jego ciała, gdy opadł na nią zmęczony. Leżeli tak, aż ich oddechy i serca uspokoiły się. Gładziła go po włosach. Wsparł się na łokciach, nie chcąc jej przygnieść.

Po chwili podniósł się z niej, całując jeszcze piersi różowione przez orgazm, i opadł na plecy. Obróciła się do niego bokiem, jedną rękę przełożyła mu przez pierś i zacisnęła dłoń na jego ramieniu, po czym, podniósłszy jedną nogę, zarzuciła ją na jego uda.

Popatrzyła na jego rozluźnioną twarz i przesunęła po niej palcem z góry na dół, zatrzymując się, by zarysować usta, potem znowu w dół wzdłuż podbródka, po szyi, by ostatecznie spocząć na jego piersi, gdzie zanurzyła się w ciemnych włosach.

- Jeszcze mi nie powiedziałaś - rzekła po chwili.

- Co? - Spojrzał na nią zdziwiony.

- Nie powiedziałaś mi.

- Nie powiedziałem ci czego?

- Dlaczego nazywasz mnie Casey.

Zaczął się śmiać. - Naprawdę chcesz to wiedzieć?

- Tak.

- Nie, nie. Będziesz zła.

- Zła? Lepiej powiedz mi to od razu! - Uniosła głowę, by spojrzeć na niego.

- Na pewno chcesz wiedzieć?

- Tak! - odparła zdecydowanie.

- Cóż - zaczął, uśmiechając się i spoglądając na nią kątem oka - jeszcze jako dziecko miałem psa, suczkę...

- Psa?

- ...wabiła się Casey...

- Wabiła się...

- ...i gdy ujrzałem ciebie...

- ...Casey! Ty...

- ...miałaś takie same smutne oczy...

- ...ty...

- ...które spowodowały, że się w tobie zakochałem... i wiedziałem, że znalazłem coś, co znowu stanie się dla mnie cenne... i właśnie dlatego nazwałem cię Casey.

Opadła na niego, na wpół śmiejąc się, lecz gotowa do płaczu. Objął ją, nadal się uśmiechając, ale był dziwnie bliski smutku.

- Wyobraź sobie mój zachwyty, gdy spostrzegłem, że umiesz także gotować.

I teraz naprawdę wybuchnęła płaczem. Płakała ze szczęścia, ze smutku i ulgi, że są razem.

- To już się skończyło?

- Ta mgła? Ten koszmar? Taką przynajmniej mam nadzieję. Jeśli nie, to, no cóż, nie wiem, co jeszcze mogliby zrobić.

- Na pewno mogliby znaleźć jakieś rozwiązanie.

- Tym rozwiązaniem mógłby być chlorek wapnia. Ale potrzeba go w bardzo dużych ilościach.

- Dlaczego wstrzymują się z podaniem tego do publicznej wiadomości?

- Bo nie pojmują, jak ten związek chemiczny może zniszczyć mykoplazmę. Za radą Rykera postanowili postępować ostrożnie, zaczekać, aż uzyskają całkowitą pewność.

- A kiedy to się stanie?

- Kto wie? Wydaje mi się, że wtedy, gdy posypią nim cały teren.

Zadrżała i przytuliła się do niego mocno. - Albo gdy ludzie przestaną wpadać w obłąd.

- Już mają na to lekarstwo. Zakładając, że nie zdarzy się to na masową skalę, mogą wyleczyć każdego chorego.

- O ile ci chorzy nie zabiją się wcześniej sami.

Milczał. Mieli szczęście oboje, ale cena, którą musieli zapłacić, była wysoka. Wiedzieli, że często jeszcze między nimi będzie zalegała cisza, ponieważ oboje pamiętali. Miną całe lata, zanim wyrzucą z pamięci cały ten koszmar, ale ponieważ przeszli przez to oboje, byli w stanie się zrozumieć i wzajemnie sobie pomóc.

Spojrzał na nią; jej oczy napotkały jego. Ona także była zatopiona w myślach. Uśmiechnęła się.

- Jestem zdrowa - powiedziała.

Usiadł postanawiając, że nigdy już nie pozwoli im zanurzać się zbyt głęboko we wspomnieniach. - Zrobię kawę.

- Nie - ściągnęła go z powrotem na łóżko. - Ty tu zostań. Pozwól, że ja to zrobię.

Ułożył się na plecach i patrzył, jak naga wślizgnęła się w rzucaną na podłogę jego koszulę. Koszula, za obszerna na nią, rozchyliła się szeroko, gdy nachyliła się nad nim, by go pocałować. Widok jej drobnych piersi zaczął go na nowo rozpalać. Obeszła łóżko, idąc w stronę zaciągniętych zasłon, i wtedy jeszcze raz przemknął mu w myślach obraz ostatniego razu, gdy widział ją w tym zaciemnionym pokoju. Ale teraz było mu łatwiej odrzucić to wspomnienie.

Wyciągnęła rękę i zaczęła odciągać zasłony, ale w połowie zatrzymała się i Holman spostrzegł, że stoi jak skamieniała.

- John... - usłyszał, jak wypowiada jego imię, lekko obracając głowę w jego stronę i nie mogąc oderwać wzroku od dziwnie przytłumionego światła z zewnątrz.

Wyskoczył z łóżka, czując znowu znajomy dreszcz zimna przebiegający po plecach. Gdy stanął przy jej boku, jednym zamaszystym ruchem odsłonił zasłonę do końca i wtedy zamarł, patrząc na widok, który się przed nim rozpostarł.

- O Boże! - wydał zduszony jęk.

Bo za oknem nie było żadnego widoku. Tylko szara pustka. Ciężka, nieruchoma pustka, zabarwiona z lekka na żółto.

Stali tak, ze zgrozą i strachem obserwując mroczną gęstość na zewnątrz. Dopiero po dłuższej chwili zdali sobie sprawę, że w sąsiednim pokoju dzwoni telefon.

Próbowali ostrzec miasto przed nadchodzącym nieuniknionym przeznaczeniem. Pojawiło się to zniecka - mała, chmura gnana do przodu przez silny wiatr. Po dwóch dniach poszukiwań, właśnie gdy już zaczynali odpoczywać, wychyliło znowu.

Z początku ukryte wśród porannych oparów, potem powiększało się, jakby tylko czekało na sprzyjającą okazję. Nabierało sił, oczekując swojego nocnego sprzymierzeńca - wiatru północno-wschodniego. Wielu poddało się panice, ponieważ znaleźli się bezpośrednio na drodze szybko poruszającej się chmury, i rozproszyło w trzech kierunkach. Najodważniejsi pamiętali, by przekazać drogą radiową punkty zborne podczas ucieczki, ale większość zajęła się ratowaniem jedynie samych siebie.

W miarę przesuwania się nad ziemią mgła rosła. Przepływała nad małymi miastami, zakładami przemysłowymi, które dzień i noc wypuszczały cuchnące chmury dymów. Wchłaniając zanieczyszczone powietrze, powiększała swoją objętość. Dotarła do przedmieść; jej ogrom hamował prędkość wiatru. Ruszyła do centrum miasta.

Rozproszonych żołnierzy zebrano ponownie i wydano im rozkaz posuwania się przed nacierającą mgłą. Przez megafony nadawano niestety spóźnione już ostrzeżenia. Wszystko to było pozbawione sensu. Żołnierze zdawali sobie sprawę, że gdy mieszkańcy obudzą się i, przecierając zaspane oczy, zobaczą, co się dzieje, będzie już za późno na cokolwiek - mgła znajdzie się nad nimi.

Ale mimo to robiono wszystko, co leżało w ludzkiej mocy;

dotyczyło to przynajmniej trzech czwartych ogółu żołnierzy. Pozostali zostali skierowani do Londynu, do innych zadań.

Janet Halstead została wyrwana ze snu przez jednego ze swych asystentów. Ubrała się i poszła do sąsiadującego z jej sypialnią gabinetu. Podniosła słuchawkę i poprosiła o bezpośrednie połączenie z tym kimś, kto pilnie pragnął z nią rozmawiać. Słuchała z kamienną twarzą, nie wypowiadając ani słowa. Tylko oczy zdradzały zmęczenie i smutek.

Gdy w końcu odłożyła słuchawkę, jeszcze przez kilka sekund patrzyła na aparat. Ale wkrótce zebrała się w sobie i zaczęła wydawać szybkie, zwięzłe rozkazy asystentowi, trochę zaskoczona tym, co się dzieje. Zarządziła natychmiastową ewakuację Centrum Badawczego. Poleciała, by cały sprzęt, notatki i wszystko, co jest niezbędne i da się wynieść, zostało przewiezione w inne miejsce. W tajne miejsce. Transport był już w drodze.

Stan Reynolds, mężczyzna w średnim wieku pracujący jako strażnik, siedł wyłożonym drogimi dywanami korytarzem w kierunku swojej ulubionej sali, mieszczącej się na samym szczycie gigantycznego wieżowca zakładów rafineryjnych, górującego nad czarną tonią Tamizy. Mieścił się lam największy stół konferencyjny, jaki kiedykolwiek widział, - a widział ich wiele, pracując jako strażnik w różnych firmach. Stół był wykonany z najgrubszego dębu i podobno kosztował ponad sześć tysięcy funtów. Podczas konferencji zasiadało przy nim zwykle sześć do dziesięciu osób, i to zupełnie swobodnie. Otworzył ciężkie, sięgające sufitu drzwi i wszedł do środka, zapalając światło.

Idąc wzdłuż stołu, zatrzymał się za wspaniałym krzesłem obitym skórą, w którym zasiadał przewodniczący. Teraz zasiadł w nim on, zdjął buty i położył nogi na stole. Zapadł w

drzemkę. Śniło mu się, że prowadzi rozmowy handlowe i że bierze udział w rozgrywkach personalnych między członkami zarządu firmy.

Gdy obudził się, zdjął nogi ze stołu, założył buty i podszedł do wielkich okien, skąd rozpościerał się widok na południowe dzielnice Londynu. Ten widok nappełniał go zawsze podziwem dla tej gigantycznej metropolii.

Ale tym razem widok był zupełnie inny. Ujrzał na niebie pomarańczowy blask i aż wstrzymał oddech, gdy zdał sobie sprawę, co jest jego przyczyną. Spozrzegł rząd ogni w całej południowej stronie miasta. Gigantyczne ogniska paliły się w regularnych odstępach, a ich czerwone płomienie sprawiały wstrząsające wrażenie. Na chwilę wrócił pamięcią do odległych czasów wojny, ataków z powietrza na Londyn i pożarów spowodowanych przez nieprzyjacielskie bomby.

Wkrótce jednak czerwień płomieni zaczęła tracić swą jaskrawość, jak gdyby ktoś je po kolei zakrywał jakimś półprzezroczystym materiałem, pozostawiając jedynie przebijającą się czerwień żaru.

Wydawało mu się, że gdzieś z daleka dochodzi głos z megafonu, ale padające słowa były bardzo niewyraźne, a poza tym był zbyt zafascynowany zagadkowym widokiem z okna, by wsłuchiwać się w komunikat.

Stał i obserwował nadchodzącą mgłę, która sunąc do przodu, przesłaniała wszystkie światła. Ogarniała miasto kawałek po kawałku, aż w końcu dotarła do rzeki.

I wtedy rzeka nagle zniknęła, a mgła uderzyła w olbrzymią szybę tuż przed nim.

Dawn MacLellan, przyjaciel Holmana z Ministerstwa Ochrony Środowiska, patrzył na mgłę z okna swojej sypialni. Oczy miał podkrążone z niewyspania. Dobrze wiedział, że była to właśnie ta mgła. Świadczył o tym jej żółty odcień. Spodziewał się tego. W krytycznych momentach nigdy nie wierzył swojemu rządowi i spodziewał się, że teraz też będą kłamać.

Zdawał sobie sprawę z grożącego niebezpieczeństwa Jępiej niż większość ludzi, gdyż dzięki Holmanowi i nieżyjącemu już Spiersowi był bardziej wtajemniczony w dziwne wydarzenia ostatnich dni. Wielu ludzi nie wiedziało jeszcze, że to nie mgła zabijała, ale szaleństwo, które powodowała.

Odwrócił się, by spojrzeć na żonę, która nieświadoma niczego, spała spokojnie pod kołdrą. Na myśl o dzieciach, śpiących w pokoju obok, zaczął płakać z rozpacz i bezsilności. Czy naprawdę po jakimś czasie zacznie w ich mózgu działać pasożyt i spowoduje ich obłąd? Czy będzie musiał odebrać życie swej rodzinie? Zacisnął pięści. Musi być. Przecież jakiś sposób, by ich ocalić.

Usiadł na brzegu łóżka, starając się nie obudzić żony, i próbował się uspokoić. Musi być jakieś wyjście! Czy ma ich związać, a może zamknąć w pokoju? A co zrobić z sobą samym? Co może ich ochronić przed nim samym? Czy uda mu się znaleźć jakiś sposób, by sami dla siebie nie stanowili niebezpieczeństwa, a potem wyjść i zgubić się we mgle, co byłoby najlepszym rozwiązaniem? Nie, nie może ich zostawić, to byłaby dezercja. Musi coś wymyślić, i to szybko. Bóg jeden wie, jak szybko zadziała zarazek. W przypadku Spiera trwało to dzień, u Holmana uaktywnił się natychmiast.

W końcu znalazł rozwiązanie. Nie było wprawdzie idealne, ale mogło im dać trochę czasu. Być może mogło dać także trochę czasu władzom, by podjęły jakąś akcję ratowania ludzi.

Poszedł do pokoju córki, wziął z półki małą czarną tablicę, po czym ostrożnie zamknął za sobą drzwi, nie chcąc jej obudzić. Zszedł na dół, usiadł na najniższym schodku i napisał na tabliczce drukowanymi literami kilka słów. Otworzył drzwi wejściowe i położył ją na schodkach, modląc się gorąco, by spełniła swoje zadanie. Potem wrócił na górę, poszedł do łazienki i z górnej półki apteczki zdjął fiolkę z tabletkami nasennymi. Zażywała je często jego żona, by uspokoić się po trudach związanych z wychowaniem trójki rozbrykanych dzieci. Napelił wodą szklankę i wrócił do sypialni córki.

Uniósł ją do pozycji siedzącej. Rozbudzona, próbowała protestować, ale nie zwracał na to uwagi. Zmusił ją do połknięcia pięciu tabletek, ucałował w czoło, położył i otulił kołderką, po czym uczynił to samo w stosunku do swych dwóch synów w pokoju obok. Paul marudził trochę, ale gdy usłyszał, że dostanie jakiś atrakcyjny prezent, połknął tabletki bez większych protestów. Teraz czekało go najtrudniejsze zadanie. Musi obudzić Joan, swoją żonę, i wyjaśnić, dlaczego to wszystko robi. Czy wydaje mu się, czy też rzeczywiście czuje zbliżający się ból głowy?

Joan wybuchnęła płaczem i z początku za nic nie chciała wziąć tabletek, ale po długich perswazjach i prośbach zgodziła się. Nie wiedząc, jaka jest dawka śmiertelna, sam zażył osiem pastylek. Miał jednak pewność, że liczba tabletek, jaką podał swojej rodzinie i sobie, nie była zbyt niebezpieczna. W każdym razie okoliczności zmuszały go do podjęcia ryzyka.

Powrócił do łóżka i przytulił żonę, która nadal nie mogła opanovać płaczu. Leżąc czekali na sen.

Irma Bidmead zawsze wstawała wcześniej. Kiedy się ma siedemdziesiąt trzy lata, szkoda tracić czas na spanie, A poza tym trzeba było nakarmić koty.

Miała ich aż trzynaście - same przybłądy, które zaadoptowała. A raczej to one ją zaadoptowały. Bardzo często wychodziła późną nocą na ulice z torebką pełną smakołyków i odpadków dla kotów, które odwiedzała w bocznych uliczkach Kenningtonu. Koty ją znały i bez trudu rozpoznawały jej filigranową postać ubraną w łachmany i jej syczenie, którym je nawoływała, idąc ciemnymi uliczkami. Szły za nią dopóty, dopóki nie uznała, że zebrało się ich wystarczająco dużo. Wtedy zatrzymywała się i rzucała im odpadki i kocie smakołyki, przemawiając do nich z czułością i wytykając im łakomstwo. Śmiała się, że są pierwsze do jedzenia.

Co kilka miesięcy w umówionym miejscu stawała półciężarówka, na którą ładowano około tuzina kotów i zabierano je do jednego ze szpitali w południowej części Londynu. Kierowca samochodu, z którym miała umowę, brał dla siebie większą część pieniędzy płaconych za zwierzęta przez szpital, ale i jej dostawało się przy okazji trochę grosza. Sprzedaż zwierząt do badań naukowych zawsze stanowiła dochodowe zajęcie, mimo że Królewskie Towarzystwo do Zwalczenia Okrucieństwa na Zwierzętach miało szerokie poparcie dla swojej kampanii prowadzonej przeciwko temu procederowi. Ale ponieważ badania były potrzebne, z czego władze zdawały sobie dobrze sprawę, przymykano oczy na to zjawisko.

A pieniądze, które w ten sposób zarabiała, przeznaczala na utrzymanie własnych kotów. Bo kochała swoje koty.

Irmie nie przeszkadzał zapach, jaki wydostawał się z pokoju po otwarciu drzwi. Po całych latach wspólnego zamieszkiwania z kotami ich zapach stał się dla niej swojski, a to, że trzymała w jednym pokoju trzynaście kotów, nie miał najmniejszego wpływu na jej niewrażliwe już powonienie.

- Halo, kochane kotki! - zawołała na powitanie, pewna, że jak to się działo każdego ranka - zaraz do niej przybiegną i zaczną trącać nosami o szlafrok, w którym kładła się do łóżka. Ale tego dnia koty zachowywały się powściągliwie, nie poruszały się, nawet nie miauczały.

Zaniepokojona, nie zauważyła żółtawej mgły, która przedostała się do pokoju przez szparkę w lekko uchylonym oknie.

- No, co się dzisiaj z wami dzieje?! - zawołała z rosnącą irytacją. - Popisujecie się, czy co? Dobrze, same się nakarmicie!

Opuściła niezadowolona pokój i udała się do kuchni, gdzie ze zlewu wyjęła dwa twarde i smaczne śledzie. Mrucząc coś do siebie, poczłapała z powrotem do kociego pokoju i rzuciła je na środek.

- Ee, eee - krzyknęła - nie udławcie się, i tak macie szczęście, że coś dostałyście! - Wróciła do swojego pokoju i położyła się z powrotem do łóżka, odsuwając z nagrzanego miejsca smacznie chrapiącą kotkę, z którą zawsze spała. Ta zasyczała niezadowolona, ale zaraz się uspokoiła. Irma krzyknęła do pozostałych kotów: - Nie przychodźcie tylko do mnie, jak skończycie swego śledzia! Nic nie chcę wiedzieć, głowa mnie boli! - Po chwili, zakrywając się pod szyję kołdrą, powiedziała do siebie: - Co za niewdzięczne bydłęta! Powinnam je wszystkie oddać do szpitala, tak! Oprócz ciebie, Mogs. Kochasz swoją starą panią, no nie? - Obróciła głowę, uśmiechając się do leżącej obok kotki, która mruczała zadowolona. - Grzeczna z ciebie kotka, nie tak jak tamte. Chciałyby tylko jeść. Och, moja głowa. Ale mnie dzisiaj boli! - Zamknęła oczy, chcąc zapomnieć o bólu.

Koty zignorowały śledzie i kiedy Irma już zasypiała, ci-chutko przybiegły ze swego pokoju do sypialni swojej pani i położyły się wokół łóżka.

Nadinspektor Wreford zbiegł po schodach i wszedł do kuchni. Ziewając nalał wody do elektrycznego czajnika i włączył przewód do gniazdka. Boże, ależ był zmęczony! Przeprowadził dodatkowo wiele godzin z powodu tej przekłętej mgły i dopiero ostatnią noc miał wolną. Wyglądało na to, że jest już po wszystkim i że będzie mógł wyjechać na parę dni. Gratulował sobie, że dobrze rozegrał sprawę tego Holmana. Równie dobrze przecież mógł potraktować faceta jak jakiegoś wariata, ale doświadczenie podpowiedziało mu, aby nie lekceważyć żadnych ostrzeżeń. Postąpił dobrze. Nie wszczął oficjalnego śledztwa, przynajmniej zanim się nie upewnił, że cała ta historia jest prawdziwa. Wtedy natychmiast przystąpił do działania i sobie przypisywał zasługę jego rozpoczęcia, i to jeszcze przed tą straszną tragedią, jaka rozegrała się w Bour-nemouth.

- Założę się, że Barrowa zatkało - powiedział do siebie, uśmiechając się. Wyrzucił do zlewu starą herbatę z czajniczka.

- Ten chłopak jest trochę za ambitny, tylko czyha, żeby mi się powinęła noga!

Czekał, aż się zagotuje woda. Jedną rękę trzymał na czajniku, w drugiej miał czajniczek do parzenia. Uśmiechnął się do ściany przed nim. - Mimo wszystko ten chłopak nie jest taki zły. Może czasem zbyt brutalny, ale złagodnieje, jak nabierze doświadczenia. Taki, jaki jest teraz, jest użyteczny. - Gwizdek czajnika przerwał jego rozmyślenia. Zalał wrzątkiem herbatę w czajniczku i jednocześnie wyjął przewód z gniazdka.

Podszedł do drzwi wejściowych, by zabrać z dworu mleko i przy okazji odetchnąć świeżym powietrzem. Robił tak już od wielu lat. Mawiał swej żonie, że jest to jedyna pora dnia, w której mieszkaniowiec Londynu może pełną piersią odetchnąć czystym powietrzem. Dlatego też codziennie rano o siódmej trzydzieści stawał przed domem na schodkach i przez pięć minut zaciągał się głęboko powietrzem. Kiedy wracał do kuchni, herbata była już zaparzona.

Detektyw Barrow spał. Miał za sobą ciężki tydzień, a dzisiaj po raz pierwszy dostał wolne. Odgrywanie roli pielęgniarki Holmana wcale mu nie odpowiadało. Podczas takiego kryzysu jak ten mógł mieć coś lepszego do roboty, by się sprawdzić i wykazać. Przecież to on pierwszy przyprowadził Holmana. Ten człowiek denerwował go. To prawda, że z początku potraktował go dosyć szorstko, ale jak tylko zdał sobie sprawę, że robi źle, starał się to przecież naprawić. Od momentu, w którym zlecono mu ochronę Holmana, jako jego goryl martwił się o niego i próbował nawiązać z nim bardziej przyjacielskie stosunki. Holman przez to, że był uodporniony na wirusa, stał się bardzo ważnym człowiekiem i gdyby przydarzyło mu się cokolwiek, to on ponosiłby za to odpowiedzialność. Ale Holman nie chciał jego przyjaźni, trzymał go na dystans, niechętny do wybaczenia mu jego poprzedniego postępowania.

Nie ma to już jednak prawdopodobnie żadnego znaczenia.

Strach minął. Straty były ogromne, ale teraz sytuacja została już opanowana, tak przynajmniej powiedziano.

Ostatniej nocy nękały go rozmaite myśli, co niewątpliwie było oznaką przemęczenia. Toteż z ulgą położył się spać, przynajmniej ten raz bez dziewczyny. Był zbyt zmęczony nawet na to.

Samson King próbował odnaleźć we mgle właściwą drogę. Mieszkał w Londynie od ukończenia piętnastego roku życia, ale takiej mgły jak ta jeszcze nie widział. Dobrze, że nie mieszkał za daleko od zajezdni autobusowej, bo inaczej nigdy by chyba do niej nie trafił. Na razie nie był jednak pewien, czy posuwa się we właściwym kierunku. Nie tęsknił za słońcem Jamajki tak bardzo jak rodzice; ledwie pamiętał tamte gorące plaże i zieloną toń morza, co oni tak często wspominali. Nie, on już się przyzwyczył do tutejszego mokrego lata i nie znosi nawet kilku dni upału, jaki czasem nawiedza ten kraj.

Na pewno nie będą oczekiwać ode mnie, żebym wyjechał w taką pogodę na miasto. Bernice nie chciała go nawet wypuścić do pracy, ale nie zamierzał psuć sobie opinii. Nie miał ochoty stracić pracy, co mu się już wiele razy przydarzyło. Odpowiadała mu robota za kierownicą tego wielkiego czerwonego potwora i to, że sam za wszystko odpowiada i że może z góry spoglądać na inne pojazdy na ulicy, i że się wszyscy boją jego autobusu.

Gdzie się znajduje? - Co za zaszra pogodą - zaklął głośno, najwyraźniej odczuwając potrzebę usłyszenia własnego głosu. Idąc w mgle, nie spotkał do tej pory nikogo; miał wrażenie, że jest jakimś duchem wędrującym przez głuchą pustkę, a nie człowiekiem z krwi i kości.

Zajezdnia powinna już być po drugiej stronie ulicy. Pamiętał, że mieści się około pięćdziesięciu metrów na prawo od pasów, przed którymi się teraz zatrzymał. To przejście często pomagało mu w wyprowadzeniu autobusu na jezdnię, bo wszystkie samochody musiały się zatrzymać, by przepuścić ludzi.

Zaczął przechodzić na drugą stronę, zwracając uwagę, czy nic nie nadjeżdża. Białe i czarne pasy wskazywały mu kierunek na drugą stronę. Bolała go głowa; sądził, że to dlatego, iż tak wyteża wzrok, wypatrując we mgle drogi i znajomych miejsc, które posłużyłyby mu za drogowskaz. Przynajmniej ulice powinny być dziś puste. Zachichotał i nie wiedząc dlaczego, chichotał jeszcze wtedy, gdy dotarł na przeciwległy chodnik. Skręcił w prawo, trzymając się blisko sklepów po lewej stronie, aby nie zabłądzić.

Wkrótce dotarł do zajezdni i wciąż chichocząc przeszedł przez bramę. Nie zastanawiał się, dlaczego zajezdnia jest pusta, dlaczego nie ma dyspozytora, który wypuszcza autobusy, dlaczego nie widać przygotowujących się do powrotu do domu sprzątaczek i dlaczego nie czeka na niego nikt z jego załogi. Nie zadawał sobie po prostu takich pytań.

Wsiadł do swojego wozu, ciągle się uśmiechając i od czasu do czasu chichocząc. Zapalił silnik, po czym ruszył powoli do przodu i wyjechał z zajezdni.

Budząc się, mieszkańcy Londynu ujrzeli, że ich domy otacza żółtoszara mgła. Niektórzy wiedzieli, co to oznacza, inni nie. Wielu było już zbyt obłąkanych, by się o to martwić. W nocy uciekło tysiące ludzi, ale tylko dzięki temu, że usłyszeli ostrzeżenia nadawane przez megafony i przez radio. Ci z kolei powiadomili krewnych, przyjaciół i ukochanych - czy to przez telefon (na którym jednak nie można już było polegać z powodu panującego chaosu), czy to osobiście.

Ale było to olbrzymie miasto i tych kilka tysięcy ludzi, którzy zdążyli uciec, stanowiło jedynie małą częśćkę milionów, które nie usłyszały żadnego ostrzeżenia. Zapalono olbrzymie ogniska, ale mgła przeszła tuż ponad nimi, wznosząc się od podmuchu gorąca i opuszczając się zaraz, gdy je minęła.

Panika poprzedniej nocy była niczym w porównaniu z kaktlizmem, który miał nastąpić nazajutrz.

Rozdział dziewiętnasty

Holman ostrożnie prowadził Wehikuł Zagłady po rampie w górę; wjechał w mgłę, powoli oddalając się od gigantycznego podziemnego schronu. Obok niego w fotelu, patrząc w skupieniu przez ciężko zbrojone ołowiem małe okienko, siedział mężczyzna o nazwisku Mason, gruby i bezkształtny z powodu założonego kombinezonu.

- Nie jest już tak gęsta jak przedtem - stwierdził Holman, spoglądając wciąż przed siebie.

- Prawdopodobnie osiadła w Londynie, a teraz tylko się rozrzedza - odparł Mason.

Holman skinął głową: to było logiczne. Londyn leżał w miskowatym zagłębieniu otoczonym wzgórzami. Mgła mogła w nie wpłynąć i osiąść na dnie, a potem rozejść się po całym mieście. Jeśli nie będzie silnego wiatru, przypuszczalnie przejdzie wzdłuż Tamizy dalej na wschód, na płaską krainę Essexu.

- W lewo wzdłuż Embankment - rzucił Mason, sprawdzając wskaźniki na konsoli przed sobą. - Jeśli pojedziemy drogą do City, to zaprowadzi nas ona do mykoplazmy.

Holman skręcił w lewo, orientując się jedynie według chodnika. Mógł teraz dostrzec chodnik po przeciwnej stronie jezdni, co było niemożliwe jeszcze rano, w drodze do tajnego schronu. Wzdrygnął się na wspomnienie niesamowitej podróży pogrążonymi we mgle ulicami.

Gdy wraz z Casey, patrzył na mgłę, zaszokowany i przerażony, gdy czuli oboje, jak ogarniają ich macki rozpaczy, rozległo się długie, natarczywe dzwonienie telefonu. Wyrwało ich z hipnotyzującego uroku mgły, jak gdyby ten dzwonek był czymś w rodzaju liny ratunkowej czy przynajmniej trzciny, której można się uchwycić.

Był to Douglas-Glyne, podsekretarz obrony. Mówiąc szybko i nie dopuszczając Holmana do głosu, przekazał mu swoje polecenia. Kazał mu dotrzeć do mostu Westminsterского i tam wsiąść w czekający na niego pojazd przypominający - jak powiedział - wojskowego skota, tyle że ten wóz był większy, cięższy i wyposażony w rozmaite anteny.

Stamtąd zostanie przewieziony do tajnego miejsca zebrań. Na razie nie mógł mu podać bliższych informacji. Nakazał unikać wplątywania się w jakiegokolwiek wypadki, które spotka po drodze: jego najważniejszym zadaniem jest bezpieczne dotarcie do umówionego miejsca tak szybko, jak to tylko możliwe. Ma przede wszystkim chronić siebie, nawet gdyby to oznaczało, że musi kogoś zabić lub zranić. Życie jednego człowieka czy dwóch ludzi nie przedstawia żadnej wartości w sytuacji, w której on może uratować życie milionów, pod warunkiem, że nie przydarzy mu się nic złego. Dziewczyna ma zostać tam, gdzie jest teraz: ryzyko byłoby zbyt wielkie, gdyby razem przedzierali się przez miasto. Gdyby cokolwiek mu się przytrafiło, to znajdą sposób, by dotrzeć wtedy do niej. Mogliby wysłać po niego, swój „pojazd specjalny”, ale trwałoby to godziny, bo wóz ma ograniczoną widoczność i poruszałyby się we mgle dosłownie na ślepo. Jeżeli Holman nie dotrze na miejsce, będą musieli użyć tego sposobu, by zabrać dziewczynę.

Telefon zamilkł, jak tylko Holman powiedział do słuchawki, że wszystko zrozumiał i że wykona polecenia. Szybko się ubierając, opowiedział Casey, co się stało, starając się, by jego głos brzmiał spokojnie i pewnie. Nie płakała ani też nie protestowała, wiedząc, że w obecnej sytuacji nie mogą sami decydować o swoich poczynaniach, nie mogą kierować swoim przeznaczeniem, muszą działać tak, jak dyktują im

wydarzenia. Rozkazał jej zaryglować za nim drzwi i zamknąć się w sypialni. Nie tracili czasu na długie pożegnania - pokusa zamknięcia się w domu, z dala od świata i jego szaleństwa była bowiem zbyt silna: wystarczyłby najmniejszy gest z jego czy jej strony, aby jej ulegli. Zamiast tego pocałowali się, po czym - nie mówiąc ani słowa - Holman wyszedł.

Na parter wszedł po schodach, nie mając na tyle odwagi, by skorzystać z windy, na której w tej chwili nie można było zbyt polegać. Gdy stanął na ulicy, koszmar nabrał nowego wymiaru.

Najbardziej przerażające było uczucie pustki. Całkowitej pustki. Nic nie było materialne, nic nie było do końca prawdziwe. Szedł blisko murów; bał się na kogokolwiek natknąć, ale z drugiej strony pragnął spotkać kogoś należącego do tego samego gatunku, kogoś z krwi i kości. Doszedł go dziwny zawodzący głos. To musi być głos człowieka, pomyślał. Usłyszał przejeżdżający obok samochód - jechał szybko, zniknął gdzieś w dali, przez chwilę było go jeszcze słychać, a potem nastąpiła cisza. Nagle dobiegł go wrzask, wrzask kobiety, a później histeryczny chichot. Chichot szaleńca. Ale to wszystko było tak dalekie i nierealne jak udawane stukania w jarmarcznej budzie strachów.

Dziękował Bogu, że było wcześniej rano i że większość ludzi albo jeszcze spała, albo się właśnie budziła. Oczyma wyobraźni widział już obraz domu wariatów, w jaki Londyn zamieni się za parę godzin. Przyśpieszył kroku; prawie biegł. Zgadł, jakie czeka go zadanie, ale w pewien niewytłumaczalny sposób ucieszył się teraz z tego. Będzie to przynajmniej jakieś konkretne działanie, a nie tylko błąkanie się we mgle w oczekiwaniu, by coś się zdarzyło. I znowu znajduje się wśród ludzi, prawdopodobnie normalnych ludzi. Dzięki Bogu, że Casey została uodporniona na tę chorobę. A jeżeli plan się nie powiedzie - ciekawe, co też wymyślili - wróci do niej i zabierze ją gdzieś daleko stąd. Do diabła z nimi; to oni nawarzyli tego piwa, niech się teraz sami o to martwią. On

zrobił już wystarczająco dużo.

Zbyt późno, niestety, dostrzegł przed sobą jakiś cień. Zderzyli się, a siła uderzenia powaliła tamtego mężczyznę na ziemię. Nie zastanawiając się Holman nachylił się, by pomóc mu wstać. Mężczyzna podźwignął się, przytrzymując się go, ale dopiero gdy ich twarze znalazły się nie dalej niż trzydziści centymetrów od siebie, Holman spostrzegł, że tamten dziwnie się uśmiecha. Szarpnął się do tyłu, lecz osobnik przywarł do niego, wydając z szeroko uśmiechniętych ust basowy, warkliwy chichot. Holman spróbował go odepchnąć, ale mężczyzna objął go ramieniem za szyję i pochylił mu głowę. Holman wyprowadził rozpaczliwy cios, a chichot szaleńca przeszedł we wściekłe warczenie, kiedy odwdzieczył się mu dzikim kopnięciem w kostkę nogi. Holman zanurkował do przodu, wyzwalając się z silnego chwytu, i wtedy przyłożył otwartą dłoń do podbródka napastnika, i zaczął pchać go do tyłu, i jeszcze do tyłu, coraz szybciej, nie zatrzymując się, aż tył głowy mężczyzny zderzył się z murowaną ścianą. Rozległ się głośny trzask i człowiek osunął się na kolana, łapiąc się jedną ręką za potylicę; wydawał teraz z siebie żałośnie zawodzący szloch. Drugą ręką zaczął po omacku szukać nogi Holmana, ale ten cofnął się poza zasięg jego rąk, po czym odwrócił się i zaczął uciekać. Gdy się wreszcie zatrzymał, stwierdził, że nic wokół siebie nie widzi. Nie widział nic ani po lewej, ani po prawej stronie. Ruszył szybkim krokiem, przygotowany na najmniejszy sygnał o niebezpieczeństwie. Miał nadzieję, że posuwa się we właściwym kierunku. Z lewej strony dobiegł go jakiś długi, przesywający uszy krzyk, po którym nastąpiło głośne plaśnięcie. Coś mokrego bryznęło mu na twarz. Szybko przesunął po niej ręką i gdy spojrzął na palce, stwierdził, że są całe we krwi. Rękawem wytarł energicznie policzki, wzdrygając się na myśl, co się stało. Ktoś, mężczyzna albo kobieta, wyskoczył z okna i gdy ciało uderzyło o ziemię, krew rozprysnęła się na wszystkie strony.

Przyśpieszył kroku. Im więcej czasu zabierze mu dojście do Westminsteru, tym więcej ludzi spotka na ulicy. Powinien

iść jeszcze szybciej. A może wziąć jakiś samochód? Byłoby to ryzykowne, jechałby dosłownie nic nie widząc, ale może warto spróbować. Usłyszał śpiew, niezbyt odległy i coraz bardziej się zbliżający. Był to głos mężczyzny, donośny i czysty. I szczęśliwy. Holman ujrzał ciemny kształt, który stał się wyraźny: był to jakiś mężczyzna jadący na rowerze. Pedalował powoli, jadąc od krawężnika do krawężnika, i śpiewał, nie zwracając na nic uwagi. Spozrzegł Holmana i zrobił wokół niego małe kółko; uśmiechał się i śpiewał, nie spuszczając z niego oczu. Oczywiście te nie były wyzywające ani wrogie. Po prostu pogodne.

Gdy rowerzysta robił drugie kółko, Holman zastanawiał się, czy nie zabrać mu roweru, ale odrzucił ten pomysł, obawiając się, że mogłoby to okazać się bardziej niebezpieczne niż pójście dalej na piechotę. Machnąwszy mu ręką mężczyzna zniknął we mgle, a Holman słuchał jeszcze przez chwilę jego głosu, a gdy i ten rozpląnął się w dali, poczuł się jeszcze bardziej samotny.

Odwrócił się gwałtownie na dźwięk biegnących nie opodal kroków, lecz nie dostrzegł nic oprócz niewyraźnego kształtu jakiejś postaci. Zrozumiał, że dłużej nie wytrzyma. Nerwy miał napięte, a przed sobą jeszcze daleką drogę. Idąc w takim tempie dotrze do Westminsteru dopiero za kilka godzin, a w tym czasie na ulicach pojawią się już tłumy. Musi zdobyć jakiś samochód; nie będzie z tym wielkiego kłopotu, tym bardziej że wie, jak zapalić silnik bez kluczyka. Orientując się według krawężnika, ruszył dalej. Powinien za chwilę natknąć się na jakiś zaparkowany samochód.

Minął kobietę ze zwyczajną domową miotłą w rękę, zagarniającą brud i śmiecie do ścieku ulicznego i przeklinającą przy tym na czym świat stoi.

Minął ciało leżące w poprzek drogi. Nie zatrzymał się, aby sprawdzić, czy to mężczyzna, czy kobieta i czy jeszcze żyje.

Minął psa zjadającego padlinę innego. Pies zadarł łeb do góry i zawarczał ostrzegawczo. Ślina zmieszana z krwią kapłała mu z pyska. Nie atakował, ale obserwował z napięciem Holmana, dopóki ten nie zniknął we mgle.

Holman oddychał coraz szybciej, nerwowo. Nie był już pewien, czy jest to spowodowane zanieczyszczonym powietrzem, czy też psychicznym napięciem. Musi znaleźć samochód, i to zaraz.

Wtedy dostrzegł przed sobą łagodne światło. W miarę jak się ku niemu zbliżał, stawało się coraz silniejsze. Z początku myślał, że to blask ognia, potem, że wystawa sklepowa, lecz gdy podszedł jeszcze bliżej, zdał sobie sprawę, co było jego źródłem. Znalazł sposób, jak przemierzyć Londyn szybko i o wiele bezpieczniej. Wiedział, że także będzie się bał, ale na pewno nie aż tak bardzo, jak gdyby jechał przez miasto samochodem. Puścił się biegiem.

Ponad dwie godziny później Holman wynurzył się ze stacji metra na Trafalgar Square. Ręce i twarz miał czarne od brudu, w rękę nadal trzymał ledwie żarzącą się już latarkę. Przeszedł ciemnymi tunelami bez przeszkód. Stacja St. John's Wood była całkowicie wyludniona, chociaż wszystkie światła wciąż się paliły. Holman doszedł do wniosku, że stację tę opuszczono w nocy i nikt nie pamiętał o zamknięciu bram i zgaszeniu światel. Drzwi z napisem: „Obcym wstęp wzbroniony” były otwarte. Wszedł do środka i znalazł ciężką służbową latarkę. Schodząc na peron, zastanawiał się, czy wyłączono napięcie, ale nie mógł tego sprawdzić. Postanowił trzymać się z dala od trakcji, ale na pewno byłby spokojniejszy wiedząc, że nie grozi mu porażenie prądem.

Na szczęście w tunelach paliły się pojedyncze słabe lampy, umożliwiające pracę nocnym służbom komunikacyjnym i ekipom konserwatorów, ale na dalszych odcinkach panowała zupełna ciemność. Spostrzegł, że mgła - choć już nie tak gęsta - opanowała całą stację, a jej skrawki dostały się nawet do dolnych peronów. W pewnej chwili z równoległe biegnącego tunelu doszły go stłumione głosy. Przyczał się w ciemności, dopóki nie oddaliły się. Najbardziej bał się, że nagle pojawi się w tunelu pociąg pędzący w jego stronę. W żaden sposób

nie mógł pozbyć się tej myśli. Męczyło go to bardziej niż spotkanie z czarnymi, pędzącymi w popłochu szczurami.

Ale udało się! Z ogromną radością ponownie powitał światło dnia, pomimo że było zamglone. Czuł się lekko i swobodnie. Wydawało mu się, że mgła nie jest tak gęsta, ale nie miał co do tego pewności. Mogło to być równie dobrze złudzenie po wynurzeniu się z ciemnego tunelu - kontrast pomiędzy czernią mroku tunelu a szarością mgły mógł zmylić zmysł wzroku.

Zatrzymał się na chwilę, by zorientować się, gdzie jest. Zgasił latarkę i położył ją na ziemi. Wtem z prawej strony usłyszał zagadkowy dźwięk, dochodzący przez mgłę. Ciągły i monotony, przypominał gruchanie gołębi. Wzbudzał przerażenie. Czyżby to były gołębie z Trafalgar Square, na którym zawsze przebywają tysiącami? Czy i one padły ofiarą mgły? Ich gulgot, dziwny, hipnotyzujący, zaintrygował go. Ignorując otrzymane polecenie, by nie pakować się w żadne kłopoty, ruszył w kierunku, z którego dochodziło gruchanie. Kątem oka patrzył, czy ktoś nie wylania się z mgły. Przekroczył szeroką ulicę i wszedł na plac. Zatrzymał się, próbując cokolwiek dojrzeć w gęstej mgle.

Zobaczył przed sobą same gołębie. Ich gigantyczna liczba sprawiała, że tworzyły gruby szary dywan znikający we mgle. Ale odniósł wrażenie, że zajmują dosłownie cały plac. Od czasu do czasu jeden z ptaków próbował wzlecieć trochę w powietrze, ale po chwili opadał, siadał na innych i usiłował wcisnąć się między pozostałe. Gołębie zbiły się w stado, ale nie wyglądało na to, by się bały. Nie spostrzegł u nich żadnej nerwowości czy też gwałtownych poruszeń. Jedynie kilka ptaków, które straciły swoje miejsce, walczyło, by je odzyskać. Przez cały czas rozlegało się w powietrzu basowe gardłowe gruchanie. Brzmiało groźnie i zatrważająco. Nagle Holman zobaczył, że spomiędzy gołębi wylaniają się wysokie, cieniste, upiorne postacie, prawie nieruchome, nie wydające żadnego głosu, zupełnie nieludzkie.

Cofnął się. Coś się stanie. Czuł to. Nie spuszczał oka z ptaków tak długo, aż zakrył je drugi wróg - mgła. Dopiero wtedy odwrócił się i zaczął iść szybkim krokiem. Zdawał sobie sprawę, że nagły ruch któregośkolwiek z ludzi stojących wśród ptaków - a musiało ich być jeszcze wielu oprócz tych pięciu, których widział - wystarczy, by poderwać je z ziemi. Nie był pewien, czy zaatakowałyby, ale przecucie podpowiadało mu, żeby uciec. Prawie namacalnie czuł, że jakieś niebezpieczeństwo wisi w powietrzu.

Mając nadzieję, że posuwa się w dobrym kierunku, przyspieszył kroku. Fakt, że znalazł się jakby na ziemi niczyjej i że nie mógł orientować się według chodników czy też budynków, zaniepokoił go jeszcze bardziej. Jeśli nie zawiódł go zmysł orientacji, to Whitehall powinna być przed nim, Strand po lewej, a Mail zaraz na prawo. Był na skrzyżowaniu tych trzech ulic.

Usłyszał nadjeżdżający samochód, jeszcze zanim go zobaczył. Silnik wył na najwyższych obrotach, opony piszczały, dzięki czemu został w porę ostrzeżony o zbliżaniu się pojazdu. Nie ruszając się nasłuchiwał w napięciu, starając się odgadnąć, w którym miejscu ukaże się samochód. Dźwięki dochodziły ze Strandu, lecz słyszał je raz z prawej, raz z lewej. Pisk opon wskazywał na to, że kierowca pędzi jakimś zwiariowanym zygzakiem od jednej do drugiej strony jezdni. W końcu pojawił się około dwudziestu metrów przed nim, mknąc przez mgłę jak diabeł.

Zaskoczony, zesztyniał. I chociaż był przygotowany na to, że samochód wyłoni się z mgły, to jednak tak nagle jego pojawienie się sparaliżowało go. Głęboko zakorzeniony instynkt przetrwania nie zawiódł go - zdążył uskoczyć w momencie, gdy czerwony sportowy samochód przemknął obok. Otarł się o jego nogę, wskutek czego Holman koziółkując przewrócił się na jezdnię. Zdążył jeszcze zobaczyć kierowcę: był to mężczyzna w średnim wieku, nagi - przynajmniej od pasa w górę - gruby i śmiejący się szaleńczym śmiechem. Obok siedziała kobieta, także naga, także w średnim wieku, także tłusta; piszczała i śmiała się głośno, jej wielkie piersi opierały się o przednią szybę.

Holman leżał na ulicy. Nic mu się nie stało, był jedynie ogłuszony. Patrzył, jak samochód ponownie znika we mgłę. Gdy uniósł się na jedno kolano, usłyszał długi przeraźliwy pisk opon, a zaraz potem potworny huk uderzenia, wskazujący na to, że pojazd uderzył w coś nieruchomego. Po chwili rozległ się trzepot tysięcy skrzydeł, a przenikliwe gruchanie wypełniło powietrze: to gołębie poderwały się wszystkie naraz, wzbijając się w mgłę. Krzyki ludzi mieszały się z krzykiem ptaków. Holman zrozumiał, że miał rację: gołębie ruszyły do ataku.

Podniósł się i podciągnął nogawkę, by zobaczyć, co z nogą. Skóra była cała, ale na pewno będzie siniak. Wiedząc o niebezpieczeństwie, które mu groziło, zaczął - lekko kuśtykając - uciekać. Był pewny, że gdyby znalazł go choć jeden gołąb, od razu przyleciałyby wszystkie pozostałe.

Dziękował Bogu, gdy trafił na chodnik; podziękował mu głośno jeszcze raz, gdy stwierdził, że jest na Whitehall. Dalsza droga do Westminster Bridge przebiegała jak sen wypełniony dziwnymi dźwiękami i wizjami ukazującymi mu się nagle i równie nagle znikającymi. Przypominał sobie później, że minęło go w biegu wielu ludzi, podążając w kierunku, z którego dochodziła wrzawa; że widział wielki pożar po prawej stronie (nie miał pojęcia, co to mógł być za dom, może jakiś sławny budynek), dwa samochody, które pędziły obok siebie, ścigając się i zderzając ze sobą bokami, grupę ludzi bijących się pod War Memorial. Gdy uciekał, nic go to wszystko nie obchodziło. Myślał tylko o jednym: jak znaleźć się w bezpiecznym miejscu. A takie miejsce znajdowało się tam, gdzie byli zdrowi psychicznie ludzie.

Wreszcie - tak mu się wydawało - odnalazł właściwą drogę. Most był tuż przed nim. Ale byli także przed nim obląkani apostołowie religii.

Gdy znalazł się między nimi, było już za późno na wycofanie się. Często spotykał ich w Londynie, ubranych w długie jasnożółte stroje, ostrzyżonych na łyso, monotonicznie śpiewających przy akompaniamencie uderzeń tambury na i poruszających się dziwnym tanecznym krokiem połączonym z podskokami. Musiał przyznać, że zawsze mu się podobali, bo byli tak młodzi i przejęci tym, co robili, a poza tym propagowali religię niewinności i szczęścia. Lecz tym razem ich widok wydawał mu się złowieszczy.

Siedzieli na ziemi, tworząc duże koło, w które niechętnie wszedł.

- Witaj, bracie! - Jeden z nich, ten, który stał w środku i dyrygował, otworzył szeroko ramiona w powitalnym geście. - Dzisiaj jest Początek! Przyłącz się do nas w modlitwie dziękczynnej.

Holman rozejrzał się dookoła niespokojnie; wszyscy pozostali powstali i zaczęli zbliżać się ku niemu tym swoim osobliwym krokiem z podskokami. W miarę jak podchodzili, zaciskali krąg wokół niego.

- Chodź, bracie. Dziś nadszedł czas! - Mężczyzna przed nim był oddalony zaledwie o pół metra. Holman był zaskoczony jego bardzo wysokim wzrostem, a jednocześnie przerażony. Apostoł niewinności położył swe potężne łapy na jego ramionach, podczas gdy reszta śpiewała coraz głośniejsze. Holman próbował się uwolnić, ale mężczyzna zaciskał chwyt. Potem pochylił się - jego spiczasty nos dotknął twarzy Holmana - i szepnął: - Jeżeli spróbujesz uciekać, skrucę ci ten twój parszywy kark.

Holmana bardziej przerażały słowa nawiedzzonego niż dłonie zaciskające się na jego ramionach.

- Na kolana, bracie! Ukorz się, abyś był zbawiony!

Holman próbował stawić opór, ale pozostali chwycili go za ramiona i powalili na ziemię. Upadł razem z mężczyzną. Obaj znaleźli się na kolanach, twarzą w twarz. Mężczyzna nie zwalniał zacisku. Holman spojrzał na niego i ujrzał ciemnobrunatne oczy, szkliste i okrutne; z ust sączyła się cienka strużka śliny. Przywódca sekty zagrzmiął donośnym głosem:

- Kocham cię, bracie! Kochamy cię! - A potem dodał szeptem: - Zabiję cię, ty śmierząca gnido.

Po czym uśmiechnął się do Holmana i schylając głowę ucałował go.

- Dzisiaj jest twój Nowy Początek. Abyś mógł się narodzić, musisz wpierym umrzeć - rzekł, gdy pozostali również się nachylali, by go ucałować. Teraz wszyscy byli na kolanach, otaczając obu mężczyzn pośrodku ze wszystkich stron.

- Słuchajcie, musicie mnie puścić - powiedział Holman, rozglądając się niespokojnie. - Jestem jedynym, który może coś działać przeciw mgle.

- Mgle, bracie? Nie ma żadnej mgły. To, co widzisz wokół, to Duch Człowieczy. Dziś jest Nowy Początek. Mgła to tylko Istnienie, dusze tych, którzy już rozpoczęli swoją podróż.

- Pozwólcie mi iść!

- Cisz! Most, przez który musisz przejść, jest krótki; krótkotrwały też będzie ból, który poczujesz. Jest on niczym w porównaniu z wiecznym szczęściem, którego po nim doświadczysz. - I znów usłyszał wypowiedziane szeptem słowa: - Będziesz dzisiaj piąty, ty draniu. Twój kark trzaśnie jak pieprzona zapalka. - Chwycił go za szyję, lecz zanim jego grube paluchy zdążyły się zacisnąć, Holman uderzył mężczyznę w podbrzusze. Jedynym efektem było to, że uśmiech przywódcy sekty przerodził się w grymas. Wstał, podnosząc ze sobą Holmana; trzymał go wciąż za szyję. Zaczął zaciskać palce. Nie mając innego wyboru, Holman udął, że się poddaje, i opadł na ziemię. A potem pchnął go z całej siły. Szczęśliwie dla niego, pozostali członkowie sekty nadal klęczeli dookoła nich. Pchnięcie odrzuciło ich przywódcę do tyłu. Cofając się potknął się o pochyloną głowę jednego ze swoich ludzi. Przewrócili się obaj, wywołując spore zamieszanie. Holman zdołał wyrwać się z uchwytu mężczyzny. Wyprowadził ponowny cios pięścią i tym razem z satysfakcją ujrzał krew ciekącą z nosa prześladowcy.

Długie szaty członków sekty utrudniały im ruchy, ale dało to przewagę Holmanowi. Zamiast wstać, przetoczył się nad ich przywódcą, wbijając ramieniem jego głowę mocno w chodnik. Nogą uderzył niechcący w pierś jednej z członkiń sekty i przewrócił ją do tyłu. Dzięki temu jednak zdobył miejsce, by wstać. Próbowali go chwycić, wrzeszczeli na niego, lecz on przedzierał się przez nich, wrywając się z rąk, które chciały go zatrzymać, i spychając z powrotem na ziemię tych, którzy usiłowali się podnieść. Zza pleców dochodził go ryk wysokiego mężczyzny. Przyśpieszył kroku. I wtedy, gdy sądził, że jest już bezpieczny, jakaś dłoń chwyciła go za kostkę. Przewrócił się na chodnik, uderzając głową w drzwi restauracji.

Wstał tak szybko, jak tylko mógł, ale mężczyzna, klnąc, zbliżał się już ku niemu, podnosząc nogi, by przejść przez leżących, jak gdyby przekraczał strumyk. Krew z nosa umazała mu twarz, czyniąc z niej czerwoną maskę, wykrzywioną wściekłością. Członkowie sekty próbowali się podnieść; jeden z nich wstał akurat wtedy, gdy zbliżał się przywódca. Ten pchnął go ze złością, aż upadł u stóp Holmana.

Holman oparł się plecami o dużą szybę restauracji. Przywarł do niej płasko dłońmi, by się odepchnąć. Olbrzym był tylko o kilka kroków od niego. Ramiona trzymał szeroko otwarte, by objąć go w śmiertelnym uścisku. Przerazony człowiek u stóp Holmana zaczął pełznąć na czworakach, lecz spojrzenie przywódcy sekty było tak skupione na Holmanie, że nawet tego nie dostrzegł. Gdy mężczyzna potknął się i przewrócił, Holman uskoczył w bok.

Usłyszał krzyk i brzęk rozbijanej szyby. Mężczyzna rąbnął łusą głową i górną częścią tułowia w szybę i zwałił się na ciastka i inne drogie wyroby cukiernicze leżące na wystawie. Szkło spadło jak gilotyna, tnąc szyję i plecy.

Kilka odprysków i odłamków szkła dosięgło Holmana, ale nie zrobiły mu większej krzywdy. Gdy to wszystko się działo, on już biegł. Tym razem znalazł we mgle swego sprzymierzeńca, który pozwolił mu się ukryć. Religijni fanatycy nie

dali jednak za wygraną i ścigali go, ściskając w rękach długie odłamki szkła. Nie zważając na to, co może się przed nim znajdować, Holman uciekał, poganiany wrzaskiem ludzi żądnych zemsty. Nie był jednak w stanie biec tak szybko, aby umknąć z pola widzenia swych prześladowców.

Wiedział, że most jest już blisko, i modlił się, by czekał tam na niego rządowy pojazd. Ledwie łapiąc oddech, dobiegł do skrzyżowania, gdzie droga odgałęziała się w kierunku Embankment. Boże, pomyślał nagle, po której stronie będzie na mnie czekał? Czy na tym rogu, niewidocznym jeszcze w mgłę, czy po drugiej stronie, za mostem? - Niewiele myśląc zbiegł z krawężnika na jezdnię, wierząc, że tak jest dobrze. Niezbyt podobała mu się perspektywa biegania dookoła w poszukiwaniu pojazdu, kiedy miał na karku bandę szaleńców.

Dobiegł do wysepki na środku jezdni i pędził dalej, ufając, że szczęście i instynkt samozachowawczy pozwolą mu uciec. Nie było sensu zatrzymywać się, by się rozejrzeć - oznaczałoby to śmierć.

I wtedy zapaliły się przed nim dwa jasne światła, a za nimi dostrzegł niewyraźny kształt dziwnie wyglądającego pojazdu. Dobiegł go warkot silnika i nagle zobaczył, że wóz pędzi w jego kierunku. To powinien być ten wóz. To musi być on!

Lecz ku jego rozczarowaniu pojazd ominął go, przyspieszył i popędził dalej. Ciężki, zwalisty wehikuł wpadł w tłum ścigający Holmana, zmuszając go do rozproszenia się. Kilka osób rozjechał szerokimi kołami. Potem zawrócił i ruszył w stronę Holmana. Ten odniósł wrażenie, że wóz nie rozwinął dużej szybkości, lecz gdy kierowca nacisnął hamulce, pojazd stanął z piskiem opon. Musiał uskoczyć na bok, żeby nie zostać przejechanym.

Z boku wozu otworzyły się małe drzwiczki i dziwny metaliczny głos powiedział: - Przykro mi, sir. Ale pan w tej chwili jest ważniejszy niż tamci. Musiałem tak zrobić, to była pańska jedyna szansa. A teraz proszę wsiąść, nie mamy zbyt wiele czasu!

Pochylając się nisko, wpełził do środka. Przed sobą zobaczył postać z wielkim garbem na plecach, ubraną w kombinezon podobny do tych, które noszono w Winchester, z tym że męczyzna ten był bardziej masywny i wyglądał jeszcze bardziej niezgrabnie. Na głowie miał wielki hełm. Holmanowi nie udało się przez ciemny i wąski wizjer dojrzeć jego oczu. Metaliczny głos dochodził z małego głośnika umieszczonego naprzeciwko ust w hełmie.

- Proszę zamknąć drzwi. Nie chcielibyśmy, by dostał się tutaj jeden z tych szaleńców albo mgła!

Holman zrobił, jak mu polecono, i ponownie odwrócił się w stronę ciężko ubranej postaci.

- Dokąd mnie zabieracie? - zapytał.

- Zobaczysz pan, sir - usłyszał odpowiedź. - Nazywam się Mason, ale nie możemy sobie ucisnąć dłoni, te rękawice nie pozwalają na to. Muszę przyznać, że niepokoiłem się o pana. Czekałem całe wieki.

- Miałem trochę kłopotów po drodze - odpowiedział kpiąco Holman, opadając z ulgą na fotel. - Dokąd jedziemy?

- Chwileczkę, sir. Muszę zameldować, że zabrałem pana. Nacisnął jakiś przełącznik i mówił, nie korzystając z podręcznego mikrofonu. Zameldował, że misja jak dotychczas przebiega pomyślnie i że wkrótce wróca do bazy. Ponownie zwrócił się do Holmana.

- A teraz, sir, chciałbym, by pan poprowadził. Te pojazdy nie są właściwie przeznaczone do podróżowania w gęstej mgłę. Jak pan widzi, nie mają dostatecznego wyposażenia. A mój kombinezon też niczego nie ułatwia. Dojazd tutaj był piekielnie trudny, a przecież nie miałem na sobie nawet hełmu. Teraz, po otwarciu drzwi, nie zdejmę hełmu - boję się ryzykować, bo na pewno dostało się do środka trochę mgły.

- Ten kombinezon jest zabezpieczony ołowiem?

- Tak, sir. To właśnie dlatego jest tak cholernie niewygodny. Został pomyślany jako zabezpieczenie przed promieniowaniem, rozumie pan. Tak jak i cały ten wóz.

- Przed promieniowaniem?

- Tak. Nazywamy go Wehikulem Zagłady. Później pan zrozumie, dlaczego.

Rozglądając się wokół, Holman zauważył, że pojazd wyposażony jest w wielką liczbę przyrządów, wskaźników i przycisków.

- Nie jestem pewien, czy potrafię ten wóz prowadzić - powiedział.

- Och, niech pan nie przeraża się tymi wszystkimi przełącznikami - pocieszył go Mason. - One nie mają nic wspólnego z kierowaniem. Ten wóz prowadzi się tak łatwo jak wózek elektryczny. Naprawdę, nie może być nic prostszego. Wszystko jest sterowane elektrycznie, rozumie pan: naciska się jeden pedał, by jechać, drugi, by się zatrzymać - to wszystko, co trzeba robić. No, ruszajmy, wielu ludzi z niecierpliwością czeka na pana.

Holman zrobił tak, jak radził Mason, i ruszył powoli po Embankment. Skręcił na rozkaz w lewo i wjechał w coś, co przypominało podziemny parking jednego z wielkich gmachów rządowych. Wokół panowała ciemność, ale w blasku światła wozu Holman zobaczył wiele samochodów stojących z boku. Jeden pas był wolny, jechał więc tym pasem coraz głębiej i głębiej pod ziemię. Pas kończył się na betonowej ścianie. Mason nacisnęła kilka przełączników i wypowiedział parę słów, które wydały się Holmanowi pozbawione jakiegokolwiek sensu; uświadomił sobie, że to szyfr. Ściana przed nimi uniosła się nagle do sufitu, otwierając wejście do długiego pomieszczenia przypominającego pudełko.

Mason dotknął jego ramienia, a głowa w wielkim helmie skinęła w stronę wejścia. Holman ruszył i zatrzymał się w środku. Ściana za nimi ponownie opadła. Siedzieli przez całą minutę w milczeniu, aż - całkiem nieoczekiwanie - ściana z przodu rozsunała się i obaj mężczyźni ujrzeli długi, blade oświetlony korytarz, kończący się znowu gładką ścianą. Przejeżdżając Holman stwierdził, że ściana, która przed chwilą się rozsunała, była w istocie wykonana z jakiegoś szarego metalu grubości co najmniej czterdziestu pięciu centymetrów.

Korytarz schodził w dół i zanim dotarli do wielkiego, przestronnego pomieszczenia, przejechali jeszcze przez dwie kolejne kolejni drzewi. Holman ocenił, że aż do tego miejsca przejechali co najmniej pół kilometra. W odległym kącie ujrzał zaparkowany pojazd wyglądający identycznie z tym, którym przyjechał. Czekala na nich grupa ludzi w szarych kombinezonach. Każdy z nich trzymał w ręku długi pojemnik, podłączony do wspólnego zbiornika. Zbliżyli się do nich, celując wylotami pojemników w stronę pojazdu, i zaczęli go spryskiwać jakąś prawie niewidoczną substancją.

- Jeszcze tylko chwilę, sir - powiedział Mason. - Nasz wóz został już raz odkażony, gdy wjeżdżaliśmy do tunelu, a teraz robią to po raz drugi dla całkowitego bezpieczeństwa. Nas też, gdy wysiądziemy z pojazdu, spryskają, tak na wszelki wypadek.

- Spryskają nas przeciw czemu?

- Cały ten kompleks tutaj jest sterylny; nie ma tu ani jednej bakterii. Wszyscy i wszystko, co tutaj wjeżdża, zostaje odkażone. Rozumie pan: ten kompleks zbudowano dla pomieszczenia co najmniej trzystu osób przez dziesięć lat. Gdyby do tak szczelnego miejsca dostała się jakaś bakteria, cóż, wówczas rozprzestrzeniłaby się jak pożar.

- Dziesięć lat? - Holman spojrzał z niedowierzaniem na zakapturzoną postać. - Co to, do diabła, za miejsce?

- Myślałem, że pan wie. Myślałem, że panu powiedzieli.

Holman pokręcił wolno głową.

- To - zaczął Mason - jest schron przeciwatomowy.

Rządowy schron przeciwatomowy.

Mason odczekał kilka chwil na jakąś uwagę Holmana, lecz gdy ten nic nie powiedział, ciągnął dalej. - Zaczęli jego budowę we wczesnych latach sześćdziesiątych i wciąż go rozbudowują. Gdyby kiedyś doszło do takiej sytuacji, że wojna jądrowa stałaby się nieunikniona, najważniejsze osobistości naszego kraju znajdą schronienie w tym właśnie miejscu. Ten schron jest bezpośrednio połączony tunelem z parlamentem, a jeszcze inny tunel prowadzi do pałacu królewskiego.

Holman uśmiechnął się cynicznie. - Czy istnieją jeszcze inne takie schrony? To znaczy, dla zwyczajnych ludzi?

- Eem, nic mi o tym nie wiadomo, sir. Takie rzeczy są utrzymywane w ścisłej tajemnicy. Wiem, że nie ma takiego drugiego schronu w Londynie, ale zwiędziłem taki sam w Manchesterze, i wydaje rai się, że ma je każde większe miasto.

- I wszystkie są przeznaczone dla „wybranych”!

- Cóż, nie mogłyby chyba zapewnić bezpieczeństwa mieszkańcom całej Wielkiej Brytanii, nie sądzi pan, sir?

Holman westchnął. - Nie, sądzę, że nie. Ale zastanawiam się, jak decydujecie o tym, że ktoś jest „wybranym”.

Mason zmienił temat. - Już czas wyjść na zewnątrz - rzekł.

Holmana poprowadzono kolejnymi korytarzami. Towarzyszył mu nieciekawym młody człowiek, ubrany starannie i modnie w ciemnogranatowy prążkowany garnitur, ciemnowiśniowy krawat i śnieżnobiałą koszulę. Mówił spokojnie i zwięźle, wyjaśniając Holmanowi dokładnie, co wydarzyło się ubiegłej nocy i jakie podjęto sposoby obrony. W schronie był już premier i większość członków gabinetu. Oni pierwsi zostali ostrzeżeni o niebezpieczeństwie, razem z rodziną królewską, która obecnie przebywa w Szkocji, gdzie jest bezpieczna. Premier postanowił pozostać w Londynie i stąd kierować wszelkimi działaniami. Schron, w którym się znajdowali, był do tego doskonale przystosowany. Zapewniał całkowite bezpieczeństwo i łączność z dowolnym punktem na kuli ziemskiej. Był wyposażony w ogromną i świetnie urządzonej salę, z której można było kierować działaniami wojennymi. Dysponował nieograniczonymi zapasami, niezależnym źródłem energii, a nawet własną centralą telefoniczną, co okazało się bezcenne, od kiedy uległa awarii londyńska centrala (Holman w tym momencie zrozumiał, że skontaktowali się z nim tą właśnie drogą). Wojsko stało tuż pod Londynem, gotowe - gdy tylko otrzyma rozkaz - przystąpić do akcji. Jednakże większość szefów sztabu znajdowała się w schronie i

pomagała premierowi opracować plan kampanii. Wśród znanych naukowców przebywających w tej, chwili w schronie znalazł się także profesor Ryker. Intensywnie pracowano nad nową teorią gwałtownego powiększania się chmury mgły, próbując wyjaśnić, jak i z czego powstaje mgła. Obecna tu była również Janet Halstead wraz ze swymi współpracownikami naukowymi i kilkoma ofiarami mgły, na których przeprowadzała badania. Sprowadzono także wielu specjalistów z rozmaitych dziedzin: lekarzy, księży, botaników, stolarzy oraz hydraulików. Wszystkich wytypowano już wcześniej, jako tych, których należy ocalić (o czym oni sami nic nie wiedzieli), a ich nazwiska i adresy figurowały na specjalnej liście, którą uaktualniano co trzy miesiące.

Idąc Holman rozpoznawał wiele twarzy znanych mu z telewizji. Zastanawiał się, jaki z nich może być pożytek w obecnej sytuacji. Fakt, że wielu z nich było ludźmi bardzo bogatymi, nakazywał mu podejrzliwość. Czyżby zapłacili za dostanie się tutaj? A może oddali urzędnikom rządowym jakąś przysługę w zamian za ocalenie w Dniu Zagłady?

Miał wrażenie, że wiele mijanych osób, mężczyzn i kobiet, jest w szoku. Byli bladzi jak śmierć, a kobiety zapłakane. Mężczyźni gapili się na niego bezmyślnie. Niektórzy myśleli, że jest jakimś ich znajomym czy też krewnym, inni zazdrościli mu, że w ogóle dokądś idzie, że ma do wykonania jakieś zadanie, coś konkretnego do zrobienia.

- Jak zdążyliście ściągnąć tutaj tak wielu ludzi? - zapytał młodego człowieka, starając się dotrzymać mu kroku.

- Została podjęta decyzja - zabrzmiała zwięzła odpowiedź:

- Jaka decyzja?

- Stwierdzono, że w żaden sposób nie uda się ocalić całej ludności Londynu, a nawet gdyby zdecydowano się na to, wybuchłaby panika na taką skalę, że uniemożliwiłoby to przyjsie z pomocą kilku ważnym osobistościom.

Holman złapał go za ramię i zatrzymał. - To znaczy, że nie podjęto żadnej próby? Że pozwolono ludziom umierać w łózkach, podczas gdy mgła...?

- Jasne, że próbowano - odparł młody człowiek. - Ale kierowano się zdrowym rozsądkiem. Jedną trzecią sił przeznaczono do ostrzegania i sprowadzania tutaj pewnych osób; pozostali także robili wszystko, co było w ich mocy. Dzięki pomocy wojska tysiącom ludzi udało się uciec na przedmieścia, lecz Londyn, jak pan wie, jest bardzo dużym miastem. Najważniejsze było zachować zdrowy rozsądek! - Uwolnił swoje ramię i ruszył dalej, zostawiając Holmana patrzącego za nim z otwartymi ustami. Po chwili Holman, z ponurym wyrazem twarzy, ruszył za nim.

Weszli do wielkiego hallu wypełnionego ludźmi, wyposażonego w sprzęt elektroniczny, jasno oświetlone mapy i monitory. Każda z obecnych tutaj osób była czymś zajęta. Pomimo to w hallu panował spokój, jakby nad ich głowami, na powierzchni ziemi, nie było żadnego chaosu. Tu wydawał się on czymś nierealnym, bo nie można go było zobaczyć. Ekran-y pokazywały jedynie szarą pustkę, w której od czasu do czasu pojawiała się jakaś postać ludzka, lecz szybko znikiała.

Oni nic tutaj nie widzą, pomyślał Holman. Nie mają pojęcia, jak to wszystko na górze wygląda: ten obłęd ogarniający ludzi, ten chaos ukryty za mgłą widoczną na ekranie. Byli w szoku, to prawda, ale tak naprawdę nie odczuwali głębokiego żalu, a zresztą, jak mogli go odczuwać? To wszystko było nierealne, jakby nie z tego świata. Wiedzieli zapewne o tragedii Bournemouth i o katastrofie samolotu. Ale czy byli w stanie przyjąć do świadomości, że ludność jednego z największych miast świata zwiariowała? Tylko on mógł w pełni zrozumieć tę straszliwą tragedię, bo widział ją na własne oczy i sam jej na sobie doświadczył. Ale oni, być może, zachowywaliby się tak samo nawet wówczas, gdyby nastąpiła zagłada, światowa zagłada, przed którą właśnie miał zabezpieczać ten schron. Przejmowali się tylko ci, którzy nie mieli nic do roboty;

ci, którzy nie mieli innego wyboru, jak tylko gapić się i czekać. I dziwić się.

- Tędy, panie Holman - rzekł młody człowiek, przerywając jego rozmyślenia. Stał przed drzwiami strzeżonymi przez uzbrojonego żołnierza. Holman podszedł do młodego człowieka, patrząc pytająco.

- To jest pokój planowania - powiedział tamten. - Pan minister czeka. Prosił, by pan sam go o wszystkim poinformował.

Prowadząc Wehikuł Zagłady po spowitej mgłą ulicą, Holman czujnym okiem obserwował grupki ludzi. Ci właśnie mogli być najgroźniejsi, zwłaszcza ci wędrujący stadami jak wilki w poszukiwaniu żeru i bezbronnych ofiar. Większość nie zwracała uwagi na dziwnie wyglądający pojazd, bo wszystko było teraz dziwne. Mason nie miał już na sobie helmu, bo od wyjazdu na powierzchnię nie otwierali jeszcze drzwi. Na razie korzystali z wozu rezerwowego, czekając, aż wewnątrz właściwego pojazdu zostanie starannie odkażone. Mason uśmiechnął się nerwowo do Holmana. - Jak się czujesz? - zapytał bardziej, by coś powiedzieć, niż by zaspokoić swą ciekawość.

- Niedobrze, mdli mnie - odparł Holman. - Chciałbym wyjechać gdzieś poza miasto i być daleko od tego wszystkiego.

- Rozumiem, co masz na myśli - rzekł Mason. - Ale wiele zależy od naszego działania. Potrzebuję cię, byś mnie poprowadził, gdy już nic nie będę widział w tym helmie na łbie!

- Mgła nie jest już chyba tak gęsta.

- Nie, mówiłem ci, że się rozplywa i rozrzedza. Ale z otrzymywanych przez nas doniesień wynika, że jeszcze nie ustępuje. Przecież nie będziemy tu długo; tyle tylko, ile trzeba na pobranie tego świństwa do pojemnika. I zaraz wracamy. Gdybym nie potrzebował twoich oczu, sam dałbym sobie radę.

Chryste, ty nie znasz nawet połowy prawdy, pomyślał Holman. Był uzbrojony w pistolet ukryty w kaburze pod pachą. Premier sam rozkazał mu bronić swojego życia za wszelką cenę, nawet gdyby w tym celu musiał zastrzelić swego towarzysza. Nie było jeszcze wiadomo, czy kombinezon ochrony w wystarczającym stopniu osłania przed zmutowaną mykoplazmą, której budowy jak dotąd jeszcze nie rozszyfrowano. Jeśli Mason choćby w najmniejszym stopniu zaczęłby być groźny, Holman miał go natychmiast usunąć i wykonać rozkaz samodzielnie. Próbował sprzeciwić się temu poleceniu, lecz premier przekonywał go długo, używając mocnych argumentów, że nie ma w tej sprawie nic do powiedzenia i że życie jednego człowieka nic nie znaczy w czasie, gdy niebezpieczeństwo zagraża milionom. Wymusił na Holmanie przyrzeczenie, że wykona ten rozkaz, jeśli zajdzie taka potrzeba. Ale Holman wiedział, że zdecyduje o tym dopiero wtedy, gdy sytuacja będzie naprawdę groźna, o ile w ogóle będzie.

Obecny przy rozmowie Ryker poinformował Holmana, że zagrożenie wzrasta. Ponieważ w nocy mgła gwałtownie się powiększyła, podejrzewał, że taki właśnie był zamiar Broadmeyera co do działania mykoplazmy: ma gęstnieć i poszerzać się, żerując na zanieczyszczonym powietrzu. Tak więc im większe miasto, im bardziej uprzemysłowione, tym choroba groźniejsza. Sama mgła stanowi jedynie uboczny efekt pobierania zanieczyszczonego powietrza, a to, że wywołuje groźne skutki, jest spowodowane wirusami, które się w niej znalazły. Ryker podejrzewał, że takie jest źródło choroby powodowanej przez mgłę, ale potrzebował jeszcze trochę czasu, by przeprowadzić wszystkie badania i uzyskać co do tego pełną jasność. W tej chwili najszybszym sposobem zbadania mutacji jest pobranie próbki tej substancji. Profesor święcie wierzył, że tym razem Holmanowi się uda. Holman sam bardzo chciałby w to wierzyć.

Wracając do wozu, spotkał Janet Halstead. Jej dobry humor gdzieś umknął, a na twarzy malowało się zmęczenie. Ona również życzyła mu, by tym razem się powiodło. Tylko

wówczas będą mogli zapobiec dalszej katastrofie. Gdyby udało się wynaleźć szczepionkę przeciwko chorobie, można by wysłać ludzi do zagrożonej strefy i ratować innych przed samobójstwem i wzajemnym zabijaniem. Pożegnał się z nią bez słowa. Czy może jej obiecać, że mu się uda? W grę wchodziło przecież wiele różnych czynników. Kiedyś lubił podejmować się ryzykownych zadań, ale żadne z nich nie było tego rodzaju co teraz i nigdy nie istniało takie ryzyko jak teraz. Mógł jedynie spróbować - tyle tylko był w stanie zrobić.

- Boże, spójrz na to! - Mason wskazał na cztery płonące przed nimi na środku jezdni samochody. Płomienie nie pozwalały zobaczyć, czy ktoś został w ich środku. Wokół zebrał się tłum ludzi w milczeniu obserwujących rozgrywającą się przed nimi scenę. Gdy Holman i Mason podjechali bliżej, jeszcze jeden makabryczny widok ściał im krew w żyłach: ze stojącego tłumu raz po raz wybiegali ludzie i rzucali się w ogień. Tłum reagował głośnym okrzykiem, który następnie cichł do czasu, gdy ktoś znowu wskakiwał w ogień.

- Musimy ich powstrzymać! - krzyknął Holman, nie mogąc oderwać od tej sceny oczu.

- Nie, mamy nasze rozkazy! - odparł zdecydowanie Mason. - Nie możemy podejmować jakiegokolwiek działania. W nic nie wolno nam się mieszać!

Holman wiedział, że nie miało sensu przekonywanie Masona. A poza tym Mason miał rację. Nie wolno im było robić nic, co mogłoby zagrażać wykonaniu zadania. Jeżeli będą pakowali się we wszystko, co zobaczą po drodze, to najprawdopodobniej nigdy nie dojadą do celu.

- W porządku - powiedział. - Skoro nic nie możemy zrobić, odjedźmy stąd jak najprędzej.

Mason poczuł ulgę. - Objedziemy to dookoła - powiedział. - Zawróć, tam jest skręt w lewo, na Strand. Pojedziemy tamtędy.

Holman włączył wsteczny bieg i o mały włos nie zderzyłby się z wielką ciężarówką, która przemknęła obok, jadąc w

stronę palących się samochodów i stojących w pobliżu ludzi. Usłyszeli huk: ich pojazd był dźwiękoszczelny, został więc wyposażony w zewnętrzne mikrofony, przekazujące wszystkie odgłosy. Było to niezbędne, zwłaszcza w warunkach ograniczonej widoczności.

- O rany! - krzyknął Mason, ciężko, oddychając. — To straszne!

- To dopiero początek - rzucił Holman, nie szczędząc tamtemu niczego. - Będzie jeszcze gorzej.

I było gorzej. Mijali wiele palących się budynków, płonących pojazdów, dziesiątki ludzi wędrujących ulicami z widocznym wyrazem obłąkania na twarzach; tu i ówdzie w jakimś kącie leżały pojedyncze osoby zwinięte w kłębek, patrząc szeroko otwartymi oczami, w których czał się strach; mijali martwe ciała ludzi, którzy spadli albo wyskoczyli z pobliskich wieżowców; słyszeli wrzaski przerażenia, śmiechy i śpiewy; widzieli modlących się na klęczkach; a najdziwniejsze było to, że widzieli także ludzi zachowujących się normalnie: stojących w kolejce na przystanku autobusowym, spacerujących z parasolami czy idących z teczkami w rękach, wchodzących do otwartych budynków lub czekających cierpliwie przed drzwiami, które były zamknięte, oraz rozmawiających ze sobą tak, jak gdyby to był zwyczajny roboczy dzień, a chaos wokół nich nie istniał. Ale to właśnie świadczyło o ich nienormalności.

Jechali wolno w dół Fleet Street w kierunku Ludgate Circus, przyzwyczajając się z wolna do tego, co widzą, i za wszelką cenę powstrzymując się od zatrzymania pojazdu i udzielenia pomocy tym, którzy znaleźli się w szczególnym niebezpieczeństwie. Holman czuł ulgę, że nie mijali żadnych dzieci. Prawdopodobnie jednak zobaczy je później, gdy będą przejeżdżać przez dzielnice, gdzie jest najwięcej domów mieszkalnych. Miał tylko nadzieję, że nie dojrzy ich we mgle, wątpił bowiem, czy oparłby się chęci udzielenia pomocy zagrożonemu dziecku.

U wylotu Fleet Street nagle zauważyli, że są otoczeni przez tłum robotników. Tłum zaczął walić w ściany wozu,

usiłując zajrzeć do środka przez małe, lecz szerokie szyby. Łomotali w okna, próbując je wybić. Holman i Mason usłyszeli nad głowami odgłos ciężkich stąpaniec - to kilku robotników wdrapało się na dach.

- Chryste, to chyba drukarze z całej Fleet Street! - zauważył Mason.

- Tak, chyba tak - zgodził się Holman. - Pewnie pracowali przez całą noc. Zapewne ich ostrzeżono.

Mason wzruszył ramionami. - Nie mamy wyjścia. Musimy przez nich przejechać! - powiedział.

W tym momencie pojazd zaczął się gwałtownie kołysać z boku na bok.

- Chcą nas przewrócić! - zawołał Holman, przekrzykując hałas.

- Ruszaj! - rozkazał Mason, pochylając się, by wyłączyć głośniki. Nie chciał, by Holman słyszał krzyki, gdy będą jechać przez tłum.

Holman nacisnął mocno na gaz. Nie chciał tego robić, ale wiedział, że nie ma innego wyjścia. Przypomniawszy sobie Winchester i stracił współczucie dla tych ludzi; myślał już tylko o sobie i o tym, że musi się uratować.

Wóz wyrwał do przodu. Zaskoczeni ludzie odskoczyli, inni czynili to wolniej i zniknęli pod kołami. Holman czuł, jak pojazd podskakuje, przejeżdżając po leżących ciałach, ale nie zdejmował nogi z gazu, przyśpieszając i zrzucając ludzi z dachu. Wóz przedzierał się przez zbity tłum. Holman zmusił się, by nie myśleć o tragicznych ofiarach. Może dlatego, że widział w nich jedynie groźbę, a nie istoty ludzkie. Być może uważał, że szaleństwo odarło ich z człowieczeństwa. A może po prostu nie miał czasu, by o tym wszystkim myśleć. To pozwalało mu jechać dalej.

W końcu wyrwali się z tłumy i ruszyli w górę, w kierunku katedry Świętego Pawła. Dopiero wtedy Holman zauważył, że trzęsą mu się ręce.

Mason też to spostrzegł i powiedział: - Pozwól, że ja teraz poprowadzę. Masz dość.

- Nie - odparł Holman. - Wszystko będzie w porządku.

Wolę kierować, niż siedzieć i myśleć. Sprawdź przyrządy. Zobacz, czy jedziemy w dobrym kierunku.

Mason poklepał Holmana uspokajająco po ramieniu i skupił uwagę na tablicy wskaźników przed sobą. Połączył się z podziemną bazą i nadał meldunek o położeniu i o wszystkim, co ich po drodze spotkało, a także o tym, że mgła się chyba rozrzedza. Holman spojrzął na zegarek i stwierdził, że są na powierzchni dopiero trzydzieści minut. A wydawało się, że minęły całe godziny.

Usłyszał w głośniku głos informujący Masona, że tysiące ludzi ucieka z miasta, że otwarto wielkie obozy dla internowanych, a Londyn został otoczony wojskiem i policją z całego kraju, i że zatrzymuje się każdego, kto opuszcza miasto, aresztując go dla jego własnego dobra. Było oczywiście niemożliwe, by uratować wszystkich, lecz większość - ci, którzy uciekli - nie była jeszcze dotknięta chorobą i bez oporu oddawała się w ręce władz w nadziei, że będzie bezpieczna, gdy nadejdzie obłęd.

Piloci śmigłowców krążących nad chmurą meldowali, że mgła jest najgęstsza wokół brzegów, za Tower of London. I chociaż przesunęła się już dalej, potwierdzili, że ulega rozrzedzeniu, zwłaszcza na swych krańcach. Zaobserwowali także osłepiającą poświatę wielu ogromnych pożarów płonących w całym Londynie.

Głos z głośnika powiedział również, że w drodze do Londynu znajdują się samoloty z całego kraju, załadowane chlorkiem wapnia, który zostanie rozpylony w dużych ilościach nad całym miastem. Ale nim ta operacja się zacznie, minie jeszcze kilka godzin.

Głos obiecywał także przekazywać dalsze informacje i życzył im obu szczęścia.

Mason wyłączył głośnik i zwrócił się do Holmana: - Wszystko się zgadza. Jedziemy w dobrym kierunku, to jest gdzieś w okolicach nabrzeży.

Mijali teraz katedrę Świętego Pawła. Zdziwili się, widząc dziesiątki ludzi siedzących na stopniach kościoła. Ich twarze pozbawione były wyrazu, a wargi nieruchome.

- Włącz dźwięk - powiedział Holman.

Mason wykonał polecenie, lecz od strony kościoła nie dobiegł ich żaden odgłos.

- Przypominają stado ptaków - zauważył Mason. - Jak tylko usłyszą jakiś hałas, rozpierzchają się na wszystkie strony.

Holman przypomniał sobie gołębie na Trafalgar Square i powiedział o tym Masonowi.

- Boże święty! - odrzekł Mason. - Dostaję dreszczy, jedźmy szybciej.

Holman zwiększył szybkość na tyle, na ile wystarczyło mu odwagi, i po chwili zostawili zabytkową katedrę z tyłu.

- Zauważ, że oni przeważnie zbierają się w grupy - powiedział Mason.

- Tak. Wygląda na to, że po zaatakowaniu komórek mózgowych ludzie tracą swą osobowość i zbijają się w stada, jak zwierzęta. Zobacz, ilu ich jest na przystankach i innych miejscach, gdzie zazwyczaj gromadzą się ludzie. Z początku sądziłem, że ustawiają się w kolejki z powodu doznanego szoku, ale teraz rozumiem, że zbierają się w miejscach, które zawsze do tego służą.

- Spójrz na niego! - Mason wskazywał na jakąś postać, która nagle wyłoniła się przed nimi z mgły. Mężczyzna był zupełnie nagi i wymachiwał długą, zakrzywioną szablą. Szedł prosto na nich.

Holman ostro szarpnął kierownicą i wyminął go. Niewiele brakowało, a przejechałby tego człowieka. Mason odwrócił się, by popatrzeć jeszcze na niego przez tylną szybę, lecz mężczyzna już zniknął we mgle.

- Wychodzi na to, że niektórzy są oryginalni nawet w całkowitym szaleństwie - skomentował.

Jadąc przez City mijali coraz mniej ludzi, ale gdy zostawili za sobą labirynt uliczek, zobaczyli coś niesamowitego.

Po przeciwległej stronie ulicy ujrzeni kłębowisko białoróżowych ciał, prawdziwe morze ruszających się rąk i nóg. Gdy wyteżyli wzrok, spostrzegli, że ta ludzka masa składa się z małych grupek po kilka osób, lecz tak ściśniętych, że wydawało

się, iż tworzą jedną zbitą masę. Wszyscy zajęci byli kopulowaniem.

- Jezu! - zawołał Mason, gdy ochłonął z pierwszego wrażenia. - Spójrz na nich. To przecież, do cholery, jest orgia uliczna!

- Pewnie zaczęło się od jednej pary, a reszta się dołączyła - powiedział Holman.

- Ale niektórzy są chyba grubo po sześćdziesiątce!

- A inni to jeszcze dzieciaki.

- Co robimy? - zapytał Mason, odrywając wzrok od ruchomej masy ludzkiej, by spojrzeć na Holmana.

Holman uśmiechnął się do siebie, widząc wyraz nagłego zakłopotania na twarzy swego towarzysza. Spokój Masona cały czas go niepokoił.

- No, chyba nie dołączymy się do nich - odparł, a potem, uśmiechając się szerzej, dodał: - Objedziemy ich dookoła.

Zawrócił wóz i odszukał wąską boczną uliczkę. Gdy oddalali się, Mason wyciągał wysoko szyję, by móc jak najdłużej obserwować nietypowe widowisko. Przeklinał mgłę, która w końcu wszystko zasłoniła.

- Niewiarygodne! - To wszystko, co miał do powiedzenia.

Holman skierował pojazd w inną, szerszą ulicę, by wrócić na poprzednią trasę.

Przejechali nie więcej niż pięćdziesiąt metrów, gdy naciśnął gwałtownie hamulce, aż polecili do przodu.

- Co się stało? - zapytał Mason. Był zaskoczony.

Właśnie sprawdzał wskaźniki przyrządów.

- Popatrz - rzekł Holman, pokazując przed siebie.

Mason zmrużył oczy i wyteżył wzrok, chcąc dostrzec coś we mgle. Najpierw usłyszał krzyk, a dopiero potem zobaczył dziewczynę. Wyglądała na nie więcej niż piętnaście lat. Uciekała do jakiejś bramy. Nawet z tej odległości mogli dostrzec jej szeroko otwarte z przerażenia oczy; jej krzyk rozbrzmiewał w każdym zakamarku wozu. W stronę dziewczyny podążali dwaj mężczyźni, obaj zwaliści, odziani w łachmany i

śmiejący się głośno. Ich twarze i ręce były czarne od brudu, co nadawało im jeszcze groźniejszy wygląd. Lecz najbardziej przerażające było ich zachowanie. Obaj rozpięli spodnie i głaskali swoje penisy, krzyczeli w kierunku dziewczyny, używając sprośnych wyrazów, i odgrzaali się, co zrobią z jej małym ciałem. Skuliła się w bramie. Czy sama była już obłąkana, tego nie można było wywnioskować z jej wyglądu. Dygotała, zasłaniając twarz, jakby nie chcąc przyjąć do wiadomości tego, co widziała.

- O Boże! - zawołał Holman.

- Słuchaj, nie możemy tam wyjść. W tym kombinezonie i tak w niczym bym ci nie pomógł. Pamiętaj, że jesteś zbyt cenny, by narażać swoje życie. A gdybyśmy zatrzymywali się wszędzie tam, gdzie ktoś ma kłopoty, to nigdy byśmy nie dojechali do celu!

- Zamknij się! - odparł Holman spokojnym głosem. Nacisnął mocno gaz i wóz poderwał się, nabierając szybkości. Wjechał na chodnik i pędził na obu napastników, jadąc dwoma kołami po chodniku i dwoma po jezdni. Obaj mężczyźni spostrzegli pojazd w ostatniej chwili. Na ich lubieżnie uśmiechniętych twarzach nie można było jeszcze dostrzec strachu, który ogarnął ich w chwili, gdy nastąpiło zderzenie. Jeden zniknął pod kołami, drugiego wyrzuciło wysoko w powietrze, na ścianę jakiegoś budynku. Gdy wszystko się uspokoiło, w uszach Holmana dźwięczał jeszcze ich nagły krótki skowyt i dłuższe, przejmujące skamlenie dziewczyny. Kiedy z piskiem opon zatrzymał pojazd, zaskoczony Mason upadł na wskaźniki. Holman odwrócił się na swoim fotelu i spoglądając przez tylną szybę, zdołał jeszcze zobaczyć, jak dziewczyna biegnie prosto w mgłę, ciągle ukrywając w dłoniach twarz.

Ujrzał zmiążdżone ciało jednego z mężczyzn, leżące w bezruchu na jezdni, podobne do uschniętego konaru drzewa. Ciało drugiego opierało się o mur, na który zostało ciśnięte. Szyję miał skrzyżowaną, jego oczy wydawały się wytrzeszczać w kierunku wehikułu, który zadał mu śmierć.

Holman odjechał nieco dalej, po czym stanął i pochylił się nad kierownicą, na przemian pocierając oczy palcami; pustym wzrokiem patrzył w dół.

Mason poprawił się na swoim siedzeniu i delikatnie położył rękę na ramieniu Holmana, chcąc go pocieszyć. Ten spojrział na niego w milczeniu i ponownie ruszył, sprowadzając wóz z powrotem na jezdnię i stopniowo nadając mu stałą szybkość.

Kontynuując swą podróż, coraz bardziej oswajali się z widokiem przerażających czy też tylko dziwnych scen. Minęli jakąś starszą kobietę wiozącą na niemowlęcym wózku z całą pewnością martwe ciało swego męża, z którego skapywały krople krwi, pozostawiając długi ślad na jezdni - to ich ledwo poruszyło; trzej mężczyźni siedzący na krawężniku i pijący z czegoś, co przypominało pojemnik na naftę, machali do nich chusteczką. Jeśli chodzi o Holmana, to przyjmował te sceny z obojętnością. Może dlatego, że właśnie przed chwilą zabił kilku ludzi. A nie może być nic gorszego niż pozbawienie kogoś życia - nieważne, czy ten ktoś był obłąkany, czy nie. Nie odczuwał jeszcze wyrzutów sumienia, ale zaczął odczuwać wstręt do tego, co zrobił, a ponieważ został zmuszony do podjęcia takich działań, jego postanowienie, by znaleźć sposób zlikwidowania tej strasznej choroby, nabrało jeszcze większej determinacji. Natomiast jeżeli chodzi o Masona, to nie przyzwyczaił się jeszcze do konsekwentnego ciągu następujących po sobie wydarzeń.

Sceny, na które patrzyli, nie były dla nich nierzeczywiste, lecz nie oddziaływały na ich zmysły tak jak powinny, bo zamknięci w swym ruchomym schronie byli jedynie obserwatorami przemierzającymi obcy, spowity mgłą świat, niczym badacze morskiego dna w podmorskiej sondzie obserwacyjnej.

Od czasu do czasu Mason przekazywał meldunki do podziemnej bazy, chłodno opisując rozgrywające się wokół nich sceny: pożary, chaos, zamieszanie i śmierć. Nieoczekiwanie poprosił Holmana o zatrzymanie wozu. Holman nie miał

pojęcia, gdzie dokładnie są, ale przypuszczał, że musieli już dotrzeć do nabrzeży we wschodnim Londynie. Spojrzał pytająco na swego towarzysza.

- Straciliśmy kontakt - rzekł Mason. Jeszcze raz skontrolował wszystkie przyrządy, po czym znów nadal do bazy mel-dunek ostrym i nagłym głosem.

- Jak mogliśmy stracić kontakt? - zapytał Holman.

- Byliśmy kierowani ze śmigłowca krążącego nad mgłą. Oni mają sensory, które śledzą przesuwanie się jądra mykoplazmy, a potem przekazują informacje do sztabu, który z kolei naprowadza nasze czujniki kierunkowe. To wszystko musi być skomplikowane, bo, rzecz jasna, pilot śmigłowca nie widzi przez mgłę, nad jakim miejscem przelatuje. Ale teraz nic się nie dzieje. Nasze wskaźniki przestały działać.

W głośniku rozległ się głos, odbijając się echem wewnątrz pojazdu. - Halo, wóz WZ 1. Tu baza. Odbieracie nas? - Mason potwierdził odbiór i metaliczny głos mówił dalej: - Obawiam się, WZ 1, że mamy kłopoty. Charlie 2 mówi, że zgubili jądro. Ich instrumenty nic nie pokazują, ale będą je tak długo szukać, aż znowu znajdą. Nie wiemy, jak to się stało, chyba że to świństwo wpadło do rzeki. Jesteście blisko, ale to mało prawdopodobne. W każdym razie zostańcie tam, gdzie jesteście, dopóki nie otrzymacie nowych poleceń. To nie potrwa długo, na pewno. To wszystko. Over i out.

Mason odchylił się na oparciu fotela. - A niech to diabli! - powiedział i potem dodał: - Jesteśmy blisko!

- Sądysz, że odnajdą jądro? - spytał Holman.

- Kto wie. Już raz je stracili. - Rozglądał się nerwowo dookoła, wyglądając przez wizjery na ulicę spowitą we mgle. - Muszę przyznać, że niezbyt lubię stać tak na otwartej przestrzeni.

- Ani ja - odparł Holman. - Jesteśmy za bardzo odsłonięci. Przenieśmy się na drugą stronę, pod tamten dom. Przy najmniej będziemy trochę ukryci.

Ruszył do przodu, tym razem powoli, przecinając jezdnię w poszukiwaniu jakiegoś budynku, który mógłby dać im osłonę.

I właśnie wtedy z mgły wyłonił się autobus podobny do olbrzymiego czerwonego potwora, a o ułamek sekundy wcześniej - światła przypominające dwoje błyszczących, penetrujących oczu. Przód miał zbryzgany ciemną czerwienią krwi ludzi, których staranował podczas swojej szaleńczej jazdy po mieście. Autobus skręcił gwałtownie w ich stronę. Odgadując zamiar kierowcy, Holman nacisnął mocno na gaz, by zjechać mu z drogi. Ale było już za późno.

Autobus uderzył w nich bokiem. Poczuli, że gwałtownie lecą do góry - to ich pojazd został wyrzucony w powietrze, a potem przewrócił się na dach. Szary świat stał się nagle czarny.

Po raz drugi już tego ranka Janet Halstead poczuła, że pokój zawirował wokół niej. Była śmiertelnie zmęczona, wiedziała o tym. Ostatnio mało spała, a i wtedy, gdy udało się jej zasnąć, budzono ją kilkakrotnie. A minionej nocy nastąpił nowy, jeszcze większy kryzys. Ale nie wolno się jej poddać. Od pracy jej i jej współpracowników zależy życie wielu ludzi. Przypuszczała, że profesor Ryker i jego zespół naukowców - mikrobiologów i wirusologów - jest już bliski rozwiązania zagadki i wobec tego zastanawiała się, czy rzeczywiście trzeba było posłać Holmana jeszcze raz w mgłę. Westchnęła zastanawiając się, czy przypadkiem nie myśli o nim zbyt często. Polubiła go w matczynej sposób i denerwowała się, że ci wszyscy oficjele rządzący krajem traktują go czysto instrumentalnie.

To oni zawinili - ci wielcy o nieznanym twarzach - a teraz wykorzystują jednego człowieka, który nie miał z tym nic wspólnego, do naprawienia ich własnego błędu.

Ale, pomyślała, tak chyba trzeba. Dawało to szansę oszczędzenia cennego czasu - obojętne czy tylko godziny, czy kilku dni.

Starła się skupić uwagę na leżącym przed nią sprawozdaniu: ostatnio przyjęty pacjent natychmiast zareagował na leczenie transfuzją krwi i naświetlaniem promieniami

Roentgena. Całe szczęście, że przywieziono go w porę. Inni nie mieli takiego szczęścia. A to przecież dopiero początek - ci pacjenci byli pierwszymi spośród tysięcy, a może milionów, którym konieczne będzie udzielenie pomocy. Cały świat deklarował swoją gotowość przyjscia ze wsparciem. Przecież Wielka Brytania to nie jakiś prymitywny i zacofany kraj, w którym ludzie umierają z braku podstawowych zdobyczy cywilizacji. Ponieważ jest państwem zamieszkanym przez świątłych ludzi Zachodu, inne państwa były chętne do udzielenia pomocy nie tylko z uwagi na łączące ich więzy przyjaźni, ale też dlatego, że to, co przydarzyło się Brytyjczykom, mogło równie dobrze wydarzyć się wszędzie, na każdym kontynencie i w dowolnym kraju. I jeśli to samo albo coś podobnego przytrafiłoby się innemu narodowi, naród ten chciałby mieć pewność, że otrzyma tyle samo pomocy, ile w tej chwili sam udziela.

Przez kilka następnych tygodni, pomyślała Janet, ta pomoc będzie bardzo potrzebna - zewsząd i w każdej postaci.

Stan Reynolds, strażnik w olbrzymim budynku zakładów rafineryjnych wznoszącym się nad Tamizą, zasiadł z powrotem na krześle prezesa. Położył na stole rady nadzorczej swe buciory, zapalił wielkie cygaro i zaczął popijać drugą już whisky.

- Jeśli to jest dobre dla prezesa, to na pewno jest też dobre dla mnie - zachichotał, wypuszczając kółeczka dymu. W tym samym czasie płomienie z pomieszczenia tuż pod nim zaczęły rozgrzewać podłogę.

Chwilę wcześniej przeszedł przez wiele pokoi tego wielkiego gmachu i opróżnił biurka i segregatory z dokumentów, zarzucając nimi podłogę. Nienawidził tego miejsca, bo uosabiało styl życia, którego sam nigdy nie doświadczył i nie doświadczy. Jego zadaniem była ochrona biur szefów oraz ich samych, ryzykował nawet własne życie, gdyby zaszła taka potrzeba. I to wszystko za co? Za nędzne grosze i przywilej

usłyszenia od zadufanych szefów: „dzień dobry” czy „dobranoc”, gdy mają taki kaprys. Dlatego właśnie podłożył ogień pod ich dokumenty z napisem „poufne” i pod ich segregatory zawierające materiały „tylko do wyłącznej wiadomości”. A poza tym lubił pożary. Przypominały mu czasy niemieckich nalotów na Londyn. W wojsku był wtedy kimś - sierżantem szanowanym przez szeregowców, jak i przez zadzierających nosa młodych oficerów. A gdy na przepustkę przyjeżdżał do domu, podczas największych bombardowań, sąsiedzi przychodzili do niego po pomoc. Był wtedy powszechnie szanowanym obywatelem.

Opróżnił już dwie butelki whisky, a teraz pociągnął jeszcze jeden długi łyk. Gdy ogień objął ciężkie drzwi sali konferencyjnej, wstał chwielec się na nogach.

- Panowie - przemówił, patrząc na dwa puste rzędy miejsc przy stole. - Proponuję wznieść toast! - Wdrapał się na skórzane czarne krzesło i wszedł na stół, ryjąc butami bruzdy na gładkim blacie. Podnosząc butelkę zaryczał: - Do diabła z prezesem! - I pociągnął kolejny łyk z butelki, omal nie zakrztusiwszy się, gdy zaczął się śmiać.

Opuszczając wzrok spostrzegł na stole głębokie rysy, jakie pozostawiły jego buty, co rozbawiło go jeszcze bardziej. Wbił obcas mocno w stół i efekt bardzo go zadowolił. Powtórzył to samo z drugim butem i tak podskakując dotarł do końca stołu, co chwila zatrzymując się i odwracając, by podziwiać swoje dzieło zniszczenia. Podniósł butelkę do ust i wypił do dna, po czym rzucił ją w wiszący na ścianie portret poprzedniego prezesa. Na koniec, w ostatnim akcie swego radosnego ożywienia, popędził z powrotem przez cały stół i, przeskakując nad obitym skórą krzesłem prezesa, wyskoczył przez okno.

Nie należał już do najmłodszych i jego skok nie był zbyt sprężysty, toteż połową ciała przeleciał przez okno, a druga połowa przesunęła się na zewnątrz siłą bezwładności. Spadając nie widział ziemi, tylko miękkie, żółtawoszary dywan.

MacLellan i jego rodzina byli pogrążeni w głębokim śnie. Przed domem, przy zazwyczaj spokojnej ulicy Wimbledonu, szalało piekło. Jego sąsiedzi wdali się we wściekłą bójkę, używając butelek, łomów i wszystkiego, co im wpadło w ręce. Wydrapując sobie oczy, łapiąc się nawzajem za gardła, kopali się, bili pięściami, zdzierali sobie ubrania. Nikt nie wiedział, dlaczego, i nikomu nie zależało na tym, by o to zapytać. Za bardzo już byli ogarnięci obłędem.

MacLellan miał szczęście, że nie zwrócili uwagi na tabliczkę z napisem, którą zostawił na schodkach: PROSZĘ O POMOC. DAŁEM RODZINIE DUŻĄ DAWKĘ LEKÓW, BY JĄ UCHRONIĆ OD ZŁEGO. PROSZĘ O POMOC. Pisząc te słowa kredą na dziecinnej tablicy, wiedział, że szansa na ratunek jest niewielka, ale przecież nie miał innego wyboru. Lepiej umrzeć wcześniej, niż być narażonym na straszliwe obłąkanie.

Jak dotąd, nikt ich nie nachodził, a sąsiedzi byli zbyt zajęci wzajemnym zabijaniem się, by włamać się do domu i kogoś szukać. Spali więc dalej.

Irma Bidmead, staruszka, która uwielbiała koty, a mimo to sprzedawała je do instytutów naukowych, już nie żyła. Koty, które karmiła i którym dawała schronienie w swoim domu, obgryzły jej zimne ciało, zjadając przy okazji strzępy ubrania. Najpierw wydrapały jej oczy, potem, kiedy już nic nie widziała i była kompletnie osłabiona, usiadły jej na twarzy i zadusiły. Gdy przestała się ruszać, zaczęły ją zjadać.

Teraz były już najedzone. Jadły z obżarstwa, nie z głodu. Za chwilę opuszczą dom i poszukają bardziej soczystego mięsa. Nie będzie to trudne.

Nadinspektor Wreford śmiał się z wymyślań i przeklinania żony. Zamknął ją w szafie w sypialni i usiadł na brzegu łóżka, obserwując drzwi szafy. Patrzył, jak się wyginają pod naporem ciała jego żony, usiłującej otworzyć je od

wewnątrz. Jej głos był wyjątkowo charczący, bo dzisiaj rano wszedł z kuchni po schodach do sypialni, niosąc w jednym ręku czajnik z wrzątkiem i, stając nad żoną, wlał całą zawartość w jej rozchylone usta. Nigdy nie był w stanie znieść jej chrapania.

Ponieważ krzyczała i krzyczała, zawiązał ją potem w pościel i zamknął w szafie.

Za chwilę opadnie z sił i wtedy ją wypuści. Żona zrozumie dowcip, gdy jej wszystko wyjaśni, a jeżeli nie, jeżeli znów będzie robiła złośliwe uwagi jak zawsze, pokaże jej nóż kuchenny, który wziął ze sobą. Widział już, co można komuś zrobić kuchennym nożem. Oglądał wiele przykładów na zdjęciach ofiar w Scotland Yardzie. Śmieszne to były zdjęcia. To fantastyczne, co można zrobić z ludzką twarzą. Można, jeśli się chce, tak ją oporzędzić, żeby usta się wiecznie uśmiechały. Pokaże jej jak, kiedy ją wypuści - jeśli w dalszym ciągu będzie na niego jazgotać.

Czekał cierpliwie, z uśmiechem na twarzy, patrząc w drzwi szafy.

Detektyw Barrow właśnie się obudził. Stał przy oknie w luźnym szlafroku i wpatrywał się w mgłę. Nagle obrócił się i ruszył w stronę szafy z ubraniami. Wybrał swój najlepszy garnitur i ułożył go starannie na łóżku. Potem wysunął szufladę i wyjął z niej czystą koszulę, po czym położył ją na garniturze. Wrócił do szafy i sięgnął na górną półkę. Z głębi wyciągnął białe szerokie tekturowe pudło. To było jego prywatne „czarne muzeum” broni, która została użyta w sprawach, którymi się zajmował. Przechowywanie tego w domu było oczywiście niezgodne z przepisami. Przez chwilę studiował zawartość pudełka, a po chwili wyjął coś ze środka. Zamknął pudło i odłożył z powrotem na półkę.

Poszedł do łazienki i odkręcił oba krany. Podczas gdy wanna napełniała się, sam zajął się goleniem.

Samson King był niezmiernie zadowolony ze swojej jazdy autobusem. Nie wiedział, gdzie jest, ponieważ zjechał ze swej normalnej trasy, ale to nie miało znaczenia. Czuł się swobodny jak ptak i milion razy potężniejszy. Swoją czerwoną bestią rozjeżdżał wszystko, co stało mu na drodze - ludzi, samochody, każdą przeszkodę. Pasażerom w autobusie podobało się to także. Nawet teraz śmiali się wesoło, wychylając z okien głowy, i wołali w stronę ludzi o pozbawionych wyrazu twarzach, którzy wytrzeszczali na nich oczy. Dwukrotnie zatrzymywał się na przystankach, żeby zabrać ludzi, i teraz było w autobusie przynajmniej pięćdziesięciu pasażerów.

Samson zachichotał, przypominając sobie przystanek, na którym się nie zatrzymał. Zamiast tego staranował kolejkę, dopingowany przez pasażerów. Był zafascynowany widząc, jak ludzie znikają pod kołami niczym kręgle.

Nie widział na daleką odległość przed sobą z powodu mgły i kilka razy najechał wysepki na jezdniach, przewracając znaki drogowe. Prowadził patrząc na krawężnik, ale od czasu do czasu zjeżdżał na drugą stronę ulicy i przez jakiś czas jechał zupełnie nic nie widząc. Wspominał także z przyjemnością, jak wjechał na duże skrzyżowanie i krążył jak oszalały wokół ronda tak, że o mało nie wywrócił autobusu.

Najbardziej jednak podobał mu się przejazd przez Tamizę mostem Tower. Na moście znajdowało się sporo osób, a on jechał zygzakiem z jednej strony jezdni na drugą, siejąc popłoch wśród ludzi, którzy, uciekali przed pędzącym na nich autobusem tak długo, aż zmusił ich do wdrapania się na balustradę i wskoczenia do śmierdzącej wody. To było doprawdy najlepsze!

Teraz pędził szeroką ulicą, nie wiedząc dokąd - zresztą mało go to obchodziło - i nabierając szybkości. Czuł rosnące podniecenie. Mknął nie zwracając uwagi na ograniczoną widoczność i nie zważając na jakiegokolwiek przeszkody na drodze.

Wtem ujrzał jakiś pojazd. Szary, wyglądał bardzo dziwnie,

z boku wystawały mu także jakieś dziwaczne przedmioty. Nie zastanawiał się, co to może być, bo podjął już decyzję, że go staranuje. Pojazd przejeżdżał ulicę przed autobusem i gwałtownie przyspieszył, jak gdyby jego kierowca spostrzegł go i próbował zjechać mu z drogi.

Samson zaśmiał się głośno. Nie może mu się wywinąć! Nacisnął jeszcze silniej na gaz i dwie sekundy później autobus staranował pojazd, uderzając go z tyłu; obrócił go, a potem przewrócił, wbijając się w jego bok. Na moment stracił panowanie nad czerwonym potworem, ale nie starał się już go odzyskać. Nie miał czasu - zarykiwał się ze śmiechu.

Autobus popędził dalej i wbił się w wystawę sklepową.

Rozdział dwudziesty

Holman był ogłuszony. Potrzęsął głową, ale to nie pomogło. Było jeszcze gorzej.

Leżał tak jeszcze przez kilka sekund, czekając, aż odzyska czucie w kończynach i aż minie szok. Wolno otworzył oczy i zdziwił się, że jest jasno, choć szarawo. Usłyszał mówiący z daleka dziwny głos. Brzmiał jak nie z tego świata i zdawał się przepelniony niepokojem.

Lekko unosząc głowę, spróbował rozejrzeć się, by zobaczyć, gdzie się znajduje. Ku swojemu zdziwieniu odkrył, że leży na ulicy, a przewrócony Wehikuł Zagłady jest kilka metrów dalej. Głos wydobywał się zza otwartych drzwiczek kabiny. Zrozumiał, że płynie z głośnika. Baza chciała wiedzieć, co się stało.

Musiał wypaść z pojazdu, lecz na razie nie wiedział, czy to dobrze, czy źle. Autobus prawdopodobnie uszkodził drzwi w momencie zderzenia, a one otworzyły się, gdy się przewrócili, wyrzucając go na zewnątrz. Nie czuł, by miał jakieś złamanie. Szorując głową po jezdni, zdarł sobie chyba trochę skórę na twarzy; w obu kolanach czuł piekielny ból. Ale poza tym, wydawało mu się, że wszystko jest w porządku. Spróbował się podnieść i stwierdził, że może to zrobić, chociaż czuł, że kręci mu się w głowie.

Mason! Gdzie jest Mason?! Holman szybko wracał do siebie, odzyskując czucie w ciele. Podpierając się jedną ręką

usiadł, obracając się w kierunku pojazdu. Chyba jest w środku, powiedział do siebie. Boże, żeby tylko nie stało mu się nic poważnego! Dygocząc podniósł się na nogi, po czym chwiejnym krokiem ruszył w stronę otwartych drzwi wozu.

- Mason! - zawołał, zaglądając do środka. Pojazd był pusty.

Holman odwrócił się szybko i oparł o pojazd plecami. - Mason! - krzyknął znowu, tym razem głośniej. I wtedy ujrzał ubraną na szaro postać.

Mason, pochylony, potykając się oddalał się od pojazdu; obie dłonie trzymał przy twarzy, jakby coś go bolało. Szedł w kierunku czerwonego autobusu - czy świadomie, czy też dlatego, że był oślepiiony - nie wiadomo, a kiedy tam się zbliżył, kilka osób wysiadło, przyglądając mu się w milczeniu. Jeden wskazał na niego palcem i zaczął chichotać.

- Mason! Wracaj! - zawołał Holman, zdając sobie sprawę, że bez hełmu na głowie Mason wystawia się na groźne działanie mgły.

Ale Mason go nie słyszał. Szedł w kierunku ludzi z autobusu, potknął się i upadł na jedno kolano. Pasażerowie przez cały czas wysiadali, kilku zaczęło się śmiać, wytykając go palcami i przywołując pozostałych, by przyszli i zobaczyli dziwnie wyglądającego człowieka. Przód autobusu był zaryty w wystawę sklepową. Z wraku wyłoniła się teraz jakaś postać, pełznąca po odłamkach szkła; opierała się o bok autobusu, by nie upaść. Miała na sobie uniform pracownika Londyńskich Zakładów Komunikacyjnych. Z cienkiego rozcięcia na pomarszczonym czole spływała w dół krew, zalewając ciemną twarz. Śmiała się szaleńczo.

Holman przeszedł kilka kroków do przodu, by ostrzec Masona, ale nie trzymał się jeszcze pewnie na nogach i upadł, boleśnie obijając sobie kolana. Krzyknął jeszcze raz, wyciągając rękę w stronę tłumu, ale nikt go nie słyszał.

Kierowca stał teraz nad Masonem, który wciąż jeszcze klęczał na jednym kolanie, kołysząc się i jęcząc z bólu. Ciemnoskóry mężczyzna zamachnął się na niego nogą, potem cofnął się i zaśmiał, gdy niezgrabna postać przewróciła się u jego stóp. Podszedł jeszcze jeden mężczyzna i kopnął Masona, po czym powrócił na miejsce. Tłum wybuchnął śmiechem. Po czym, jakby za cichym porozumieniem, wszyscy skupili się dookoła rozciągniętego na ulicy ciała i zaczęli je kopać.

- Nie, nie róbcie tego! - krzyknął Holman, ale nie zwrócił na niego uwagi. Ku swojemu zaskoczeniu spostrzegł, że Mason przedziera się wśród płataniny nóg, pełznąca na czworakach, chroniony przez kombinezon przed najcięższymi uderzeniami. Napotkał wzrok Holmana i w jego oczach błysnęło zrozumienie. Ale gdy próbował coś do niego krzyknąć, podcięto mu ręce, na których się opierał. Niczym nie osłoniętej głową uderzył głośno o ziemię. Mason leżał bez ruchu. Śmiech przeszedł w histeryczny wrzask, gdy tłum zaczął skakać po nim, chcąc go dobić.

Holman wstał z okrzykiem wściekłości i pokuśtykał w ich stronę. Gniew dodawał mu sił. Rzucił się w tłum, przewracając się wraz z kilkoma ludźmi, ale natychmiast wstał, rozdzielając uderzenia na wszystkie strony. Przez chwilę kulili się przed nim ze strachu, przerażeni jego wściekłością. Czuli, że nie jest jednym z nich.

Wszyscy, z wyjątkiem kierowcy. Nie bał się nikogo. Ryknął do Holmana, że psuje zabawę, i rzucił się na niego. Holman padł pod ciężarem ciała kierowcy, z twarzą wciśniętą w ziemię. Spoglądał teraz w oczy martwego człowieka obok.

Od Masona dzieliło go niecałe pół metra. Mason leżał zwrócony ku niemu twarzą, jego oczy już nie widziały, a rysy zastęły w grymasie bólu. Z kącika ust wypływał strumyczek krwi - widocznie kilka żeber przebiło płuca. Holman nigdy się już nie dowie, czy stało się to w wyniku wypadku, czy kopniaków zadawanych z okrucieństwem przez oszalały motoch. Czuł tylko rozpacz. Chciał tak leżeć na ziemi, aż tłum

sobie pójdzie. Ale zdawał sobie sprawę, że gawiedź nie odejdzie, póki nie zobaczy, że on także jest już trupem. Nagle poczuł ulgę - to ciemnoskóry mężczyzna wstał, uwalniając Holmana od swego ciężaru. Dostał silnego kopniaka, który przewrócił go na plecy. Nad sobą widział jedynie szarość wirujących, przesuwających się obłoków mgły, lekko zabarwionych na żółto, skażonych substancjami wytworzonymi przez człowieka. Ten szary obraz zakłóciło pojawienie się nad nim złowieszczo wyglądających twarzy z wyszczerzonymi zębami. Zebrany wokół tłum spoglądał na niego z góry, jak gdyby był bydłkiem, które za chwilę ma zostać zarżnięte dla czystej zabawy. Przypomniały mu się twarze kolegów szkolnych, którzy wiele, wiele lat temu zamknęli pszczołę w słoiku po dżemie i zaczęli napełniać go wodą przez malutką dziurkę w przykrywce. Potem wyczekująco śmiali się, z rozbawieniem obserwując wysiłki pszczoły, aby się wydostać. W miarę jak poziom wody się podnosił, jej szaleńczo bzycający tor lotu stawał się coraz krótszy i krótszy, malutkie odnóża uderzały o gładkie szkło, chcąc się go uchwycić, ale wszystko nadaremnie. Holmanowi wydawało się, że wesoły śmiech kolegów przeszedł w sadystyczne zadowolenie, gdy poziom wody podnosił się centymetr po centymetrze, a malejąca przestrzeń między powierzchnią wody i przykrywką określała moment zbliżania się śmierci pszczoły. Widok wyszczerzających zęby szaleńców stojących nad nim przypomniawszy mu o tym zdarzeniu; wyraz ich twarzy był podobny do wyrazu twarzy jego dawnych kolegów, a i okoliczności były podobne. Ale tym razem chyba nikt się nie pojawi, by ocalić mu życie, tak jak zrobił to on, wytrącając słoik z rąk kolegi. Słoik rozbił się o ziemię, przywracając owadowi jego krótkie życie. Został za to pobity, ale przynajmniej miał przyjemność ujrzeć miny swych zdziwionych kolegów, zaskoczonych, że ktoś zepsuł im dobrą zabawę.

Jedna z głów zbliżyła się ku niemu, przywołując go do rzeczywistości. Spostrzegł, że należy do ciemnoskórego

mężczyzny. Kierowca autobusu wyciągnął rękę i chwycił Holmana za włosy, po czym potrząsał jego głową do góry i na dół, patrząc dużymi brunatnymi oczami. Holman zobaczył w nich lekko szkliste spojrzenie szaleńca, chociaż oczy były rozbawione okrucieństwem. Przypomniawszy sobie pistolet.

Ostrożnie sięgnął pod marynarkę do kabury pod pachą, wyszarpnął kolbę rewolweru z przytrzymującego ją paska i wyciągając powoli odbezpieczył go, po czym wetknął krótką lufę pod podbródek mężczyzny i pociągnął za spust.

Głowa kierowcy została rozsadzona, obryzgując krwią i strzępami mózgu stojący tłum; kilka odłamków kości wystrzeliło w powietrze jak szrapnel. Siła wybuchu odrzuciła ciało ciemnoskórego daleko od Holmana, ale palce tamtego, silnie zaciskające się na jego włosach, zdążyły jeszcze wyrwać ich kępkę. Holman skoczył na nogi, trzymając w wyciągniętej dłoni pistolet; był przygotowany na jego ponowne użycie, lecz zaskoczony motloch nie odważył się już zaatakować. Stali gapiąc się na ciało wstrząsane drgawkami; ich obłąkane umysły nie były w stanie pojąć, co właściwie się stało.

Holman zaczął się powoli wycofywać. Nie odrywając od tłumy wzroku, czekał na pojawienie się pierwszej oznaki wrogości. Kilka osób wycierało twarze z krwi i patrzyło ze zdziwieniem na swoje palce. Zobaczył kobietę w średnim wieku, która w normalnych okolicznościach zapewne zemdlałaby na widok krwi, zlizującą czerwone plamy z palców najpierw jednej ręki, potem drugiej. Szklistymi oczami rozglądała się po twarzach najbliższych stojących, potem po leżących na ziemi ciałach, aż spojrzała w stronę ostrożnie cofającego się Holmana. Z jej ust wydarło się warknięcie. Holman odwrócił się i uciekł, aby być jak najdalej od autobusu, od tłumy, od martwych ciał, od wehikułu. Uciekł we mgłę.

Z tyłu dobiegł go wrzask; zrozumiał, że już go gonią. Bolały go nogi, nadal nie czuł się zbyt pewnie po zderzeniu, ale nie dopuszczał myśli o poddaniu się. Wiedział, że jeżeli przestanie

uciekać, znów będzie musiał zabijać. A potem oni zabijają jego.

Jakby znikąd, pojawił się samochód. Zahamował tuż przed nim z piskiem opon, tak że padł na maskę, chociaż wcale go nie uderzył. Był to stary ford angilia, pordzewiały, ale nadal na chodzie. Holman stoczył się z maski i podbiegł do drzwi od strony kierowcy. Szarpnął klamkę, otworzył i gdy już miał wyrzucić właściciela wozu, usłyszał przerażony głos mężczyzny, mówiącego: - Proszę mnie puścić. Muszę uciec od tych wariatów!

Holman zawahał się, a potem pochylił, by przyjrzeć się dokładniej człowiekowi za kierownicą. Był po czterdziestce, dobrze ubrany, a co najważniejsze - jego oczy, chociaż pełne strachu, nie miały tego szklistego wyrazu, tak charakterystycznego dla choroby. Mężczyzna za kierownicą popatrzył na Holmana i powtórzył błagalnym głosem: - Proszę mnie puścić.

- Przesiądź się! - rozkazał Holman, wpychając się i odsuwając siłą trzęsącego się ze strachu mężczyznę na fotel obok. Podgazował i wrzucił jedynkę, zatrzasnął drzwi, gdy samochód wyrwał do przodu. Zdażył w samą porę, bo ludzie już sięgali do okien wyciągniętymi rękami; gwałtowny zryw fordą odrzucił ich na bok. Jakiś mężczyzna wbiegł im przed maskę; uderzony zwinął się i padł na jezdnię. Holman gwałtownie skręcił, by uniknąć przejechania jeszcze jednego człowieka, i raptownie zarzucił wozem, gdy wyrósł przed nim Wehikuł Zagłady. Ford zawrócił z piskiem, pokonał krawężnik po przeciwległej stronie ulicy i popędził przed siebie po szerokim chodniku jakieś pięćdziesiąt metrów; zjechał z niego z hukiem, gdy Holman spostrzegł, że nie zmieści się w szczelinie między betonową latarnią a budynkiem. Kiedy stwierdził, że oddalił się już wystarczająco daleko od ścigającego go tłumu, zwolnił, obawiając się, że we mgle mógłby najechać na inny samochód. Uświadomił sobie teraz, że nadal ściska w dłoni rewolwer, a mężczyzna, którego brutalnie zepchnął na siedzenie obok, wpatruje się w broń ze strachem.

Gdy wsunął go z powrotem do kabury, dobiegło go westchnienie ulgi.

- Nie jest pan taki jak inni, prawda? - mężczyzna spytał nerwowo.

Holman oderwał na chwilę wzrok od drogi i spojrzął na niego. Był wciśnięty w drzwi, najdalej jak mógł od Holmana. Jedną ręką trzymał się deski rozdzielczej, drugą przytrzymywał się oparcia fotela. Wyglądał blade i był przerażony. - Jak inni? - zapytał Holman ostrożnie.

- Wiesz, ci wariaci. Wszyscy zwariowali. To ta mgła. Proszę, powiedz mi, że ty jesteś zdrowy jak ja.

Czy to możliwe? Holman jeszcze raz zerknął ukradkiem na mężczyznę; czy to możliwe, że choroba go ominęła? Wyglądał dosyć normalnie. Był przestraszony, w oczach czaił się lęk, ale biorąc pod uwagę okoliczności, zachowywał się racjonalnie.

- Jestem normalny - odparł, ale zastanowił się, „czy rzeczywiście jeszcze tak jest. Czy ktokolwiek mógł pozostać normalny po tym wszystkim, przez co przeszedł?

Mężczyzna uśmiechnął się. - Dzięki Bogu - rzekł. - To było jak w złym śnie. Nie ma pan pojęcia co przeżyłem. - Przetarł dłońmi oczy, które nagle zwilgotniały z żalu nad samym sobą. - Moja... moja żona chciała mnie zabić. Jedliśmy śniadanie; nie zdawaliśmy sobie sprawy, czym jest ta mgła, co oznacza. Nie wiem dlaczego, ale nie skojarzyliśmy jej z mgłą, o której słyszeliśmy, mgłą z Bournemouth. Spojrzałem, a ona po prostu siedziała, patrząc na mnie, i uśmiechała się. Spytałem ją, dlaczego się tak uśmiecha, a ona nic nie odpowiedziała. Tylko coraz bardziej się uśmiechała. Jej oczy... jej oczy były jakieś takie dziwne. Rozszerzone. Jakby niewidzące. - Zaczął cicho płakać. - To było potworne - powiedział łamiącym się głosem. Zaciągnął się głęboko powietrzem i mówił dalej: - Wstała od stołu, obeszła go dookoła i stanęła za mną. Nie wiedziałem, że wzięła nóż do krajania chleba. Odwróciłem się, by spytać, co się dzieje, i ujrzałem spadający nóż. Miałem szczęście: uderzył w ramię i ostrze pękło. Dopiero

wtedy zrozumiałem, co się stało. Zrozumiałem, że była to ta mgła! Skoczyłem i zaczęliśmy się bić. Nie chciałem jej zrobić krzywdy, Boże, była taka silna. Wie pan, ona jest taka mała, moja żona, a tu nagle stała się taka silna. Pchnęła mnie na stół i walczyliśmy tam, na talerzach ze śniadaniem, aż spadliśmy na podłogę. Rozbiła sobie głowę i straciła przytomność. Nie wiedziałem, co zrobić. - Zaczął dygotać, po raz kolejny musiał przerwać, dopóki się znów nie uspokoił.

- Wszystko będzie dobrze - powiedział uspokajająco Holman, współczując mężczyźnie. Ilu ludzi przeszło przez to samo dziś rano? Ilu kochających się ludzi obróciło się przeciwko sobie, próbując zabić, okaleczyć tych, którzy dla nich najwięcej znaczyli? Ilu ludzi pozbawiło się już życia? Czy ten człowiek miał szczęście, że choroba go nie zaatakowała, czy też go nie miał, bo widział, co się dzieje z jego żoną, jak wpada w szal, skoro musiał z nią walczyć, by ocalić własne życie? - Nie mówmy już o tym więcej - rzekł. - Postaram się zawieźć pana w bezpieczne miejsce.

Mężczyzna opanował płacz i podniósł oczy na Holmana. - Nie, ja chcę o tym mówić. Jest pan jedynym normalnym człowiekiem, z którym rozmawiałem do tej pory. Próbowałem prosić ludzi o pomoc, ale wszyscy są tacy sami; wszyscy dostali obłądu. Dlaczego to nie my, dlaczego my nie zwariowaliśmy? Dlaczego nic nam się nie stało?

Holman wahał się, czy powinien mu powiedzieć, że prawdopodobnie choroba zniszczy również jego komórki mózgo- we, że on także zwariuje i że czas wystąpienia objawów chorobowych jest różny u różnych ludzi - że pasożytnicze komórki mnożą się wolniej u jednych, a szybciej u innych. Może będzie mógł go dostarczyć do bazy na czas, by Janet Halstead mogła nad nim popracować? On jest tylko jeden, jest to tylko jedno życie ludzkie, ale już to stanowi coś pocieszającego pośród tej całej rzezi. Jego misja została teraz przekreślona - nic nie mógł zrobić na własną rękę. Być może będzie

mógł wrócić innym wozem, gdy znowu odnajdą jądro, ale do tego czasu może przynajmniej spróbować ocalić to jedno życie.

Na szczęście nie musiał odpowiadać na pytania mężczyzny, bo ten zaczął znów mówić, opisując horror dzisiejszego poranka.

- Związałem ją. Nie wiedziałem, co jeszcze mogę zrobić. Bałem się jej, bałem się własnej żony. Szał minął, gdy ją związałem. Nie wyrывała się; na początku nic nie mówiła, tylko patrzyła na mnie tymi swoimi oczami. Tymi strasznymi oczami. Bałem się w nie spojrzeć - były tak... tak przepętno-nienawiścią! - Potrząsnął głową, jak gdyby chciał coś wymazać z pamięci. - I wtedy zaczęła mówić. Takie sprośności! Nie mogłem w to uwierzyć. Nigdy przedtem nie słyszałem, żeby kiedykolwiek przeklinała, a tu te sprośności, te świństwa sypiące się z jej ust! Nie wierzyłem, że ktoś może ukrywać takie myśli, zwłaszcza ona! Była zawsze taka dobra, taka delikatna. Nie mogłem tego wytrzymać, nie mogłem tego słuchać, nie mogłem patrzeć w te jej oczy! O Boże, nie wiedziałem, co mam robić! Wiedziałem, że muszę uciekać, wydostać się z Londynu, i wiedziałem, że moją jedyną szansą jest samochód. Nie wiedziałem, jak jest na ulicach, ale wiedziałem, że w domu nie mogę już zostać. Jazda była potworna. Nie mogłem jechać zbyt szybko we mgle, bałem się zderzenia i ludzi, których widziałem... Sami szaleńcy. Niektórzy byli niczym rośliny; stali tylko na ulicy i nie poruszali się. Widziałem ludzi pelżających w rynsztoku. Widziałem siedzących w palących się samochodach i kochających się na ulicach. Widziałem mężczyznę, który się dźgał: stał w drzwiach wejściowych i dźgał nożem własne ciało. Och, dzięki Bogu, że pana spotkałem! Gdyby nie pan, sam bym chyba zwariował. Zgubiłem się, wie pan. Nie wiedziałem, dokąd jadę, i było coraz gorzej i gorzej.

- Czy upewnił się pan, zanim ją pan zostawił, że żona jest dobrze związana, żeby nie mogła sobie zrobić czegoś złego?

- Och, ja jej nie zostawiłem - odparł mężczyzna. - Nie mógłbym opuścić Louise. Za bardzo ją kocham, by zdać ją na łaskę każdego, kto mógłby się tam włamać. Ale te jej oczy, te rzeczy, które wygadywała. Nie mogłem tego wytrzymać. Musiałem coś zrobić, żeby przestała wygadywać te straszne rzeczy. Nie mogłem Louise opuścić, nigdy, ona zbyt wiele dla mnie znaczy. A więc wziąłem ją ze sobą; jest z tyłu. Zmusiłem ją, żeby przestała mówić te wstrętne rzeczy i żeby przestała wpatrywać się we mnie w ten sposób, i położyłem ją na tylnym siedzeniu. Tam właśnie jest, moja Louise, za panem w tyle.

Holman szybko zerknął przez ramię i znieruchomiał zaszokowany, podczas gdy samochód toczył się dalej, pozbawiony kontroli, i nabierał szybkości, gdyż mimowolnie naciśnął na gaz.

Na tylnym siedzeniu leżała związana kobieca postać. To, że była kobietą, można było rozpoznać jedynie po ubraniu. Ciało kończyło się bowiem urwanym kikutem wystającym pomiędzy ramion: miała odciętą głowę.

- Nie mogłem jej zostawić, rozumie pan - mówił dalej mężczyzna - i nie mogłem znieść tych rzeczy, które wygadywała, i sposobu, w jaki na mnie patrzyła, więc wziąłem piłę. To była strasznie brudna robota, muszę to przyznać. Kuchnia wyglądała po tym wszystkim potwornie, a ja musiałem się przebrać. I wie pan, ona nie przestawała mówić nawet, gdy zabrałem się do roboty, ale w końcu musiała przestać. - Jego głos nabrzmiał smutkiem. - Nie mogłem jednak zmusić jej oczu, by przestały na mnie patrzeć; nawet wtedy, gdy głowa potoczyła się już po podłodze. Przez cały czas gapi się na mnie w ten obłąkany sposób. Niech pan spojrzy, nadal jeszcze to robi.

Sięgnął za siebie, na wpół klęcząc na fotelu, i zaczął macać w poszukiwaniu czegoś, co leżało na tylnej podłodze. Wynurzył z powrotem rękę, a jego oczy wpatrywały się z napięciem w Holmana. - Niech pan patrzy - powiedział.

Za włosy trzymał ociekającą krwią głowę. Przysunął ją bliżej twarzy Holmana. Miał rację - jej oczy rzeczywiście nadal się gapiły.

Z ust Holmana wyrwał się okrzyk przerażenia. Odsunął się, wszystkie włosy zjeżyły mu się na ciele, po plecach przeszły mu zimne ciarki. Machnął mocno ręką, odtrącając pozabawioną ciała głowę. Samochód zarzucił. Próba zaplanowania nad wozem oderwała na chwilę jego myśli od tego, co go tak zaszokowało.

Mężczyzna siedzący obok był zaskoczony, że Holman uderzył jego żonę w twarz. - Nie rób tego Louise, ty draniu! - krzyknął, kładąc jej głowę delikatnie na swoich udach. Ponownie sięgnął za siedzenie, uważając, by nie upuścić głowy leżącej teraz pomiędzy nogami, i tym razem jego ręka wynurzyła się, trzymając zakrwawioną piłę.

- Zabiję cię! - wrzasnął. - Jesteś taki sam jak cała reszta!

Miał właśnie zamiar wbić zakończone ostrymi ząbkami ostrze w kark Holmana, gdy samochód podskoczył na krawężniku i wjechał na wąski chodnik pośrodku jezdni, odrzucając mężczyznę na drzwi. Piła oparła się na ramionach Holmana, nie wyrządzając mu żadnej krzywdy. Usiłując wyprowadzić z poślizgu pojazd, który zjechał na przeciwny pas jezdni, Holman walnął jeszcze mężczyznę w szczękę. Wcisnął pedał hamulców do oporu; samochód sunął po asfalcie z piskiem opon, próbując odzyskać utraconą przyczepność. Myślał już, że wóz rozbije się o ścianę budynku po drugiej stronie ulicy, lecz ku swemu zdumieniu i uldze spostrzegł przed sobą wolną przestrzeń. Była to boczna uliczka biegnąca w dół. Samochód wjechał w nią poślizgiem, po czym stanął w poprzek. Gwałtowny stop cisnął mężczyznę na przednią szybę. Zanim zdążył oprzytomnieć, Holman sięgnął za jego plecami, pociągnął za klamkę u drzwi i otworzył je jednym ruchem. Potem wypchnął go na jezdnię, pomagając sobie stopami. Dzięki temu, że uliczka biegła w dół, a samochód stał pochylony, ciało mężczyzny z łatwością wypadło z samochodu.

Holman spostrzegł jeszcze, że głowa kobiety z potwornie wytrzeszczonymi oczami zaczęła się powoli staczać po pochyłości.

Nie zwracając sobie głowy zamykaniem drzwi, zapalił zgaszony silnik, wyprowadził wóz na prostą i pojechał dalej w dół, o centymetry omijając głowę, która spoczęła pośrodku ulicy. Wyprostował kierownicę i utrzymywał równomierną szybkość. Drzwi po jego przeciwnej stronie zatrzasnęły się same. Nie miał ochoty zatrzymać się, nie miał ochoty myśleć. Chciał jedynie wydostać się stąd.

Wtem ujrzał przed sobą czarną dziurę, a chwilę potem ogarnęła go ciemność. Znowu nacisnął hamulce i samochód stanął z piskiem opon. Rozejrzał się dookoła w panice, lecz z przodu i po bokach była tylko czerń. Przypomniał sobie o bezgłowym kadłubie za plecami i odwrócił się szybko, jakby chciał sprawdzić, czy nadal tam leży nieruchomo. Szara poświata wpadła do środka przez wysoki prostokątny łuk, około trzydziestu metrów z tyłu. Spostrzegł, że ciało stoczyło się na podłogę za tylnymi siedzeniami. Popatrzył znowu w stronę światła i wtedy zdał sobie sprawę, co się stało. Wjechał do tunelu! Powinien sobie to od razu uświadomić, ale w istniejących okolicznościach wszystko, co się działo, wydawało się nienormalne.

Tunel! I nagle dotarło do niego, który to tunel.

- Tunel Blackwall - powiedział na głos. To musi być właśnie ten: tym tunelem jedzie się do City, przez Aldgate, w dół Commercial Road w stronę Poplar. Ulica, którą właśnie jechał, była prawdopodobnie zjazdem do tunelu z głównej trasy. Ten długi wijący się tunel biegł pod Tamizą do południowej części Londynu, oszczędzając kierowcom wielokilometrowej jazdy wijącymi się ulicami miasta i konieczności dojazdu do dalej położonych mostów, aby przejechać rzekę. Właściwie były tu dwa tunele, biegnące równolegle, lecz całkowicie oddzielne - jeden stary, zbudowany w latach dziewięćdziesiątych zeszłego stulecia, i nowy, ukończony w późnych latach sześćdziesiątych obecnego. Jeden był przeznaczony do ruchu w kierunku północnym, drugi w południowym.

Holman znajdował się teraz w starym tunelu, wykorzystywanym do jazdy na północ. A zatem skorzysta z niego, aby wrócić do Westminsteru, jadąc wzdłuż rzeki po jej południowej stronie. Przez minutę rozważał, czy nie powrócić do swego mieszkania, zabrać Casey i uciec z Londynu, gdzie pieprz rośnie, ale zarzucił ten pomysł, ponieważ zdawał sobie sprawę, że właściwie nie ma żadnego wyboru.

Było jeszcze jedno, co musiał zrobić, zanim ruszy w powrotną drogę: pozbyć się tej groteskowej postaci na tylnej podłodze. Otworzył boczne drzwi i wysiadł, odsuwając do przodu siedzenie kierowcy, by dostać się do ciała - to stare auto było dwudrzwiowym modelem. Mógł włączyć przednie reflektory, by dały więcej światła, ale bynajmniej nie miał ochoty dokładnie widzieć, co robi; stwierdził, że nikłe światło padające z wejścia do tunelu z tyłu najzupełniej mu wystarczy. Macał rękami, aż natrafił na związane stopy, i zaczął wyciągać ciało. Skonstatował, że było ono wyjątkowo lekkie, toteż dało się bez kłopotu wysunąć. Unikał dotykania czegokolwiek oprócz kostek nóg; na myśl o dotknięciu jej bezgłowych ramion robiło mu się niedobrze. Przeciągnął zwłoki pod ścianę tunelu, po czym wyprostował się, wycierając dłonie o poły marynarki, by pozbyć się wspomnienia tego zimnego dotyku. Spoglądając w głąb tunelu, mrugnął kilka razy powiekami, nie wierząc własnym oczom.

Czy to złudzenie, czy naprawdę lam dalej było jaśniej? Podziemny przejazd był spowity mgłą, lecz znacznie rzadszą niż na powierzchni, dzięki czemu widoczność nie była tak bardzo ograniczona. Jego oczy powoli przyzwyczajały się do mroku. Był pewien, że światło pojawia się z przodu, zza zakrętu, lecz nie mogło to być światło dzienne, gdyż wylot tunelu znajdował się co najmniej pół kilometra po przeciwnej stronie rzeki, a po drodze było jeszcze wiele zakrętów, które osłabiłyby to światło. Jedynym wyjaśnieniem mógł być stojący głębiej w tunelu inny samochód z zapalonymi długimi światłami. Zanim ruszy dalej, będzie to musiał sprawdzić; nie

miał ochoty wpaść w nowe tarapaty. Ostrożnie, wolno zaczął iść w stronę nikłej poświaty.

Gdy się zbliżał, stawało się jaśniejsze; było to dziwne żółtawe światło podobne do tego, które widział wcześniej w Winchester. Znajomy dreszcz przebiegł mu po plecach. Zaczął się domyślać, co może być źródłem tego blasku. Serce łomotało mu w piersi aż do bólu i gdy dochodził do zakrętu, musiał zaczerpnąć kilka krótkich płytkich oddechów, by nie zakrztusić się kwaśnym odorem, który wciąż się potęgował. Trzymał się blisko ściany, dotykając jej ręką przed zrobieniem następnego kroku, i w końcu dotarł do pierwszego zakrętu tunelu.

Zakręt był normalny, niezbyt ostry, nie trzeba więc było dochodzić aż do samego środka, by zobaczyć, co jest dalej. Cały tunel w głębi wypełniony był świetlistym żarem, tym osobliwym żarzeniem tak charakterystycznym dla zmutowanej mykoplazmy. Znalazł ją! Teraz już wiedział, dlaczego przyrzędy śmigłowca zgubiły jej ślad: dosłownie zapadła się pod ziemię, zakradła się do podziemnej dziury, prawie jakby pamiętała otchłań, w której była pogrzebana przez tyle lat. Czy to możliwe? Czy faktycznie szukała kryjówki, jak zwierza szuka nory? Nie, to było absurdalne. Ale z drugiej strony on rzeczywiście znalazł ją we wnętrzu katedry i oni rzeczywiście także wtedy ją zgubili. Czy naprawdę mogła przez przypadek przemieszczać się do tych zamkniętych miejsc, do tych stworzonych przez człowieka schronień?

Stał, wpatrując się w jej hipnotyzujące świecenie, oparty o ścianę tunelu, i nagle zdał sobie sprawę, że właściwie już od kilku minut buntuje się przeciwko pójściu w jej stronę. Zdawała się przyciągać go do siebie; coś wewnątrz niego ponaślało go, by zanurzył swe ciało w żarze, ale uświadomienie sobie jej hipnotyzującego wpływu spowodowało, że wzdygnął się przed tym. Czuł, że straci swoją odporność, jeżeli wejdzie w mykoplazmę w jej najsilniejszej postaci.

Gdy tylko znalazł się poza zasięgiem jej oddziaływania, magnetyczne przyciąganie urwało się; nie był już pewien, czy była to jego wyobraźnia, czy też nie. Ruszył szybko do samochodu, intensywnie myśląc, i zanim do niego doszedł, miał już w głowie pewien pomysł.

Wskoczył do wozu, zapalił silnik i, nie włączając świateł, zaczął się cofać w kierunku wylotu tunelu. Spoglądając przez ramię przez tylną szybę, ujrzał stojącą w zamglonym przejściu niewyraźną postać. Gdy podjechał bliżej, spostrzegł, że był to mężczyzna, którego wyrzucił wcześniej z samochodu. W ramionach, jak w kołysce, tulił głowę swej martwej żony.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Holman kulił się w ciemnym wnętrzu sklepu, z dala od spojrzeń wrzeszczących na ulicach grupek szaleńców. Zajął odpowiednią pozycję, by widzieć leżący pośrodku jezdni Wehikuł Zagłady. Miał wrażenie, że mgła jest teraz o wiele rzadsza, choć ciągle pojawiały się dryfujące gęste skupiska, a i samo powietrze jakby nadawało jej żółtawy odcień. Holman wracał do wehikulu, zachowując maksymalną ostrożność, ponieważ wszystko teraz zależało od radia; potrzebował wsparcia z bazy, jeśli miał przeprowadzić swój plan. I pewnych narzędzi.

Prowadził powoli i za każdym razem, gdy spotykał groźnie wyglądających osobników czy też grupy motłochu, przyspieszał; zwalniał dopiero, gdy znalazł się w bezpiecznej od nich odległości. Dwukrotnie został zmuszony do wjechania na chodnik - raz, by zejść z drogi niebezpiecznie prowadzonym samochodom, drugi zaś świadomie, by przejechać psa, który szalał, z wściekłością atakując ludzi, ale był to jedyny raz, gdy pozwolił sobie na ingerencję w otaczający chaos, i to tylko dlatego, że pies pojawił się dokładnie na jego drodze. Gdyby musiał go gonić, prawdopodobnie nie zawracałby sobie nim głowy. Odgrodził się od tego sennego koszmaru na zewnątrz i był teraz wyłącznie obojętnym obserwatorem. Wiedział, że to rodzaj samoobrony: zawsze potrafił się opanować i zapomnieć o swoich emocjach, gdy jakaś sytuacja stawała się nie

do zniesienia. Było go stać na to, by całkowicie poświęcić się działaniu, ale też i na to, by wycofać się, gdy tak nakazywała zimna logika. Nie była to wcale obojętność, ponieważ już po wszystkim, jego emocje znowu dochodziły do głosu. To była po prostu jego wrodzona zdolność przeżycia.

Nie odczuwał cienia sympatii do ludzi na zewnątrz; raczej się ich bał. To dziwne, jak szaleństwo, które mimo wszystko jest przecież tylko chorobą umysłu, może działać odpychająco na kogoś „normalnego”. Czy dlatego, że wywołuje strach? Nawet gdy był przy Casey wtedy, gdy leżała uspokojona lekami, czuł wewnętrzny niepokój, przymus, by uciec od niej, przestać o niej myśleć. A i ona musiała odczuwać to samo, gdy on był obłąkany.

Z drugiej jednak strony nie potrafił się całkowicie psychicznie odizolować od zewnętrznego świata, zwłaszcza gdy widział dzieci, niekiedy bardzo małe, poubierane jeszcze w pizamy, często walęśające się samotnie po ulicach z wyrazem obłędu na swoich małych twarzyczkach. To poruszało go najbardziej. Chciał im pomóc, zebrać je razem i odprowadzić w bezpieczne miejsce, osłonić je przed tym wszystkim, dopóki nie nadejdzie pomoc, lecz wiedział, że najskuteczniej im pomoże, gdy przeprowadzi swój plan.

Pomysł był prosty: zmutowana mykoplazma była uwięziona przez wiele lat pod ziemią, zamknięta i przygnieciona setkami ton ziemi; teraz schroniła się w innej podziemnej budowlu zbudowanej przez człowieka. Można by ją tam uwięzić, jeżeli zamknie się szczelnie z obu stron tunel. Wrócił więc do pojazdu i z ulgą zauważył, że nikt przy nim nie majstrował: z radia dochodził szum (głos odzywał się co dziesięć minut, z wielką niecierpliwością czekając na odpowiedzi dwóch pasażerów pojazdu). Połączył się z bazą, by powiadomić o swoim planie. Dźwięk jego głosu wzbudził tam duże życie i uczucie ulgi. Ludzie po drugiej stronie byli profesjonalistami i w jednej chwili zaakceptowali jego pomysł. Poprosił o materiały wybuchowe, takie jakie stosuje się do

pracy w kamieniołomach i przy rozbiórkach, ponieważ mają najsilniejsze działanie. Zażądał, by załadowano ich tyle, ile się zmieści do drugiego Wehikułu Zagłady na wypadek, gdyby nie powiodła się pierwsza próba, a także, by przysłano pirotechnika, ponieważ jego wiedza w tej dziedzinie była mocno ograniczona. Podał im dokładne wskazówki co do miejsca swojego pobytu (wracając do pojazdu sprawdził nazwy najbliższych ulic): znajdą go wraz z przewróconym wehikułem na East India Dock Road, niedaleko zjazdu o nazwie Hale Street. Dodał jeszcze, żeby się pośpieszyli.

Głos po drugiej stronie nakazał mu nie ruszać się z miejsca i czekać cierpliwie tak długo, aż do niego dotrą. Rozkazali mu też, by unikał jakichkolwiek kłopotów. Jeżeli zostanie zaatakowany, ma bez zastanowienia użyć broni.

Uśmiechnął się ponuro. Nie wahał się już zabijać, ponieważ o ludziach na zewnątrz myślał jako o istotach niepodobnych do człowieka; ich wrogość stłumiła jego uczucie litości dla nich.

Pamiętał wciąż tego obłąkanego mężczyznę, który przy wlocie tunelu tulił odciętą od ciała głowę swej żony: wpakował wóz prosto w niego. Czuł do tego człowieka nienawiść, zrodzoną z obrzydzenia do tego, co ten szaleniec zrobił; wiedział, że była to nienawiść zupełnie nieuzasadniona, bo przecież ten mężczyzna nie odpowiadał za swoje czyny w tym stanie umysłu, w jakim się znalazł. Uderzenie zabiło go, tego Holman był pewien, ale nie odczuwał z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia. Być może później, gdy będzie miał czas na rozmyślanie, odczuje żal, ale w tej chwili był okrutny; po części ze strachu przed chorobą, ale głównie dlatego, że miał teraz do spełnienia misję, której nie mógł narazić na niepowodzenie.

Minęły dwie godziny, zanim ujrzał wylaniający się z mgły drugi wehikuł. Pojazd zatrzymał się tuż za swym pechowym bliźniakiem. Holman opuścił swą kryjówkę wśród półek z konfekcją za ladą sklepową i ruszył do drzwi; odryglował je i wyszedł na zewnątrz, na zamgloną ulicę. Gdy tu przyszedł,

zastał drzwi szeroko otwarte; doszedł do wniosku, że właściciel nie zamknął ich, opuszczając sklep w popłochu. Kiedy podchodził do drugiego wehikułu, uchyliły się boczne drzwiczki i jakaś postać ubrana w ciężki kombinezon wygramoliła się na zewnątrz, trzymając w ręku coś, co wyglądałoby na zwyczajny karabin, gdyby nie spust, długi na co najmniej osiem centymetrów, z wydłużoną owalną osłoną. Postać miała na sobie hełm, wyposażony w wąski ciemny wizjer, tak że musiała obrócić się całym tułowiem, by zobaczyć Holmana. Czarny wizjer skierowany był w jego stronę, kiedy tak podchodził z dłonią lekko uniesioną w geście pozdrowienia, a potem uspokojenia. I wtedy człowiek w hełmie podniósł karabin. Cztery palce niezgrabnej rękawicy zacisnęły się na długim spuście i głos o znajomym metalicznym brzmieniu rzucił ostro: - Nie ruszać się!

- W porządku - powiedział ze znużeniem w głosie Holman. - To ja, Holman. - Ale mimo wszystko zatrzymał się.

Tymczasem z pojazdu wychodziła jeszcze jedna postać ubrana w szary kombinezon.

- Tak, kapitanie, to Holman. Opuść broń.

- Przepraszam, sir - rzekł uzbrojony mężczyzna, ale jestem trochę nerwowo po tym, co widzieliśmy po drodze.

- Nie ma sprawy - odparł Holman. - Wiem, co masz na myśli.

Postać przeszła obok kapitana i zbliżyła się do Holmana.

- Dobra robota, panie Holman - rzekł znajomy głos, chociaż zniekształcony przez głośnik. - Mamy nadzieję, że przybyliśmy na czas, aby wykonać pański plan.

Rozpoznał lekki akcent niemiecki. - Profesor Ryker? - spytał.

- Tak - nadeszła odpowiedź. - Postanowiłem zobaczyć z bliska mutację, zanim odetniemy jej wyjście. Gdy tylko zostanie odcięta, sama mgła powinna łatwo dać się rozproszyć. Później będziemy mogli wydrążyć dziury i wciągnąć mykoplazmę do pojemników. To, co pobierzemy, powinno dostarczyć nam wystarczającej ilości szczepionki do wyleczenia

prawie wszystkich ludzi, którzy odpowiednio wcześniej do nas trafią. Ale wpiery muszę dostać próbkę, gdyż obawiam się, że nadal nie bardzo wiemy, czym dokładnie jest ta mutacja.

- Ale musicie przecież mieć już do tej pory jakąś hipotezę - powiedział Holman.

- Być może zniszczone komórki mózgowe uległy w jakiś sposób krystalizacji po zarażeniu się mykoplazmą, rozmnażając się i żerując na zanieczyszczeniach powietrza i dwutlenku węgla pobieranym z otoczenia. Zgadza się, mam pewną hipotezę - dodał Ryker - ale to nie wystarczy. Nadal potrzebujemy trochę samej mykoplazmy. I to szybko, jeżeli mają z tego być jakieś korzyści. - Wskazał ręką w stronę wehikułu, którym przyjechał. - A teraz proszę, jedźmy na miejsce, do tego tunelu. Nie możemy tracić więcej czasu.

Ruszył z powrotem do pojazdu, ciągnąc delikatnie za ramię idącego obok Holmana. - Oto kapitan Peters, nasz ekspert - rzekł, gdy mijali postać wciąż jeszcze ściskającą w ręku broń.

- Sir - kapitan zwrócił się do Holmana - ciągle jeszcze nie powiedział nam pan, co się stało z Masonem.

Holman wskazał palcem na dwa trupy spoczywające na ulicy nie opodal autobusu. - Jeden z nich to Mason. Dostał przy zderzeniu, a potem natknął się na tłum. Stratowali go nogami na śmierć.

Kiedy wdrapywał się do wnętrza wehikułu, wydawało mu się, że usłyszał, jak kapitan klnie pod nosem. W środku wozu zaskoczył go widok jeszcze jednej postaci, także ubranej w groteskowy skafander.

- To sierżant Stanton - przedstawił go kapitan, wcisnąwszy się tuż za Holmanem. Hełm sierżanta skinął w jego stronę.

- Czy znaleźliście miejsce na materiały wybuchowe? - zapytał całkiem poważnie Holman. W małej kabinie było tłoczno, zwłaszcza biorąc pod uwagę grube kombinezony trójki pasażerów.

- Myślę, że przekona się pan sam, iż mamy tu dość miejsca, sir - odparł sierżant równie poważnie.

Wszyscy widzieli już tego dnia tyle tragicznych wydarzeń, że nie mieli ochoty na wesołość.

- Przywieźliśmy plastik wybuchowy. Wystarczy, by wysadzić siedzibę parlamentu. Prawie cały ładunek jest pod pana siedzeniem.

Holman poruszył się niespokojnie.

- Proszę się nie niepokoić, sir - powiedział kapitan. - Na razie jest to całkowicie bezpieczne.

- Do momentu, aż ktoś w nas walnie - zauważył ironicznie Stanton.

- Prawda - zgodził się kapitan. - Myślę, że będzie lepiej, jeżeli pan Holman poprowadzi, o ile się czuje na siłach. Z pewnością lepiej widzi niż którykolwiek z nas. Nie mamy odwagi zdjąć teraz tych hełmów, gdy już raz drzwi zostały otwarte.

Holman z trudem przecisnął się do przodu kabiny, na fotel kierowcy, a jego miejsce zajął sierżant.

- Rzecz jasna, nadal nie wiemy, czy te skafandry są wystarczająco mocne, by oprzeć się mykoplazmie - powiedział Ryker. - W każdym razie na pewno nie w pobliżu jej środka, tam, gdzie jest w najczystszej postaci. Dlatego właśnie to ciągle jeszcze pan, panie Holman, jest tym, który będzie musiał pobrać próbkę.

Gdy Holman wzdrygnął się, Ryker mówił dalej uspokajającym tonem: - Nie martw się, mój przyjacielu. Nie będzie pan musiał blisko podchodzić, mamy długie rury, które wprowadzi pan w jądro. A jeden z nas pójdzie z panem tak daleko, jak to będzie możliwe, aby pilnować, żeby nie stała się panu jakaś krzywda.

Wehikuł ruszył i po raz kolejny czterech mężczyzn uderzył okropny widok ludzi znajdujących się w stanie skrajnego upadku. Holman zauważył, że teraz częściej zbierali się w stada, że coraz rzadziej i rzadziej widziało się pojedynczych ludzi. Powiedział to na głos.

- Tak, też to zauważyliśmy jadąc tutaj - odparł Ryker. -

Nad rzeką jest ich tysiące. Musieliśmy znaleźć inną trasę, by tu dotrzeć.

- O Boże, chyba nie myśli pan... - zaczął Holman, przypominając sobie Bournemouth.

- To możliwe - rzekł ponuro Ryker, odgadując myśl Holmana. - Właśnie dlatego najistotniejsze w tej chwili jest to, by tym razem nam się udało i byśmy zniszczyli mgłę.

- Dlaczego, co można zrobić? Tysiące, a raczej miliony, ludzi popełni masowe samobójstwo. Rzuca się do rzeki. Tamiza napelni się ciałami; będącie ich tak dużo, że przejdzie się po nich na drugą stronę!

- Proszę się uspokoić, panie Holman. - Ryker delikatnie położył dłoń na ramieniu Holmana. - Mamy zamiar rozpylić nad całym miastem gaz usypiający.

- Co takiego? Przecież to niemożliwe!

- Nie, niezupełnie - odparł spokojnie Ryker. - Od momentu, gdy kryzys dotknął Londyn, na wszystkie małe samoloty i śmigłowce - zarówno pasażerskie, jak i wojskowe - załadowano chlorek wapnia i tlenek azotu. Tlenek azotu jest to gaz, który można również nazwać gazem nokautującym. Naszym celem jest spowodowanie, by całe miasto spało tak długo, dopóki nie wynajdziemy i nie zastosujemy serum. I niech pan nie zapomina: wielu ludzi nie będzie jeszcze chorych, gdyż choroba nie zaczyna się u każdego człowieka zaraz po infekcji, i ci właśnie ludzie będą mieli największe szanse. Rzecz jasna, setki, może nawet tysiące osób nadal będzie umierać, ale większość zostanie uratowana. Zakładając, że będziemy mieć serum i że zdążymy na czas!

Holman zwiększył szybkość jazdy. To było coś, w co chciał uwierzyć. Można ocalić niezliczoną liczbę istnień! Musi się im udać. Bez względu na to, co ich spotka po drodze, tym razem musi się udać!

Wkrótce, starannie unikając miejsc, w których mogły na nich czyhać kłopoty, podjechali pod czarne wloty bliźniaczych tuneli. Holman zatrzymał pojazd i wszyscy wyszli

na zewnątrz. Jako pierwsi wysiedli dwaj żołnierze z bronią gotową do strzału, gdyby zaistniała taka potrzeba.

- Tam w środku w tunelu jest jakieś ciało - powiedział obojętnym tonem sierżant, wskazując na leżącą na ziemi postać. Był to mężczyzna, który został potrącony przez Holmana.

- To ja go zabiłem - powiedział, a oni przyjęli to bez żadnego komentarza, jak gdyby poinformował ich, że zdeptał robaka.

- A teraz - rzekł Ryker, który jako ostatni wyłonił się z wehikułu - musimy się upewnić, czy to jądro jest tam nadal. Jeśli tak, to pan już wie, co trzeba zrobić, panie Holman. - Po chwili dodał, zaskoczony: - Ale tam są dwa tunele!

Holman kiwnął głową. - Zgadza się. Jeden to stary tunel, ten po prawej, wykorzystywany do ruchu w kierunku północnym, ten drugi zaś to nowy, zbudowany niedawno - prowadzi na południe. Jądro znajduje się w starym tunelu. - Wskazał ręką dodając: - Przynajmniej mam taką, na Boga, nadzieję, że jeszcze tam jest.

Czterech mężczyzn wmaszerowało do środka - trzech stąpało ciężko z przypiętymi do pleców małymi butlami tlenowymi, jeden, bez skafandra, uosabiał pomiędzy nimi kruchość istoty ludzkiej.

- Jest dość solidne - stwierdził kapitan, wpatrując się w sklepienie tunelu. - Piękne, wielkie bloki betonu, które runą i zapełnią tę dziurę. Tak, wszystko powinno pójść gładko.

- Kurwa - przeklął przez zaciśnięte zęby sierżant - tam leży jakaś pieprzona głowa.

- Nieważne - rzucił chłodno Holman.

Wszedł w ciemność tunelu na jakieś sześć metrów, po czym zatrzymał się, pozwalając oczom oswoić się z ciemnością. - Jest tam - powiedział po chwili.

Dwaj żołnierze wrócili do wehikułu i zdjęli ołowiany kontener podwieszony na kołach u boku pojazdu; był podobny do tego, z którego Holman korzystał w Winchester, tylko większy. Sierżant odpiął drugie odcinki giętkich stalowych

zur, zwężonych na końcu. Przerzucił ich zwój przez ramię i ruszył za kapitanem, który prowadził zmotoryzowany kontener w stronę wlotu tunelu.

- Wie pan, jak się obchodzić z maszyną, panie Holman - rzekł Ryker, stając przed nim i kładąc rękę na jego ramieniu, jakby przez kontakt fizyczny jego słowa miały się stać bardziej zrozumiałe. - Jak już powiedziałem, nie ma potrzeby podchodzenia do jądra zbyt blisko. Ma pan pięćdziesiąt metrów stalowych rurek, które są wystarczająco sztywne, by wprowadzić je do środka mykoplazmy. Przez włączenie maszyny mykoplazma zostanie wessana do pojemnika. Pójdę z panem; chcę popatrzeć z bliska na tego potwora.

- Niech pan to weźmie ze sobą, sir - powiedział kapitan, wręczając Holmanowi mały aparat tlenowy. - Może się zdarzyć, że będzie pan tego potrzebował. I jeszcze latarka.

Holman podziękował, po czym przełożył przez ramię pasek butli, zarzucając ją na plecy. Włączając latarkę, drugą dłoń położył na poręczy ruchomego kontenera i powiedział: - Jestem gotów, profesorze.

Zeszli w dół po pochyłości tunelu, kierując się w stronę pierwszego skrzyżowania. Ryker zeszywniał, gdy ujrzał widoczną z przodu światłość.

- Widzę to teraz - rzucił w stronę Holmana.

Holman nie tracił czasu na odpowiadanie; czuł, że jego nerwy są coraz bardziej napięte w miarę zbliżania się do zakrętu; czuł na plecach znajome lepkie zimno. Promień latarki kierował na ziemię tuż przed sobą, wiedząc, że gdyby skierował światło prosto przed siebie, to odbiłoby się od mgły i powróciło do niego. Przeszedł pod ścianę tunelu, jak gdyby chciał zejść z pola widzenia światłości z przodu, jakby to była widząca istota. Dziwne, ale Ryker poszedł w jego ślady.

Gdy dotarli do zakrętu, przystanęli na chwilę i Holman odwrócił się, by spojrzeć na naukowca, jak gdyby szukając u niego uspokojenia. Ryker skinął głową i wskazał przed siebie.

- Pójdę z panem za zakręt, aby to lepiej widzieć, ale dalej, wydaje mi się, nie powinienem iść.

Holman wciął głęboki oddech, ale po chwili musiał odkaszlnąć, by oczyścić gardło z oparów. Nie było jeszcze tak źle, lecz gdy zagłębi się w tunel, będzie zmuszony użyć aparatu tlenowego. Ruszył dalej, Ryker za nim.

Byli już blisko końca następnej prostej, gdy Holman rzekł: - Lepiej będzie, jeśli pan tu się zatrzyma, profesorze. Światło staje się coraz silniejsze.

- Tak, tak, myślę, że ma pan rację - nadeszła odpowiedź.

- Nie widzę zbyt dobrze przez ten wizjer, ale wydaje mi się, że chyba jesteśmy bardzo blisko głównego skupiska mykoplazmy.

- Najgorsze jest zapewne za najbliższym zakrętem; widzę światło dochodzące zza rogu. Ja idę dalej, pan niech tu zostanie. Nie zjeżdż z pańskiego pola widzenia, jeśli to będzie możliwe.

Znowu odczuł potrzebę ruszenia w stronę światła, lecz zrobił tak tylko dlatego, że musiał. Mgła chyba była teraz gęstsza; uznał, że prawdopodobnie jest to spowodowane odbijaniem się światła od jej drobin, co utrudniało widzenie. Odwrócił głowę, by upewnić się, czy Ryker nadal znajduje się w zasięgu wzroku; nie chciał, by profesor przestał go widzieć. Wkrótce był już przy następnym, delikatnie załamującym się zakręcie, który w przeciwieństwie do pierwszego prowadził w prawo. Pozostał jednak po tej samej stronie tunelu, mając nadzieję, że będzie mógł dosięgnąć jądra z miejsca położonego jak najbliżej początku zakrętu, jeśli to będzie możliwe.

Światło stało się oślepiające, gdy dotarł do miejsca, z którego rozciągał się widok w głąb tunelu. Albo to ograniczona widoczność dawała takie złudzenie, albo rzeczywiście jądro stało się większe: był pewien, że nie było tak jasne jak wtedy w Winchester. Prawda, że nie znajdował się wtedy tak blisko tego jak teraz, lecz dzięki ogromowi starej katedry miał otwarty, rozległy widok. Zaczął szybko łączyć ze sobą elementy maszyny, wkładając koniec stalowego zwoju w otwór ssący

kontenera, przesuając blokadę, by złączenie było pewne. Im szybciej wykona swe zadanie i będzie się mógł stąd wydostać, tym lepiej. Zanim zaczął przesuwać rury w kierunku jądra, założył ustnik butli tlenowej, ponieważ kwaśny odór stawał się coraz silniejszy. Zabrał się za rozwijanie zwoju stali, kładąc twarde zakończenie na płaskim podłożu tunelu i powoli je przesuując. Po chwili stwierdził, że schodzi z właściwego kursu, ale to nie miało znaczenia, wiedział bowiem, że boczna ściana poprowadzi go w stronę żarzącej się z przodu masy. Krople potu wystąpiły mu na czoło - to skutek lepkiego gorąca panującego wewnątrz przepastnego tunelu i napięcia, które zacisnęło na nim swoje kleszcze.

W końcu rury poczęły znikać w żarze. Nie napotykały żadnego oporu, co zaskoczyło Holmana, który był prawie pewien, że jądro stanowi jakąś substancję, ma przynajmniej pewien rodzaj gęstości. Po raz kolejny uświadomił sobie, że pobiera próbkę organizmu składającego się z milionów maleńkich mikrobów. Wypchnął stalowe rury do końca ich długości i wdusił przycisk na konsoli kontenera, który kierował działaniem ssącym. Maszyna zaczęła szumieć i pobierać śmiertcioną mutację do swego opancerzonego wnętrza. Wijący się zwój stali sztywniał i wyprostowywał się. Wtedy, w Winchester, Holman otrzymał instrukcję włączenia maszyny na dwie minuty, by zbiorniki mogły wypełnić się zmutowanymi mikrobami, ale ponieważ ten zbiornik był większy, postanowił zostawić urządzenie włączone przez co najmniej trzy minuty. Ukląkł na jednym kolanie i zanurzony w żółtym żarze, zaczął obserwować rozciągający się przed nim fenomen.

Doszedł w końcu do tego, że zaczął uważać mgłę za istotę myślącą. Ryker nazwał ją potworem. To określenie było właściwsze. Nadal miał wrażenie, że w jakiś sposób mgła przeciwstawiała się użytej przeciwko niej przemocy, ale z pewnością takie odczucie było spowodowane wysokim tonem szumu maszyny, dygoczącą sztywnością stalowych rur i grą jego

własnej wyobraźni. Przynajmniej tak to sobie tłumaczył.

Przymus podejścia bliżej źródła światła stał się silniejszy; kilkakrotnie w ciągu ostatnich trzech minut, które dłużyły się niemiłosiernie, uświadomił sobie, że gapi się bezmyślnie na jaśniejącą masę. W końcu, z westchnieniem ulgi, wyłączył maszynę, nacisnął drugi przycisk, by skutecznie odciąć pojemnik, po czym odłączył rury, zostawiając je w bezładzie na ziemi. Wstał i raz jeszcze spojrzął na blask. A może powinien przyjrzeć się temu z bliska? Może za falującą z przodu mgłą znajdzie jakąś wskazówkę co do jej powstania? Może pozna jej strukturę i będzie mógł o tym powiadomić Rykera, który być może natrafi wtedy na ślad jakiegoś istotnego ogniwa w swej teorii? Mimo wszystko przecież był odporny, nie mogło mu to zrobić żadnej krzywdy.

Zaczął iść w stronę jądra.

Gdy przeszedł dziesięć metrów, jakaś dłoń w rękawicy opadła ciężko na jego ramię i zawróciła go gwałtownie.

- Co pan wyrabia?! - zażądał odpowiedzi Ryker, dysząc po przebiegnięciu niewielkiego odcinka w krępującym ruchu kombinezonie.

Holman nic nie odpowiedział, gapił się tylko w zaciemniony wizjer.

- Ledwie pana widziałem w tej mgłę - mówił dalej Ryker - a kiedy mi pan całkowicie zniknął z oczu, wiedziałem, że stało się coś złego. Już dawno tak nie biegłem. Proszę mi powiedzieć, co pan chciał zrobić?

Holman potarł czoło. - Chryste - rzekł - nie wiem. Szedłem prosto w to. Coś mnie w środku pchało, by być bliżej tego.

- Rozumiem - odpowiedział powoli w zamyśleniu Ryker. - Proszę na to już nigdy więcej nie patrzeć. Zostawmy to i wracajmy do maszyny. Czy zakończył pan swoje zadanie?

- Tak, chyba tak. Ale pan nie powinien stać tak blisko, pański kombinezon nie gwarantuje chyba całkowitego zabezpieczenia.

- Wiem, wiem, ale musiałem pana zatrzymać.

Zabrali maszynę i skierowali się z powrotem w stronę wejścia do tunelu. Największą ulgę odczuli dwaj żołnierze, którzy niepokoiли się już o nich coraz bardziej.

- Czy wszystko okay, sir? - zapytał kapitan podchodząc, by poprowadzić maszynę.

- Wszystko w porządku - odparł Ryker. - Nie traćmy czasu, musimy natychmiast zamknąć wejście do tunelu. Proszę zabrać kontener, by nic mu się nie stało, później będziemy się zastanawiać, jak go załadować na wehikuł. Wpierw skończymy naszą robotę... - Popatrzył na sklepienie tunelu i uśmiechnął się wewnątrz swego hełmu.

- Jakie szczęście, że pomyśleli o zbudowaniu drugiego tunelu. Kapitan Peters i ja weźmiemy materiały wybuchowe i pojedziemy tunelem prowadzącym na południe, po czym założymy je na drugim końcu. Musimy zamknąć tunel jednocześnie po obu stronach, by mykoplazma znalazła się w pułapce. Odliczymy czas, aby wybuchy po obu stronach nastąpiły w tym samym czasie.

Weszli do wehikułu i sierżant zaczął wyładowywać trzy skrzynki z materiałami wybuchowymi. - Jest tego chyba więcej, niż trzeba - rzucił w ich stronę. - Gdy nie uda się za pierwszym razem, zostanie nam jeszcze tyle, że możemy próbować znowu i znowu. Sięgnął ręką w głąb kabiny i wyciągnął jeszcze jedną skrzynkę, tym razem o wiele mniejszą. - To detonatory - wyjaśnił.

Odwrócili się na odgłos kroków. To wracał kapitan.

- Umieściłem kontener w połowie górnego występu - powiedział - tam gdzie odgałęzia się ulica biegnąca w stronę wjazdu, którym jechaliśmy. Tam będzie na razie bezpieczny. Praktycznie jest niezniszczalny i nikt go nie przesunie, chyba że wie, jak się z nim obchodzić.

Wsadził głowę do wnętrza pojazdu i gdy pojawił się znowu, trzymał w dłoni małe radio nadawczo-odbiorcze. - Będziemy utrzymywali ciągłą łączność - powiedział. - Proszę to wziąć, panie Holman. Posługiwanie się tym jest bardzo proste. Może pan z nami rozmawiać, gdy sierżant będzie zajęty

zakładaniem ładunków. - Podał radio Holmanowi, który rzucił na nie szybko okiem, po czym skinął głową.

- Przejazd przez tunel i założenie ładunków nie powinno nam zabrać więcej niż dwadzieścia minut - pod warunkiem, że nie będziemy mieć po drodze żadnych kłopotów - powiedział kapitan, spoglądając na zegarek. - Ale będziemy w kontakcie radiowym i w ten sposób zgramy czas wybuchów. Czy wszystko gotowe? - zwrócił się do Rykera.

Ryker skinął głową i wdrapał się do środka wozu. Zanim cały wszedł, odwrócił się i powiedział: - Oby los nam sprzyjał, szczęść nam Boże.

Gdy sierżant zakładał w tunelu ładunki wybuchowe w odległości dziesięciu metrów od wejścia, Holman został na wszelki wypadek w tyle, chociaż zapewniano go, że nic mu nie grozi aż do momentu, gdy ładunki zostaną połączone z materiałem zapalającym.

- W istocie - wyjaśniał sierżant Stanton - bardziej niebezpieczny jest sam materiał zapalający. Jest tu odrobina tlenu ołowiu plus trochę więcej trynitrotolenu w skrócie TNT. Bardzo wybuchowe. - Uśmiechnął się spoza hełmu do Holmana, widząc, że ten jest zaniepokojony. - Niech się pan nie boi, przy mnie nic się panu nie stanie! - Wyszedł i gwizdząc fałszywie ruszył do środka tunelu, szczęśliwy, że ma wreszcie coś porządnego do roboty, a w dodatku coś, na czym się doskonale zna.

Holman odciągnął leżące przy wejściu zwłoki mężczyzny, którego wyrzucił wcześniej z samochodu. Z jakiejś niezrozumiałej dla niego przyczyny nie chciał, by spoczęły pod tonami betonu. Po chwili z tunelu wyłonił się sierżant, rozwijając za sobą długi cienki przewód nawinięty na szpulę.

- No, to powinno wystarczyć - stwierdził z zadowoleniem, siłąc się na wesołość.

Z radia w dłoni Holmana rozległo się nagle jakieś brzęczenie. - Halo, panie Holman, czy pan mnie słyszy? - Był to głos Rykera, dobiegający jakby z jakiegoś odległego miejsca.

Był bardziej zniekształcony, niż gdy profesor mówił przez mikrofon umieszczony w hełmie. - Kapitan jest teraz w tunelu - informował głos. - W tunelu biegnącym na południe nic nie ma. Jest, rzecz jasna, pełno mgły, ale nie ma tam jądra. Musieliśmy bardzo uważać ze względu na fatalną widoczność, ale oświetlaliśmy sobie drogę reflektorami i trzymaliśmy się blisko ściany. Do tej pory nie spotkaliśmy po tej stronie żadnych ludzi. I muszę przyznać, że wcale za tym nie tęsknimy. Wylot, a raczej wlot z tej strony świetnie się nadaje do naszych celów. Zbocze przy drodze prowadzącej do tunelu jest pokryte ciężkimi betonowymi belkami. Zaparkowaliśmy nasz pojazd po przeciwnej stronie drogi do drugiego tunelu, która biegnie o wiele wyżej niż tamta. Właśnie teraz tu jesteśmy; przed sobą mam wejście. Jak tylko będziemy gotowi, przemieścimy się w bezpieczne miejsce. A jak idzie po waszej stronie?

- Sierżant Stanton właśnie rozwija lont. Już niedługo powinniśmy być gotowi.

- Dobra. Kapitan Peters prosił mnie, by przekazać sierżantowi, że jeden ładunek umieści możliwie najbliżej sufitu, a drugi na dole ściany po przeciwnej stronie. Proszę powiedzieć to sierżantowi Stantonowi.

Krzycząc Holman przekazał tę wiadomość Stantonowi, znajdującemu się teraz na szczycie zbocza, w pewnej od niego odległości. Sierżant spojrział na niego, kiwnął głową, wskazał ręką na siebie i podniósł do góry kciuk.

- Sierżant zrobił tak samo - powiedział Holman do mikrofonu.

- Dobrze, to dobrze. Teraz przydałoby się znaleźć jakieś ukrycie. Kapitan wychodzi już z tunelu, powinniśmy więc niedługo być gotowi do akcji. Odezwę się za kilka sekund.

Radio zamilkło, a Holman wrócił do sierżanta Stanton, który wdrapał się na półkę na zboczu przed tunelem, chcąc dojść do punktu leżącego ponad wlotem do tunelu.

- Zaraz będziemy na górze - powiedział Stanton do Holmana wdrapującego się za nim. - Tak zrobiłem, że tunel

nie zawali się w naszym kierunku, ale musimy uważać, by nie dostać jakimiś odłamkami skał.

- A co z kontenerem? - Holman wskazał palcem na ruchomy pojemnik stojący bliżej wejścia.

- Och, wszystko w porządku. Temu nic nie może zaszkodzić. - Podłączył lont do małej skrzyneczki. - Jedno przekręcenie tej rączki i w ułamku sekundy przejście będzie zawalonne.

- To nie ma gumowej izolacji? - spytał Holman czując, że zadał naiwne pytanie.

- Nie jest do tego potrzebna. - Sierżant uśmiechnął się. Widać było wyraźnie, że im bliżej było wybuchu, tym bardziej był zadowolony.

Radio ponownie zaszumiało. Odezwał się głos, który powiedział: - Tu kapitan Peters. Sierżancie, czy mnie słyszycie?

Sierżant nachylił się nad mikrofonem. - Słyszę pana, kaptanie.

- W porządku. Zajęliśmy już stanowiska. Odliczamy do jednej minuty. Sprawdźcie wasz czas.

Holman zauważył, że sierżant patrzy na tarczę małego zegara na skrzynce detonatora, którą miał w ręku. Palec w rękawiczce trzymał nad przyciskiem z boku. Głos z radia wydał polecenie: - Wystartuj po trzech. - Sierżant odliczył sekundy i niezgrabnym paluchem wdusił przycisk, co spowodowało, że mała czerwona wskazówka zaczęła biec dookoła tarczy.

- W porządku, sierżancie. Oddaję teraz radio profesorowi Rykerowi - zabrzmiał głos kapitana. - Bądźcie gotowi na sześćdziesiąt. Powodzenia. Nisko głowy. - Radio znów zamilkło.

Holman patrzył zafascynowany, jak czerwona wskazówka biegnie przez tarczę. Kilka razy wydało mu się, że się zatrzymała, ale zorientował się, że było to tylko złudzenie optyczne. Gdy wskazówka doszła do czterdziestu pięciu, odczuł gwałtowną potrzebę kichnięcia, lecz wiedział, że to tylko nerwy, i zamiast tego potarł drżącą ręką nos.

Dziesięć. Poczul w gardle suchość. Siedem. Odchrząknął. Pięć. Odetchnął głęboko. Trzy. Czy wybuch będzie dość silny, by całkowicie zablokować wejście? Dwa. Musi być. Jeden.

Wyczul raczej, niż zobaczył, że sierżant szybko przekreśla rączkę detonatora. Zakrył głowę rękami.

Zanim usłyszał huk eksplozji, poczuł podmuch powietrza mierzwiący włosy i targający na nim ubranie. Zdawało mu się, że ziemia pod nogami dosłownie dudni. Potem, w pół sekundy po wybuchu, dobiegł go grzmot, wpierv stłumiony, a po chwili coraz potężniejszy, przypominający grom burzy.

Głowę miał przyciśniętą do betonowego podłoża, spodziewał się, że lada moment spadną na niego odłamki gruzu. Ale nic takiego nie nastąpiło. Sierżant dotknął jego ramion.

- Już po wszystkim, sir. Pięknie wyszło.

Sierżant klęcząc patrzył na wejście do tunelu i kręcił z podziwem głową. Holman podążył za jego wzrokiem. Był nadal ogłuszony wybuchem, lecz ciekaw wyniku.

Wokół wejścia wirował kurz zmieszany z mgłą, ale po kilku sekundach zaczął opadać. Na widok tego, co zobaczył, Holman uśmiechnął się.

Wysokie wejście - jeśli jeszcze można je było nazwać wejściem - było zasypane bryłami betonu i gruzu. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu spodziewał się, że ujrzy jedynie zablokowane wejście, lecz teraz wlot tunelu został przesunięty w głąb o około piętnaście metrów. Na załamany strop tunelu wiodła droga usłana odłamkami skał.

Walnął śmiejącego się sierżanta w plecy i wziął radio. - Halo, profesorze Ryker - powiedział i zdziwił się, że nie słyszy własnego głosu. Zrozumiał, że nadal jest ogłuszony wybuchem, położył więc radio na ziemi i zaczął dokładniej oglądać dzieło zniszczenia. Sierżant był już na zboczu i szedł w stronę rumowiska. Teraz nareszcie, całkowicie zadowolony, odwrócił się i pomachał Holmanowi, ponownie podnosząc kciuk do góry.

Holman odzyskał słuch. Znow podniósł radio i zaczął mówić: - Halo, Ryker, czy pan mnie słyszy?

Przez kilka chwil nie było odpowiedzi, z głośnika dochodziły jedynie trzaski. W końcu odezwał się głos profesora: - Halo, halo, panie Holman. Czy słyszy mnie pan?

- Tak, profesorze.

- Ale wybuch, co? Myślę, że się udało. Przynajmniej po naszej stronie. Kapitan Peters poszedł, by się lepiej temu przyjrzeć, ale stąd wygląda to wspaniale. A jak po pańskiej stronie?

- U nas wejście jest całkowicie zablokowane. Sierżant właśnie się wspina na górę, ale dał znak, że wszystko w porządku.

- Wspaniale, wspaniale. Pójdę teraz sam wzdłuż górnej drogi i zobaczę, jak to wszystko wygląda z tamtej strony. Kurz opada i powietrze tu u nas jest chyba bardziej przejrzyste niż u pana. Widzę więc dobrze skutki naszej małej eksplozji. Tak, tak, im bliżej podchodzę, tym lepiej to wygląda. Widzę tuż pode mną kapitana Petersa. Myślę, że będzie bardzo zadowolony ze swego dzieła. Rozgląda się za mną - ach, tak, teraz mnie widzi. Macha do mnie. Dobrze, dobrze, myślę, że jest zadowolony - ściska sobie sam dłonie. - Holman usłyszał dochodzące z radia dziwne metaliczne zgrzytanie; to chyba profesor krztusił się ze śmiechu. Ryker mówił dalej: - Idę teraz obok osypiska i muszę przyznać, że na pierwszy rzut oka jest bardzo solidne. Przynajmniej tak mi się wydaje. Na górze jest olbrzymia betonowa płyta, pochylona pod kątem, ma co najmniej siedem metrów, to znaczy... - Radio zamilkło na kilka sekund, potem głos mówił dalej, ale pomimo zniekształceń Holman zdołał wyczuć w nim nagłe napięcie: - Coś jest nie tak. Z betonowego gruzowiska wydostaje się kurz - widzę kurz bijący znad betonowego gruzowiska - nie, może gdzieś z tyłu. Ale czy to jest kurz? - Tu nastąpiła długa przerwa. - A może to jest obłok mgły? Nie, mgła z tej strony jest słabsza, to musi być kurz. Muszę się przypatrzeć temu bliżej. To wybucha gwałtownie jak para. Jestem teraz

blisko i mogę zobaczyć z drugiej strony to gruzo... - Znowu nastąpiła cisza. - Tu jest szczelina! - krzyknął Ryker. Holman wzdrygnął się na dźwięk tych słów. - Na stropie tunelu jest szczelina! A przez nią wydostaje się mgła! Ale to chyba niemożliwe. To chyba siła wybuchu. To ciśnienie powietrza w środku tunelu wypycha mgłę na zewnątrz. Musi być tak, przecież sama mgła nie mogłaby... O Boże! Jest światło! Szczelina zaczyna się żarzyć. Światło wydostaje się na zewnątrz! To jest światło, które widzieliśmy w tunelu, to światło jest żółte. Nie! Mykoplazma ucieka! Wydostaje się razem z mgłą. Muszę uciekać. Muszę stąd uciekać!

Radio zamilkło, dochodziły jedynie trzaski. Holman był zalamany, zapłakał. Po raz pierwszy od wielu lat.

- Holman! Sierzancie Stanton! Słyszycie mnie? - Na dźwięk głosu Holman podniósł głowę i wyciągnął rękę po radio. Nie miał pojęcia, ile czasu upłynęło od momentu, w którym zamilkło. Może było to tylko parę sekund, ale prawdopodobnie upłynęło już kilka minut. W bezsilnym płaczu zatracił poczucie czasu. Czy ten koszmar nigdy się nie skończy? Czy naprawdę nie było żadnej możliwości, by położyć temu kres?

- Halo, tu Holman - rzucił pospiesznie do mikrofonu. - Ryker?

- Nie, tutaj kapitan Peters. Profesor Ryker jest ze mną w wozie. Nie wygląda najlepiej, jak mi się wydaje.

- Co się stało?

- Mykoplazma. Uwolniła się. Słyszałem, jak profesor Ryker krzyczał i wspinał się na szczyt wzniesienia, by zobaczyć, co się dzieje. Znalazłem go na drodze obok pojazdu. Tuż przed nim zobaczyłem coś, co mógłbym opisać jako bryłę światła, chociaż to nie jest właściwe określenie. Dryfowała gdzieś wraz z mgłą. Na pewno przeszła nad nim.

Holman wziął głęboki oddech i zapytał: - Czy z nim wszystko w porządku?

- Nie wiem, wydaje się oszołomiony. Zaciągnąłem go do

środku, ale nie chciałem ryzykować i zdejmować mu hełmu, by go zbadać. Sądzę, że jest bardzo przestraszony, to wszystko. Przeraził się na widok tego światła, które się wydostało i płynęło ku niemu. W każdym razie uspokoił się gdzieś minutę temu. Kazał mi za tym jechać. Powiedział, że tym razem nie wolno tego stracić z oczu, a potem zasłabł i chyba stracił przytomność. O, wydaje mi się, że wraca do siebie.

- Peters, niech pan uważa - ostrzegł go Holman. - On może być zarażony.

- Nie sądzę, te skafandry są bardzo szczelne. Myślę, że to tylko szok. W każdym razie jadę teraz za tą rzeczą, jądrem czy jak tam. Staram się nie stracić tego z oczu. Nie oddaliśmy się jeszcze za bardzo, ale wydaje mi się, że to kieruje się dokładnie na wschód w kierunku... - znów zapanowała wypełniona napięciem cisza. - Holman, przed nami pojawiły się teraz we mgle dwa olbrzymie budynki - odezwał się ponownie głos. - One wyglądają jak... tak, chyba tak - jak zbiorniki na gaz. Olbrzymie zbiorniki gazowe!

Holman natychmiast przypomniał sobie swoją jazdę trzypasmową autostradą przez Blackwall Tunnel. Ostatnim razem pokonywał tę trasę późno w nocy. Gdy wyjechał z tunelu prowadzącego na południe, ujrzał po swej lewej stronie niewiarygodny widok, jak gdyby żywcem przeniesiony z filmu science fiction. Była to mianowicie olbrzymia gazownia. Oświetlone srebrzyste kominy i zbiorniki sprawiały groźne, a zarazem niesamowite wrażenie. Zauważył dwa olbrzymie zbiorniki (to te prawdopodobnie widział Peters) i kilka mniejszych, usytuowanych głębiej. Rafinerię wybudowano na brzegu Tamizy w celu ułatwienia dostaw węgla, z którego produkowano tutaj gaz na potrzeby miasta. Węgiel dostarczano barkami płynącymi w górę rzeki. Wiedział, że jest to jedna z największych gazowni tego rodzaju w Anglii i że obsługuje duży obszar południowo-wschodniej części kraju.

- Holman, co tu jest? - to brzmiało jak głos Rykera.

- Profesorze, czy to pan? - spytał z niepokojem. - Czy nic się panu stało?

- Wszystko w porządku, tylko kręci mi się w głowie, a tak w ogóle nic mi nie jest. Proszę mi teraz szybko powiedzieć, co jest przed nami?

Holman opowiedział wszystko, co wiedział o olbrzymiej gazowni i poinformował, w jaki sposób mogą się tam dostać, jeśli zajdzie taka potrzeba.

- Myślę, że taka potrzeba właśnie zaszła: jądro kieruje się wprost na gazownię. Jakie to dziwne - to przecież wielka ilość dwutlenku węgla i dwutlenku siarki wytwarzana w procesie spalania przyczynia się w dużym stopniu do zanieczyszczenia atmosfery. Teraz zmutowana mykoplazma wyszukuje te zanieczyszczenia i podąża ku nim, jak gdyby wiedziała, że jest zagrożona i że ich potrzebuje, aby się pożywić i wzmocnić.

- Kapitan Peters zobaczył tę boczną drogę, o której pan mówił. Właśnie w nią skręcamy. Zbliżamy się do zbiorników, wznoszą się przed nami. Dojeżdżamy do bramy. Wjeżdżamy na teren gazowni. Widzę jądro.

- Gdzie, gdzie ono teraz jest?! - krzyczał do mikrofonu Holman.

Wydało mu się, że słyszy suchy chichot po drugiej stronie.

- No, jak pan myśli, gdzie ono może być, panie Holman? Znalazło sobie cichutkie miejsce pomiędzy dwoma zbiornikami. Wisi jak dziecko w kołysce między dwojgiem rodziców-olbrzymów.

Holman wpatrywał się w głośnik. Głos Rykera brzmiał sarkastycznie. - Ryker?! - zawołał.

Odpowiedział mu szybko i ostro: - Czy wie pan, z czego się składa gaz miejski, panie Holman? Już panu mówię: jest to toksyczna mieszanina złożona w pięćdziesięciu procentach z wodoru, w dwudziestu do trzydziestu procentach z metanu, od siedmiu do siedemnastu procent dwutlenku, węgla i w dwu procentach z węglowodoru. Ponadto - ciągnął Ryker jak gdyby wygłaszał odczyt dla studentów - zawiera on amoniak, siarkę, kwas cyjanowodorowy, benzen i inne związki chemiczne.

Innymi słowy, stanowi to bardzo wybuchową mieszaninę. Myślę, że ta mutacja sama rozwiązała nam jeszcze jedną zagadkę. Czy pan się ze mną zgadza?

Zanim zdążył odpowiedzieć, radio zamilkło ponownie. Boże, pomyślał, on chyba ma zamiar wysadzić te zbiorniki razem ze zmutowaną mykoplazmą! Ale jakie ogromne zniszczenia spowoduje w okolicy tak potężna eksplozja! Nie, miał jednak rację: gra była warta świeczki!

Holman zerwał się na równe nogi i zdecydował, że przejdzie pod rzeką tunelem, który był nietknięty, i udzieli pomocy tamtym dwóm po drugiej stronie. Radio zawiesił na pasku na plecach, po czym przyłożył obie dłonie do ust, by przywołać sierżanta, który o niczym jeszcze nie wiedział. Ale w tym momencie zauważył, że sam ma kłopoty.

Zanim zdążył wypowiedzieć jakieś słowo, uświadomił, sobie że nie jest sam. Za jego plecami stał tłum ludzi zwabionych hukiem wybuchu. Wydawało mu się, że jest ich kilkuset. Wypełniali sobą szczelnie drogę prowadzącą do tunelu. Nie miał pojęcia, czy tłum ten już wcześniej się zebrał, krążąc stadnie i bezmyślnie po ulicach. Ale fakt, że ludzie ci tkwili tu w całkowitym milczeniu, niepokoił go o wiele bardziej, niż gdyby krzyczeli i wrzeszczeli. Zdawał sobie sprawę, że w jakiś sposób wyczuwali, iż jest inny.

Ostrożnie wycofał się poza zasięg ich zimnych wytrzeszczonych oczu: nie chciał ich niepokoić czy też sprowokować jakimś gwałtownym ruchem. Ale w tłumie nagle coś się poruszyło: to mały czternastoletni chłopiec przepchnął się do przodu i załamującym się głosem spytał: - Proszę pana, czy może nam pan powiedzieć, co się tu dzieje?

Holman spojrzał na chłopaka ze zdziwieniem. Biedny dzieciak, pomyślał. Jeszcze nie został zarażony. Wałęsa się z tym stadem, zastanawiając się, co się tu, u diabła, dzieje. Podszedł do chłopca i nachyliwszy się, rzekł. - Słuchaj, synku... - tylko tyle zdążył powiedzieć. Na dźwięk jego głosu tłum ruszył gwałtownie do przodu jak ogromna fala. Chłopiec przewrócił się pod setkami nóg i Holman wiedział już,

że nic go nie jest w stanie uratować. Ludzie chwyтали go i odpychali w tył. Holman zaczął się im przeciwstawiać, próbując uwolnić się z ich rąk. Stojącego przed nim mężczyznę powalił uderzeniem kolana, łokciem pchnął w tył jakąś kobietę, która uczepiła się jego włosów, i uderzył pięścią jakiegoś innego mężczyznę, który zaczął go dusić. Lecz napastników było zbyt wielu. Poczul, że przewraca się na ziemię, zabrakło mu tchu.

I wtedy rozległ się huk strzału. Jakiś człowiek obok wrzasnął i upadł na twarz. Nie mógł się zorientować po krzyku, czy był to mężczyzna, czy kobieta, ale w tej chwili niewiele go to obchodziło. Tłum zamarł w bezruchu, potem cofnął się trochę i zaczął uciekać, traktując się nawzajem w panice. Huk strzału karabinowego przestraszył ich bardziej niż cokolwiek innego.

- Szybko, sir, niech pan ucieka! - usłyszał wołający przez radio głos sierżanta Stantona.

Holman wstał w ułamku sekundy i pomagając sobie jedną ręką, przeskoczył przez żelazną balustradę biegnącą wzdłuż szosy, po czym skoczył dwa metry w dół, na zbocze.

Upadł na kolana, lecz sierżant nie pozwolił mu się zatrzymać. - Tędy, sir, prędko! - krzyknął i w tym momencie rozległ się drugi strzał.

Holman skoczył na nogi i pobiegł w kierunku szaro umundurowanego żołnierza. - Dzięki Bogu, że mieliście ze sobą broń - wykrztusił.

- Po tym, co dzisiaj widziałem, kolego, nigdzie się bez niej nie ruszam. - Strzelił jeszcze raz do tłumu. - W tym zabawnym stroju trudno jest dokładnie celować, ale komu jest potrzebna dokładność w celowaniu do tego motłochu? - Pownownie uniósł karabin i strzelił. - A teraz prędko, do tunelu. Nie dotrzymam panu kroku, niech więc pan idzie sam do kapitana. Ja będę się powoli wycofywał i zatrzymam tych ludzi.

Nie miało sensu mówić mu, co się stało po drugiej stronie tunelu, toteż Holman odparł: - Zostanę z wami, sierżancie.

- I co pan będzie robić, pluć na nich?

- Mam broń. - Holman pokazał mu swój rewolwer.
- Musieliby wleźć na pana, żeby to zaczęło strzelać, a jeśli będą na panu, to i tak na nic się to nie zda. Nie, proszę pana, proszę iść, ja ich zatrzymam. Proszę popatrzeć - kulą się jak zwierzęta. Nie podejść. - By pokazać Holmanowi, co ma na myśli, podniósł karabin i wystrzelił do najbliższej stojącej osoby. Była to kobieta, która pełzła na czworakach w ich kierunku. Gdy krzyknęła, tłum cofnął się o kilka metrów. - Proszę już iść, kolego - powiedział, a Holman mógł sobie tylko wyobrazić, jak śmieje się pod maską.

Był wstrząśnięty okrucieństwem sierżanta. Zdawał sobie sprawę, że są w niebezpiecznym położeniu, i sam miał coraz mniej współczucia dla obłąkanych, ale nie mógł pojąć tego nieludzkiego do nich stosunku. Sierżant strzelał do tłumu jak do chorych owiec, które trzeba zabić. A może i on był już szalony? - No, a co z kontenerem? - tylko tyle zdołał jeszcze powiedzieć.

- Nic mu się nie stanie. Nie mogą go popsuć ani ruszyć z miejsca. Zabierzemy go później, wracając. A teraz mówię po raz ostatni: wejdzie pan wreszcie do tego pierdolonego tunelu, sir?

Holman odwrócił się i znikając w tunelu rzucił jeszcze jedno spojrzenie na kulący się tłum, który jednak przez cały czas posuwał się do przodu. Sierżant pozostał u stóp betonowego gruzowiska będącego jego dziełem. Holman biegł, a echo jego stóp odbijało się od ścian tunelu. Coraz głębiej zanurzał się w czarną czeluść. Wtem usłyszał dwa szybko następujące po sobie strzały. Miał nadzieję, że Stanton cofnie się do tunelu, gdzie będzie bardziej bezpieczny. Tłum nie będzie go zapewne ścigał w ciemnościach.

Ale Stanton ryzykował głupio, okazując swą pogardę do tłumu. Strzelał nie spiesząc się, celując do tych, którzy wyglądali groźniej. Jeden z mężczyzn wspiał się za jego plecami na szczyt podwójnego tunelu: szaleńcy są wyjątkowo sprytni.

Wybrał spośród brył betonu leżących wokół stropu łączącego oba tunele większy odłamek i prawie obojętnie rzucił w nic nie podejrzewającego sierżanta. Nawet twardy hełm nie uchronił czaszki Stantona przed zmiążdżeniem. Szaro ubrana postać zwała się z nóg, a tłum zaczął ponownie biec do przodu. Piszcząc z uciechy ludzie złapali trupa, podnieśli go, po czym zaczęli podrzucać do góry, pozwalając mu od czasu do czasu spaść na ziemię z trzaskiem gruchotanych kości.

Holman usłyszał wrzask biegnącego za nim tłumy. Nasłuchiwał, czy ktoś nie strzela, lecz była cisza. Wtedy zrozumiał, co się stało: dostali sierżanta.

Znajdował się teraz w zupełnej, przerażającej ciemności, prawdopodobnie - jak mu się wydawało - w połowie tunelu. Nie mógł jednak dostrzec światła ani z przodu, ani z tyłu, gdyż w tunelu było wiele zakrętów. Modlił się, by jak najszybciej zobaczyć przed sobą szare światło - wtedy wiedziałby, że jest niedaleko wylotu. Ciemność sprawiała, że czuł się jak w próżni - bez ciała, wewnątrz swojej jaźni. Jego bujna wyobraźnia potęgowała tylko strach. Dzisiejszego ranka (Boże, przecież to było w tym samym dniu, a wydawało się, że minęły już wieki!), kiedy znajdował się w tunelu metra, miał przynajmniej ze sobą latarkę i wiedział, gdzie jest, orientując się według obiektów mijanych po drodze. Teraz jedynie dźwięk szorstkiej betonowej ściany i ziemia pod stopami uświadamiały mu, że jest jeszcze żywy. Prawie nie odrywał pleców od ściany, bojąc się, że może jej już nie być, gdy będzie chciał znowu jej dotknąć. Biegł wzdłuż ściany raz wolniej, raz szybciej, mając nadzieję że nie napotka w ciemności jakiejś nie przewidzianej przeszkody. Ryker powiedział, że droga jest przejezdna, ale poruszał się przecież wehikułem.

Słyszał za plecami podniecony tłum. Wydawało mu się, że jest już bardzo blisko za nim, ale było to tylko złudzenie spowodowane tym, że znajdował się w zamkniętej przestrzeni. Mimo wszystko przyspieszył kroku. Wyczuł palcami, że ściana

lekką skręca i droga schodzi trochę w dół. Czy mylił go wzrok, czy też mrok po prawej stronie nie był już tak głęboki? Zamrugał oczami. Tak, z przodu z całą pewnością było już szaro. Powinien być jeszcze jeden zakręt, potem droga prowadzi w górę, a na końcu będzie wreszcie światło dzienne. Oddychał z trudem, mięśnie nóg bolały go niemiłosiernie. Jednakże widok nieco rozproszonej czerni i perspektywa ujrzania światła dziennego dodały mu sił. Zmęczenie nie ustąpiło, ale teraz nie zwracał już na nie uwagi.

Dopiero jednak po pięciu minutach wyszedł z tunelu. Wrzask tłumu obłąkanych ludzi i pragnienie szybkiego wyjścia na światło dzienne dodawały energii zmęczonym nogom. Nie zwalniał morderczego tempa. Świeże powietrze, chociaż przesączone mgłą, na szczęście trochę go orzeźwiło, gdyż ostatnie podejście na nadziemną autostradę było najbardziej wyczerpujące. Był już prawie na samej górze, gdy radio na plecach zaczęło znowu szumieć i trzaskać. Jeszcze w tunelu kilkakrotnie chciał je wyrzucić, by uwolnić się od zbędnego balastu. Teraz ucieszył się, że nie zrobił tego.

- Czy mnie słyszycie, czy mnie słyszycie? - pytał nagłaco jakiś głos.

Nacisnął przycisk. - Halo, tak. Tu Holman. Słyszę was. Ryker? Peters?

- Dzięki Bogu - powiedział głos w radiu. - Tu mówi kapitan Peters.

Usiadł pod ścianą, która nachylała się w kierunku tunelu. - Czy założyliście już materiały wybuchowe? - zapytał starając się, by jego słowa były zrozumiałe, gdyż brakowało mu tchu.

- Tak, już to zrobiłem. Staralem się umieścić je pod każdym zbiornikiem. Są zrobione z dobrej stali, ale sądzę, że będą pękać jak skorupki od jajek przy tej ilości geliginitu. Nastawię zegar na pięć minut, żebyśmy mieli czas na dotarcie do tunelu. Musimy się dobrze schować. - Zanim Holman zdołał cokolwiek powiedzieć kapitanowi Petersowi o tłumie

ścigającym go w tunelu, ten kontynuował: - Teraz nadchodzi Ryker. Poszedł obejrzeć jeszcze raz cały ten cholerny teren, gdy ja zajmowałem się kablami. Wydaje mi się, że nadal jest w szoku. Raz zachowuje się całkiem normalnie, a zaraz potem sprawia wrażenie, jakby był nieobe... O, mój Boże, on nie ma hełmu!

Holman usłyszał, jak kapitan wykrzykuje nazwisko profesora, i po chwili radio zamilkło. Powstał z ziemi i popatrzył daleko przed siebie, ponad wierzchołkiem trójkątnej ściany, wąskiej od jego strony i szerokiej przy wylocie tunelu. Ledwo rozpoznał budynki rafinerii gazu z powodu mgły, która - jak zauważył - szybko się rozrzedzała.

- Peters, Peters! - zawołał do mikrofonu. - Co się dzieje? Na miłość boską, odezwij się!

Krzyczał jeszcze do mikrofonu, gdy zdał sobie sprawę, że już odbiera odpowiedź. Był to znów kapitan, ale jego słowa docierały jakby z jeszcze większej odległości. Zniknął gdzieś energiczny, wojskowy chłód, a w głosie, można było wyczuć panikę. - Zabrał mi skrzynkę z detonatorami. Jest zarażony przez mgłę, jestem tego pewien, a mimo wszystko... - Peters starał się panować nad swoim głosem. - Wydawało mi się, że myśli rozsądnie. Powiedział, że nie możemy czekać aż pięć minut. Niebezpieczeństwo ucieczki jądra jest zbyt wielkie, trzeba je zniszczyć teraz, kiedy jest to jeszcze możliwe. Odmówiłem, a on... a on odepchnął mnie i chwycił skrzynkę. Nie miałem odwagi mu się sprzeciwić i odebrać detonatorów siłą, bałem się, że mechanizm może spowodować wybuch. Idzie tam teraz, idzie w głąb mgły, prosto do jądra. Panie Holman, gdziekolwiek pan teraz jest, niech pan się dobrze ukryje. Niech pan wejdzie do tunelu. Ja wychodzę. Stoję obok pojazdu, może mi się uda! - Po tych słowach słychać było już tylko szum, a potem zapadła cisza.

Holman wiedział, że nie ma sensu ponownie wywoływać Petersa - nieszczęśnik nie mógł tracić ani jednej sekundy. Spojrzał w stronę olbrzymiej rafinerii i wzdygnął się na samą

myśl, co się za chwilę stanie. Nagle wydało mu się, że dostrzegł jakiś ruch. Nie był jeszcze pewien, bo wszędzie wokół dryfowała mgła. Ależ tak! To był Wehikuł Zagłady. Może jeszcze zdąży!

I wtedy nastąpiły dwa wydarzenia jednocześnie: z tunelu poniżej wyłonił się tłum niosący nad głowami coś, co wyglądało jak nagie zakrwawione zwłoki. W chwili gdy na to patrzył, ujrzał przesywający niebo błysk, a potem dobiegł go ogłuszający wybuch, po którym rozległ się grzmot eksplodującego gazu. Ziemia się trzęsła.

Holman zwinął się w kłębek; chciał być teraz mały i niewidoczny. Na plecach czuł żar gorącego powietrza i wiatr wyrrywający mu włosy; grzmot był potężny, obawiał się, że popękały mu w uszach bębenki, czuł płynącą z nosa krew. Wydawało się, że straszliwy łomot nigdy się nie skończy. Beton pod jego stopami zaczął się kruszyć. Chociaż ogłuchł i niczego już nie słyszał, czuł, że atakują go nowe fale powietrza wywołane wybuchem i że coraz silniej drży ziemia; wiedział, co to znaczy: to eksplodują mniejsze zbiorniki, jeden po drugim. Bał się podnieść wzrok, a nawet gdyby mógł, to był świadom, że na świecie nad nim rozpętało się piekło ognia i że gdyby wstał, żar wypaliłby mu oczy. Miał więcej szczęścia niż większość ludzi w dole przy wylocie tunelu. On trzymał się mocno solidnej ściany stanowiącej oparcie szosy biegnącej u góry, ludzie w dole zaś byli słabiej osłonięci. Niektórzy spalili się żywcem w panującym w powietrzu żarze, innych podmuch odrzucił z powrotem do tunelu, a wielu zostało rozerwanych kawałkami stali i betonu. Jeszcze innych zmiażdżyły spadające bryły betonu, gdy zawałała się część tunelu.

Upłynęło sporo czasu, zanim Holman odważył się zdjąć z głowy ręce, którymi się osłaniał - były całe w ranach - i rozejrzeć się dookoła. Stwierdził, że podjazd, pod który się schował,

jest zasypany gruzem, przeważnie kamieniami, betonem i jakimś żelastwem. Gdyby coś z tego spadło na niego, zginąłby na miejscu. Nie patrzył w dół, w kierunku tunelu; nie miał ochoty na oglądanie rzezi spowodowanej eksplozją. Zamiast tego wstał z trudem na kolana i ostrożnie, centymetr za centymetrem, podnosił głowę, by zobaczyć, co jest za ścianą.

Cały obszar, który się przed nim rozpościerał, był ogarnięty gigantyczną falą pożaru. Nie dostrzegł już żadnych obiektów należących do gazowni. Wszystko, co stało na powierzchni ziemi - o ile jeszcze stało - było pokryte falami ognia. Nie słyszał huku nowych, mniejszych eksplozji, ale - pośród pomarańczowego i czerwonego morza ognia - dostrzegł nagle wybuchy żółtych płomieni. Skrył się ponownie; oczy bolały go od żaru. Mrugnął powiekami kilka razy, by je zwilżyć. Po minucie wyjrzał znowu.

Fala ognia rozciągała się od brzegu rzeki na co najmniej pięćset metrów w prawo, obejmując cały teren gazowni i większość położonych w jej pobliżu fabryk. Odwrócił głowę i zobaczył, że paliły się także budynki po drugiej stronie autostrady. Zniszczenia były gigantyczne. W momencie eksplozji zbiorniki gazu musiały być pełne, między innymi dlatego, że tego dnia zapotrzebowanie na gaz było z wiadomego powodu niewielkie. Dwie eksplozje pod dwoma zbiornikami rozerwały je w jednej chwili, powodując zapalenie się łatwo palnego gazu. Z kolei te eksplozje wywołały reakcję łańcuchową: zapalały się wszystkie zbiorniki, jeden po drugim, a zniszczenie całego obszaru nastąpiło w ciągu kilku zaledwie sekund.

Kilkaset metrów dalej spostrzegł coś, co kiedyś z pewnością stanowiło Wehikuł Zagłady. Pojazd był przewrócony na bok i doszczętnie spalony. Usiadł z powrotem, opierając głowę o ścianę, i zamknął bolące oczy. Jaką straszną cenę przyszło zapłacić! Nie czuł już złości - nawet do tych, którzy wynaleźli to zło, a potem przez swoją głupotę je uwolnili - i nie bał się już szaleństwa, którego to zło było przyczyną. W tej

chwili nie odczuwał żadnych emocji oprócz uczucia głębokiego, męczącego smutku. Wiedział, że mutacji już nie ma, że została pokonana przez ogień, który jest wrogiem i zarazem sprzymierzeńcem ludzkości. Nic się nie mogło oprzeć jego niszczącej, a zarazem oczyszczającej potędze, nawet stworzona przez człowieka choroba - zmutowana mykoplazma, która okazała się czymś więcej niż tylko formacją złośliwych i pasożytniczych komórek. Czy rzeczywiście była tak przebiegła? Czy faktycznie miała zdolność wymykania się, kiedy chciano ją zniszczyć? A może poruszała się jedynie pod wpływem ruchu mas powietrza, a jej hipnotyzujące działanie było tylko wytworem ludzkiej wyobraźni lub raczej woli samozniszczenia, tkwiącej w głębokiej podświadomości człowieka i gotowej w każdej chwili zawładnąć jego umysłem? Czy Ryker naprawdę oszalał, czy też doszedł do wniosku, że nie było żadnego innego wyjścia? Być może wiedział, że choroba już go dotknęła i że gwałtownie się rozwijała, niszcząc kolejno wszystkie zdrowe komórki mózgu i biorąc go we władanie? I może resztką świadomości postanowił, że skończy zarówno z sobą, jak i z chorobą? Niewykluczone też, że jego samobójstwo było wynikiem zarówno szaleństwa, jak i hipnotyzującego wpływu samego jądra. Nikt nie pozna odpowiedzi na te pytania, zresztą w tej chwili Holman wcale nie chciał ich znać. Chciał jedynie odpocząć.

Z apatii wyrwał go nagły podmuch zimnego powietrza. Wyciągnął rękę ku krawędzi ściany i jeszcze raz podciągnął się w górę. Ogień wznosił się coraz wyżej, przybierając kształt grzyba. U samej góry był zmieszany z czarnym dymem, natomiast płomienie u jego podnóża były całkowicie białe. Gdy wznosił się do nieba, przerażający w swej rozwścieczonej piękności, ku górze unosiło się także gorące powietrze, wciągając ze sobą chłodniejsze. Proces ten powtarzał się przez cały czas, powodując powstanie sięgającej ponad chmury trąby powietrznej. Widział, jak wciągana jest mgła; dzięki

szarozółtym skupieniom można było podziwiać prądy powietrza, pędzące wraz z płomieniami i rozplywające się na niebie. Holman wiedział, że cała mgła nie zniknie w ten sposób, ale przynajmniej oczyści się duży obszar miasta. Resztę z łatwością rozrzedzi i rozpędzi wiatr, ponieważ rdzeń - jądro mutacji tworzące mgłę, na której żerowało - został zniszczony.

Usiadł, opierając się plecami o ścianę. Opuścił bezwładnie ręce na podciągnięte kolana. Siedział wpatrzony w niebo, czekając, kiedy ponownie będzie czyste i błękitne.

Rozdział dwudziesty drugi

Holman zacumował małą łódkę przy pomoście w pobliżu westminsterskiego mola. Zostawił w niej ołowiany pojemnik. Niech przyślą po niego ludzi w kombinezonach ochronnych - on jest już zbyt zmęczony, by próbować przenieść go na suchy ląd. Przy wylocie tunelu czekał ponad godzinę, zanim nabral wystarczająco dużo sił, by wyruszyć w drogę powrotną. Jeszcze raz przeszedł przez tunel, tym razem idąc wąską kładką umieszczoną z boku ponad jezdnią i przeznaczoną dla kierowców, którym przytrafiła się jakaś awaria. Trzymał się poręczy, która pomagała mu także w orientacji. Nie zwracał uwagi na jęki bólu i rozpacz ludzi znajdujących się pod nim w ciemnościach. Po drugiej stronie odnalazł zdeptane ciało chłopca, który wtedy wystąpił z tłumu, zagubiony i przerażony, nie rozumiejący, co się dookoła dzieje. Holman przypomniał sobie, jak na początku tego wszystkiego uratował małą dziewczynkę po trzęsieniu ziemi w wiosce. Stała się pierwszą śmiertelną ofiarą choroby. Starał się zapanować nad żalem - miał jeszcze wiele do zrobienia.

Znalazł kontener tam, gdzie go pozostawił. Dzięki niemu odnalazł drogę do rzeki. Tam natrafił na łódź wiosłową, którą popłynął w dół, chcąc dostać się do zacumowanej niedaleko łodzi motorowej. Nie miał kłopotów z zapaleniem silnika. Łódź była wyposażona w elektroniczny zapłon; wystarczyło

chwilę pomajstrować przy kablach, by zamknąć obwód, i silnik zaskoczył. Z zadowoleniem stwierdził, że zbiorniki z paliwem są pełne; nie potrzebował nawet aż tyle. Przemieścił ruchomy kontener z nabrzeża na pokład i położył go na boku. Nie był wcale zniszczony, ale też i nie do ruszenia z miejsca, przynajmniej jeśli o niego chodziło.

Gdy skierował łódź w główny nurt i rozpoczął swoją podróż długą rzeką pełną meandrów, słońce zaczynało przebijając się przez szare chmury. Srebrzyste promienie słoneczne skakały po brunatnej wodzie. Widział oba brzegi i wiedział, że we mgle tworzy się ogromna wyrwa. Za jego plecami wciąż szalał ogień - szedł do góry i rozprzestrzenił się po ziemi. Pożar utrzyma się jeszcze przez wiele dni, spowoduje śmierć wielu ludzi, wyrządzi wiele szkód. Ale najważniejsze jest to, że zniszczy mgłę. Potem wypali się sam, ostatecznie pokonany własnym okrucieństwem.

Wzdłuż całej rzeki widział ludzi o bladych twarzach wpatrzonych w ogień i do tego stopnia zaszokowanych ogromem pożaru, że ich zaatakowane chorobą umysły nie były w stanie myśleć o czymkolwiek innym. Blask ognia był widoczny z odległości wielu kilometrów i Holman miał nadzieję, że ma on równie paralizujący wpływ na wielu jeszcze innych ludzi. Przynajmniej nie powstanie w ich głowach myśl, by uczynić sobie lub innym jakąś krzywdę. Tam gdzie mógł, omijał dryfujące w wodzie zwłoki. Ale tam gdzie było to niemożliwe, rozpychał je łódką na bok. Sztywne, nabrzmiące wodą, płynęły dalej.

Mgła była gęstsza nie opodal Westminsteru, ale już nie tak bardzo jak poprzednio. Zostawił łódkę i ruszył w stronę podziemnego parkingu. Widzieli go na monitorach, ale w pierwszej chwili nie poznali go, gdyż miał popalone włosy, osmaloną i poranioną twarz, a jego ubranie było zniszczone i zakrwawione. Ale gdy zaczął walić w gładki beton ściany podziemnego parkingu, zorientowali się, kim jest, i natychmiast otworzyli masywne wrota.

Opowiedział im wszystko, co się stało: o podróży przez miasto, o śmierci Masona, o zablokowaniu tunelu Blackwall, o ostatecznym zniszczeniu mykoplazmy wraz z eksplozją gazowni. Bez przerwy zasypywali go pytaniami. Przewyciężając zmęczenie starał się na wszystkie odpowiedzieć. Na koniec zaczęli mu gratulować, chwalić go, a wtedy on im powiedział, że na podziękowanie przede wszystkim zasłużyli profesor Ryker i kapitan Peters. To dzięki ich wspólnemu wysiłkowi udało się pokonać chorobę.

Janet Halstead szybko go przebadła, ale wcześniej obsypała jego twarz pocałunkami szczęścia. Nie stwierdziła niczego groźnego - trzeba będzie tylko opatrzyć rany i oparzenia na rękach. Powiedziała mu także, że wielki siniak na policzku - którego sobie nabił wypadając z przewracającego się wehikułu - będzie go bolał jeszcze przez kilka dni. Nalegała, aby koniecznie odpoczął, zwracając uwagę, że jest bliski całkowitego załamania z powodu wyczerpania. Holman odmówił, ponieważ musi jeszcze zrobić jedno, zanim zaczną sypać na miasto usypiający gaz, a mianowicie musi dotrzeć do Casey.

Poprosił o jakiś zastrzyk, który pomógłby mu przemóc zmęczenie. Widząc, że jest zdecydowany iść pomimo jej rad, zgodziła się, ostrzegając jednak, że nie wie, jak długo zastrzyk ten będzie działał, biorąc pod uwagę jego ogromne wyczerpanie. Zapewnił ją, że z pewnością wystarczająco długo, by zdążyć dotrzeć do Casey, a potem z przyjemnością położy się i zaśnie, podczas gdy nad miastem będzie rozpylany gaz nasenny. Zdecydował się wyruszyć w drogę również dlatego, że z niepokojem stwierdził, iż nie może się połączyć z ich centrali ze swoim mieszkaniem: w całym Londynie nie było prądu, a łączność ze światem można było utrzymywać jedynie za pośrednictwem nadajników bazy. Obiecali mu, że rozpylanie gazu rozpocznie się od południowo-zachodnich i północno-wschodnich obszarów miasta. Samoloty będą prowadziły akcję poszczególnymi sektorami, a dzielnicę, w której on mieszka, pozostawią na koniec. Pomogli mu, oddając do dyspozycji pojazd wojskowy, solidnego skota, ale z ubolewaniem

stwierdzili, że ze zrozumiałych względów nie mogą z nim wysłać nikogo, ponieważ we mgle zapewne jest jeszcze cholera i może przedostać się do organizmu pomimo kombinezonu ochronnego. Będą potrzebować ochotników do zabrania pojemnika, i w tym wypadku ryzyko będzie uzasadnione.

Wreszcie, gdy Janet Halstead szybko obmyła mu twarz i dała zastrzyk, pożyczycywszy od kogoś skórzaną kurtkę, aby ukryć pistolet i kaburę, którą nadal nosił, wyjechał z podziemnego schronu. Stwierdził, że zastrzyk zaczyna działać, bo poczuł się silniejszy.

Wspinał się po schodach i na czwartym piętrze ponownie dopadło go zmęczenie w nogach. Widocznie zastrzyk już nie pomaga, pomyślał. To jazda do domu tak go zmęczyła, gdyż w mieście nadal działały się straszne rzeczy. Wprawdzie nie oczekiwał, że wszystko skończy się wraz ze zniszczeniem jądra, ale dopiero teraz zdał sobie sprawę z ogromu zniszczeń, jakie się dokonały. W dalszym ciągu rozgrywały się różne makabryczne sceny. Teraz większość ludzi uformowała się w maszerujące kolumny. Idące ku rzece! Wyglądało na to, że powtórzy się tragedia Bournemouth, chyba że zdążą w porę rozpylić gaz nasenny. Z samochodowego radia poinformował bazę, co się dzieje. Odpowiedzieli, że w tej sytuacji rozpoczną rozpylanie najpierw wzdłuż rzeki, po obu jej brzegach, a dopiero potem zajmą się pozostałą częścią miasta. Tam gdzie mógł, objeżdżał zgromadzonych ludzi, ale kilkakrotnie musiał ostrożnie przejechać pomiędzy nimi. Na szczęście nie zwracali na niego uwagi. Ich myśli były zaprzątnięte teraz tylko jednym: samozagładą.

Wspinając się po schodach, usłyszał gdzieś w oddali nisko lecące samoloty, nurkujące w celu rozpylenia gazu, który miał uratować ludziom życie, a - miejmy nadzieję - wielu innym przywrócić zmysły. W rejonach Londynu, gdzie mgła zalegała nisko, użyto śmigłowców. Piloci oddychali przez maski

tlenowe, na wypadek gdyby rozpylany z samolotów gaz dotarł z wiatrem w ich stronę.

Doszedłszy na swoje piętro, odetchnął z ulgą, widząc drzwi do mieszkania nadal dokładnie zamknięte. Gdy zaczął walić w nie pięścią, wołając Casey po imieniu, nie zauważył, że na schodach prowadzących na dach siedzi jakaś niewyraźna postać; potem okazało się, że tkwiła tam przez cały dzień.

Holman usłyszał dochodzący zza drzwi przytłumiony głos Casey: - John, to ty?

- Tak, kochanie! - odkrzyknął, starając się uśmiechnąć pomimo bolącej twarzy. - To ja. Wszystko będzie okay.

Otwieraj.

Usłyszał odgłos przesuwanych mebli, trzask odciąganego rygla i zgrzyt przekręcanego w zamku klucza, po czym w szczelinie lekko uchylonych drzwi, zamkniętych jeszcze na łańcuch, ukazała się twarz Casey, zmęczona płaczem i znów wykrzywiona do płaczu.

- Och, John! - wykrzyknęła. - Nie wiedziałam, co się z tobą dzieje. Tak się martwi... - urwała w pół słowa, starając się zdjąć łańcuch. - Ktoś próbował dostać się do środka, próbował przez cały... - ale znów nie skończyła, gdyż otworzył szerzej drzwi i przyciągnął ją do siebie, obejmując ramionami i rozluźniając trochę uścisk, by ją ucałować.

Pląkała, przepelniona ulgą i radością. Zaprowadził ją z powrotem do mieszkania i zatrzasnął drzwi kopnięciem.

Odsunęła się od niego, by spojrzeć mu w twarz, a w jej oczach natychmiast pojawił się niepokój. - John, co ci się stało? Co oni ci zrobili?

Uśmiechnął się ze znużeniem. - To długa historia. Najpierw napijemy się mocnego drinka. Potem pójdziemy do łóżka i wszystko ci opowiem, a jeszcze później będziemy spać. Będziemy spać długo i głęboko.

Uśmiechnęła się do niego, zaciekawiona i niewysłowienie szczęśliwa. Wtem jej rysy zastygły w przerażeniu, spostrzegła bowiem za jego plecami coś, co uniemożliwiło dokładne

zamknięcie drzwi. Zdziwiony przestracchem na jej twarzy, odwrócił się, by zobaczyć, co się dzieje. To, co ujrzał, ścięło mu krew w żyłach: w drzwiach, z dziwnym uśmiechem na twarzy, stał Barrow.

Holman obrócił się tak, że był teraz zwrócony twarzą do detektywa. Casey stała za nim.

- Cześć, Barrow - rzucił ostrożnie.

Nie było żadnej odpowiedzi, najmniejszego ruchu.

Casey dotknęła jego ramienia i powiedziała nagłym cichym głosem: - John, to na pewno on. Ktoś przez cały dzień chciał się dostać do środka. Walił w drzwi i próbował je wyważyć. Gdy pytałam, kto to, nie było żadnej odpowiedzi. Walenie ustawało i za godzinę zaczynało się znowu. Musiał czekać pod drzwiami przez cały dzień.

Holman jeszcze raz spróbował wydobyć jakąś odpowiedź ze stojącego przed nim mężczyzny. - Czego chcesz, Barrow? - zapytał.

I znów nie było odpowiedzi, tylko ten dziwny, niepokojący grymas wyszczerzonych zębów. Holman ze zdziwieniem zauważył, że Barrow był nienagannie ubrany: miał na sobie ciemnobrunatny trzyczęściowy garnitur, białą koszulę ze sztywnym kołnierzykiem i ciemnozielony krawat. Tylko te nic nie widzące oczy i pozbawiony wesołości uśmiech zdradzały, że jest obłąkany. Holman zastygł w napięciu, gdy Barrow nagle włożył prawą rękę do kieszeni marynarki i coś wyciągnął. Z początku nie mógł się zorientować, co to jest, ale gdy Barrow zaczął to rozwijać, zobaczył, że to kawałek cienkiego drutu z dwiema małymi drewnianymi rączkami na końcach.

- Casey, idź do sypialni i zamknij drzwi - powiedział spokojnie Holman, nie spuszczać oka ze stojącego przed nim mężczyzny.

- Nie, John, nie zostawię cię samego - odparła.

- Rób, co ci, do cholery, każe - rzekł przez zaciśnięte zęby, nie podnosząc głosu.

Wyczuł, że odeszła. Usłyszał klucz przekręcany w drzwiach sypialni.

- Czego chcesz, Barrow? - zapytał jeszcze raz, nie oczekując odpowiedzi. Ale tym razem nadeszła.

- Ciebie - powiedział Barrow. - Ciebie, ty skurwielu.

Oba końce drutu trzymał teraz w lewej i w prawej ręce, na wysokości piersi. Naprężył go. Holman zdał sobie sprawę, w jaki sposób Barrow ma zamiar wykorzystać tę makabryczną broń: jako garottę. Zaciśnięta wokół szyi, przecina tchawicę i tętnicę szyjną, powodując w ciągu kilku sekund śmierć.

Barrow zrobił krok do przodu.

Holman zbyt wiele tego dnia przeżył, by tracić czas na uspokajanie detektywa, a Barrow był już zbyt blisko, by zaryzykować sięgnięcie po pistolet. Zaatakował więc pierwszy.

Rzucił się na detektywa, uderzając nisko i robiąc unik przed groźnym drutem. Obaj zderzyli się w drzwiach, padając - szepieni ze sobą - na korytarz. Holman, który znalazł się na wierzchu, poczuł, że Barrow podnosi go i odrzuca na bok. Policjant był niewiarygodnie silny i gdy Holman przetoczył się po podłodze, by uklęknąć na kolanie, zdał sobie sprawę, że nie ma zbyt dużych szans w walce z nim: był za bardzo osłabiony. Nie zauważył, że tymczasem w drzwiach pojawiła się Casey, zakrywając dłonią usta na widok broni, którą trzymał Barrow. Detektyw był już na nogach, gotów do zabicia swojego przeciwnika. Z gardła wydobywało mu się suche chichoczące rżenie. Casey krzyknęła i wtedy odwrócił się.

Ten ułamek sekundy wystarczył Holmanowi, by uklęknąć i z tej pozycji zaatakować Barrowa. Trafił głową w przepoń, pozbawiając policjanta tchu i rozciągając go na podłodze hallu. Holman spostrzegł, że leży na jego nogach, lecz w tym momencie Barrow uderzył go kolanem w podbródek. Upadając Holman oparł się o ścianę; w głowie mu wirowało, przez co tracił cenne sekundy. Spróbował podnieść się przytrzymując się ściany, ale było już za późno. Poczul na karku lodowate

zimno ostrego drutu i tylko zdążył podnieść rękę, by nie dopuścić do zaciśnięcia się pętli na całym obwodzie szyi. Barrow skrzyżował już uchwyty i klęcząc przed Holmanem, z całej siły ciągnął je w przeciwnie strony.

Holman czuł drut wbijający mu się w kark i w rękę, szczególnie trafem chronioną przez pożyczoną skórzaną kurtkę, która teraz zabezpieczała go przed uduszeniem, chociaż niewiele do tego brakowało. Rękę miał pod naciskiem drutu przyciśniętą do policzka; drut wbijał mu się w przegub dłoni. Próbował rozluźnić uchwyt, zrobić coś, by zelżało potwornie silne zaciśnięcie, ale wysiłki te nie na wiele się zdały. Czuł, że zaczynają go opuszczać siły; oczy powoli zachodziły mgłą, głowę przesywał potworny ból. Zaczął tracić przytomność.

Wtem jakimś cudem nacisk trochę zelżał. Zaczął widzieć wyraźniej, oprzytomniał. Wydawało mu się, że całe wieki minęły jeszcze, zanim odzyskał ostrość widzenia. Gdy to się stało, ujrzał Casey trzymającą Barrowa za włosy i odchylającą mu mocno głowę do tyłu. Płakała, całe jej ciało drżało z wysiłku. Barrow był zmuszony puścić jedną rączkę drutu, by uwolnić się od Casey. Złapał ją za przegub ręki, próbując uwolnić się od chwytu, lecz Casey uczepliła się go z rozpaczą i nieustępliwie odchylała jego głowę, tak że w końcu stracił równowagę.

Ponownie podniósł się i z okrzykiem wściekłości rzucił się na nią, na chwilę zapominając o Holmanie. Uderzył ją silnie otwartą dłonią, odrzucając z impetem na ścianę po przeciwnej stronie. Z jej rozciętych warg popłynęła krew. Stała szlochając, zasłaniając dłonią miejsce, w które ją uderzył. Barrow znów się do niej zbliżył i uderzył ponownie, zwalając ją z nóg. Upadła, patrząc z wściekłością w jego oczy. Oddychając ciężko, spojrzął na nią z góry i przez moment jego spojrzenie było pozbawione wyrazu. Po chwili wyszczerzył zęby, wyciągnął ku niej rękę i chwytając górną część cienkiej bluzki, zdarł ją jednym ruchem. Znieruchomiał na widok małych nagich piersi; jego uśmiech stał się szerszy, a oczy pałały jeszcze większym okrucieństwem.

Wpatrywał się w Holmana, jak gdyby niczego nie rozumiejąc, gdy ten obrócił go ku sobie, a wściekłość nie zdążyła mu jeszcze wypełznąć na twarz, gdy dostał pięścią w twarz. Siła ciosu rzuciła go na dziewczynę, lecz zareagował natychmiast, używając - tak jak został nauczony - nóg jako broni; zadał Holmanowi bolesne uderzenie w uda. Potem zamachnął się i grzmotnął Holmana pięścią w czoło, co prawda w bok, lecz wystarczająco silnie, by obalić go na ziemię. Zrobił ruch, jak gdyby chciał podbiec do leżącego przeciwnika, ale wtedy Casey odważnie zacisnęła mu rękę wokół szyi, próbując go odciągnąć do tyłu. Zdołał się odwrócić i pchnął ją na ścianę, przygniatając mocno swoim ciałem. Jedną ręką sięgnął jej ramię i zdarł do końca bluzkę, a potem zaczął obmacywać jej piersi. Drugą dłoń przesunął w stronę jej ud. Głowę trzymał blisko jej twarzy, tak że Casey czuła wilgoć jego warg na swoim policzku. Chciała krzyczeć, lecz była sparaliżowana strachem, nie mogła wydobyć z siebie głosu.

Zataczając się Holman znowu zbliżał się w stronę policjanta, świadom tego, że jeśli on nie zabije zaraz Barrowa, to ten wykończy ich oboje. Gdy zrozumiał, co tamten zamierza zrobić, ogarnęła go wściekłość; natychmiast poczuł przyływ siły i chęci do dalszej walki. Podchodząc od tyłu, namacał palcami oczy Barrowa, po czym z całej siły wbił w nie palce.

Barrow zawył i odsunął się od dziewczyny, próbując odebrać bezlitośnie zaciskające się ręce Holmana. Wyrwał się, rzucając Holmana na przeciwległą ścianę. Miał teraz swobodę ruchów, lecz gałki oczne tak go bolały, że nic nie widział. Rzucił się na ślepo na Holmana, lecz ten z łatwością zszedł mu z drogi i korzystając z okazji uderzył potężnym sierpowym w brzuch, tak że Barrow zgiął się wpół. Po chwili kopnął go w twarz; siła uderzenia była tak wielka, że Barrow poleciał w głąb korytarza.

Gdy Holman ruszył za nim, detektyw już stał, potrzęsając głową. Odzyskał wzrok. I znow zaczął się uśmiechać, gdy

Holman natarł na niego ramieniem, aby go przewrócić. Obrócił się, unikając w ten sposób zderzenia, lecz Holman złapał go, okręcił kilka razy, po czym obaj upadli na ziemię. Jednocześnie podnieśli się na kolana, lecz pierwszy zaatakował Barrow. Kantem dłoni zadał Holmanowi cios w szyję. I znów, gdyby nie kołnierz skórzanej kurtki, skutki byłyby tragiczne. Upadł na twarz, czując w lewym ramieniu potworny ból.

Leżał sycząc z bólu; dyszał ciężko z wyczerpania. Doszedł go suchy, charczący chichot Barrowa, który właśnie się podnosił.

Detektyw inspektor patrzył z sadystycznym zadowoleniem na swego powalonego przeciwnika. Trochę dalej w głębi hallu siedziała w poszarpanej bluzce, oparta o ścianę, Casey. Płakała, widziała, co się dzieje z Holmanem, ale już nic nie mogła zrobić, by mu pomóc. Barrow podniósł nogę, by kopnąć Holmana w głowę.

Gdy to uczynił, Holman spojrział do góry i ich oczy się spotkały: w obłąkanych oczach Barrowa widniała duma z odniesionego zwycięstwa, z oczu Holmana przebijała klęska. Ale detektyw o ułamek sekundy za długo rozkoszował się swoim triumfem i w oczach Holmana w miejsce klęski pojawiła się iskierka nadziei.

Znajdowali się teraz daleko w głębi hallu i Barrow stał tyłem do schodów. Holman wysunął prawą dłoń ku jego nodze, na której tamten stał całym swym ciężarem... Złapał go za kostkę i szarpnął w swoją stronę tak silnie, jak tylko mógł. Barrow zachwiał się do tyłu, po czym runął po kamiennych stopniach, uderzając na dole o ścianę.

Holman leżał na podłodze, oddychając ciężko, zbyt wyczerpany, by wykonać najmniejszy ruch. Słyszał szloch Casey dobiegający z drugiej strony hallu, lecz nie był w stanie zebrać wystarczająco dużo siły, by podejść do niej. Casey wykrzyknęła jego imię i zaczęła się powoli czołgać w jego stronę.

Leżał na ziemi, a przez głowę przelatowały mu rozmaite

myśli, jak to się często zdarza, gdy jest się zbyt zmęczonym, by myśleć o czymś konkretnym. Tak wiele przeszedł w ciągu tych kilku ostatnich dni. Musiał zgodzić się na śmierć, i to nie tylko pojedynczych ludzi, ale i na masową; musiał zgodzić się na zabijanie.

Od strony schodów usłyszał jakiś hałas, jakby ktoś ześlizgiwał się i zarazem potem wdrapywał. Spojrzał na Casey i poznał, że ona także to słyszy. Zamarła w przerażeniu i oparła się o ścianę, wpatrując się w niego. Dźwięki stawały się teraz coraz głośniejsze; doszedł do nich jeszcze odgłos ciężkiego oddychania. Holman wpatrywał się w pustą przestrzeń u szczytu schodów, niezdolny wykonać jakiegokolwiek gestu; zastygł w bezruchu, oczekując tego, co zobaczy. Na ostatnim stopniu pojawiła się dłoń. Palce usiłujące się oprzeć i podciągnąć były białe z wysiłku. A potem nagle ujrzał złowieszczą, wyszczerzającą zęby twarz Barrowa! Z nosa i z głębokiej rany nad łukiem brwiowym płynęła krew, nadając temu upiornemu obliczu bardziej przerażający wygląd. Wyszczrzył do Holmana zęby w uśmiechu; jego ciało trzęsło się z wyczerpania. Zaczął chichotać, szeroko otwierając usta, z jego gardła wydobywało się dziwne chrapliwe rżenie. Próbował podciągnąć się, pokonując ostatni stopień schodów. Chciał dostać Holmana.

Holman podniósł się powoli. Wyjął z kabury pistolet i odbezpieczył go kciukiem. Potem wsadził lufę w wyszczerzone usta Barrowa i pociągnął za spust.

Ukląkł obok Casey, odrywając ją od ściany i tuląc w swoich ramionach. Znad ich domu dochodziło buczenie nisko lecących samolotów. Wiedział, że doleciały już do jego sektora.

- Najgorsze mamy za sobą, kochanie - powiedział, obejmując ją mocno i kołysząc delikatnie. - Nigdy już nie będzie między nami tak samo, każde z nas zbyt wiele przeżyło, ale możemy sobie pomóc nawzajem. Tak bardzo cię kocham, Casey.

Podciągnął ją na nogi, a ona szlochała na jego piersi.

- Gdy ten koszmar się wreszcie skończy, kiedy zrobią już wszystko dla tych, którzy zostali poszkodowani, ludzie dowiedzą się, jak naprawdę do tego doszło. Postaram się, by tak się stało, i myślę, że inni również. Ale teraz, Casey, będziemy spać. Położymy się obok siebie i zapadniemy w długi, długi sen.

Zdobyła się na uśmiech i weszli razem do mieszkania. Zmęczony i obolały, opierał się na niej.

Zamknął za sobą drzwi.